

PODWÓJNE WYDANIE UKRAIŃSKA WIKTORIA | TYRAN ZAWSZE Z NARODEM
FRONT EUROPY | ZAPOMNIANA GRANICA | DWÓCH PANÓW W ARCE | UWOLNIĆ NORĘ
SZTUKA BUJANIA | TRUTEŃ WŚRÓD KRÓLOWYCH **NIE TYLKO NA MAJÓWKĘ**

Kraków 1-8 maja 2022 nr 18-19 (3799-3800) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Na Ziemi zawsze gdzieś jest wiosna

ASTRONAUTA
SCOTT J. KELLY
o planecie ludzi
i Rosji z kosmosu

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480208

*Kwietnie
jest
poczytać!*



Kup na przekroj.pl

Aby wesprzeć działania Fundacji PRZEKRÓJ, mogą Państwo przekazać
1% podatku, wpisując w zeznaniu podatkowym nr KRS 0000750752.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

**Suwerenni
dzięki Wam!**



Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, szczególnie teraz – w dobie kryzysu zaufania, inflacji, w niełatwych dla swobodnej myśli czasach.

Adam Boniecki

Ks. Adam Boniecki

1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

**WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM
nr KRS 0000125605**

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:
Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji:
powszech.net/dar

OGŁOSZENIE OPP // RYSUNEK JOANNA RUSINEK / FOT. GRAŻYNA MAKARA



24 Nielegalnie wrażliwi

KATARZYNA SROCZYŃSKA

Marta martwiła się, czy zdoła wejść do ciemnego lasu. A potem się okazało, że las nie jest straszny, migranci nie są straszni, choć są w strasznym stanie. Lęk wzbudziła dopiero broń strażników.



50 Jak długo potrwa ta wojna?

WOJCIECH KONOŃCZUK

Rosyjsko-ukraińskie rozmowy pokojowe zamaryły. Dla obu stron jest jasne, że ten konflikt rozstrzygnie się na polu boju.



66 Na Ziemi zawsze gdzieś jest wiosna

SCOTT J. KELLY, ASTRONAUTA:

Z kosmosu widać susze i pożary, ale też to, jak niewiarygodnie piękna jest nasza planeta. Za to nie widać granic politycznych.



36 Nie rusz moich kół

WIKTORIA GUDYMA, BIEGACZKA:

Putin nie zniszczył mi marzeń i nie zmienił życia. No dobra – trochę zmienił. Ale ja mu za to wyrzuciłam rosyjskie zawody z kalendarza sportowego.



40 Pierwszym grzechem religii jest nuda

O. JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI I KAROL TARNOWSKI:

Czym jest wiara w jesieni życia? Czym różni się od tej dziecięcej czy dojrzałej? Jak ją wciąż pogłębiać?



150 Sztuka bujania

MAREK RABIJ

W hamaku zasypiasz z całym światem dookoła. Hamakowanie to sposób na turystykę zakorzenioną w przekonaniu, że człowiek nie musi czynić sobie ziemi poddaną.

Szanowne Czytelniczki i Czytelnicy!

Następne wydanie „Tygodnika Powszechnego” ukaże się **w środę 11 maja** w punktach z dobrą prasą i na TygodnikPowszechny.pl

Życzymy pięknej majówki z lekturą „Tygodnika”.

REDAKCJA

6 Triumf bez fanfar
SZYMON ŁUCYK

7-13 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ

O. WACŁAW OSZAJCA

ABP GRZEGORZ RYŚ

PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

24 Nielegalnie wrażliwi
KATARZYNA SROCYŃSKA

28 Wieś cała we łzach
MAGDALENA KOWALCZYK,
MAŁGORZATA NOCUŃ: *Jak zmieniła się
los kobiet*

32 Wysokie stanowisko
MARCIN CHODUŃ *o pokoleniach
hejnalistów*

■ ■ PORTRET

36 Nie rusz moich kół
EDWARD AUGUSTYN *o Wiktorii Gudymie*

■ ■ WIARA

**40 Pierwszym grzechem religii
jest nuda**
ROZMOWA Z O. JANEM ANDRZEJEM
KŁOCZOWSKIM I KAROLEM TARŃSKIM

44 Nikt ich nie zaprosi
JACEK TARAN:
Romowie, niechciani uchodźcy

47 Obrońca księdza Jerzego
PIOTR LITKA:
Zmarł ks. Grzegorz Kalwarczyk

■ ■ ŚWIAT

50 Jak długo potrwa ta wojna?
WOJCIECH KONOŃCZUK

52 Jeź i niedźwiedź
PATRYCJA BUKALSKA:
Estonia szykuje obronę totalną

55 Patrząc z daleka, widzę siebie
MARTA SZPAŁA Z KOSOWA:
Wojna w Ukrainie budzi lęki Bałkanów

58 Czerwona kartka dla polityków
TOMASZ AUGUSTYNIAK Z KOŁOMBO:
Na Sri Lance trwa obywatelski zryw

TEMAT TYGODNIKA

14 Prawo do niczego

ADAM ROBIŃSKI

Polskie przepisy stwierdzają
kategorycznie: zwierzę nie jest rzeczą.
I zaraz potem dodają: czasami nią jest.

18 Sąd, który zjada

ROZMOWA Z KAROLINĄ KUSZLEWICZ,
ADWOKATKĄ:

W rozprawach dotyczących sytuacji
psów czy kotów sprawiedliwość jeszcze
jakoś wygląda, ale gdy próbujemy
poszerzyć ochronę prawną gatunków,
które sędzia czy prokurator zjada,
to sprawa robi się trudna.



■ ■ DODATKI ■

75 Prawa człowieka

93 Zasier nadzieję

123 Magazyn Conrad

■ ■ FELIETONY ■

35 JACEK PODSIADŁO

49 WOJCIECH BONOWICZ

104 HANNA KRALL

148 JAN KLATA 149 PAWEŁ BRAVO

154 STANISŁAW MANCEWICZ

154 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: SCOTT J. KELLY
FOTO: ROBERT MARKOWITZ / NASA/
WIKIMEDIA COMMONS / MONTAŻ TP-ONLINE

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

62 Siostró, umieram
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII:
Operacje plastyczne bez uprawnień

■ ■ CYWILIZACJA

**66 Na Ziemi zawsze gdzieś
jest wiosna**
ROZMOWA Z SCOTTEM J. KELLYM,
ASTRONAUTĄ

■ ■ HISTORIA

70 Zwycięzcy biorą wszystko
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK:
Jak Rosjanie pustoszyli odbite ziemie

■ ■ NAUKA

88 Beztroskie życie trutnia
JUSTYNA KIERAT: *Co robią samce
pszczoły?*

■ ■ ESEJ

100 Jedyny taki naród
MICHAŁ KOMAR: *Perykles
i mus imperialny*

■ ■ KULTURA

106 Lampa kosmiczna
ROZMOWA Z PIOTREM SIEMIONEM,
PISARZEM

110 Wśród Panter
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK:
Angela Davies walczyła o wszystko

114 Wizje rzeczywiste
JAKUB MAJMUREK: *Sztuka horroru*

116 Herbatka z androidem
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Yang”

148 Pochwała czulej podróży
LEKTOR *o książce Andrzeja Franaszka
„Gwiazda Północy”*

■ ■ ROZMOWA

118 Rodzaj cudu
ROZMOWA Z HANNĄ
POPOWSKĄ-TABORSKĄ, ŚLAWISTKĄ:
Żyć i się nie zrażać

■ ■ ZMYŚŁY

150 Sztuka bujania
MAREK RABIJ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL



/TYGODNIKPOWSZECHNY



/TYGODNIK



/TYGODNIK



YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

🚩 Wojna w Ukrainie uderza w Afrykę

Powódzie, susze, wojny, zaraza i szarańcza pustoszą
wschodnią Afrykę. Ale Zachód nie przyjdzie dziś z ratunkiem
– píše **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

🚩 Putin czeka, aż Ukraina się podda

Pewne elementy swojej „operacji specjalnej” Putin zmuszony jest
lekką zmodyfikować – komentuje **ANNA ŁABUSZEWSKA**
tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletki



Serwisy specjalne: patrz szerzej

KSIĄŻKI W TYGODNIKU
Eseje, recenzje, felietony, podcasty

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIĄZKI





OBRAZ
TYGODNIA

TRIUMF BEZ FANFAR

Emmanuel Macron ponownie został prezydentem Francji, pokonując w wyborach nacjonalistkę Marine Le Pen. Ma jednak słabszą pozycję niż pięć lat temu.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

O STATNIE PRZEDWYBORCZE NOTOWANIA dawały Le Pen szansę na nadrobienie straty do urzędującego prezydenta. Stało się jednak inaczej. Według pierwszych sondażowych wyników, 44-letni Emmanuel Macron wygrał 24 kwietnia drugą turę wyborów prezydenckich, zdobywając niemal 59 proc. głosów. Na Le Pen zagłosowało nieco ponad 41 proc. Francuzów (w poprzednich wyborach, w pojedynku tych samych kandydatów, przewaga Macrona była większa – 66 do 34 proc.).

Pierwszy wniosek z tych wyborów to wzrost wpływów formacji skrajnych – zarówno radykalnie prawicowych (oprócz prorosyjskiego Zjednoczenia Narodowego

reprezentowanych np. przez innego kandydata, publicystę Érica Zemmoura), jak i ultralewicowych (kandydat Francji Nieujarzmionej Jean-Luc Mélenchon, przeciwny NATO i pobłażliwy wobec Putina, zebrał w I turze ponad jedną piątą głosów). Z rozmów z francuskimi wyborcami wynika, że wielu z nich wspiera skrajności, bo głosuje „przeciw”, a nie „za”. – Rosnąca pozycja partii skrajnych to efekt błędów popełnianych przez ostatnie 30 lat przez demokratyczną klasę polityczną, i z prawicy, i z lewicy – mówi „Tygodnikowi” politolog Nicolas Tenzer, szef portalu eksperckiego Desk Russie. Problemem Francji jest też stale malejące zaufanie do polityków. W drugiej turze zagłosowało

*Prezydent Francji
Emmanuel Macron
i pierwsza dama
Brigitte Macron.*

*Paryż,
24 kwietnia 2022 r.*

ok. 72 proc. uprawnionych, najmniej od 1969 r.

Zdaniem Tenzera, Macron może mieć problem z samodzielnym rządzeniem, bo nie jest pewne, czy jego partia zdobędzie większość w czerwcowych wyborach parlamentarnych. A jeśli będzie zmuszony do koalicji, skrepuje to jego swobodę ruchów. W dodatku klimat społeczny jest napięty: zaraz po wyborach mogą wybuchnąć gwałtowne protesty, na wzór „żółtych kamizelek” z 2018 r.

Według Christiana Lequesne’a, politologa z Paryskiego Instytutu Nauk Politycznych (Sciences Po), błędem Macrona było to, że z centrum sceny politycznej skreślił bardzo na prawo, i teraz czas to naprawić. – Macron musi porzucić ideę, że jest tylko prezydentem zamożnej Francji. Francuzi mają, na tle innych narodów, obsesję równości – mówi „Tygodnikowi” Lequesne. Lewicę prezydent zraził sobie także tym, że porzucił radykalną politykę ekologiczną i zapowiedział budowę nowych elektrowni jądrowych. Po zwycięstwie w wyborach 24 kwietnia Macron powrócił do dawnych obietnic, mówiąc, że chce uczynić Francję „pierwszym narodem ekologicznym”, co można uznać za chęć pojednania z „zieloną” lewicą. Muszą za tym jednak pójść czyny.

Inne pytanie dotyczy ambicji europejskich Francji. Już pięć lat temu prezydent obiecywał „renesans Europy”, jednak pozostał on do tej pory w strefie marzeń. Czy zmieni się to w nadchodzącej kadencji?

Od czasu ponownej inwazji Rosji na Ukrainę francuski prezydent – wcześniej oskarżany o pobłażliwość wobec Kremla – zajął jasne stanowisko wobec Putina. Choć długo próbował odgrywać rolę negocjatora i kilka razy rozmawiał telefonicznie z Władimirem Putinem, wspiera dostawy europejskiej broni dla armii ukraińskiej i sankcje przeciwko Rosji. Jednak zdaniem Nicolasa Tenzera, którego portal monitoruje francuską politykę wschodnią, zasadne jest pytanie, na ile ten twardy kurs przetrwa próbę czasu.

W powyborczy wieczór, przemawiając pod wieżą Eiffla, nowy-stary prezydent mówił m.in. właśnie o wojnie w Ukrainie i jej skutkach dla świata. „Najbliższe lata nie będą spokojne” – ostrzegł. To zapewne jedna z niewielu spraw, w której większość Francuzów przyznaje Macronowi rację. ©

„Dlaczego Niemcy popierają Putina?”

WOJCIECH PIĘCIAK



BYŁE WIECZÓR 24 MARCA 1999 R., GDY ówczesny kanclerz Niemiec wystąpił z oświadczaniem. Ze ściągniętą twarzą, bez uśmiechu, ogłaszał rodakom, że po raz pierwszy od 1945 r. Niemcy idą na wojnę. W tym czasie niemieckie myśliwce torowały już drogę NATO-wskim bombowcom, które miały uderzyć na serbskie wojska pacyfikujące Kosowo. Ogłaszając operację NATO przeciw Serbii, kanclerz tłumaczył, że Niemcy biorą w niej udział, gdyż Serbowie prowadzą bezlitosną wojnę przeciw Albańczykom z Kosowa, którym grozi katastrofa humanitarna. „Bronimy wartości europejskich: wolności, demokracji, praw człowieka” – mówił.

W tym wystąpieniu kanclerz unikał odwołań do historii. Później jednak, gdy głos zabrali krytycy, jego rząd sięgnął po argument historyczny: że owszem, podczas II wojny światowej Niemcy zawinili wobec Serbów, ale to nie powód, by Bundeswehra nie walczyła przeciw serbskim zbrodniarzom, którzy mordują i gwałcą. Opisując działania Serbów, niektórzy ministrowie mówili: to „imperatyw Auschwitz” nakazuje bronić napadniętego.

Dziś wielu Polaków (i nie tylko) pyta: co się dzieje z Niemcami? Niektórzy pytają:

„Dlaczego Niemcy popierają Putina?”. Takie słowa usłyszałem od starszej osoby, która przeżyła swoje podczas II wojny, i dla której sprawa jest prosta: albo jesteś czynnie po stronie Ukrainy, która została napadnięta tak jak Polska w 1939 r., albo jesteś po stronie agresora.

Nie, Niemcy nie popierają Putina. Widziałem ostatnio wielu Niemców, którzy przebyli tysiące kilometrów, by przywieźć pomoc, która potem jechała dalej na Ukrainę (nie tylko leki, także sprzęt wojskowy kupiony za zebrane pieniądze). Bo problem nie jest z Niemcami: sondaże pokazują, iż większość społeczeństwa uważa, że ich kraj powinien podjąć takie ryzyko (bo to ryzyko), jakie podejmuje również Polska, i dostarczyć Ukrainie również czołgi. Problemem jest kanclerz Olaf Scholz i jego brak decyzji.

Jeśli Scholz w końcu zdecyduje, by dołączyć do Polaków (wartość pomocy wojskowej, której Polska udzieliła Ukrainie w ostatnich miesiącach, to 7 mld zł), może sięgnąć po argumenty swego poprzednika sprzed 23 lat (być może ułatwieniem dla niego będzie fakt, iż poprzednik ten także był socjaldemokratą: nazywał się Gerhard Schröder). ©P

Pegasus: cyberszpieczy nie znają dziś granic

„**POMYŚLELIBY: »O MÓJ BOŻE, TA KOBIETA nie ma prywatnego życia«** – tak wiceszefowa Komisji Europejskiej Margrethe Vestager drwiła niedawno z pomysłu, że jej telefon mógłby zostać zhakowany Pegasusem. Dziś w europejskich stolicach nikomu już nie jest do śmiechu. W Brukseli rozpoczął pracę komitet Parlamentu Europejskiego, który ma zbadać zarzuty dotyczące inwigilacji obywateli Unii.

Wśród szpiegowanych mają być nie tylko polscy czy węgierscy opozycjoniści, ale też co najmniej pięciu członków KE, m.in. komisarz sprawiedliwości Didier Reynders. Kto i dlaczego ich inwigilował? Ostateczny raport komitet ma przedstawić za rok.

Problemy są jednak tu i teraz, a dotknie wie przekonali się o tym m.in. brytyjski kontrwywiad. Citizen Lab ujawniło, że Pegasusem zainfekowano co najmniej jedno urządzenie w siedzibie brytyjskiego premiera

oraz „wiele urządzeń” pracowników MSZ. Za atakami w 2020 i 2021 r. miały stać służby Indii, Jordanii, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Cypru. I to nie koniec. W latach 2017-2020 inwigilowanych miało być co najmniej 65 osób powiązanych z katalońskim ruchem niepodległościowym, m.in. Carles Puigdemont, wówczas prezydent Katalonii, dziś... europoseł i członek komitetu, który ma badać afere.

Oczywiście, to wszystko drobnostka w świetle wcześniejszych doniesień, że Pegasusem zainfekowano urządzenia co najmniej trzech prezydentów, 10 urzędujących i byłych szefów rządów, kilkudziesięciu ministrów oraz setek aktywistów, dziennikarzy i naukowców. Łącznie ok. 50 tys. ludzi. Sęk w tym, że wówczas oskarżano o to autorytarne reżimy. Teraz Komisja PE ma wyjaśnić, czy tak samo działały państwa uważające się za demokracje.

Jedno można przyjąć w ciemno: cyberszpiegostwo nie zna dziś granic. A jego ofiarą można paść nawet, gdy „nie ma się prywatnego życia”.

© AGATA KĄZMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Rozbrojeni

MACIEJ MÜLLER



MIMO ZNOSZENIA OBOSTRZEŃ potrzebne jest zachowanie zdrowych nawyków, jak częstsze mycie rąk, noszenie maseczki w zatłoczonych miejscach, a także stałe monitorowanie sytuacji – radzi Światowa Organizacja Zdrowia. Polityka polskiego rządu idzie dokładnie w przeciwnym kierunku. Skierowanie na test może obecnie wystawić jedynie lekarz, ale wielu pacjentów – przekonanych, że pandemia się skończyła – nie chce ich realizować. Trudno się więc cieszyć, że średnia krocząca nowych przypadków wynosiła w Polsce w ub. tygodniu ok. 800, podczas gdy w Wielkiej Brytanii prawie 27 tys., we Francji 85 tys., a w Niemczech 110 tys. My po prostu stłukliśmy termometr. A nawet więcej: decyzja o likwidacji skierowań na rehabilitację pocovidową świadczy o tym, że nie tylko udajemy, iż pandemii nie ma, ale że jej w ogóle nie było.

Wkrótce może tylko nadmiarowa umieralność będzie dowodziła, że koronawirus jednak nie odpuścił. Tymczasem w Polsce wskaźnik R wynosi ok. 0,6 – ale rośnie. Powstają nowe mutacje: np. wariant XE, odpowiedzialny za skok zakażeń w Wielkiej Brytanii czy w Indiach (w pierwszych 20 dniach po wykryciu wywołał tam 6 mln przypadków). XE ma infekować w tempie astronomicznym: o 75 proc. szybciej niż Omikron. Pytanie o nową falę w Polsce nie brzmi „czy”, tylko „kiedy”.

W tej sytuacji nasz rząd zapowiada, że nie zapłaci Pfizerowi za 67 mln dawek szczepionki. Ponieważ akcja szczepień zwolniła prawie do zera nie tylko w Polsce, Komisja Europejska negocjuje z producentami uelastycznienie dostaw. Niezależne wchodzenie polskiego rządu w ostry spór z producentami (i nagłaśnianie go) jest nierozsądne i wygląda na awanturę na potrzeby polityki wewnętrznej. Żal, że zamiast buńczucznych deklaracji nie padają np. zapowiedzi podzielenia się dawkami z krajami Afryki albo przeprowadzenia akcji edukacyjnej nt. szczepień wśród uchodźców z Ukrainy. ©P

KRAJ W SKRÓCIE

FALSTART

Dwa tygodnie po tym, gdy państwowa instytucja ogłosiła, że przyczyną śmierci 96 pasażerów Tu-154 10 kwietnia 2010 r. był zamach, a jej ustalenia autoryzował w serii wywiadów wicepremier Kaczyński, temat zniknął z przestrzeni publicznej. Narzuca się w związku z tym straszliwe podejrzenie, że nie były to jednak poważne ustalenia.

MARATON

Tymczasem jeden z głównych odpowiedzialnych (przynajmniej zdaniem wspomnianego wicepremiera) za smoleńską tragedię, czyli Donald Tusk, skończył 65 lat i przebiegł swój pierwszy w życiu maraton.

W BLOKACH

Maratonem może okazać się także procedura powoływania Adama Glapińskiego na drugą kadencję w fotelu prezesa NBP. Z ustaleń radia RMF wynika, że w Sejmie brakuje mu co najmniej 8 głosów, bo część postów Zjednoczonej Prawicy nie chce poprzeć kogoś, kto stał się twarzą 11-procentowej inflacji.

DYSKWALIFIKACJA

Dużo energiczniej, niż w sprawie rzekomej odpowiedzialności za zamach, Kaczyński poczyni sobie z jedną z wypowiedzi Tuska na Twitterze: jego prawnicy żądają zamieszczenia przeprosin, wpłaty 10 tys. na pomoc uchodźcom z Ukrainy oraz usunięcia wpisu, w którym lider PO przypisał prezesowi PiS twierdzenie, że w USA sfalszowano wybory.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „Tygodnika” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Pomniki do wyburzenia, cmentarze pod opiekę

Z WIELKOPOLSKIEGO SIEDLCA ZNIKNAŁ pomnik upamiętniający czerwonoarmistów poległych w 1945 r. podczas walk z Niemcami pod Wolsztynem. Podobny obiekt zburzono w oddalonym o niecałe 200 km na północ Międzybłociu oraz w miejscowości Garncarsko na Dolnym Śląsku. Na liście IPN takich pomników pozostaje jeszcze około 60, zaś akcja ich likwidacji to wynik przyspieszonej – wybuchem wojny w Ukrainie – realizacji ustawy o dekomunizacji i zakazie propagowania ustrojów totalitarnych.

Ponieważ obowiązkiem wykonania uchwalonych sześć lat temu przepisów obarczone głównie samorządy, wiele z nich odwlekało dotąd podjęcie konkretnych działań. Teraz jednak bezpośrednie apele oraz gospodarskie wizyty prezesa IPN Karola Nawrockiego podziały na lokalne władze mobilizująco, choć – jak wynika z jego słów przytoczonych przez PAP – są również miejsca, które wykazują zdecydowane „przywiązanie do postkomunistycznego dziedzictwa”.

Po wojnie postawiono Armii Czerwonej pół tysiąca pomników „wdzięczności”. Liczba ta nie obejmuje jednak miejsc pamięci na cmentarzach, na których pochowano poległych czerwonoarmistów. Takie obiekty nadal będą pod opieką polskiego państwa i nie grozi im wyburzenie. Tymczasem w internecie pojawiło się nagranie, na którym widać ciężki sprzęt przed polskim cmentarzem w Katyniu. Ma to być groźba Kremla wystosowana w odpowiedzi na akcję usuwania sowieckich pomników w Polsce. ©P MO

Koszmarne dni górników

W DWÓCH KOPALNIACH Jastrzębskiej Spółki Węglowej doszło do serii wstrząsów i wybuchów metanu. W pierwszej eksplozji na terenie KWK Pniówek zginęło co najmniej pięciu górników, a dwudziestu zostało rannych (w tym kilku ciężko). Z rozległymi oparzeniami trzeciego i czwartego stopnia oraz licznymi urazami zostali przetransportowani do szpitali.

Kolejne wybuchy gazu zastały pod ziemią ratowników górniczych – lekko poszkodowanych jest dziesięciu z nich. Do eksplozji doszło, gdy wydłużali przewód doprowadzający powietrze do ściany, za którą znajduje się jeszcze siedmiu górników uwięzionych po środowowej katastrofie. Niestety, obecna sytuacja pod ziemią jest tak niebezpieczna, że trzeba było wstrzymać akcję – praktycznie nie ma już szans na uratowanie zaginionej siódemki.

W sobotę doszło z kolei do wstrząsów w kopalni Zofiówka; w zawałonym chodniku znalazło się dziesięciu górników. Na razie nie odnaleziono nikogo żywego. Tymczasem premier Mateusz Morawiecki z uwagi na fakt, że do obu tragedii doszło w sąsiednich kopalniach, zlecił kontrolę m.in. warunków, w jakich pracowały ofiary.

Największą katastrofą górniczą w III RP był wybuch metanu w kopalni Halemba w 2006 r. Zginęło wówczas dwudziestu trzech górników. ©P MAREK KĘSKRAWIEC

Jaki dług ma Polska

WIĘKSZY BUDŻET na obronność, trzy-naste emerytury, tarcze antykryzysowe, pieniądze dla uchodźców z Ukrainy – daleko zawędrowała polityka wydatkowa PiS od końca 2015 r., kiedy rozpoczynały się prace nad uruchomieniem programu 500 plus. Opozycja wieszczyła wówczas ruinę finansów publicznych – oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Problem w tym, że dziś gabinet Morawieckiego coraz bardziej pograża się w kreatywnej księgowości, ukrywając przed obywatelami stan naszej kasy.

Ile wynosi polski dług publiczny? UE i PiS na to pytanie mają inne odpowiedzi. Według rządu, na koniec 2021 r. dług publiczny wynosił niemal 1,15 biliona zł. Gdybyśmy porównali to ze stanem na koniec 2015 r., kiedy PiS zaczynał rządy, zadłużenie wzrosło o 273 mld zł. Ale według metody stosowanej przez UE, która do długu publicznego wlicza też zobowiązania rządowych banków i funduszy celowych oraz zadłużenie samorządów, do oddania mamy aż 1,41 biliona zł. Tymczasem w 2015 r. nasz dług liczony wedle tej samej unijnej metody wynosił 921 mld zł. Od początku rządów PiS dołożyliśmy zatem aż 489 mld zł, a nie 273 mld zł.

Wysokość zadłużenia w stosunku do PKB wciąż utrzymuje się na dość bezpiecznym poziomie. Liczona „po rządowemu” sięga 48 proc., a metodą Unii dobija do 57 proc. (trzeba też zaznaczyć, że od końca 2015 r. nasz produkt krajowy brutto urosł niemal o 25 proc.). Większy niepokój budzi rządowa strategia wyprzedzania coraz większych wydatków na kredyt poza budżet – do BGK, Polskiego Funduszu Rozwoju i innych rządowych instytucji. Na koniec ub. roku różnica między długiem szacowanym metodami rządowymi a jego prawdziwą skalą, którą lepiej oddaje metodologia Eurostatu, wyniosła 260 mld zł. Od początku pandemii rząd PiS ukrył w ten sposób przed opinią publiczną (i przed parlamentem) aż 205 mld zł. Na koniec roku ten „ukryty” dług wzrośnie do ponad 350 mld zł – czyli z 10 do przeszło 13 proc. PKB. © P MAREK RABII



ANDREJ ISAKOVIC / AFP / EAST NEWS

MIĘSCIE, W KTÓRYM W BELGRADZIE Sawa łączy się z Dunajem, niedaleko starej fortecy Kalemegdan, należy do najpiękniejszych w Europie – z dwóch stron pulsuje życiem miasto, lecz na lewym brzegu Dunaju, na piaszczystym podłożu rośnie gęsta, sprawiająca wrażenie dzikiego las. Nadrzecznym krajobrazom stolicy Serbii zagraża jednak katastrofa ekologiczna. Jedna trzecia budynków w tym półtoramilionowym mieście wciąż nie jest podłączona do miejskiej kanalizacji – z wielu osiedli ścieki wywożone są samochodami asenizacyjnymi, a potem pompowane prosto do rzek. 22 kwietnia w Serbii i na całym świecie obchodzono po raz kolejny Międzynarodowy Dzień Ziemi. Na zdjęciu: łabędź buduje gniazdo z plastikowych śmieci w pobliżu wylotu rur kanalizacyjnych na brzegu Dunaju w Belgradzie, 18 kwietnia 2022 r. © P ŻYM

Izrael–Palestyna: napięcie znowu rośnie

RÓWNO ROK po 11-dniowej wojnie między Izraelem a operującym ze Strefy Gazy palestyńskim Hamasem na Bliskim Wschodzie eskaluje nowy konflikt. Zaczęło się od serii zamachów Państwa Islamskiego, w których zginęło 14 osób. Następnie doszły, trwające już przeszło miesiąc, zamieszki na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie; tylko w piątek 22 kwietnia zostało tu rannych 57 osób. Tuż po żydowskiej Passze i w trakcie muzułmańskiego Ramadanu Palestyńczycy oskarżają siły izraelskie o blokowanie dostępu do meczetu Al-Aksa, jednego z najświętszych miejsc islamu, ortodoksyjnych żydów zaś – o demonstracyjną modlitwę w pobliżu świątyni. Państwa arabskie mówią o prowokacji, komisarz ds. praw człowieka ONZ wzywa do śledztwa.

Przemoc wróciła też do samej Strefy Gazy. Na razie obie strony bronią się przed eskalacją (Hamas ostrzeliwuje Izrael jedną rakieta,

w odpowiedzi izraelski samolot zrzuca jedną bombę), ale w każdej chwili może się to przełożyć w regularną wojnę. Po ostatnim ataku Hamasu Tel Awiw zamknął jedyne przejście graniczne ze Strefą Gazy, z którego korzystają głównie pracujący w Izraelu Palestyńczycy.

Wszystkie te wydarzenia komplikują i tak trudną sytuację premiera Izraela Naftalego Bennetta, który stoi na czele podzielonego rządu koalicyjnego. Na początku kwietnia gabinet utracił większość w parlamencie. W ostatnich dniach, w związku ze starciami pod Al-Aksą, Zjednoczona Lista Arabska (Ra'am), zawiesiła swoje poparcie dla koalicji.

Niespodziewanie eskalacja konfliktu z Palestyńczykami stała się także okazją dla Kremla. Oskarżył on Izrael (który w pierwszych tygodniach wojny w Ukrainie starał się zachować do niej dyplomatyczny dystans, ostatnio jednak zgłosił w ONZ za wykluczeniem Rosji z Rady Praw Człowieka) o wykorzystywanie Ukrainy w celu „odwrócenia uwagi” od sporu z Palestyńczykami – jak przypomniawsza Moskwa, „jednego z najdłuższych, dotąd nierozwiązanych konfliktów międzynarodowych”. © P MARCIN ŻYŁA

W co grają Indie

MAREK RABIJ



ZJEDNOCZENIE REGIONU EUROATLAN-tyckiego wokół Ukrainy stworzyło mylne wrażenie, że Kreml znalazł się w politycznej izolacji – nie licząc zwasalizowanej Białorusi oraz Chin, które są jednak dla Rosjan groźnym, bo zbyt dużym sojusznikiem. Tego, że lista krajów, które marzą o statusie współczesnych państw niezaangażowanych, nie ogranicza się dziś do Węgier czy Serbii, dowodzą ostatnie decyzje premiera Indii Narendry Modiego.

Indie nie tylko wstrzymały się od głosu w sprawie rezolucji ONZ potępiającej rosyjską agresję, ale też ostentacyjnie zwiększają zakupy rosyjskiej ropy i węgla. Według indyjskiego dziennika „The Economic Times” od początku ponownej inwazji na Ukrainę kraj kupił aż 15 mln baryłek rosyjskiej ropy – o 3 mln więcej niż przez cały rok 2021. Zamówienia na węgiel również osiągnęły największy poziom od dwóch lat. A jednocześnie – jakby dla zachowania politycznej równowagi – Indie wysyłają komunikaty o rozczarowaniu jakością rosyjskiego uzbrojenia i napomkają o poszukiwaniach nowych dostawców.

Rosja od dekad pozostaje strategicznym partnerem Indii i w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych wielokrotnie wspierała je na forum międzynarodowym (m.in. w sporze z Pakistanem o Kaszmir). Według szacunków Pentagonu, ok. 70 proc. broni w arsenale indyjskiej armii pochodzi z Rosji, a rosyjskie przedsiębiorstwa mają w kieszeni kontrakty na rozbudowę potencjału elektrowni jądrowych w Indiach – według nieoficjalnych informacji, ochroną obiektów mają zajmować się najemnicy z Grupy Wagnera. Premier Modi zdaje sobie jednak sprawę z tego, że kluczowymi partnerami handlowymi jego kraju pozostają Stany Zjednoczone (wartość importu: 150 mld dolarów) i Unia Europejska (68 mld dolarów), przy których rosyjski import z Indii wygląda bladeo (3,3 mld dolarów). Nie popsuć relacji z Moskwą i zachować dobre kontakty w Zachodzie, jednocześnie podburzając obu tych antagonistów przeciw głównemu rywalowi Indii w regionie, czyli Chinom – oto partia, którą właśnie rozgrywa Modi.

© P

Sąd nad porywaczem. Wyrok: winny

NA TEN MOMENT czekały rodziny ofiar – kilka dni temu w amerykańskim stanie Wirginia zakończył się proces El Shafee Elsheikha, najbardziej prominentnego członka Państwa Islamskiego (IS) sądzonego na terytorium USA. Ława przysięgłych uznała go winnym śmierci czwórki amerykańskich zakładników w Syrii. Za udział w spisku mającym na celu porwanie, torturowanie i zabicie dwóch dziennikarzy oraz dwóch pracowników pomocy humanitarnej Elsheikhowi grozi kara dożywocia; o wymiarze kary zadecyduje sąd w połowie sierpnia.

Dżihadysta był członkiem „Beatlesów”, grupy terrorystów, którzy z ramienia IS w latach 2012-15 pojмали 26 obcokrajowców. Według relacji zakładników, którym udało się przeżyć, porywacze, o wyraźnym brytyjskim akcencie, byli wyjątkowo okrutni – swoje ofiary bili, podtapiali i zmuszali do śpiewania piosenki „Hotel Osama” (to prześmiewcza przeróbka utwo-

ru „Hotel California”). Gdy zabijali porwanych, wszystko filmowali; nagraniami chwalili się w sieci.

Trwający 11 dni proces Elsheikha poprzedziły długie przepychanki prawne między Waszyngtonem a Londynem. Ostatecznie Brytyjczycy zgodzili się na ekstradycję mężczyzny do USA pod warunkiem, że uniknie on kary śmierci. Ta sama umowa dotyczyła innego członka „Beatlesów” Alexandry Koteya, który przyznał się do winy przed sądem w Wirginii. Przywódca grupy Mohammed Emwazi zginął w ataku drona w Syrii, czwarty jej członek zaś, Aine Davis, odsiaduje wyrok w Turcji.

Rodziny ofiar mają teraz nadzieję, że skazanie Elsheikha zadziała odstraszająco na wszystkich terrorystów-porywaczy. Tym bardziej że władze w Waszyngtonie są w tej kwestii konsekwentne – w przypadku pojmania obywatela USA odmawiają negocjacji z porywaczami i nie chcą płacić okupu. Prawie trzy czwarte amerykańskich zakładników nigdy nie wraca do swoich domów. Czwórka pojmana przez „Beatlesów” nie miała szans.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Buntownicy z Karaibów

TEGO JESZCZE NIE BYŁO: brytyjski książę Edward i jego żona Sophie zostali zmuszeni do odwołania wizyty w Grenadzie, i to zaledwie dzień przed jej rozpoczęciem. To nie tylko plotkarski news, lecz jeszcze jedno ostrzeżenie dla Londynu: narody Karaibów są o krok od zerwania więzów łączących je z dawną kolonialną metropolią.

Oficjalnie wizytę „przesunięto w czasie” po „konsultacjach” z władzami Grenady – niepodległego od 1974 r. kraju, który podobnie jak np. Kanada czy Australia za formalną głowę państwa uznaje wciąż brytyjską królową. W rzeczywistości chodziło m.in. o niedrażnienie miejscowej opozycji: centrolewicowy Demokratyczny Front Narodowy, choć obecnie poza 15-osobowym parlamentem, proponował już raz referendum w sprawie odebrania Elżbiecie II tej roli.

Swoje zrobiła też krytyka marcowej podróży na Karaiby książąt Cambridge, głównej wizerunkowej nadziei monarchii (na zdjęciu). Choć w Belize, na Bahamach i Jamajce William i Kate przykuwali uwagę mediów, a eksperci od ich wizerunku dwoili się i troili, aby ich „ofensywa wdzięku” przykryła tzw. skandal



SAMIR HUSSEIN / GETTY IMAGES

Windrush (politykę deportacji i pozbawiania praw obywatelskich imigrantów z Karaibów, stosowaną przez Wielką Brytanię od 2012 r.), książęcą parę przyjmowano chłodno. Premier Jamajki Andrew Holness zapowiedział Williamowi, że jego kraj także chce, aby królowa nie była już tytułarną głową państwa; odwołana w ostatniej chwili wizyta na plantacji kakao przywozowała na myśl czasy niewolnictwa, podobnie jak pozdrawianie dzieci słoczonych za drucianą siatką.

To już ostatnie takie wizyty. 21 kwietnia brytyjska królowa skończyła 96 lat. Jej następcy prawie na pewno stracą karaibskie tytuły.

© P MARCIN ŻYŁA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

OSTROŻNOŚĆ

„Nie mogę zrobić czegoś, co wystawiłoby na ryzyko wyższe cele, jakimi są zakończenie wojny, rozejm albo przynajmniej korytarz humanitarny” – tak Franciszek tłumaczył swoją ostrożność wobec Putina i Rosji w rozmowie z argentyńskim dziennikiem „La Nación”.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

„W imię dobra społeczeństwa najbliżsi i ofiary muszą zobaczyć, że ci zbrodniarze zostaną osądzeni” – tak kard. Dieudonné Nzapalainga skomentował rozpoczęcie procesu Specjalnego Trybunału Karnego w Republice Środkowoafrykańskiej (finansowanego przez ONZ, UE i USA), który sędzi trzy osoby odpowiadające za rzek 46 cywilów.

BOHATERSTWO

„W świetle Ewangelii wszelki przejaw nienawiści i agresji, w tym antysemityzm, jest grzechem” – przypomniał bp Rafał Markowski w komunikacie z okazji 78. rocznicy wybuchu Powstania w Getcie Warszawskim. Biskup od dialogu z judaizmem zaznaczył, że bohaterstwo Żydów po latach zaowocowało odrodzeniem narodu.

EPILOG

Watykan zakończył badanie zarzutów wobec byłego metropolity krakowskiego.

„Analiza zebranej dokumentacji pozwoliła ocenić działania kard. Stanisława Dziwisza jako prawidłowe” – głosi lakoniczny komunikat.

RDC WOJCIECH BRZEZIŃSKI
POLSKIE RADIO (tekst na s. 66)

będzie gościem Grzegorza Chlasy w środę 27 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl

Warszawa 101 FM

Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



JACEK TARAN

„CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ” – zabrzmiało w noc z soboty na niedzielę w kościołach prawosławnych i greckokatolickich. Z powodu wojny na Ukrainie tegoroczna Wielkanoc obrządków wschodnich obchodzona była w Polsce przez większą liczbę osób niż w latach poprzednich. Liturgia zmartwychwstania, zwana „jutrznią paschalną”, zaczyna się w sobotę o północy procesją wokół cerkwi. Po niej jest nabożeństwo i święcenie pokarmów zakończone poczęstunkiem i zbiórką darów dla potrzebujących. W całej Polsce odczytano list soboru biskupów Cerkwi prawosławnej, w którym hierarchowie napisali: „Życzymy, aby zmartwychwstały Chrystus uleczył rany i ból waszych serc, pokonał nienawiść i zło, i darował upragniony pokój”. © P JT

Nowe datowanie Całunu



ARTUR SPORNIAK

WŁÓKNA LNU, Z KTÓREGO UTKANY ZOSTAŁ CAŁUN Turyński, pochodzą z czasów Jezusa – twierdzi włoski krytalograf Liberato De Caro. Jego zespół zbadał próbki z Całunu metodą szerokopółnego rozpraszania promieni rentgenowskich, która pozwala analizować naturalny proces starzenia się celulozy, spowodowany przez temperaturę i wilgotność otoczenia. Włoch w rozmowie z dziennikarzami przyrównał włókna lnu do spaghetti, które łamie się, poddane przypadkowym wstrząsoms. Długość nitek staje się w ten sposób miarą czasu.

To kolejna odsłona fascynującego meczu między sceptykami a entuzjastami hipotezy głoszącej, że Całun jest płótnem, w które owinięte było ciało Chrystusa. Wspiera ją odcisnięty wizerunek mężczyzny torturowanego w podobny sposób jak Jezus (do dziś nauka nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, jak powstał). A podważa m.in. radiowęglowe datowanie z 1988 r., które określiło wiek Całunu na 700 lat (udokumentowana historia płótna sięga XIV wieku).

Kościół przezornie nie wypowiada się na temat autentyczności tej wyjątkowej relikwii. Z jednej strony sprzyja jej kultowi, a z drugiej – chętnie poddaje płótno badaniu przez naukowców.

© P

Czy kardynał zacznie mówić

NAJGŁOŚNIEJSZY PROCES w Watykanie – byłych pracowników i współpracowników Sekretariatu Stanu – wszedł w decydującą fazę: zeznań oskarżonych. Najważniejszy z nich, kard. Angelo Becciu, został właśnie zwolniony z „tajemnicy papieskiej”, którą się chętnie zasłaniał.

Będzie musiał odpowiadać na drażliwe pytania: nie tylko o inwestycje przynoszące Watykanowi milionowe straty czy przelewanie pieniędzy na konta rodziny, ale też szpiegowanie i usuwanie osób zagrażających jego interesom. Pomagać mu w tym miała Cecylia Marogna, której kardynał zlecał „specjalne zadania” i sówicie wynagradzał, a która – jak się okazało – pracowała też dla włoskich tajnych służb. Zawsze lojalny wobec papieża Becciu może teraz zacząć wybielać się jego kosztem, zeznając pod prysięgą to, co dotąd tylko sugerował: że Franciszek wiedział o każdym jego przedsięwzięciu i je akceptował.

© P EA



DANIEL RUMIANCEW / MATERIAŁY PRASOWE GALERII ZACHĘTA

INSTALACJA „PRZECZAROWUJĄC ŚWIAT” polsko-romskiej artystki Małgorzaty Mirgi-Tas (na zdjęciu ze współpracowniczką) reprezentuje Polskę na otwartym w minionym tygodniu 59. Biennale Sztuki w Wenecji. Składa się na nią 12 paneli, z których każdy dzieli się na trzy pasy. Górny opowiada mitologiczną wersję pochodzenia Romów, odwołując się do rycin francuskiego grafika i rytownika Jacques'a Callota. W środkowym znalazły się portrety kobiet ważnych dla historii i kultury romskiej. Dolny pas kompozycji wypełniają natomiast obrazy przedstawiające życie codzienne. Artystka do ich stworzenia wykorzystata rodzinne zdjęcia romskich osiedli z lat 70. i 80. oraz prace własne. © MOC

Nasza rozmowa z artystką na stronie powszech.net/mirga-tas

Dylematy dojrzewania

NATURALNEJ SELEKCJI podlegają nie tylko fizyczne cechy organizmów, również ich zachowania oraz tzw. historie życiowe – czyli to, co ma związek z tempem dorastania i życia, a także sposobem płodzenia potomków. Różnice w tym zakresie mogą być kolosalne: samice orangutanów produkują jedno młode co 7-8 lat, a osiągnięcie dojrzałości płciowej zajmuje im półtora dekady, podczas gdy królowe pszczoł żyją kilka lat i potrafią składać ponad tysiąc jajeczek dziennie. Płodzić mniej dzieci, ale o większych rozmiarach, czy raczej więcej mniejszych – a może opóźnić reprodukcję i zainwestować w siebie, by w przyszłości skuteczniej się rozmnożyć? Przed takimi dylematami staje wiele organizmów.

Są wśród nich także lososie zamieszkujące Morze Barentsa, których historie życiowe zmieniają się pod wpływem działalności człowieka. Jak ustalili Yann Czorlich i współpracownicy, intensywne połowy ryb, na których żerują lososie, sprawiają, że lososiom bardziej opłaca się skracać dzieciństwo i szybciej zacząć się rozmnażać. Jednak sezonowe połowy samych lososów mają odwrotny efekt – ponieważ do większości używanych sieci trafiają mniejsze osobniki, to opóźnianie rozrodu i osiąganie większych rozmiarów czasem tym rybom się opłaca. © TK

150 sposobów na urodzenie dziecka

DLA ORGANIZMÓW żyjących w różnych niszach środowiskowych przydatne najczęściej okazują się odmienne przystosowania. Zdarza się jednak, że nawet w odległych liniach ewolucyjnych pojawiają się te same funkcje lub cechy. Jak do tego dochodzi? Rozsądnie byłoby założyć, że odpowiadają za to zmiany w tych samych genach, odziedziczonych po odległych, wspólnych przodkach. Jednak nie zawsze tak musi być.

U kręgowców wielokrotnie wyewoluowały m.in. żyworość (więcej niż 150 razy) oraz występowanie łożyska (około 16 razy), dlatego związane z nimi geny zapewniają odpowiedni materiał do międzygatunkowych porównań. Zespół Charlesa Fostera przyjrzał się ekspresji genów u żyworoźnych i jajoroźnych gatunków o różnych sposobach odżywiania. U wszystkich organizmów żyworoźnych w czasie ciąży dochodzi do podobnych procesów fizjologicznych, które spełniają tę samą funkcję – dostarczają zarodkom niezbędnych substancji. Z porównań wynika jednak, że nie wiąże się to z aktywnością większej ilości wspólnych genów, niż wynikałoby z przypadkowej zbieżności. To dowodzi, że te same funkcje fizjologiczne mogą być realizowane na innym podłożu genetycznym.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

KULTURA W SKRÓCIE

NA SCENĘ

Zakończył się pierwszy etap Konkursu o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza. Nadeślano blisko 140 utworów scenicznych. „Chyba po raz pierwszy w historii naszego teatru dzwoniło do nas z Poczty Polskiej z błaganiami o pilne opróżnienie skrytki pocztowej, która nie mieściła przesyłek” – powiedział Grzegorz Krawczyk, dyrektor Teatru Miejskiego w Gliwicach, Przewodniczący Rady Programowej Nagrody.

NA RZECZ UCHODŹCZYNI I UCHODŹCÓW

Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, Towarzystwo Przyjaciół MSN i Fundacja Ocalenie zapraszają 15 maja o godz. 17.00 na charytatywną aukcję sztuki Refugees Welcome, z której dochód przeznaczony zostanie na pomoc uchodźczynom i uchodźcom. Licytowane będą m.in. prace Pawła Althamera, Rafała Bujnowskiego, Edwarda Dwurnika, Małgorzaty Mirgi-Tas, Karola Radziszewskiego, Daniela Rycharskiego, Zofii Rydet i Wilhelma Sasnała.

DLA DOBRA ZABYTEKÓW

Historyk i prawnik Michał Laszczkowski (na zdjęciu) został powołany na dyrektora Narodowego Instytutu Konserwacji Zabytków. To nowa instytucja kultury utworzona przez ministra Piotra Glińskiego.



PAWEŁ WIŚNIEWSKI / EAST NEWS

Opowieści z Mariupola

SONIA I LIZKA nie mogły przypuszczać, że to przedstawienie teatralne, w którym jakiś czas temu zagrały główne role, okaże się na swój sposób prorocze. Że za jego sprawą usłyszy o nich ktoś więcej poza ich bliskimi i przyjaciółmi.

Sonia i Lizka (to zdrobnienie imienia Elżbieta), uczennice podstawówki w Mariupolu, uczęszczały na warsztaty dla dzieci, które prowadził miejscowy Teatr Koncepcja (w internecie: [instagram.com/theatre_conception](https://www.instagram.com/theatre_conception)). W przedstawieniu opartym na książce „Lew, czarownica i stara szafa” dziewczynki zagrały wspólnie małą Łucję. Bohaterami powieści C.S. Lewisa – pierwszego tomu cyklu „Opowieści z Narnii” – jest czworo brytyjskich dzieci, które podczas II wojny światowej zostają ewakuowane z bombardowanego Londynu. Na wiejskiej prowincji, z dala od piekła wojny, odkrywają swój własny świat baśni. Najpierw odkrywa go właśnie Łucja, najmłodsza, a potem jej rodzeństwo. Świat baśni również jest niedoskonały – ale przynajmniej na koniec dobro zwycięża tam nad złem.

Opowieści z Mariupola nie mają tak dobrego zakończenia. W sobotę 23 kwietnia Teatr Koncepcja podał, że jego małe aktorki, Sonia Amelczikowa i Lizka Oczkur, zginęły podczas rosyjskiego ostrzału. Zginęła też mama Soni, Andżelika.

Dzień później minęło 60 dni od chwili, gdy zaczęła się bitwa o Mariupol. W ruinach oblężonego miasta, które przed 24 lutego 2022 r. liczyło 440 tys. mieszkańców, pozostało ich może kilkadziesiąt tysięcy. Relacje cywilów, którym udało się wydostać, przypominają opowieści z powstania warszawskiego.

Po dwóch miesiącach walk Rosjanom udało się wprawdzie zająć większość miasta, ale Ukraińcy bronią się nadal w kilku ważnych punktach: wiążą



THEATRE CONCEPTION X2

siły rosyjskie i uniemożliwiają wykorzystanie Mariupola jako komunikacyjnego zaplecza (tędy biegną drogowe i kolejowe połączenia między okupowanym Donbasem a Krymem).

Szacunki mówią, że zginąć mogło dotąd dwadzieścia kilka tysięcy mariupolan. Ilu dokładnie, tego być może nigdy nie uda się ustalić. Z dostępnych źródeł – jak zdjęcia satelitarne, przechwycone rosyjskie rozmowy telefoniczne, a także relacje ocalałych – wynika, że w zajętych dzielnicach Rosjanie zbierają ciała, wywożą i chowają w masowych grobach.

Centrum oporu stanowią wielkie zakłady metalurgiczne Azowstal. Gdy je budowano w czasach Związku Sowieckiego, powstało pod nimi jakby podziemne miasto – sięgający ośmiu pięter w głąb system bunkrów, które w czasach zimnej wojny mogły dać schronienie nawet dla 40 tys. ludzi – pracowników huty i ich rodzin. Teraz chronią się w nich obrońcy i cywile: od kilkuset do 2 tys. ukraińskich żołnierzy, tysięcy kobiet i dzieci oraz szpital polowy z pięciuset rannymi.

Obrońcy odrzucili kilka rosyjskich ultimatów i błagają przywódców świata o ratunek. Prezydent Zełenski powiedział, że jeśli Rosjanie zabiją tych ludzi, Ukraina zerwie wszelkie rozmowy z Moskwą.

© P WOJCIECH PIĘCIAK

U góry: Sonia i Lizka, uczennice podstawówki w Mariupolu, podczas spektaklu „Lew, czarownica i stara szafa” według powieści C.S. Lewisa.

Obok: służby sanitarne podczas zwożenia zwłok z ulic Mariupola, 21 kwietnia 2022 r.

Na dole: kolumna rosyjskich samochodów wojskowych na jednej z ulic miasta, 7 kwietnia 2022 r.



ALEXANDER ERMOCHENKO / REUTERS / FORUM



ALEXANDER ERMOCHENKO / REUTERS / FORUM

PRAWO DO NICZEGO

Polskie przepisy stwierdzają kategorycznie: zwierzę to nie rzecz.
I zaraz potem dodają: czasami jednak nią jest.

ADAM ROBIŃSKI



*Pokaz tresury orków w parku oceanicznym w Szanghaju.
4 lutego 2022 r.*



LILE TO JEST: 51 LAT W NIEWOLI? ALBO inaczej: 18 751 dni (licząc pod koniec stycznia) spędzonych w jednym pomieszczeniu. Czy jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, co czuje ktoś, dla kogo całe życie to tylko cztery ściany, w których musi parę razy dziennie wykonywać niewolniczą pracę? Nawet jeśli ten ktoś nie przypomina nas samych?

Tokitae schwytano w sierpniu 1970 r. w Penn Cove, niedużej zatoce Salish Sea, morza wewnętrznego leżącego pomiędzy Seattle a wyspą Vancouver na pacyficznym wybrzeżu Ameryki Północnej. Była jedną z siedmiu złowionych tamtego lata młodocianych orków (pięć innych zmarło, a ich ciała skrycie zatopiono). Odebranych od matek, wyciągniętych z grupy rodzinnej od wieków zamieszkującej ten akwen. Biolodzy morscy identyfikują ją jako osiadłą grupę L. Nie mają wątpliwości: tamtego sierpnia przerwano ciągłość pokoleniową grupy, narażając całą matriarchalną społeczność na wyginięcie.

Tokitae w wieku czterech lat trafiła do akwariów w Miami. Pracuje tu do dziś jako Lolita. Mimo sędziwego wieku dwa razy dziennie daje występ przed publicznością (można zobaczyć na YouTube). Przez pierwszych dziesięć lat towarzyszył jej samiec Hugo, który jednak dużo gorzej od niej znosił niewolę. Latami walił głową w ścianę akwariów. W 1980 r. zmarł z powodu tętniaka.

Pora na najbardziej niesamowitą część tej ponurej historii – choć Tokitae jest już staruszką, to jej dziewięćdziesięcioletnia matka, bezimienna orka L25, wciąż żyje na wolności. Podobnie jak spora grupa jej pobratymców, niezmiennie zamieszkujących wody morza Salish.

Scenariusz, który uwzględni szczęśliwe zakończenie tej udręki, jest już napisany. Naród Lummi, rdzenni mieszkańcy tamtejszego wybrzeża, od lat domagają się powrotu Tokitae do domu. Plan zakłada umieszczenie orki w przejściowej, czterdziestohektarowej zagrodzie na wybrzeżu jednej z wysp archipelagu i stopniowe przyzwyczajanie jej do życia na wolno-

ści. Problem w tym, że właściciele Miami Seaquarium, gdzie przetrzymywana jest od półwiecza, ani myślała się na to zgodzić. Tokitae nie schodzi bowiem z afisza. Wciąż mieszka w basenie o długości 24 m, szerokości 10 m i głębokości 6 m (sama ma prawie 7 metrów długości) i zarabia dla swoich – tak, „właścicieli” – pięćdziesiąt dolarów od biletu.

Żeby lepiej zrozumieć jej sytuację, musimy uświadomić sobie kilka podstawowych faktów dotyczących orków. Jeśli nie liczyć człowieka, budują być może najbardziej trwale struktury społeczne na Ziemi. Matrylinearne rodziny tworzą wspomniane już grupy, które z kolei przekładają się na klany. Spoiwem tych największych społeczności jest dialekt wokalizacji. Orki mają też mózgi większe niż my (i spośród wszystkich ssaków mniejsze jedynie od mózgu kaszalotów), o najbardziej pożądaną korę spośród wszystkich zwierząt. Taki mózg to mnóstwo błyskawicznie przetwarzanych danych oraz emocji. Najprawdopodobniej Tokitae jest świadoma swojej sytuacji i ograniczeń. Nie wiemy wprawdzie, jak wewnętrznie przeżywa swoją niewolę ani jakie myśli kłębią się jej w głowie, ale mamy powody przypuszczać, że cierpi.

Kiedy opowiedziałem jej historię mojemu sześciolletniemu synowi, zareagował jak na dziecko przystało. Zapytał, dlaczego nie można wezwać policji, żeby zwierzę uwolniła. Nie przyszło mu do głowy, że w kontekście wszystkich tych informacji, ktokolwiek może jeszcze brać pod uwagę „święte prawo własności”. A jednak... W Stanach Zjednoczonych mało kto zresztą kwestionuje fakt, że zwierzę jest po prostu więzione. Sądy mogą piętnować warunki, w jakich jest przetrzymywane. Zwracać uwagę na brak odpowiedniego cienia w akwarium czy zbyt niskokaloryczną dietę. Organizacje przyrodnicze wzywać organy prawa do kolejnych śledztw w sprawie dreczenia. Jednak w kwestii uwolnienia Tokitae (i innych przetrzymywanych w niewoli waleń) społeczność →

→ międzynarodowa liczyć może tylko na to, że paru osobom – „właścicielom” – kiedyś odwidzi się robienie takiego biznesu. Tokitae nie występuje przeciw dwa razy dziennie przed pustymi trybunami.

Ochrona, nie podmiotowość

Zdolność do odczuwania cierpienia i przyjemności, złożoność sfer poznawczej i emocjonalnej poszczególnych gatunków zwierząt stała się kręgosłupem uregulowanych prawem relacji człowiek–nieczłowiek. O cierpieniu pisał australijski etyk Peter Singer w „Wyzwoleniu zwierząt”, głośnej książce z lat 70. XX w. (a więc wydanej w czasach, gdy Tokitae trafiła do niewoli). „W żaden sposób nie da się uzasadnić moralnie lekceważenia cierpienia jakiegokolwiek żywego stworzenia. Niezależnie od tego, jaka jest jego natura, zasada równości wymaga, by jego cierpienie liczyło się tak samo jak cierpienie każdej innej istoty żywej” – przekonywał, a jego myśli stały się wykładnią dla obywatelskich ruchów prozwierzęcych. Odzwierciedleniem tego punktu widzenia została Światowa Deklaracja Praw Zwierząt z 1978 r., spisana w Paryżu, dokument wzniosły, acz wyłącznie deklaracyjny i niewiążący się z żadnymi realnymi działaniami.

50 lat później w świetle większości światowych systemów prawnych zwierzęta po prostu nie mają praw. Nie są podmiotami. Ustawodawcy przewidują jedynie przepisy chroniące część z nich, zwykle upatrując wcześniej pewnych podobieństw względem gatunku ludzkiego. Celem jest ich dobrostan, ale już nic ponadto. Polska ustawa – jej pomysłodawcami były Unia Pracy i Unia Wolności – o ochronie zwierząt z 1997 r. mówi o istotach żyjących, zdolnych do cierpienia. Podkreśla, że jako takie wymagają poszanowania, ochrony i opieki. Reguluje jednak sprawy dotyczące wyłącznie kręgowców, równocześnie zastrzegając, że choć nie są rzeczami, to w sytuacjach nieprzewidzianych jej przepisami należy je traktować właśnie tak – jak rzeczy. Dzieli zwierzęta na bezdomne, domowe, gospodarskie, laboratoryjne, wykorzystywane do celów specjalnych (np. w wojsku) oraz żyjące wolno. Ochrona prawna, którą im przyznaje, w większości przypadków związana jest z gospodarskimi, zawodowymi, konsumpcyjnymi czy emocjonalnymi potrzebami człowieka. To on jest autorem, egzekutorem

FINAŁ SPRAW PRZECIWKO ŁAMANIU PRAW ZWIERZĄT

(W PROC.)

umorzenie dochodzenia

34,9

27,5

odmowa wszczęcia dochodzenia

5,6

13,7

wniesienie do sądu aktu oskarżenia

zakończenie w inny sposób (zawieszenie postępowania, przekazanie innej jednostce, połączenie do innej sprawy)

RODZAJE WYMIERZONYCH KAR

(W PROC.)

grzywna

34,9

27,5

ograniczenie wolności

pozbawienie wolności w zawieszeniu

23,9

13,7

pozbawienie wolności

ŹRÓDŁO: RZECZNIK PRAW ZWIERZĄT, OTWARTÉ KLATKI, „ANALIZA PRAKTYKI ORZECZNICZEJ SĄDÓW I PROKURATUR W SPRAWACH DOTYCZĄCYCH PRZESTĘPSTW WOBEC ZWIERZĄT W LATACH 2017–2019”

LECH MAZURCZYK

oraz pośrednim beneficjentem praw dotyczących zwierząt.

Ustawa nie jest jedynym dokumentem regulującym relacje człowiek–zwierzęta w Polsce. Obudowana została bowiem szeregiem innych dokumentów, takich jak prawo łowieckie czy ustawa o ochronie zwierząt, wykorzystywanych do celów naukowych lub edukacyjnych, ustawa o organizacji hodowli i rozrodzie zwierząt gospodarskich, ustawa o rybactwie śródlądowym. Każdy z nich stara się zaspokoić potrzeby innej grupy społecznej. Również ustawa o ochronie przyrody, pośrednio dotycząca zwierząt, jest próbą wyważenia potrzeb większej liczby aktorów. Parę lat temu w rozmowie z „Ty-

godnikiem” Marian Stój, były dyrektor Magurskiego Parku Narodowego, zauważył, że w wieloletnich planach ochrony, pisanych dla poszczególnych parków narodowych, interesy okolicznych mieszkańców są uwzględniane w równie znaczący sposób, co te dotyczące przyrody ożywionej i nieożywionej. Ale często te pierwsze zaprzeczają tym ostatnim. Efektem jest ochrona udawana, ochrona na niby.

Sąd umarza

Jak przekonuje prawniczka Karolina Kuszlewicz (patrz wywiad na następnych stronach), system, który tworzą wszystkie wspomniane przepisy, jest nie-

spójny i często wewnętrznie sprzeczny. Być może w ogóle nie powinno się mówić o systemie, jedynie o chaotycznym zbiorze ustaw i paragrafów, często wzajemnie sobie przeczących. „Przykładowo art. 5 ustawy o ochronie zwierząt stanowi, że każde zwierzę wymaga humanitarnego traktowania, przez które zgodnie z art. 4 pkt. 2 (...) należy rozumieć traktowanie uwzględniające potrzeby zwierzęcia, zapewniające mu opiekę i ochronę, z drugiej zaś strony prawo wciąż dopuszcza hodowlę zwierząt na futra, która w sposób bezsprzeczny lekceważy potrzeby zwierząt” – pisze Kuszlewicz w książce „Prawa zwierząt. Praktyczny przewodnik”.

Zbiór przepisów, którego fundamentem jest ustawa z 1997 r., był oczywiście na przestrzeni lat rozwijany. Choćby po to, by dostosować je do unijnych wymogów. Tak było m.in. z regulacjami uboju rytualnego. Niektóre późniejsze zmiany były jednak istotne, jak ta z 2012 r., która precyzowała, że zawarte w ustawie przepisy dotyczą wszystkich kręgowców. A więc również ryb, co pozwoliło rozpocząć w sądach walkę o humanitarne traktowanie choćby sprzedawanych żywcem w supermarketach karpki.

Parokrotnie zmieniano również prawo łowieckie. Ważną zmianą był uchwalony w 2018 r. zakaz udziału w polowaniach dla nieletnich. Nowelizacja wprowadziła możliwość wyłączenia prywatnych gruntów z obwodów łowieckich. Nielegalne stało się szkolenie psów myśliwskich i ptaków na żywych zwierzętach. W tym samym roku wzrosły również kary za przestępstwa przeciwko zwierzętom. Za zabicie i znęcanie się nad zwierzętami grożą teraz nie dwa, a trzy lata pozbawienia wolności (w przypadku szczególnego okrucieństwa pięć lat), a sąd może nałożyć na skazanego zakaz posiadania zwierząt czy pracowania z nimi.

Ale wysokość kar nie zawsze przekłada się na skuteczność prawa. Z raportu „Analiza praktyki orzecznictwa sądów i prokuratur w sprawach dotyczących przestępstw wobec zwierząt w latach 2017- 2019”, przygotowanego przez Stowarzyszenie Otwarte Klatki, wynika, że w 193 objętych badaniem prokuraturach zarejestrowano łącznie 4748 spraw dotyczących zabijania, uśmiercania lub uboju zwierząt. W niemal 30 proc. przypadków odmówiono wszczęcia postępowania, 46 proc. zakończyło się umorze-

W 2013 r. władze Indii
zakazały trzymania
w niewoli wszystkich
przedstawicieli rządu waleni,
jednocześnie stwierdzając,
że powinni być traktowane
jak osoby, choć
niebędące ludźmi.

niem. Jedynie 18,6 proc. przypadków zakończyło się wniesieniem do sądu aktu oskarżenia. Cztery na pięć spraw sądowych kończyło się wymierzeniem kary, ale tylko 38 proc. było karami ograniczenia wolności sprawcy. Co piąta sprawa kończyła się przypadkiem zwierząt.

Raport Otwartych Klatek jest ponurą lekturą, bo poza suchymi statystykami zawiera też szereg przykładów znęcania się i zabijania. Są w nim zabójstwa psów za pomocą łopaty, wyrzucanie szczeniąt przez okno czy głodzenie zwierząt.

Hojne dyrekcje

Ale piętnowana na sali sądowej i w mediach przemoc wobec zwierząt domowych czy gospodarskich to jedno. Czym innym jest sankcjonowane decyzjami organów państwowych systemowe kwestionowanie przepisów ochronnych. Dotyczy ono przede wszystkim gatunków objętych prawną ochroną: niedźwiedzi, wilków, bobrów, łosi czy żubrów.

Głośna stała się swego czasu wypowiedź byłego ministra środowiska Henryka Kowalczyka, który przekonywał, że regionalne dyrekcje ochrony środowiska będą pod jego parasolem chętnie wyrażały zgodę na odstąpienie od zakazów zabijania zwierząt chronionych. Minister przyznawał, że nie planuje zdejmować z łosi, bobrów czy żubrów ochrony jako takiej, przede wszystkim po to, by nie wchodzić w jeszcze jeden spór z Unią Europejską. GDOŚ i dyrekcje regionalne miały jednak nie robić problemów przy rozpatrywaniu wniosków o odstrzały. W praktyce zniosło to wspomnianą ochronę gatunkową. Przykładów jest bez liku.

W marcu 2021 r. pracownicy leśni w podkarpackim Brzozowie poinformowali, że natknęli się na trzy agresywne wilki. Kilka dni później za zgodą Głównego Dyrektora Ochrony Środowiska zastrzelono dwa zwierzęta. Według Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze z Pogórza Przemyskiego, procedurę złożenia wniosku o odstrzał podjęto w ekspresowym tempie, mimo że nie doszło do sytuacji, którą można by nazwać atakiem na człowieka. W komunikacie fundacji czytamy, że wystarczające okazały się dla GDOŚ ustne przekazy o agresji wilków oraz rozmowa telefoniczna z burmistrzem Brzozowa. Jedenastomiesięczne wilki, które zastrzelono – według biologicznej klasyfikacji wciąż szczeniaki – zostały namierzone na podstawie poszlak. To tak, jakby wydano decyzję w sprawie rozbiórki domu bez określenia, o który chodzi, przekonują przedstawiciele fundacji.

O ile w przypadku dużych drapieżników odstąpienie dotyczy konkretnych sytuacji, o tyle w przypadku bobrów regionalne dyrekcje wydają zgody na regularne płoszenie, niszczenie tam i żeremi na obszarze całej zamieszkiwanej przez nie rzeki czy potoku. Mało tego, zezwolenia obowiązują zwykle przez kilka lat, a na jednym wniosku umieszcza się kilka cieków wodnych. W ekstremalnych przypadkach wnioskodawca – na ogół samorząd lub spółka Wody Polskie – dostają zgodę na niemal uznaniowe niszczenie siedlisk chronionego gatunku na terenie całej gminy, a nawet powiatu! Podkarpacki dyrektor ochrony środowiska zgodził się na niszczenie bobrowych zapór wszędzie tam, gdzie... utrudniają one spływ wody.

W bazie RDOŚ znaleźć można zezwolenia na odstrzał bobrów motywowany szkodami w uprawach rolnych i leśnych czy badaniami naukowymi. Bobry stają się też często kozłami ofiarnymi w miejscach, gdzie brakuje pieniędzy na renowację wałów powodziowych. Choć w 2020 r. wydano łącznie zgody na odstrzał prawie 6 tysięcy osobników w skali kraju (1200 na samym tylko Podkarpaciu), to w świetle prawa wciąż pozostają gatunkiem chronionym.

W efekcie – jak podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem” Kuszlewicz – instytucja, której jednym z zadań jest ochrona zwierząt (ministerstwo zajmujące się środowiskiem już dawno zgubiło z nazwy →

→ rzeczownik „ochrona”, generalna i regionalne dyrekcje wciąż go mają), dają zielone światło działaniom wprost przeciwnym. Obywatele i organizacje pozarządowe, którym nie odpowiada taki stan rzeczy, nie mają nawet gdzie zgłosić działań, które uznają za niesłuszne.

Nadistoty

Rozpatrywanie wszelkich przywilejów dotyczących innych niż człowiek gatunków zawsze odbywać się będzie za jego pośrednictwem, to niby oczywiście. Wilk nie napisze wniosku, bóbr nie złoży skargi, a kot nigdy nie zostanie wezwany na świadka. W tym duchu na całym świecie podejmowane są próby ustanowienia jakiejś formy podmiotowości względem zwierząt.

Założyciele powstałej w 1994 r. organizacji The Great Ape Project – m.in. wspomniany już Peter Singer – dążą do przeforsowania międzynarodowej deklaracji praw małp człowiekowatych. Miałaby ona gwarantować prawa do życia i wolności oraz zakaz tortur wobec nich. Według szacunków projektu, w samych tylko Stanach Zjednoczonych w niewoli trzymanych jest obecnie 3,1 tys. człowiekowatych – szympanсів, goryli, bonobo i orangutanów – z czego prawie 1,3 tys. w laboratoriach. Inicjatywa Singera obciążona jest pewnymi wadami – postuluje nadanie praw wyłącznie paru wybranym gatunkom, niejako upychając je razem z *Homo sapiens* w jednej lidze „nadistot”. Zupełnie pomija przy tym całą masę naukowych odkryć, dowodzących inteligencji u gatunków biologicznie od człowieka odległych.

W 2013 r. władze Indii zakazały trzymania w niewoli wszystkich przedstawicieli rządu waleni, jednocześnie stwierdzając, że powinny być traktowane jak osoby, choć niebędące ludźmi. To do dziś najbardziej postępowe prawo dotyczące zwierząt wydane na tak wysokim szczeblu. Jak przekonuje amerykański think tank Sonar, szereg podobnych, lokalnych inicjatyw – m.in. z Kalifornii czy Kanady – dowodzi, że kwestią czasu jest powszechna akceptacja dla tych przekonań oraz przekucie ich w nowoczesne prawodawstwo. Proces jest jednak powolny, napędzany niemal wyłącznie siłami aktywizmu. Głównie dlatego, że

nie leży w interesie społeczeństw, dla których wyznacznikiem sukcesu jest rozwój mierzony przyrostem krajowym brutto.

Mają dość

W literaturze przedmiotu dotyczącej waleni przeczytać można, że żyjąca na wolności orka nigdy nie zaatakuje człowieka. Owszem, zdarzały się agresywne zachowania trzymanych w niewoli. Tak było ze złapanym w 1983 r. na wodach Islandii samcem: Tilikum zabił na przestrzeni dwóch dekad trzy osoby, topiąc je i zagryzając. Nie trzeba mieć jednak doktoratu z psychologii, by szukać usprawiedliwienia dla takiego zachowania w traumie wywołanej długotrwałą niewolą. Historia nie zna jednak ani jednego przypadku agresji względem człowieka ze strony orki dzikiej.

W lecie 2020 r. to ostatnie zdanie przestało być aktualne. Dziewięć ork otoczyło wtedy jacht nieopodal Gibraltaru. Uderzając w niego ciałami, uszkodziły ster i silnik. Potem odpłynęły. W kolejnych tygodniach i miesiącach podobnych doniesień było – i wciąż jest – więcej. Wszystkie pochodzą z pasa Atlantyku od wybrzeża Maroka po hiszpańską Galicję na północy. Świadkowie relacjonują, że zachowanie zwierząt wygląda na w pełni zgrane i przemyślane. Unieruchamiają łódź, a następnie zostawiają ją w spokoju.

Wy tłumaczenie, które dla tego zachowania dziewięcioosobowej – prawdopodobnie ciągle tej samej – grupy zwierząt mają biolodzy morscy, żeży włos na głowie. Wody wokół Gibraltaru to jeden z najbardziej zatłoczonych akwenów na świecie. Krzyżuje się tam kilka istotnych szlaków transportowych. Zwierzęta są sfrustrowane, bo przez parę miesięcy pierwszego, najbardziej dotkliwego dla ludzi lockdownu związanego z pandemią COVID-19, na chwilę poznały to, czym przez wieki cieszyły się poprzednie pokolenia waleni: cichy, pozbawiony stresu i hałasu kawałek oceanu. Kiedy feralna dla ludzkości pierwsza wiosna pandemii skończyła się, a transport morski znów zaczął się rozkręcać, orki powiedziały „dość”. I wzięły sprawy w swoje pletwy.

© ADAM ROBIŃSKI

Sąd, który zjada

KAROLINA KUSZLEWICZ, ADWOKATKA:

Coraz częściej moimi klientami stają się zwierzęta dzikie. Zdarzają się sprawy, gdy prawo, które ma chronić zwierzęta, jest wykorzystywane po to, by je zabijać. Na przykład, kiedy zastrzelono dwie 11-miesięczne wilczyce, jeszcze szczenięta.

ADAM ROBIŃSKI: Zwierzę – już nie rzecz, jeszcze nie podmiot?

KAROLINA KUSZLEWICZ: Tak to wygląda z punktu widzenia polskiego prawa. W ustawie o ochronie zwierząt z 1997 r. wypowiedziano coś bardzo ważnego: zwierzę to nie rzecz. Ze zdroworozsądkowego punktu widzenia sformułowanie nie jest rewolucyjne, przecież już znacznie wcześniej wiedzieliśmy, że zwierzęta czują. A jednak w świetle prawa dopiero ta ustawa była przełomowa. Jednocześnie nie możemy nie zauważyć, że jest to tzw. definicja negatywna: ustawa mówi, czym nie są zwierzęta, a nie mówi, kim one są. Świadomie używam słowa „kim”, a nie „czym”. I na dodatek ustawa zawiera przepis, że w sprawach przez nią nieregulowanych do zwierząt stosuje się odpowiednie przepisy dotyczące rzeczy. Czyli tam, gdzie sobie nie radzicie, zróbcie z nich rzeczy.

No to z czego się cieszyć?

Bo jednak pojawia się w niej coś takiego jak moralny status zwierzęcia. Uchwalanie nowych przepisów to jest trudny proces, robi się go przez lata, wraz z ich upływem mądre sądy powinny wypełnić takie przepisy treścią. Traktować je ewolucyjnie. Tak samo jak prawa człowieka. Zwróćmy uwagę na świeży wyrok uniewinniający aktywistkę za tzw. tęczęwą maryjkę.

Sąd uznał, że nie obrażała ona uczuć religijnych.

Dwadzieścia lat temu byłoby to raczej niemożliwe. Ale zmienił się kontekst społeczny i dziś sąd uznał tak, a nie inaczej. W korzystaniu z przepisów musimy odnosić się do aktualnej wiedzy i kontekstu społecznego. Niestety, w przypadku praw zwierząt ten proces zmiany jest bardzo powolny i wymiar sprawiedliwości przespał pierwsze piętnaście lat obowiązywania ustawy.

Ustawa o ochronie zwierząt nie jest jedyną, która się do nich odnosi. Mamy też przecież choćby prawo łowieckie czy ustawę o hodowli i rozrodzie zwierząt. Czy to spójny system?

W Polsce nie ma żadnego systemu ochrony zwierząt. Są tylko wyspy regulujące poszczególne, oderwane problemy. Mamy jeden akt prawny – ustawę o ochronie zwierząt – który każe nam patrzeć na każde zwierzę kręgowce jako na żywą, czującą istotę. Niezależnie od tego, czy należy do gatunku chronionego, pospolitego, hodowlanego. I mamy prawo łowieckie, które popada w dużą dowolność, umożliwia zabijanie z pełnym pominięciem faktu, że odbieramy życie żywej, czującej istocie. W przepisach jest całkowity rozdzźwięk.

Czyli nie wszystkie zwierzęta są równe wobec prawa?

Sytuacja zwierząt to przejaw skrajnej nierówności i niesprawiedliwości. Lisa w świetle przepisów można trzymać w małej klatce, by go następnie obedrzeć ze skóry. Jednocześnie ustawa w art. 5 stanowi, że każde zwierzę wymaga humanitarnego traktowania. Ale nie da się też ukryć, że nawet przy obowiązującym dziś prawie moglibyśmy zachowywać się o wiele lepiej. Za każdym prawem, które się uchwała, a potem stosuje, stoi człowiek. Możemy opowiadać sobie o tym, że przecież każdy sąd kieruje się tzw. ślepą sprawiedliwością i jest odporny na własne przekonania. Prawa zwierząt świetnie ilustrują to, jak dużo zależy jednak od konkretnego człowieka. W sytuacjach, gdy rozprawiamy na temat psów czy kotów, to jeszcze jakoś wygląda, ale gdy próbujemy poszerzyć ochronę prawną gatunków, które sędzia, policjant, prokurator zjada, np. karpia, to sprawa robi się już naprawdę trudna.

Beznadziejna?



ALEKSANDRA KUSZELEWICZ / ARCHIWUM PRYWATNE

KAROLINA KUSZELEWICZ (ur. 1985) jest adwokatką, działaczką społeczną. Została wybrana najlepszym prawnikiem młodego pokolenia w Polsce w rankingu Rising Stars 2017 – Prawnicy Liderzy Jutra. Od 2018 r. jest rzeczniką ds. ochrony zwierząt przy Polskim Towarzystwie Etycznym.

Na poziomie prawa jesteśmy w stosunku do zwierząt moralnie niezdeterminowani. Wijemy się, robimy uniki, byleby tylko nie stwierdzić, że skoro zwierzę nie jest rzeczą i ma być humanitarnie traktowane, to musi być podmiotem prawa, a nie tylko materiałem na bekona. Na jednym z procesów usłyszałam od mężczyzny, który trzymał swojego psa w małym kocyku we własnych odchodach, że „przecież pies jest jak telewizor, policja mi powiedziała, że stosuje się przepisy o rzeczach”.

Ale czy nie jest tak, że wszelka ochrona jest podszyta interesem człowieka? Człowiek korzysta i chce korzystać ze zwierząt.

Doceniam ustawę o ochronie zwierząt, ale rzeczywiście, kiedy ją analizuję, to dochodzę do wniosku, że jest jak białe rękawiczki, dzięki którym nie brudzimy rąk. Myślimy sobie: skoro już krzywdzimy zwierzęta i nie planujemy przestać, to chociaż ustalmy jakąś granicę. Tak właśnie oceniam obowiązujące prawo, zarówno polskie, jak i unijne. Jeśli źródłem ochrony jest postawa wobec zwierząt, która polega na krzywdzeniu, to już na początku taka ochrona będzie

wypaczona. W traktacie o funkcjonowaniu Unii Europejskiej mowa jest o dobrostanie zwierząt. Ale zanim do tego dobrostanu dochodzimy, dokument wymienia szereg polityk, choćby dotyczącą rolnictwa i rybołówstwa, w których mowa jest o wykorzystywaniu zwierząt na skalę przemysłową. Przepisów, które mają na celu ochronę czystą, oderwaną od jakiegokolwiek wykorzystywania, jest niewiele.

Jakie to przepisy?

Artykuł pierwszy ustawy o ochronie zwierząt mówi, że zwierzę czuje, artykuł czwarty punkt drugi nakłada na człowieka obowiązek uwzględniania jego potrzeb, piąty mówi o humanitarnym traktowaniu. To właśnie odwołanie do potrzeb jest w moich oczach najsilniejsze w przepisach, bo sugeruje podmiotowość. Przecież rzeczy nie mają potrzeb, a raczej sposób użytkowania i konserwacji. Ale to są wszystkie przepisy ogólne. Kiedy przechodzimy do szczegółów, pojawia się tyle wyjątków, że sytuacja robi się wręcz śmieszna. Bo jak inaczej rozpatrywać zasadę humanitarnego traktowania zwierząt przy jednoczesnym dopuszczeniu do ich hodowli na futra? Albo jak poważnie traktować zakaz zabijania zwierząt w ustawie, skoro zaraz potem określa ona wyjątek w postaci zabijania zwierząt na mięso i skóry?

Jakich gatunków dotyczy najczęściej prowadzone przez Panią sprawę?

To się na przestrzeni lat zmienia. Zaczynałam od karpia. Do dziś prowadzę takie sprawy, są dla mnie ważne, bo ryby są zwierciadłem, w którym zobaczyć można rzeczywisty poziom prawnej ochrony zwierząt. Są kręgowcami, więc niewątpliwie podlegają ustawie. Wiedza naukowa mówi nam, że ryby są zdolne do cierpienia, szczególnie jeśli są pozbawione dostępu do wody. Jednocześnie przebicie się z tą prawdą i przekonanie sądu jest niezwykle trudne. Ryby są zwierzętami wodnymi, człowiek nie ma z nimi zbyt wiele kontaktu, nie patrzy im w oczy. Nie wywołują tych uczuć co psy, koty albo dajmy na to niedźwiedź. Nasz stosunek do nich jest czysto użytkowy.

A poza rybami?

Ptaki to interesujący klienci, podobnie jak ryby żyją w jakimś osobnym świecie przestworzy, a jednak swoją obecnością bardzo na nie wpływamy. Są świetną

→ ilustracją jeszcze jednego problemu związanego z ochroną, tzw. konsumowania przepisami przyrodniczymi cierpienia zwierząt. Większość ptaków objęta jest ochroną gatunkową, częściową lub ścisłą. Ale ona nie wyklucza ogólnych przepisów o ochronie zwierząt. Jeśli przydarzy się jakaś katastrofa, to oprócz strat w środowisku musimy również powiedzieć, że ktoś skrzywdził czujące zwierzęta. I powinien za to także odpowiedzieć. Tymczasem w tego typu procesach zwierzęta jako indywidualne istoty zwykle stają się niewidzialne.

Jak to?

Prowadzę właśnie dużą sprawę tego typu. W 2018 r. dokonano dużego rzutu wody przez tamę we Włocławku do Wisły, przy okazji zalewając kilkadziesiąt miejsc lęgowych ptaków, gdzie były już złożone jaja. Przez rok walczyłam z sądem o to, by uwzględnić w tej sprawie również wątek cierpienia zwierząt. Sąd długo twierdził, że skoro są straty przyrodnicze, a więc przestępstwo z kodeksu karnego, to mamy kwalifikację czynu i nie trzeba się już przejmować cierpieniem z ustawy o ochronie zwierząt. Nie, to tak nie działa. Jak ktoś decyduje się zniszczyć środowisko życia, to uderza również w konkretną istotę.

A zwierzęta domowe?

Sporo spraw jest typowych, czyli psów i kotów, nad którymi ludzie po prostu się znęcają. Nie jestem zwolenniczką systemu represyjnego, ale takich ludzi trzeba ukarać przede wszystkim po to, żeby dostali zakaz posiadania zwierząt. W polskim prawie nie ma innej ścieżki niż skazanie, by ktoś otrzymał taki zakaz. W Polsce powiatowej sytuacja ma się naprawdę kiepsko. W większość przypadków trzeba wręcz wymuszać na organach ścigania podjęcie sprawy. Psy latami tkwią na łańcuchach lub w małych kojcach. Kto ma do czynienia z psem, ten wie, jak socjalną, potrzebującą kontaktu jest istotą. Skazywanie go na kilkanaście lat samotności to tortura.

Coraz częściej moimi klientami stają się też zwierzęta dzikie. Weźmy choćby sprawę wilków zastrzelonych pod Brzozowem na Podkarpaciu. Stało się to w marcu zeszłego roku na podstawie decyzji Głównego Dyrektora Ochrony Środowiska, która naszym zdaniem, tj. organizacji pozarządowych, których jestem



MAURIZIO / FACE TO FACE / EAST NEWS

W rozprawach dotyczących sytuacji psów czy kotów sprawiedliwość jeszcze jakoś wygląda, ale gdy próbujemy poszerzyć ochronę prawną gatunków, które sędzia, policjant czy prokurator zjada, to sprawa robi się naprawdę trudna.

pełnomocniczką – Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze, Fundacji Niech Żyją! i Pracownicy na rzecz Wszystkich Istot – została wydana błędnie, bezprawnie, bez weryfikacji, bez niezbędnej wiedzy, za to na telefon. Tak szybko, że wykonano ją, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. To dla mnie przykład sprawy, gdy prawo, które ma chronić zwierzęta, jest wykorzystywane po to, by je zabijać. Zastrzelono wówczas dwie zaledwie 11-miesięczne wilczyce, jeszcze szczenięta.

Wspomniała Pani o organizacjach pozarządowych. Czy nie jest tak, że to właśnie na nich spoczywa dziś ciężar nagłaśniania i pilnowania konkretnych przypadków łamania praw dotyczących zwierząt?

Organy państwowe z punktu widzenia przepisów nie są bezradne. To, że państwo przerzuciło niemal cały ciężar

ratowania zwierząt na organizacje pozarządowe, uważam za zwykłą bezczelność. Każda kolejna władza orientuje się, że na ochronie zwierząt można zbić polityczny kapitał, że wystarczy pomachać projektem ustawy, by zyskać trochę poparcia. Ale w żadnej z politycznych sił nie widzę głębszej gotowości do zmian.

Największą partią w Sejmie jest partia myśliwych.

Mam wrażenie, że politycy zorientowali się, że najlepiej w kwestii zwierząt nie robić nic, bo organizacje pozarządowe składają się z ludzi, którzy nawet jak nie mają środków do działania, są niewyspani i wykończeni, a dowiedzą się o marzącym psie na drugim końcu kraju, to i tak pojadą się nim zająć. Choćby to miała być piętnasta interwencja tej doby. W tym czasie policja wymiguje się często brakiem kompetencji albo tym, że „wcale nie jest tak zimno”.

Organizacje pozarządowe są skuteczne?

Ustawa daje im silne kompetencje. W przypadku, gdy mają do czynienia z zagrożeniem życia lub zdrowia zwierzęcia, mogą praktycznie bez żadnych formalności je zabrać, a dopiero potem zająć się biurokracją. Czyli najpierw pomoc cierpiącemu, formalności później. I te przepisy chcę pochwalić – są świetne. Tylko że te same kompetencje mają policja i straż gminna, które dużo rzadziej się angażują.

Dlaczego?

Prowadzę teraz taką sprawę: próbujemy odebrać właścicielowi klacz, która od maja ma złamaną nogę. Weterynarz przekonuje, że tej kontuzji się nie uleczy i zwierzę nadaje się do eutanazji. Właściciel się na nią nie zgadza i nic z koniem nie robi. Odebranie takiego konia, przy aktywnym sprzeciwie właściciela, bez pomocy służb porządkowych jest praktycznie niemożliwe. Przecież to nie jest pies, którego wystarczy zdjąć z łańcucha.

No tak, sam transport jest problematyczny.

Mało tego, ten koń może być w stanie, w którym transport jest w ogóle niemożliwy. Organizacja, która zdecydowałaby się na interwencję, musiałaby najpierw dostać się na posesję, a potem prawdopodobnie podjąć decyzję o eutanazji.

Następnie niewątpliwie byłaby za nią ciągnana po sądach. Im trudniejsza sytuacja, tym chętniej państwo umywa ręce.

Instytucje państwowe nie tylko umywają ręce, czasem wręcz stają w opozycji do działań aktywistów prozwierzęcych.

Oczywiście. Weźmy choćby wspomnianą sprawę wilków z Brzozowa. Przecież my zaskarżamy decyzję Głównego Dyrektora Ochrony Środowiska, a więc dokładnie tego organu, który powinien stać na straży ochrony gatunkowej wilka. Powinien pilnować, by nikt nie zabijał wilków, tymczasem sam wydaje zgodę na ich zabicie, ekspresowo, na telefon. Są też sytuacje, kiedy organizacje pozarządowe wchodzą w aktywny spór z powiatowymi lekarzami weterynarii, jeszcze jednym przedstawicielem władzy, który zgodnie z prawem odpowiada za pilnowanie przepisów. Pamięta pan sprawę tygrysów na granicy polsko-białoruskiej z 2019 roku?

Były przewożone w dramatycznych warunkach, odwodnione i wygotowane.

A inspekcja weterynaryjna była zainteresowana tylko tym, żeby w papierach wszystko się zgadzało. Tymczasem jeden z nich nie przeżył, reszta długo dochodziła do siebie. Z perspektywy sali sądowej czasami mam wrażenie, że przeciwko sobie mam oskarżonego i dwie

instancje sądowe, bo prokurator, który powinien być po naszej stronie i zajmować się ściganiem przestępstw, występuje wprost przeciwko mnie. Po drugiej stronie stoi tylko organizacja, którą reprezentuję. Często jednoosobowa. Walę głową w mur. Tak było w słynnej sprawie karpi, którą prowadziłam prawie 10 lat. Wygrałam ją w Sądzie Najwyższym. Coś, co było niemożliwe, czyli skazanie karne za ryby, okazało się faktem i jest prawo prawomocne. Na tym opieram swoją nadzieję. Że jest ciężko, ale każdy krok ma znaczenie. To wieloletnia, kolektywna praca.

W książce „ZOEpolis. Budując wspólnotę ludzko-nie-ludzką” przedstawiła Pani autorską koncepcję prawa wrażliwego. Ma się opierać na trzech filarach. Pierwszym jest uznanie podmiotowości zwierząt, drugim zapewnienie im reprezentacji w procesie stanowienia prawa, trzecim otwarcie pojęć prawnych na zwierzęta. Ale jak zapewnić zwierzętom wpływ na stanowienie prawa?

To mógłby być na przykład rzecznik do spraw ochrony praw zwierząt. Urząd, który miałby organizacyjne i finansowe zasoby do działania, zapewnione z budżetu państwa, a nie zrzutki społecznej.

Kilka lat temu została Pani takim rzecznikiem, ale nieformalnie.

Na tę funkcję powołało mnie Polskie Towarzystwo Etyczne. Chodziło nam

o to, żeby zrobić cokolwiek. Pokazać, że skoro państwo nie robi nic, to my udowodnimy, że takie stanowisko jest potrzebne. I zakorzenić to przekonanie w społeczeństwie. Mam wrażenie, że parę spraw udało nam się załatwić, byłam słuchana mimo braku urzędowego umocowania. Ale ten model już się chyba wyczerpał. Bez finansowego zaplecza dalej nie pójdziemy. Teraz musimy lobbować za tym, by taki urząd po prostu powstał.

Na razie został powołany tylko pełnomocnik ds. zwierząt przy resorcie rolnictwa, ale chyba nie o taką funkcję Pani chodzi.

Jest czysto doradcza, bez konkretnych kompetencji decyzyjnych i przyklejona do Ministerstwa Rolnictwa, więc od niego zależna. Dlatego trzeba się samemu organizować. Planuję utworzyć fundację i szkołę, która podczas rocznych kursów będzie kształcić kilkanaście, kilkadziesiąt osób w zakresie formułowania wniosków, działania na poziomie gminy, opiniowania. Chcę dać wrażliwym ludziom kompetencje i narzędzia prawne, polityczne i społeczne, które sprawią, że poprawi się los zwierząt w konkretnych miejscach, gdzie te osoby będą działać. Nie ufam systemowi opartemu na jednej, dwóch czy trzech osobach, które próbują działać w każdej sprawie. Zwierzęta potrzebują stałej, zbiorowej pracy wielu ludzi, którym zależy na ich dobrostanie.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui, Michał Okoński, Marek Rąbiń,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguta, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja: redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Monoteizm*



W SŁOWNIKU JĘZYKA POLSKIEGO POD REDAKCJĄ Witolda Doroszewskiego znajdujemy zacytowane w haśle „monoteizm” stwierdzenie: „W przeciwieństwie do wszystkich narodów starożytnego

Wschodu Izraelici wierzyli w jednego Boga... Taką religię, w odróżnieniu od wielobóstwa (politeizmu), nazywamy monoteizmem”. Oczyma duszy już widzę jednego z moich ulubionych nauczycieli z seminarium, prof. Benjamina Sommera, który na takie *dictum* zapewne by powiedział: Podstawy biblijnego monoteizmu nie można zawrzeć w stwierdzeniu, że jest tylko jeden Bóg. Biblia wielokrotnie używa słowa „bogowie” i nie zaprzecza ich istnieniu. Bóstwa starożytnego Bliskiego Wschodu oraz basenu Morza Śródziemnego przypominają ludzi: rodzą się i sami płodzą potomstwo, a czasem nawet umierają. W Biblii Bóg Izraela nie jest jedyny, lecz wyjątkowy: to Najwyższa Istota posiadająca suwerenną wolę w stosunku do wszystkich innych bytów – zarówno ziemskich, jak i niebieskich.

Owa Najwyższa Istota nakazała w Torze, by przestrzegać praw czystości rytualnej, które trudno nam objąć naszym ograniczonym ludzkim umysłem. Wielu współczesnych myśli nie kojarzy jej np. ze znanym z innych kultur odsyłaniem kobiety na czas menstruacji poza miejsce zamieszkania i potępią jej w czambuł, uznając za z gruntu prymitywne. Tymczasem nieczystość rytualna nie jest grzeszna i zakazana. W taki stan wprowadza, między innymi, kontakt ze zwłokami, a pochowanie zmarłego uważane jest za akt wyjątkowy – wyświadczamy przysługę, za którą nieboszczyk nam się nie odwdzięczy. Nieczystość rytualna po prostu się zdarza i jest normalnym stanem. Przez wzgląd na jej „zaraźliwość” trzeba ograniczyć kontakty społeczne i kiedy tylko już można – czyli po odczekaniu określonego czasu – należy zazwyczaj się obmyć.

Nieczystość rytualna pojawia się przy narodzinach, współżyciu i śmierci – tym, co jest udziałem człowieka, lecz nie dotyczy Najwyższego. Tora zakazuje wchodzić do Świątyni w tym stanie, albowiem postrzega ją nie tylko jako miejsce kultu, lecz dosłownie Dom Boży. „[W przybytku zboru] stawiać się będę wam, aby tam mówić z tobą. I stawiać się tam będę synom Izraela, i będzie poświęcony majestatem Moim... I będę przebywał w pośród synów Izraela, i będę im Bogiem” (Wj 29, 42-43; 45; Cylkow). Transcendentny Bóg – poprzez Świątynię – staje się immanentny w stworzonym przezeń świecie, i to dla Żydów oznacza Izajaszowy *Immanuel* (hebr. dosł. Bóg z nami). Póki stała Świątynia, można było przyjść do Domu Bożego, ale obowiązywały pewne zasady – prawa dotyczące czystości rytualnej, by nie zapominać, że Bóg jest totalnie inny od nas, ludzi. I tak z owych praw wyziera teologia, która nakreśla ramy biblijnego monoteizmu. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Jest i nie jest*



MARIA MAGDALENA PO ŚMIERCI JEZUSA mogła spodziewać się wszystkiego, ale nie tego, że Jezus nadal żyje.

Przy Jego grobie spotyka ogrodnika, widzi go na własne oczy, rozmawia z nim i dopiero po chwili orientuje się, że to Jezus. Usiłuje Go zatrzymać, chce, żeby było jak dawniej – ale „dawniej” już nie istnieje. Śmierć odmieniła Jezusa. Jednocześnie jest On i nie jest, staje się widzialny i niewidzialny. I tak to, co wydawało się niemożliwe, wewnątrz sprzeczne – jednocześnie być i nie być w tym samym czasie i miejscu – staje się możliwe.

Kleofas i drugi uczeń, przekonani, że ich nadzieje na wyzwolenie Izraela pod wodzą Jezusa spaliły na panewce, uciekają z Jerozolimy. Wracają do siebie, ale w drodze przed Emaus dołącza do nich jakiś podróżny. I jak to w podróży bywa, rozmawiają o tym, o tamtym, więc i o nieszczęściu, jakie ostatnio ich spotkało. Podróżny, choć niczym szczególnym się nie wyróżnia, okazuje się jednak człowiekiem rozmownym i wykształconym, znającym dobrze Pisma i teologię. To ich zaskakuje, zaczynają się więc zastanawiać, kim on jest. Jakimś dziwnym sposobem przypomina im Mistrza – no ale On przecież nie żyje. Dopiero podczas posiłku, przy dzieleniu się chlebem, „otworzyły się im oczy i rozpoznali Go. Lecz On stał się dla nich niewidzialny”.

Podobnie działo się na brzegu Jeziora Tyberiadzkiego. Po śmierci Jezusa Piotr z kilkoma innymi uczniami wrócili do Galilei, do zawodu, który wykonywali, zanim spotkali Nauczyciela. Wypłynęli na nocny połów, ale szczęście im nie sprzyjało i wrócili z niczym. Po tym, jak przybili do brzegu, zjawił się jakiś obcy człowiek i kazał im, wbrew zasadom sztuki rybackiej, jeszcze raz zarzucić sieć. Ku swemu wielkiemu zdumieniu wyciągnęli mnóstwo ryb. „Gdy wysiedli na brzeg – mówi Jan Ewangelista – zobaczyli rozniecone ognisko, położoną na nim rybę oraz chleb” i przybysza zachęcającego: „Chodźcie coś zjeść. Żaden z uczniów nie odważył się zapytać Go: »Kim jesteś?«, ponieważ wiedzieli, że to Pan. A Jezus podszedł, wziął chleb i podał im; podobnie uczynił z rybą”. Tym razem Jezus nie zniknął od razu, ale zaczął rozmowę i trzy razy zadał Piotrowi to samo pytanie: „Czy kochasz Mnie?”. Piotr odpowiedział: „»Panie, Ty wiesz o wszystkim. Ty wiesz, że Cię kocham«. Jezus rzekł: »Paś moje owce (...) Pójdź za Mną!«”. I tak temu, który na dziedzincu arcykapłana po trzykroć stwierdził, że nie miał z Jezusem nic wspólnego, i rozpłakał się z bezradności wobec przemocy zła, Jezus poleca: „A ty, kiedy się nawrócisz, umacniaj twoich braci”. Realizacja tego polecenia wciąż trwa i dotyczy zarówno owiec, jak i pasterzy na czele z następcami Piotra. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Ewangelia w działaniu

Uczniowie spyтали Jezusa:
„Powiedz nam, jak
nadejdzie nasz koniec?”.

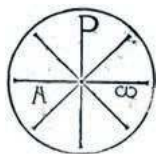
Jezus odparł:

„Czy znaleźliście
już wasz początek,
że pytacie o koniec?

W miejscu, gdzie jest
początek, jest i koniec.

Błogosławiony,
kto stanie na początku
– pozna koniec
i nie zakosztuje śmierci”.

EWANGELIA TOMASZA



Każdy nowy początek
wymaga otwarcia
zamkniętych dotąd
drzwi.

NACHMAN Z BRACŁAWIA



Wybrał PIOTR SIKORA



SPRÓBUJMY Z JEDNEJ perykopy Dziejów Apostolskich (3, 1-10) wyciągnąć kilka lekcji ewangelizacji. Lekcja pierwsza: „Gdy Piotr i Jan wchodzili do świątyni (...)”. Piotr i Jan to syn-teza Kościoła. Piotr – symbol urzędu (pierwszy papież) i Jan – symbol charyzmatu („uczeń, którego Jezus kochał”). Są nierozłączni, wspierający się, uczący się od siebie. Nawet wtedy, gdy udział Jana zdaje się zredukowany do obecności. Jan po prostu jest. Albo lepiej: jest przy. Piotr potrzebuje jego obecności, gdyż ewangelizacja nie jest jego prywatnym działaniem. Ewangelizuje zawsze Kościół. Kiedy ta zasada nie przekłada się w moim życiu na konkretne doświadczenie, jeśli wszystko muszę zrobić sam, a drugiego traktuję jak ciężar albo rywala – powinienem zaprzestać działalności „ewangelizacyjnej” (cudzyśłów jest tu potrzebny).

Lekcja druga: „wchodzili o godzinie dziewiątej”. Biblijna dziewiąta to nasza piętnasta, Godzina Miłosierdzia. Godzina śmierci Jezusa. To w niej rozgrywa się każde nasze działanie ewangeliczne. Ona wyznacza jego treść, cel, motyw i styl. Nie ma ewangelizacji „obok” Godziny Miłosierdzia.

Lekcja trzecia: „Nie mam srebra ani złota”. To lekcja, którą Kościół czytał

przez wieki jako dyscyplinującą jego działanie i tożsamość. Dosłownie ten tekst brzmi jeszcze mocniej: „srebro i złoto nie istnieje dla mnie” – co czytano: nie mam prawa do własności. To opis Kościoła ubogiego, przywoływany z całą siłą szczególnie w czasach kryzysu ewangelizacji. W Godzinie Miłosierdzia Kościół staje się mocny ewangelizacyjnie swoim wyborem ubóstwa – tym, że nie gromadzi środków dla własnego prestiżu i poczucia bezpieczeństwa, lecz że nimi szczerze szafuje – w pełnym zrozumieniu, że i tak nie należą one do niego, lecz do ubogich.

Lekcja czwarta: „ale co mam, to ci daję”. To znaczy: dzielę się tym, co przyjąłem. Jak mawiał ks. Blachnicki: „Nikt nie daje tego, czego nie posiada”. Dzielę się wiarą, którą przyjąłem, posługuję charyzmatami, w które wyposażył mnie Duch. Posługuję tym, co otrzymałem. Nie udaję kogoś innego. Nie zazdroszczę innym ich duchowych darów. Cieszę się tym, do czego Pan mnie potrzebuje.

I lekcja piąta: „wszedł [uzdrowiony chromy] z nimi do świątyni, chodząc, skacząc i wielbiąc Boga”. Oto czytelne działanie uczniów – odsyła do Tego, którego Moc i Miłość się objawiły. Nie zatrzymuje niczego dla siebie. Przekłada się na uwielbienie, nie na pochwalne recenzje. „Idźmy, i czynmy podobnie!”.

©

CZYTANIA LITURGICZNE (1-15 V)

3. Niedziela Wielkanocna: Dz 5, 27b-32. 40b-41;

Ps 30; Ap 5, 11-14; J 21, 1-19;

Poniedziałek: Dz 6, 8-15; Ps 119; J 6, 22-29;

Wtorek, Uroczystość NMP Królowej Polski:

Ap 11, 19a; 12, 1. 3-6a. 10ab; Ps: Jdt 13, 18-20;

Kol 1, 12-16; J 19, 25-27;

Środa: Dz 8, 1b-8; Ps 66; J 6, 35-40;

Czwartek: Dz 8, 26-40; Ps 66; J 6, 44-51;

Piątek: 1 Kor 15, 1-8; Ps 19; J 14, 6-14;

Sobota: Dz 9, 31-42; Ps 116B; J 6, 55. 60-69;

4. Niedziela Wielkanocna: Dz 13, 14. 43-52;

Ps 100; Ap 7, 9. 14b-17; J 10, 27-30;

Poniedziałek, Uroczystość św. Stanisława:

Dz 20, 17-18a. 28-32. 36;

Ps 100; Rz 8, 31b-39; J 10, 11-16;

Wtorek: Dz 11, 19-26; Ps 87; J 10, 22-30;

Środa: Dz 12, 24-13, 5a; Ps 67; J 12, 44-50;

Czwartek: Dz 13, 13-25; Ps 89; J 13, 16-20;

Piątek: Dz 13, 26-33; Ps 2; J 14, 1-6;

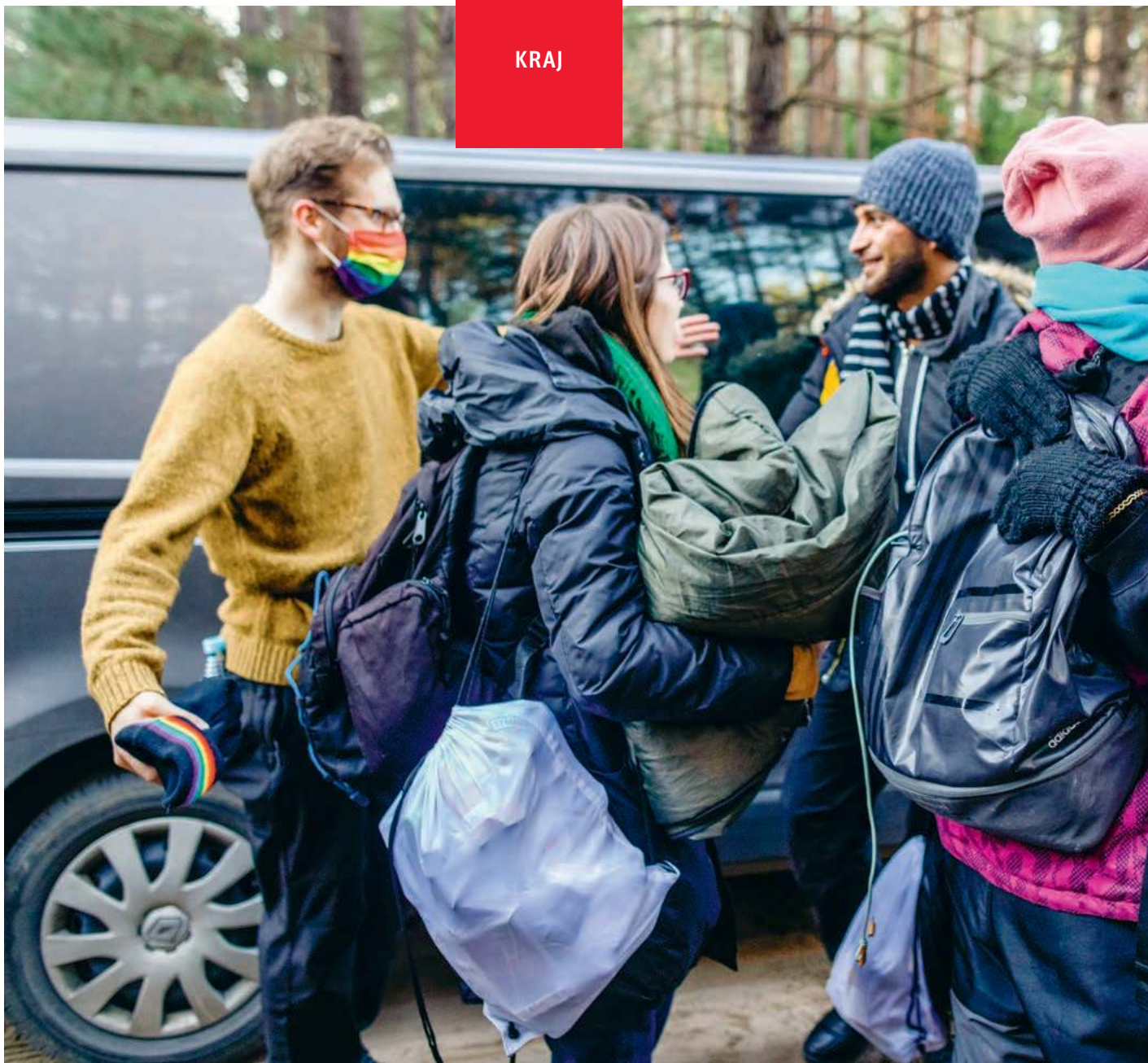
Sobota: Dz 1, 15-17. 20-26;

Ps 113; J 15, 9-17;

5. Niedziela Wielkanocna:

Dz 14, 21b-27; Ps 145; Ap 21, 1-5a;

J 13, 31-33a. 34-35.



NIELEGALNIE WRAŻLIWI

Marta martwiła się bardzo, czy zdoła wejść do ciemnego lasu. A potem się okazało, że las nie jest straszny, migranci nie są straszni, choć są w strasznym stanie. Lęk wzbudziła dopiero broń strażników.

KATARZYNA SROCZYŃSKA



WOITEK RADWAŃSKI

Wolontariusze podczas akcji interwencyjnej na pograniczu polsko-białoruskim. 29 października 2021 r.

do samochodu użyczonego KIK-owi na potrzeby akcji humanitarnej. Zlokalizowali potrzebujących poza strefą zakazaną, ale auto znajdowało się na otwartej przestrzeni, dookoła były domy.

– Jeśli ktoś zobaczy, że idziesz z pomocą, to jest tak 50 na 50, że doniesie albo nie. Uzgodniliśmy więc tak, że moi koledzy wchodzą do lasu z plecakami, a ja odjeżdżam i do nich potem dochodzę. Planu nie udało mi się zrealizować, bo zatrzymała mnie policja. Powiedzieli, że dostali zgłoszenie o podejrzanym samochodzie – mówi Weronika Klemba, studentka filozofii i kognitywistyki na Uniwersytecie Warszawskim.

Kolejnych 46 godzin spędziła w pokoju zatrzymań na komendzie.

Zaostrzony kurs

„Policjanci z sokólskiej patrolówki w pobliżu miejscowości Poniatowice zatrzymali do kontroli mitsubishi na warszawskich numerach rejestracyjnych. Za jego kierownicą siedziała 20-letnia mieszkanka województwa mazowieckiego. Kobieta twierdziła, że wiezie leki imigrantom, a okazało się, że jedzie po czterech obywateli Kuby. Usłyszała zarzut usiłowania pomocy w nielegalnym przekraczaniu granicy, za co grozi kara do 8 lat pozbawienia wolności” – informuje Komenda Powiatowa Policji w Sokółce na swojej stronie internetowej. Na rozmowę o sprawie nie ma jednak szans, przejęła ją prokuratura.

Po zatrzymaniu Weroniki odbyło się wstępne przesłuchanie – jak twierdzi ona sama – w kajdankach. Dziewczyna dowiedziała się, że jest podejrzana o przemykanie ludzi. Poprosiła o prawnika. „Takie teksty to w amerykańskich filmach, a tu jest Podlasie” – miała usłyszeć, pomimo że na otrzymanej karcie z przysługującymi jej prawami przeczytała m.in.: „bepośredni kontakt z adwokatem”.

– Było tam też napisane, że mam prawo do powiadomienia osoby najbliższej. Miałam nadzieję, że zadzwonią do mojego ojca, bo podałam jego numer. I faktycznie go powiadomili. Dzień później policja przyjechała do naszego mieszkania w Warszawie i je przeszukała – opowiada Weronika. Potem były dwa kolejne przesłuchania. – Pierwsze na policji, znowu w kajdankach, drugie w prokuraturze,

czekałam na nie 24 godziny. Mówiłam to samo: że się nie przyznaję do udzielania pomocy przy nielegalnym przekraczaniu granicy, że przyjechałam tu udzielać pomocy humanitarnej – zapewnia.

Dwudziestolatka spędziła w pokoju zatrzymań dwie doby: dostała coś do picia, do toalety wychodziła w kajdankach. – Niektórzy policjanci mówili mi, że nie jestem przestępczynią i że to jest wielkie nieporozumienie, ale inni – że sobie nagrabiłam i czekają mnie trzy miesiące w areszcie – wspomina aktywistka.

I rzeczywiście, prokurator wystąpił o trzymiesięczny areszt. Co prawda Sąd Rejonowy w Sokółce oddalił ten wniosek, ale prokurator się odwołał. Na decyzję sądu w Białymstoku dziewczyna czekała niemal trzy tygodnie. Wniosek prokuratury ponownie oddalono, jednak aktywistce nadal grozi 8 lat więzienia.

22 marca, trzy dni przed wpadką Weroniki, zatrzymano cztery inne osoby, które udzielały pomocy humanitarnej w ramach Grupy Granica. Scenariusz postępowania policji i prokuratury w obu wypadkach był podobny. – Widać, że kurs wobec naszych działań został w połowie marca zaostrzony, chociaż już wcześniej mieliśmy wrażenie, że służby działają wobec nas dość agresywnie – mówi Wojtek Radwański, który wspólnie z żoną Marią od października koordynuje działania Punktu Interwencji Kryzysowej (PIK). – Nasi wolontariusze od początku byli zatrzymywani na checkpointach, przeszukiwano ich samochody. Nie dochodziło wtedy do formalnych zatrzymań, ale przeprowadzano długotrwałe czynności. Mnie Straż Graniczna kontrolowała kiedyś dwie godziny, trzymając na poboczu.

Głodni, spragnieni, nadzy

Koordynowany przez Radwańskich PIK powstał z inicjatywy Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. – Ściśle współpracujemy z Grupą Granica i niesiemy pomoc humanitarną ludziom w lesie, którzy przedostali się przez polsko-białoruską granicę: zostali przez nią przepchnięci albo sami przeszli – tłumaczy Maria Radwańska. Do tej pory w PIK-u pracowało około 100 wolontariuszy. Niektórzy przyjeżdżają tylko raz, inni regularnie wracają (mniej więcej 20 aktywistów). Zanim każdy z nich wyjechał w teren, uczył się od medyków najpotrzebniejszych rzeczy, na przykład jak rozpoznać kolejne fazy hipotermii i jak z nimi walczyć albo

JEJ PIERWSZA INTERWENCJA? JESIEŃ, WĘZwanie w nocy do sześciu osób z Jemu. Dali im wodę, jedzenie, ogrzali i opatrzyli rany. W marcu pojechała po raz drugi na granicę polsko-białoruską jako wolontariuszka. Na wszystkie interwencje wyjeżdżała w nocy, poza tą ostatnią.

25 marca, w środku dnia, do Punktu Interwencji Kryzysowej prowadzonego na Podlasiu przez warszawski Klub Inteligencji Katolickiej przyszła informacja, że w lesie jest grupa ludzi potrzebujących szybkiej pomocy – nie mają wody ani jedzenia. Wolontariusze zapakowali plecaki (woda, ciepła zupa, suche ubrania i buty, koce NRC, apteczka) i wsiedli

→ jak opatrywać przemarzniętą tzw. stopę okopową, żeby nie doszło do amputacji. Pomogli około 600 osobom.

– Proszą głównie o picie, potem o jedzenie. Piją i pili wodę z bagien, z kałuż, skąd się da, więc mieli i mają problemy żołądkowe. W naszej apteczce mamy na to odpowiednie leki. Dajemy im też wodę, no i ciepłe jedzenie – mówi Radwańska.

– Woda jest kluczowa, bo ludzie są odwodnieni. Jadąc na interwencję, trzeba mieć przy sobie półtora litra na osobę – opowiada Marta Kindler, socjolożka, badaczka procesów migracyjnych i wolontariuszka PIK-u. – Kiedy docieramy do tych przerażonych ludzi, to oni najpierw muszą się przekonać, że chcemy im pomóc. Przede wszystkim trzeba doprowadzić do tego, żeby im nie było zimno, więc okrywa się ich folią NRC. Jak się przestaną trząść, dajemy im herbatę. Potem proponujemy ubranie, pokazujemy, że jest, że mogą się przebrać w suche.

Marta była na Podlasiu kilka tygodni temu. W ciągu pięciu dni uczestniczyła w pięciu akcjach. Jedna z osób, której pomagała, miała rany na rękach i nogach od drutów żyłkowych, była w pierwszej fazie hipotermii, trzęsła się cała. Inna była w gorszym stanie, w hipotermii drugiego stopnia. Skarżyła się na ból w piersi. Okazało się, że została skopana przez białoruskiego strażnika.

Jerzy Sternicki do tej pory wyjeżdżał na Podlasie pięć razy jako wolontariusz PIK-u. Za kilka dni jedzie kolejny raz, chociaż w jego domu pod Warszawą mieszka teraz czwórka rodzeństwa z Ukrainy, a najstarsza siostra wymaga dializ. Sternicki dobrze pamięta swoją pierwszą interwencję: – Był grudzień. Rano jakaś grupa prosiła o pomoc, ale się rozproszyli przestraszeni interwencją służb mundurowych i porzucili wszystkie rzeczy, które dostali. Ktoś z tej grupy ponownie dał znać, że potrzebuje wsparcia. Jeszcze dobrze nie zaparkowaliśmy, a on już był przy naszym samochodzie. Kompletnie przemoczony. I na nasz widok – wiedział, że przyszliśmy z pomocą – nagle stanął nagi. To był Syryjczyk, mógł mieć z 19 lat. Jakbym Pana Jezusa zobaczył. Nie miał kompletnie nic. Ubraliśmy go, napoiiliśmy, nakarmiliśmy. Rzucił się nam na szyję.

– Oceniamy, że w lasach przy granicy jest nadal około 200 osób. Tygodniowo jako Grupa Graniczna odbieramy prośby o pomoc od około 150 osób – mówi Marysia Złonkiewicz, szefowa organizacji

Chlebem i Solą, zarazem wolontariuszka PIK-u. Od sierpnia zeszłego roku więcej czasu niż w domu spędziła na Podlasiu, pomagając przy granicy. – Ostatnio uchodźców w lasach jest jednak więcej, bo zlikwidowano hałę w Bruzgach na Białorusi, w której ich przetrzymywano. Były tam osoby wcześniej wiele razy wyrzucane na Białoruś, osłabione fizycznie, kobiety i dzieci, niepełnosprawni.

W efekcie Straż Graniczna niemal codziennie informuje o kolejnych próbach przekraczania granicy. Raz jest to 39 osób, innym razem 59, 52 lub 16.

To nie las jest straszny

Kto człowiekowi znajdującemu się w położeniu grożącym bezpośrednim niebezpieczeństwem utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu nie udziela pomocy, mogąc jej udzielić bez narażenia siebie lub innej osoby na niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3 – głosi art. 162 paragraf 1 kodeksu karnego.

– Ale pomocy można udzielać w różny sposób – tłumaczy prof. Witold Klaus, prawnik, kryminolog i badacz migracji z Instytutu Nauk Prawnych PAN oraz Ośrodka Badań nad Migracjami UW. – Straż Graniczna może mówić: udzieleniem pomocy jest wezwanie pogotowia albo Straży Granicznej. I w normalnych warunkach to byłaby właściwa i adekwatna pomoc. Tylko że nie mamy do czynienia z sytuacją normalną, ale z taką, w której prawo jest wyłączone na terenie strefy zamkniętej, ponieważ Straż Graniczna go nie przestrzega. A to znaczy, że w konsekwencji zadzwonienia po karetkę czy straż osoba potrzebująca pomocy zostanie wyrzucona na teren Białorusi, czyli jej życie nie będzie uratowane, nikt się nie przejmie jej stanem fizycznym, a dodatkowo może paść ofiarą tortur. Mamy dziesiątki potwierdzeń, że ani Straż Graniczna, ani inne polskie służby się tym nie przejmują – mówi Klaus.

Straż Graniczna, dokonując push-backów, czyli nielegalnie wyrzucając migrantów na Białoruś bez dania im możliwości ubiegania się o ochronę międzynarodową i bez uwzględnienia ich indywidualnej historii, powołuje się na rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych i administracji z 20 sierpnia 2021 r. oraz na tzw. ustawę wywózkową przyjętą w październiku 2021 r. Zdaniem wielu prawni-

ków te akty są sprzeczne z prawem międzynarodowym, m.in. z Konwencją Genewską oraz z Konstytucją RP. Tę opinię podzielili niedawno sąd w Hajnówce, który 28 marca wydał bezprecedensowy wyrok w sprawie trzech Afgańczyków zatrzymanych i wywiezionych na granicę przez Straż Graniczną w sierpniu zeszłego roku. W opublikowanym przez sąd uzasadnieniu wyroku czytamy: „wywiezienie grupy osób w środku nocy, w głąb ścisłego rezerwatu przyrody, bez odpowiedniego ekwipunku było wysoce niehumanitarne, a także niezgodne z prawem i niezasadne”.

Marta Kindler myślała o tym mrocznym miejscu jeszcze przed wyjazdem. Zastanawiała się, czy odważy się wejść do ciemnego lasu, w którym w dodatku ma spotkać nieznajomych ludzi. Bała się. – A potem się okazało, że ten las w ogóle nie jest straszny, ci ludzie w ogóle nie są straszni, choć są w strasznym stanie. To, co jest przerażające, to niestety te osoby, które mają siłę, broń, podjeżdżają dużym samochodem, świecą latarką w oczy.

Nic na nas nie znajdują

Nieprzyjemnych spotkań z policją, Strażą Graniczną i wojskiem aktywiści nie są w stanie policzyć. Niektóre historie szczególnie zapadają w pamięć.

W grudniu policja zatrzymała kilku wolontariuszy KIK-u (formalnie nie byli zatrzymani, ale przez pięć godzin pozostawali do dyspozycji funkcjonariuszy, nie mogli wyjść z samochodu, początkowo nawet za potrzebą). W telefonie jednego z nich znaleziono namiary na siedzibę PIK-u. – Policjanci wdarli się do środka, dużo krzyczeli i biegali po domu, szukając ukrytych osób. Nie mogli nikogo znaleźć, bo nie udzielamy schronienia w naszym domu. Weszli na tak zwaną blachę, czyli bez nakazu, który dostarczyli potem – opowiada Wojtek Radwański. Zarekwirowano sprzęt elektroniczny, podejrzewano wzbudziły też umowy wolontariackie i brudne rzeczy, które aktywiści zebrali w opuszczonych obozowiskach w lesie. Śledztwo trwa, toczy się w sprawie, nikt nie dostał zarzutów.

11 marca zdarzyła się jeszcze jedna próba wejścia do budynku PIK-u, ale nie została nigdzie odnotowana. Przyjechały cztery radiowozy, policjanci próbowali wkroczyć do budynku, ale wolontariusze ich nie wpuścili, a oni w końcu odjechali.

Maria Radwańska nie kryje obaw: – Kiedy zakładaliśmy ten punkt, wiedzia-

**WERONIKA KLEMB:**

Miałam prawo do powiadomienia osoby najbliższej. Liczyłam, że zadzwonią do mojego ojca, bo podałam jego numer. I faktycznie go powiadomili. Dzień później policja przyjechała do naszego mieszkania i je przeszukała.

łam, że będziemy w jakiś sposób nękani przez różne służby. Myślałam, że z czasem się do tego przyzwyczaję, ale im dłużej to trwa, tym bardziej rośnie we mnie poczucie frustracji, niezrozumienia, ale i lęku o aktywistów, którzy tam jeżdżą. Myślałam: w najgorszym wypadku mogą ich maglować, ale przecież nie robimy nic złego. To poczucie pozwalało mi dalej wysyłać ludzi. Czuję się jednak odpowiedzialna za tych, którzy tam jadą. Większość z nich to młode dziewczyny. Teraz – choć nadal nie robimy nic, co byłoby przestępstwem – myślę, że na którymś etapie ktoś będzie chciał nam udowodnić, że jest inaczej. I że mu się to uda wbrew wszelkim faktom. Że staniemy się czarownicami, które trzeba spalić na stosie, by komuś coś udowodnić. Przeraża mnie to.

– Służby działają celowo w taki sposób, żeby nas zniechęcić do pomagania. Ale o ile my jesteśmy przeszkoleni, przygotowani i sami dokonujemy wyboru, o tyle lokalni mieszkańcy go nie mają. Ich życie po prostu tam jest – mówi Marysia Złonkiewicz. Zna sprawy dwóch mieszkańców Podlasia, którym postawiono zarzuty w związku z tym, że udzielali uchodźcom schronienia lub ich podwieźli do lekarza. Jedna z tych osób została oczyszczona z zarzutów, sprawa drugiej wciąż trwa. Wielu ludzi po prostu nie wie, czy pomaganie jest legalne.

– Właśnie dostałam telefon z informacją o osobie, która schowała u siebie w stodole uchodźców i jest przerażona. Przyniosła im jedzenie i kołdry, ale teraz bardzo się boi, że zostanie aresztowana. Ja wiem, że taki rodzaj pomocy jest legalny, ale ludzie się boją jej udzielać. Oczywiście niektórzy mieszkańcy Podla-

sia, którzy od miesięcy angażują się w pomoc humanitarną, znają prawo. Wiedzą, jak mogą pomagać – dodaje Złonkiewicz.

Uważajcie, w co się angażujecie

Już w zeszłym roku zdarzało się, że aktywistom stawiano zarzuty, ale dopiero od niedawna prokuratura występuje o tymczasowe areszty. Policja i Straż Graniczna powołują się zwykle na dwa przepisy, zarzucając wolontariuszom pomoc w ułatwianiu nielegalnego pobytu w Polsce (art. 264a § 1 k.k.) lub pomoc w organizowaniu nielegalnego przekroczenia granicy (art. 264 § 3 k.k.).

Zdaniem prof. Klausa wnioskowanie o areszt tymczasowy ma na celu próbę zastępczego ukarania ludzi (podobnie jak przetrzymywanie ich przez 48 albo 72 godziny czy przesłuchiwanie w kajdanach). Chodzi też o efekt mrozący, o pokazanie innym: nie róbcie tego, nie pomagajcie, bo mogą was spotkać przykre konsekwencje. – Ale ta groźba nie jest realna, bo żaden rozsądny sąd nie zgodzi się na areszt – dodaje Klaus. Dęte są również stawiane aktywistom zarzuty. – Udzielanie pomocy nie jest łamaniem prawa. Przepisy, na które powołuje się prokuratura, zakładają jedną ważną rzecz: zamiar. Żeby się dopuścić czy to organizacji nielegalnego przekroczenia granicy, czy pomocy w nielegalnym pobycie, trzeba działać z tym zamiarem. Jeśli ma się jakikolwiek inny zamiar, a w przypadku wolontariuszy zamiarem jest pomoc humanitarna, to w ogóle nie dochodzi do popełnienia przestępstwa. Zamiar jest kluczowy i trzeba go udowodnić – tłumaczy profesor.

Pomimo szyszan wolontariusze nie dają się zastraszyć i nadal jeżdżą na granicę

z Białorusią. Marta Kindler: – Mam poczucie, że to mój obowiązek, ponieważ moje państwo nie wywiązuje się ze swoich powinności. Naraża ludzi na śmierć. Nawet jeśli nie przysługuje im ochrona międzynarodowa, to trzeba to najpierw sprawdzić i dopiero wtedy odesłać samolotem do ich kraju. Wyrzucając tych ludzi do lasu, uczestniczymy w procederze, który został nakręcony przez Łukaszenkę. Część badaczy mówi o zjawisku *weaponization of migration*, gdy migranci stają się bronią. Jednak kraje, do których przybywają, wykorzystują to również jako usprawiedliwienie, by nie traktować ich jak ludzi.

Motywacja Wojtka Radwańskiego jest podobna: – Robimy to, co powinniśmy: idziemy z pomocą osobom zagrożonym. Nie przychodzi mi do głowy żaden paragraf, który moglibyśmy złamać. Pomagamy ludziom, którzy są już po polskiej stronie, i zastępujemy państwo polskie, ponieważ osoby, które znajdują się na polskim terytorium, legalnie czy nie, podlegają opiece państwa polskiego. Powinno im ono zapewnić pomoc, bezpieczeństwo i zgodne z prawem rozpoczęcie procedury azylowej albo ich deportować do kraju pochodzenia, jeśli tam nie zagraża im niebezpieczeństwo.

Zdaniem Witolda Klausa największym problemem jest to, że państwo prawa zostało na terenie przygranicznym wyłączzone. Spod ochrony prawnej wyjęto najpierw uchodźców, a teraz przenosi się to również na aktywistów.

I dlatego tak ważne są niezależne sądy. To w nich odbywa się dziś ostateczny test demokracji, praworządności i zwykłego człowieczeństwa Polski.

© KATARZYNA SROCZYŃSKA



Kobiety piorące w rzece. Przegorzały, 1937 r.

Wieś cała we łzach

MAGDALENA KOWALCZYK, MAŁGORZATA NOCUŃ

Jest rok 1925. Nad zmęczoną pracą i zrozpaczoną po stracie dziecka młodą kobietą pochyla się jej babka. „Nie płacz – mówi. – Każda kobieta to jest niewolnica”. Wiele się zmieniło od tamtych czasów.

W 1989 r. w BUDYNKU TOWARZYSTWA Przyjaciół Pamiętnikarstwa trwa remont. Na śmietniku ląduje część archiwum. Stare, zakurzone papiery tylko przeszkadzają. Po co one komu? Może lepiej je wyrzucić na śmietnik?

W latach 90. XX wieku nowi właściciele pałacyku w Rudnie (w okresie PRL należał do PAN, w nim także mieściło się archiwum Towarzystwa) chcą się pozbyć zalegającej makulatury. Wynoszą dokumenty do nieogrzewanej komórki. Dla spokoju przykrywają je folią. Nie za bardzo ich obchodzi, z czym mają do czynie-

nia. Nie wiedzą, że dzięki tym archiwom „powstały klasyczne dzieła socjologii” – jak napisała wiele lat temu prof. Krystyna Szafraniec.

W 2002 r. resztki zgniłych i zagrzybionych dokumentów zostają załadowane na ciężarówkę i przewiezione do Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Po wysuszeniu zbior liczący 900 tys. rękopisów zawęził się do zaledwie kilkunastu tysięcy. Jest wśród nich część tekstów nadesłanych na konkurs „Wspomnienia kobiet wiejskich”, ogłoszony w latach 70., a dziś będący fascynującą kopalnią wie-

dzy o ich ciężkim losie oraz zmianach, jakie zachodziły przez ostatnie sto lat na polskiej wsi.

„Aż ręce w kostkach puchły”

Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa powołał w 1969 r. dwaj profesorowie socjologii z Polskiej Akademii Nauk: Jan Szczepański i Józef Chałasiński. Instytucja zajmowała się historią mówioną i zorganizowała kilka konkursów, m.in.: „Młodzież robotnicza” i „Młode pokolenia wsi Polski Ludowej”. Towarzystwo zwróciło się też do kobiet żyjących w małych społecznościach, by nadsyłały swoje wspomnienia. Przyszło 1200 prac, a wydawnictwo Książka i Wiedza w latach 70. opublikowało 56 z nich. Trzy grube tomy nosiły kolejno tytuły: „Rola przetrwania, dom piękny”; „Czyste wody moich uczuć” i „Być w środku życia”. Objęły okres od pierwszej wojny światowej po późny PRL. Dwa ostatnie tomy napisane są w duchu komunistycznej propagandy, ale i tak dużo w nich szczerości.

Przeszło sto lat temu kobieta wiejska, która dopiero przekroczyła czterdziestkę, przypominała już często staruszkę. Ogo-

rzała, pocięta zmarszczkami twarz. Poranione, spuchnięte dłonie, schodzące paznokcie. Bezzębne usta, zapadnięte policzki. Chodziła często pochylona, bo kręgosłup zwyrodniał od pracy ponad siły: dźwigania wody w wiadrach przymocowanych do drewnianych nosideł, uprawy ziemi, sianokosów, rąbania drewna, dojenia krów, prania w potoku. Rola nosiwody najcięższa była na przednówku i jesienią. Ziemia, zamieniona w gęste błoto, wiązała nogi niemal po kolana. Kilkadziesiąt metrów takiej wędrówki mogło każdego pozbawić sił, nawet silnego mężczyznę.

W pierwszych dziesięcioleciach XX w. wiejska kobieta mieszkała (z mężem, dziećmi, często też z rodziną męża) w chacie, a czasem wręcz w kurnej chacie – niewielkim drewnianym domku, w którym za podłogę służyło klepisko. Na środku stało palenisko. Dym („kurny”, czyli w języku staropolskim dymiący) osmalał ściany, sufit i uciekał przez niewielki otwór w dachu. Komina nie było. Dzieci spały po kilkoro w jednym łóżku albo kładło się je na ziemi, w słomianym posłaniu. W zimie potrzeby fizjologiczne załatwiano do stojącego w sieni wiadra. Ludzie cierpieli ogromną biedę. Działy się przypadki śmierci głodowej i nikogo nie dziwiły. Mało kto znał takie pojęcie jak higiena osobista. Ludzie myli się od święta. A gdy przychodził mróz, do domu zabierali też zwierzęta.

„Albo to pranie jak sobie wspomnę, to aż ciarki po mnie przechodzą” – napisała gospodyni z Lubelszczyzny, urodzona w 1905 r. Mydło było towarem luksusowym. Mało kto mógł sobie na nie pozwolić, więc tylko od święta kupowało się „tabliczkę” (słowo kostka pojawiło się później). Na co dzień gotowano drzewny popiół. Część wody wyparowywała, z reszty powstawał bursztynowy, lekko gęsty płyn. To ług, który służył za detergent.

Kobiety prały w lodowatej wodzie, w potoku. Najczęściej bieliznę, bo w niej najszybciej zalegały się wszy. Koszule lniane oraz kalety były drewnianą pałką, „aż ręce w kostkach puchły”. Spaleniznę z garnków zdrapywały natomiast paznokciami. Te łamały się, ropiały, a w końcu schodziły. I dlatego pojawienie się (po II wojnie światowej) plastikowych zmywaków uważano wręcz za osiągnięcie cywilizacyjne. Ich kupno gospodynie wspominają jak jedno z ważniejszych wydarzeń w życiu. „Prawdziwe szczęście”.

„Idę na zmarnowanie”

Polskę międzywojenną zamieszkują także właściciele dworów i folwarków. Mają rozległe pola i sady owocowe. Wiejscy mężczyźni idą więc pracować u „pana”. Kobiety zajmują się wtedy domem i obejściem. Autorka pamiętnika z 1915 r. pisze: „(mężczyźni) w domu byli gośćmi: godzinę w południe, wieczorem, no i w niedzielę. Całe domowe gospodarstwo prowadziła kobieta. I nie tylko domowe, bo musiała 3 razy dziennie doić dworskie krowy, pleć na przednówku marchew, buraki i inną jarzynę na dworskim polu”. Kobiety „spełniały posługi” również we dworze: prały, sprzątały, bawiły dworskie dzieci. Na odpoczynek mogły pozwolić sobie jedynie w Boże Narodzenie i Wielkanoc. To czas święty, w którym Bóg zabronił człowiekowi pracować.

Autorka wspomnienia „Nie pochwalam dawnego”, urodzona w 1905 r., opisuje rytm dnia przeciętnej kobiety. W południe mąż wyprowadzał ze stajni konia. Karmił sianem, poił. Siadał, czekał na obiad. Po posiłku chwilę drzemał. A gospodyni? „Ledwie położy łyżkę, już pędzi krowy, przygania je, doi, karmi świnię, wypuszcza prosięta, przecina drwa, często idzie w południe do sklepu” – czytamy. Autorka podkreśla, że „nie umniejsza ciężaru pracy mężczyzny”, uważa jednak, że praca kobiety „nigdy nie jest przerobiona”, nigdy się nie kończy.

Także ciężarne pracowały ponad siły i bywało, że podczas przekopywania pola czuły coraz mocniejsze skurcze macicy. Kiedy pojawiały się bóle partu, odkładały kopaczkę i szły rodzić. A po dwóch dniach wracały do plewienia, siania, karmienia trzody. Pojęcia połogu nie znały. Socjolożka Ludwika Włodek w książce „Cztery sztandary, jeden adres. Historie ze Spisza” przytacza fragment takich wspomnień: „Maryna urodziła siódme dziecko pod Zadnim Wyrchym. Rano wstała jak zwykle o piątej, żeby ugotować ziemniaki, zrobić moskole na cały dzień, przygotować sześciorgo dzieci. Z wielkim brzuchem usiadła na zeleznioku, który nie miłosiernie trząsł. Dojechali na najdalsze pole. Grabili owies. Brzuch bolał. Dzieci biegały. Trzeba było zdążyć do wieczora. Gdy to na nią przyszło, weszła do lasu, żeby dzieci nie widziały. Kucnęła. Wiedziała, co ma robić, bo to siódmy poród. Nożem obciąła pępowninę. Poczekała na łożysko. Oparła się o drzewo, żeby odpo-

cząć. Niemowlę zawinęła w koszulę. Kawałkiem szmaty zatamowała ranę”.

Barbara Tryfan, kierująca Instytutem Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, drugi tom „Wspomnień kobiet wiejskich” opatrzyła wstępem. Napisała: „kobietę traktowano siłą rzeczy jako towar do nabycia (...). Przed wiejską dziewczyną w tamtych czasach stała wyłącznie alternatywa służby w mieście. Chcąc przeżyć na wsi kobiety musiały wyjść za mąż, nawet za mężczyznę niechcianego i niekochanego”.

„Zostałam sprzedana” – napisała kobieta urodzona w 1904 r. na Mazowszu. Wspominała, że gdy była zaledwie szesnastoletnią dziewczyną, ojciec oświadczył jej swoją wolę. „Wyjdiesz za mąż” – usłyszała. Kandydata na męża wybrał on, uprzednio ustalając finansowe warunki małżeństwa. Kobieta pisze: „Nadszedł dzień ślubu (...) wołałabym, żeby to był mój pogrzeb. Przeczynałam, że idę na zmarnowanie”.

Zamieszkała z mężem i teściami. Została ich robotnicą i służącą. Każdy podnosił na nią rękę: mąż, teściowa, teść, bijąc czasem tylko dla rozrywki. Trójkę dzieci (zapewne z racji młodego wieku) urodziła przedwcześnie (w siódmym miesiącu ciąży) i umarły. Mąż i jego rodzina uznali ją w końcu za nieudacznicę i wyrzucili z czwórki potomstwa za próg. Do rodzinnego domu nie miała już wstępu. Otrzymała skrawek poletka, bo było już po II wojnie światowej i w życie weszła reforma rolna. Ziemia uratowała ją i jej dzieci przed śmiercią głodową. „Ręce puchły mi od roboty” – napisała.

„Serce moje płacze”

Podsumowując końcówkę swojego życia, określa ją jako „dobrą”. Wychowała dzieci. Na starość nie została sama, zaopiekowali się nią córka i zięć. Pozostałe dzieci „poszły do miasta”. Była z nich dumna, bo zamieszkały w blokach i dorobiły się. Udało im się „nawet” kupić telewizor i samochód. Trzeba bowiem przyznać, że po wojnie, mimo komunistycznego terroru, wieś zaczyna się zmieniać. Trwa elektryfikacja, budowa dróg, powstaje więcej szkół, pojawiają się przedszkola, a nawet przychodnie i szpitale. W latach 60. co zamożniejsze rodziny kupują pralkę, maszynkę do gotowania na prąd. Z chat i czworaków przeprowadzają się do murowanych (ale często bez bieżącej wody, łazienek i toalet) domów. ➔



Pojawienie się pralki „Frania” uznawano za przejaw postępu. Warszawa, lata 70.

kobiety byłby czymś nie do pomyślenia, choć mąż często stawiał się katem. Podnosił na żonę rękę codziennie – czasem bił lekko, a czasem do krwi.

Jedna z autorek słyszała od męża: „jak ci się nie podoba, wont”. W ataku furii męczyzna pobiegł rozbierać stodołę, którą kobieta własnoręcznie wybudowała. Zrozpaczona żona uklękła. Zaczęła się modlić. „Gdzie jesteś, czego nie widzisz krzywdy ludzkiej?!” – pytała Boga, a zapłakana córka błagała: „nie niszcz!”. „Wówczas ojciec odrzucił córkę od siebie i nie zastanawiając się uderzył drągiem w rękę. Córka zbladła, ręka zwinęła się w pałąk. Wszystkie siostry męża oraz rodzice przyglądali się tej scenie. Cieszyło ich to widać” – wspominała kobieta.

„Swoje dzieci wychowywałam przeważnie sama. Mąż był zajęty gospodarką, dzieci go tam nie bardzo obchodziły, zresztą jak każdego ojca” – zanotowała Maria Kozłowa, a jej córka dodawała, że przykuty już do łóżka ojciec, którego wkrótce miała osiągnąć śmierć, próbował jeszcze „bić ją laską”. Choć go pielęgnowała.

Ojcowie bywali zazwyczaj oschli emocjonalnie i brutalni; nie przejmowali się dziećmi. Matki miały je więc niemal stale przy sobie. Obowiązki domowe i „w obejściu” przeplatały z pielęgnacją potomstwa. Niemowlęta zawiązywały w chustę, szły z nimi w pole i do obory. Wieczorem czasem kąpały. Matki długo też pozostawały wierne ludowym przekonaniom. Nogi – by rosły prosto – krępowały „powijakami” (ciasno zawiązany materiał). Przed snem w ustach niemowlaka umieszczały „mojdę” (cukier lub ziemniaki zawinięte w lnianą szmatkę), a kiedy dziecko usnęło, siadały przy krosnie i przędły len. Trochę większe dzieci karmiły w następujący sposób: każdy kawałek ziemniaków i chleba przeżuwały same (chcąc zapobiec zakrztuszeniu) i podawały im do ust.

Choć dzieci rosły „przy matce”, to ojcowie decydowali o ich przyszłości. Mogły „iść na naukę do miasta” albo paść gęsi. Ojciec Marii Kozłowej postanowił, że córka będzie się kształcić. Kiedy jednak pojawiła się w tarnobrzelskiej szkole, miejskie dzieci krzyczały: „Ty chamie, po

→ Zmieniają się także obyczaje społeczne. Wciąż co prawda (w niektórych regionach Polski nawet do lat 70.) zdarza się swatanie i aranżowanie małżeństw, ale nie jest już tak powszechne, jak kiedyś.

Pamiętniki kobiet urodzonych na początku XX wieku noszą tytuły: „Tylko pełno utrapień i smutku”; „Zostaję sprzedana”; „Serce moje płacze”; „Do chłopca trzeba się przyzwyczaić”. We wspomnieniu „Nie pochwalam dawnego” urodzona w 1905 r. gospodyni z Lubelszczyzny napisała: „Za jedenaście miesięcy po ślubie urodziłam syna, żył dwa tygodnie i zmarł. Nie miałam nikogo, jedyną pociechą moją była babka [babcia męża – red.]. Za-

wsze mi mówiła: Nie płacz, moje dziecko. Każda kobieta to jest niewolnica, to i ty nie będziesz wybrana”.

Maria Kozłowa, urodzona w 1910 r. w nieistniejącej już wsi Machów, jest jedną z autorek wspomnień, której imię i nazwisko udało się ustalić. I odnaleźć jej wciąż żyjącą córkę, Dorotę. Maria nie chciała wychodzić za mąż. „Byłam twarda i chłopcy mnie nie bardzo lubili” – napisała. Może bojąc się samotności albo marząc o dziecku, zdecydowała się na ten krok tuż przed trzydziestką. „Ani to nie była miłość, ani żadne interesy” – napisała. Nie byli jednak szczęśliwi, więc opuściła męża. Przed wojną rozwód wiejskiej

co tu przysłaś?”. Miejsce w ławce zrobiła Marii Żydówka. Dziewczynka wróciła do domu zalana łzami.

Dzieci zwracali się do rodziców: „proszę mamy”, „proszę taty”. Nie mówiło się „ty”. Jednocześnie w swoich wspomnieniach kobiety często piszą o nich „mamusia” i „tatus”, choć wychowanie było ostre. Bili rodzice, bili nauczyciele. Na podstawie „Wspomnień kobiet wiejskich” dr Sylwia Michalska z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN w 2016 r. stworzyła analizę „Przemoc domowa wobec kobiet w społecznościach wiejskich”.

„Chlebuś”

To nie dom, ale wiejska wspólnota dawała kobietom poczucie więzi. Ale była też więzieniem. Stąd nie można było tak po prostu uciec. Chyba że do miasta, na służbę, gdzie los bywał równie tragiczny, jak na wsi. Opisała go Joanna Kuciel-Frydryszak w książce o wymownym tytule „Służące do wszystkiego”.

Wiejskie kobiety bały się wielkich skupisk ludzkich. One kochały ziemię. Uważały ją za swoją „matkę”. Jak piszą: „karmicielkę”. O pracy, choć często odbierającej siły, pisały z szacunkiem. Uprawa ziemniaków i kapusty (którą szatkowano, solono i w drewnianej beczce ugniatały gołymi stopami, by ukusić na zimę) była wręcz rytuałem. Zboże pielęgnowały i zbierały własnymi dłońmi. Ręcznie je młóciły. Z maki i wody zagniaty ciasto na chleb, modląc się przy tym. Maria Kozłowa – by oddać mu należyty szacunek – nie używa słowa chleb, pisze „chlebuś”. Wypiekało się go raz na tydzień albo nawet rzadziej i zjadało do piętki. Nie wolno było wyrzucić ni okruszka. „Lubiłam bardzo sadze-

Spaleniznę z garnków wiejskie kobiety zdrapywały paznokciami.

Paznokcie łamały się, a w końcu schodziły. Pojawienie się po wojnie plastikowych zmywaków uważano wręcz za osiągnięcie cywilizacyjne.

nie ziemniaków. Gdy wszystko wzeszło, była moc plewienia. Mama twierdziła, że szkoda mnie do miasta, bo umiem fajnie plewić mak. Sadziłam równiutko jarzynki, pielęgnowałam pomidory, ogórki. Robiłam porządek w ogródku, siałam maciejkę, nasturcję” – pisze gospodyni spod Krakowa, urodzona w 1942 r.

Gotówka pojawiała się w wiejskich domach rzadko: gdy mężczyźni wracali z podróży za chlebem do USA czy do Brazylii. Albo wtedy, gdy raz, dwa razy w roku udało się sprzedać hodowaną z troską świnię. Wtedy na zakupy do miasta szła kobieta. Dzień wcześniej mierzyła dzieciom stopy (przy pomocy patyczka) i głowy (przy pomocy nitki), by kupić buty oraz czapki. Żeby zdążyć z wszystkim, wstawała o drugiej w nocy. Ubierała się, zawiązywała na głowie chustę, robiła znak krzyża i z koszykiem w dłoni opuszczała dom. Kilkadziesiąt kilometrów szła w drewniakach. Kupowała rzeczy niezbędne: mydło, garnek, machorkę (dla męża), śledzie, trochę łakoci dla dzieci. I dwie bułki – jedną z nich jadła w drodze

powrotnej. Tego wieczora już nie siadała do krosna. Ze zmęczenia zasypiała razem z dziećmi.

■ ■ ■

W drugiej połowie XX w. do Polski wkroczyła industrializacja. Przyniosła zmiany nie tylko w postaci (często niechcianej) kolektywizacji rolnictwa, ale i w wiejskich rytuałach, ubiorze, architekturze, kulturze. Z kolei przemysł odciaży przeludnioną wieś – w 1921 r. chłopci stanowili 75 proc. polskiego społeczeństwa! Z każdym dziesięcioleciem będzie ich mniej. To, co dla jednych stanie się szansą, dla innych oznacza koniec świata. Niektóre wsie zostaną wręcz unicestwione. Np. we wsi Machów (z której pochodziła Maria Kozłowa) odkryto złoża siarki. Mieszkańców przesiedlono, domy rozebrano, sady wycięto.

W 2021 r. wydawnictwo Książka i Wiedza udzieliło zgody na umieszczenie kilku pamiątek na Witrynie Wiejskiej, stronie internetowej prowadzonej przez Fundację Wspomagania Wsi. „Wspomnienia” biją dziś rekordy popularności. Jednocześnie dr Elwira Wilczyńska z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN przeszukuje zbiory Archiwum Akt Nowych. Okazuje się, że zachowały się szczątki pamiątek nadesłanych na konkurs w 1970 r., przetrwały też rękopisy niepublikowane we „Wspomnieniach”. Być może wkrótce „Wspomnienia kobiet wiejskich” ukażą się na nowo, rozszerzone.

© MAGDALENA KOWALCZYK
MAŁGORZATA NOCUŃ

Magdalena Kowalczyk pracuje w Fundacji Wspomagania Wsi.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim I Wydział Cywilny, pod sygn. I Ns 662/20, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Kazimierzu Miąskiewicz, zm. 23 listopada 2016 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Chełmie I Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 688/21 toczy się postępowanie z wniosku Elżbiety Furmaniuk i Zenona Furmaniuka z udziałem Stanisława Adamczaka, Teresy Nieszpor i Grażyny Adamczak o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia przez Elżbietę i Zenona małżonków Furmaniuk udziału w wysokości 30/120 części w prawie własności nieruchomości stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 910 o powierzchni 0,0460 ha, położonej w Chełmie przy ul. Ogrodowej 19, jednostka rejestrowa gruntów G622, obręb ewidencyjny 14 (066201_1.0014), dla której Sąd Rejonowy w Chełmie VI Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr KW LU1C/00004340/5.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do przedmiotowej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Wysokie stanowisko

MARCIN CHODUŃ

To nie są żarty. 271 schodów prowadzi na wysokość osiemnastego piętra. Dlatego hejnalista musi mieć kondycję i siłę. Bez dwunastu podciągnięć na drążku nie dostanie pracy na wieży.

PO RAZ PIERWSZY USŁYSZAŁ GO W SAMO południe u babci w Nowej Hucie; miał wtedy dziesięć lat, może ciut więcej. Gdy z radiowego głośnika popłynęły pierwsze takty hejnału, babcia rzuciła od niechcienia, na wiatr: „Krzysiu, jak już będziesz muzykiem, to może też kiedyś cię tu usłyszymy?”. Owszem, Krzysiek Hatlaś, 25 lat, chodził wtedy do szkoły muzycznej, gdzie grał na trąbce. Był zarażony pasją do tego instrumentu przez swojego ojca, trębacza-amatora, ale wtedy nawet nie pomyślał, że słowa babci mogą się ziścić. Dopiero gdy w grudniu 2020 r. zobaczył informację o naborze na stanowisko krakowskiego hejnalisty – przynajmniej – przez głowę przemknęła mu myśl, że to być może jego przeznaczenie. Wcześniej nawet nie wiedział, jak można dostać taką posadę.

Informację znalazł na Facebooku, u znajomej, która sama zgłosiła się na rekrutację ogłoszoną przez krakowską straż pożarną. Papiery złożył trzy dni przed wymaganym terminem. Od 1 sierpnia 2021 r. pełni już regularne wachty na Hejnalicy mariackiej.

Informacyjnie

Co wiemy o hejnalistach sprzed wieków? Jako pierwsi z wieży mariackiej grali najpewniej madziarscy wojacy, którzy przybyli do Krakowa wraz z królową węgierską Elżbietą, siostrą Kazimierza Wielkiego – przywożąc ze sobą nie tylko beczki wina, ale także melodię „hajnału” – czyli pobudki trąbionej w obozie wojakowym (*hajnal* znaczy po węgiersku świt, jutrzeńkę lub zorzę poranną). W dokumentach miejskich z 1392 r. widnieje zapis o tygodniowej zapłacie wynoszącej 8 groszy dla strażnika wieży oraz o pół grosza wyższym wynagrodzeniu dla trębacza. Już wówczas hejnał odgrywano z wyższej, północnej wieży kościoła Najświętszej Marii Panny – dwa razy dziennie, informacyjnie. Jako sygnał do otwar-

cia i zamknięcia miejskich bram oraz w razie zagrożenia. Zwyczaj grania melodii co godzinę i na cztery strony świata pojawił się w późniejszych wiekach.

Okazuje się, że także legenda o trębaczu trafionym tatarską strzałą nie ma zbyt długiego rodowodu. W XIX-wiecznych pracach dotyczących Krakowa (choćby archeologa, historyka i filozofa Józefa Łebkowskiego czy prawnika, a zarazem znawcy historii Krakowa Klemensa Bąkowskiego) nie ma o tej historii najmniejszej wzmianki. Wedle prof. Karola Estreichera legendę zmyśliła na poczekaniu krakowianka Aniela Pruszyńska, oprowadzając w 1919 r. po Krakowie amerykańskiego twórcę literatury dla młodzieży Erica Philbooka Kelly’ego. W 1928 r. ukazała się w USA książka jego autorstwa pt. „Trębacz z Krakowa” (*The Trumpeter of Krakow*) – i od tej chwili legenda zaczęła żyć swoim życiem.

Od 13 lutego 1838 r. melodia grana z wieży wyznaczała punktualnie godzinę dwunastą, natomiast 16 kwietnia 1927 r. hejnał na żywo nadało na cały kraj Polskie Radio. Dziś jest to najstarsza stała audycja radiowa na świecie. Co prawda na początku II wojny światowej niemieckie władze okupacyjne zakazały hejnału na kilkanaście miesięcy, ale ponownie zaczął rozbrzmiewać od 24 grudnia 1941 r.

Wyższa wieża kościoła Najświętszej Marii Panny, zwana Hejnalnicą lub Strażnicą (*Excubarium*), jest zbudowana na planie kwadratu, który na wysokości dziewiątej kondygnacji zmienia się w ośmiobok z ostrołukowymi wnękami; każda z nich skrywa dwie kondygnacje okien. Wieża ma 82 m. Hejnał rozbrzmiewa z pomieszczenia znajdującego się na wysokości 54 m i grany jest na cztery strony świata. W pierwszym okienku – w stronę Wawelu, czyli dla króla. Następnie w okienku trzecim – w kierunku placu Szczepańskiego, czyli dla burmistrza. Potem z piątego okienka



– w stronę Bramy Floriańskiej, czyli dla gości odwiedzających Kraków. I na końcu – w kierunku ulicy Westerplatte, czyli dla komendanta straży pożarnej.

Hejnał to niejedyna melodia odgrywana z wieży mariackiej. W pierwszą sobotę miesiąca dla upamiętnienia śmierci Jana Pawła II hejnalisci grają „Barkę”, w październiku trzy razy dziennie odgrywają melodie maryjne, w święto niepodległości hymn państwowy, natomiast w święto straży – hymn strażaka. Od niedawna pracę hejnalistów można obserwować w internecie.

Wysoko

To nie żarty – wejście na górę to naprawdę niełatwa sprawa. 271 schodów prowadzi na wysokość mniej więcej osiemnastego piętra – po wejściu potrzeba dłuższej chwili, żeby wyrównać oddech.

– Ciężko, prawda? – żartuje na powitanie Krzysztof Hatlaś, a ja, ledwo dysząc, pytam, czy pamięta swój pierwszy dzień tutaj. Jak mógłby nie pamiętać?! W nocy



*Hejnalista Krzysztof Hatlaś.
Kraków, 16 sierpnia 2021 r.*

przecież w zespole eventowo-weselnym. Teraz zresztą wraz z siostrą, szwagrem i przyjacielem znowu grają po weselach – nie tylko muzykę biesiadną, ale także hawajską, latynoską i tę z lat 60.

Emocje udało mu się w końcu opanować – pierwszego dnia Krzysiek zagrał także hejnal do radia o 12.00. Dziś po wielu wachtach czuje się już zdecydowanie pewniej. Nadal jednak, gdy podchodzi do okienka, czuje lekkie ucisk w piersiach.

– Tak naprawdę to nigdy nie przechodzi – przyznaje Michał Kołton, 36 lat, najstarszy obecnie stażem krakowski hejnalista. – Nawet po siedemnastu latach służby.

Bo trąbka, tłumaczy, przecież nie gra sama – instrumentem tak naprawdę są usta. Dmucha się do ustnika i dopiero wtedy trąbka dostaje dźwięk. Więc zawsze jest mały stres, że coś może się nie udać. Hejnalisci mówią sobie jednak często, że nawet jeśli ktoś się pomyli, to przecież nic się nie stanie – ludzie przy najmniej wtedy wiedzą, że wszystko odbywa się na żywo.

Poza tym, dodaje Michał, mówi się, że tyle hejnałów, ilu hejnalistów. Zapis nutowy melodii pozwala bowiem na to, że można ją interpretować na wiele sposobów. Jedną nutę można zagrać dłużej, inną krócej. Każdy hejnalista bez trudu rozpoznaje, który z kolegów gra danego dnia.

Hejnal w domu Michała to właściwie sprawa rodzinna – na wieży służyli jego dziadek (przez 34 lata, od 1945 r.) i ojciec (33 lata, od 1971). Do dziś zresztą całą rodziną – z żoną, córką i małym synkiem – słuchają hejnału w radiu o 12.00. Gdy jego ojciec przeszedł na emeryturę w październiku 2004 r., Michał wkrótce zajął jego miejsce.

Na wieży bywał już jednak wcześniej – właściwie od dzieciństwa. Ojciec wniósł go na górę, gdy miał może roczek. Samodzielnie wszedł na wieżę w wieku sześciu lat, a pierwszy hejnal zagrał, gdy miał mniej więcej dziesięć. W letnią noc ojciec powiedział mu, żeby sobie zagrał – no więc zagrał.

Stabilnie

Ojciec Michała pamięta czasy, kiedy hejnalista wynosił na górę w jednej ręce wiadro z węglem na opał (na górze paliło się w kociołku), a w drugiej wiadro służące

przed wachtą spał ledwie kilka godzin. Służbę zaczął o 7.30, przy okienku stanął o 8.00. Inny hejnalista, Kamil Stefańczyk, który odbywał z nim wachtę, zapytał, czy Krzysiek od razu chce zacząć. „No pewnie!”.

– Dopiero po otwarciu okienka dotarło do mnie, gdzie jestem. Nie było łatwo, ale jakoś „postawiłem” pierwsze dźwięki – wspomina Krzysiek.

Na egzaminie też nie było łatwo – stało się 35 kandydatów (wśród nich trzy kobiety). Na początku był test sprawnościowy: podnoszenie na drążku (minimum 12 razy), bieganie na czas po kopercie i beep-test, czyli kilkustopniowy bieg wahadłowy (tam i z powrotem) w odcinkach 20-metrowych (celem jest sprawdzenie wydolności tlenowej). Krzysiek wyłożył się już na drążku, podciągając się na nim ledwie pięć razy. Reszta egzaminowanych też oblała ten test.

Po pierwszym etapie był miesiąc przerwy. Krzysiek zawiązał się i poszedł na siłownię – na ostro. Brat rozpiął mu pro-

gram treningowy na cały tydzień, a po niecałym miesiącu podciągał się już 15 razy. Resztę sprawnościówki także zaliczył bez problemu.

– Aha! – dodaje. – Po egzaminie kandydaci zostali poddani tak zwanemu „testowi akrofobii”, czyli mieli wspiąć się na 20-metrową drabinę strażacką. Celem było sprawdzenie, czy nie mają lęku wysokości.

Następny etap selekcji kandydatów – gra na trąbce. Zagrał hejnal, potem pieśni maryjne i „Barkę”. No i jeszcze utwór, który niegdyś wykonał na pogrzebie: „The Sound of Silence” Simona i Garfunkela. Nie kryje – chciał się wyróżnić spośród pozostałych egzaminowanych.

Rodzinnie

W sumie jak na pierwszy raz Krzyśkowi poszło całkiem dobrze, ale i tak po zagranii hejnału na całe miasto przez pół dnia był w szoku. I to pomimo że wyjście na scenę i zrobienie show to dla niego normalna sprawa. Przed pandemią grał

→ za ubikację. Obecnie jest zupełnie inaczej. Hejnaliści mają do swojej dyspozycji mały pokoik.

– O, proszę – drzwi do pomieszczenia otwiera Kamil Stefańczyk, 26 lat, pełniący dziś służbę z Krzyskiem. – Jest socjal, mamy nową kuchenkę, jest lodówka, telewizor, mikrofalówka, komputer. Wszystko jak w domu. Na kondygnacji poniżej mamy jeszcze jedno pomieszczenie, w którym jest większa kuchenka i łazienka z prysznicem.

Pokoik niczym w akademiku: kanapa, na ścianie obraz Matki Boskiej i św. Floriana. Ponadto: trąbki i czapki. W szafach, tłumaczą hejnaliści, każdy trębacz ma swój mundur.

Atmosfera też istic studencka.

– Na jednej z moich pierwszych wacht poczułem, że wieża się chwieje – śmieje się Krzysiek. – Dopiero Kamil mi wytłumaczył, o co chodzi.

– Ja też nie wiedziałem, że to jest możliwe – opowiada Kamil. – Gdy pierwszy raz to poczułem, myślałem, że może po prostu kręci mi się w głowie. Okazało się jednak, że gdy w niedzielę biją dzwony na niższej wieży, to Hejnalica się rusza. Jeszcze gorzej jest w czasie wietrznych burz.

Kamil ma 26 lat, mieszka w Bodzentynie za Kielcami (dojeżdża na służbę 150 km). Zawsze chciał służyć w straży pożarnej, ale jego marzeniem była prawdziwa służba, z wyjazdami na akcje, z ogniem. Startował więc w kilku naborach – u siebie w Bodzentynie i w innych miejscach w Polsce. Jednak bez powodzenia. Dwa i pół roku temu ojciec zadzwonił do niego, że jest nabór na hejnalistów w Krakowie. I co to dużo mówić – Kamil po prostu poczuł, że się dostanie.

Gdzie nauczył się grać na trąbce? Przy OSP w Bodzentynie jest orkiestra – już w drugiej klasie szkoły podstawowej zaczął w niej występować. Podobało mu się, ale nigdy nie myślał, że będzie mógł te umiejętności wykorzystać. I ułożyć sobie dzięki nim życie. Dziś ma żonę i małego synka.

Krzysiek: – Być może gdyby nie moja dziewczyna, to by mnie tu nie było. Zawsze podchodziłem do życia raczej na luzie. Przez związek człowiek jakoś poważniej zaczyna myśleć o życiu i o tej drugiej osobie. Więc stwierdziłem, że stała praca by się przydała. Czyli moja życiowa stabilizacja zaczęła się na wieży, która się chwieje!

Zawsze jest stres, że coś może się nie udać. Hejnaliści mówią jednak, że nawet jeśli ktoś się pomyli, to nic się nie stanie.

Ludzie przynajmniej wiedzą, że wszystko odbywa się na żywo.

Samotnie

Niespodziewane sytuacje? Czasami, mówi, do wnętrza wieży wpadają ptaki. I bardzo dużo nietoperzy. Ostatnio wleciał język. Co wtedy robią? Po prostu zamykają drzwi, otwierają wszystkie okna i czekają.

Minusy służby? Często siedzi się zbyt wiele godzin samemu.

Wachta trwa 24 godziny (nie można ani na chwilę zejść z wieży) i zwykle na służbie jest dwóch trębaczy. Wachty w pojedynkę zdarzają się jednak niezwykle – zwłaszcza w okresach urlopowych, w czasie świąt lub w razie choroby. Potem każdemu trębaczowi przysługuje 48-godzinna przerwa.

Krakowska straż pożarna zatrudnia siedmiu hejnalistów i została założona w 1862 r. jako Ochotnicza Straż Ogniowa (po wielkim pożarze Krakowa w 1850 r.). Swą pierwszą siedzibę miała w krakowskich Sukiennicach i od tamtego czasu strażacy grają hejnał z wieży, jednocześnie wypatrując ognia w mieście.

– Najcięższe służby są w czasie świąt, zwłaszcza w Wigilię – opowiada Michał Kołton. Oj, kiedyś Michał dużo takich Wigilii przesiedział zupełnie sam. Starsi koledzy brali najczęściej urlopy na święta, by spędzić je z rodziną. Michał jako najmłodszy stażem nie miał wówczas zbyt wiele do powiedzenia – swoje trzeba było odsiedzieć. – Ale w pandemii też bywało ciężko – mówi. – W czasie lockdownów za słuchaczy mieliśmy jedynie gołębie. Gdy na Rynku nie ma żywej duszy, wtedy trąbi się „na smutno”.

Kamil: – Jak się jest we dwóch, to zupełnie inna bajka. Pogadamy sobie, coś zawsze razem się robi. Czasami oglądamy telewizję. Trzeba się jednak pilnować, żeby nas to za bardzo nie pochłonęło. Czy gramy na komputerze? No nie, tego nie wypadałoby nam robić.

Michał: – We dwójkę można podzielić się wachtą: jeden śpi sześć godzin, potem zastępuje kolegę.

Jakie są zarobki?

Krzysiek: – Mamy identyczne pensje jak strażacy w każdej jednostce w Polsce, bo reguluje to ustawa. Wynagrodzenie jest uzależnione od stanowiska i stopnia. Ja dostałem na początek nieco ponad 3 tys. złotych na rękę. Muszę odsłużyć kilka lat i będzie lepiej.

Michał: – Mamy tyle czasu wolnego pomiędzy wachtami, że każdy gdzieś jeszcze dorabia. Niektórzy chodzą po weselach i pogrzebach, jeden z kolegów naprawia instrumenty. Ja zajmuję się budowlanką: wykonuję prace remontowe.

Czy któryś żałuje decyzji o podjęciu pracy na wieży? Żaden. A Krzysiek wręcz mówi: – Mogę sobie wyobrazić, że pracuję tu do emerytury. I zaraz dodaje: – Nie! Marzę o tym.

Troskliwie

Jak ludzie reagują, gdy dowiadują się, że właśnie spotkali hejnalistę?

Krzysiek: – Chyba każdy w Polsce zna hejnał mariacki, więc w jakimś stopniu jesteśmy znani. Na moich znajomych na pewno robi to wrażenie. Są szczęśliwi, że mają kolegę na wieży, którego mogą odwiedzić.

Kamil: – Ja swoim zajęciem raczej się nie chwalę. Wiele osób w Bodzentynie nie wie w ogóle, że jestem hejnalistą. A gdy się o tym dowiadują, często pojawia się zdziwienie: to strażacy grają na wieży mariackiej?

Michał: – Bywa, że hejnał czasami trudno usłyszeć. Zwłaszcza w lecie, gdy na rynku są tłumy ludzi. Wtedy zdarzają się telefony do jednostki, że hejnalście chyba coś się stało. Zaprzyjaźniły się z nami zwłaszcza dwie krakowianki: martwią się, czy u nas na wieży wszystko w porządku, więc na święta wysyłają kartki i dzwonią z życzeniami. To miłe, że ktoś o nas pamięta.

■ ■ ■

Zbliża się pełna godzina. Gdy zegar wybija ostatnie dźwięki, Krzysiek sprawdza jeszcze na boku trąbkę, wygrywając na niej kilka dźwięków.

– Szkoda, że babcia nie dożyła tej chwili – mówi, podchodząc do okienka. – Mam nadzieję, że jest dumna tam, na górze, gdy słyszy wnuka.

© MARCIN CHODUŃ

JACEK

Podsiadło: Rząd przygotowuje narzędzie



LUBIĘ, KIEDY RZĄD PAŃSTWA PRZYZNAJE, że jest bytem osobnym od państwa rozumianego jako ogół obywateli. Kiedy ustami rzeczników i pełnomocników zapewnia, że rząd się wyżywi albo że

nie ma mieszkań dla uchodźców, sam zmuszony jest gnieździć się w skromnych apartamentach i 886 ośrodkach wypoczynkowych i konferencyjnych. Lubię też, kiedy wywołany do tablicy rząd zmuszony jest wydukać, że nie jest przygotowany: a to do pandemii, a to do kryzysu uchodźczego...

Nie lubię natomiast, kiedy rząd rozmywa odpowiedzialność i zaciera ślady własnej nieudolności. Ogromna różnica w skuteczności działania organizacji, z grubsza biorąc, rządowych i tych, które w swej nazwie mają przymiotnik „pozarządowe”, widzialna była gołym okiem dla każdego, kto nie przespał rosyjskiej napaści na Ukrainę. Jakby trzymanie się z daleka od rządu samo w sobie gwarantowało powodzenie wszelkich przedsięwzięć. Powołany przez rząd pełnomocnik ds. ukraińskich uchodźców Paweł Szefernaker podczas pierwszej swej konferencji wyraził jednakowoż opinię, jakoby na początku wojny rząd zdał egzamin celująco: „To przede wszystkim działania służb mundurowych, m.in. WOT, Policji czy Straży Pożarnej i Granicznej” itd. Znamienne, że kiedy organizacje pozarządowe i prywatni ludzie wliczają, ilu Ukraińcom pomogli, ile zebrali towaru i ile transportów wysłali na Ukrainę, rząd „podejmuje działania”, „w płynny sposób kontynuuje” te działania, „podejmuje kolejne inicjatywy”, „przygotowuje narzędzie” i „dostosowuje prawo” (wszystkie te knoty wyjąłem z ust rzecznika i pełnomocnika rządu).

Sporo czasu spędziłem w okolicy granicy po 24 lutego i byłem świadkiem „działań służb mundurowych”. Żołnierzy WOT w ogóle nie widziałem, ale oni mają takie mundurki maskujące, że zlewają się z otoczeniem, więc może dlatego. Straż pożarną widywałem w pogotowiu, ale nigdy w akcji, na ogół chłopaki wyglądali, jakby na coś czekali, może aż zacznie się palić. Policja, trzeba to przyznać, stała i poza tym, że oślepiła kogutami, to w ogóle nie przeszkadzała. Stała zarówno przed przejściem granicznym, gdzie udzielała twierdzących odpowiedzi na pytanie „Na Ukrainę prosto?”, jak i w ośrodkach dla uchodźców, gdzie na ogół stała przed wejściem i lubiła pogadać, co już należy uznać za sukces. Ponadto policja drogowa anulowała mi mandat za przekroczenie prędkości, kiedy się dowiedziałem, że jadę na Ukrainę, co odebrałem jako wyraz uznania dla osoby nieumundurowanej podejmującej działania, których służby mundurowe nie podjęły. Przy działaniach straży granicznej warto się zatrzymać, bo świetnie się ona nadaje na model pokazujący, jak i dlaczego państwo w sy-

tuacjach, w których mogłoby się do czegoś przydać, nie działa.

Cały aparat państwowy i wszystkie jego „narzędzia” mozolnie się doskonalili do działań wymierzonych przeciw człowiekowi. Straż graniczna uczona przez lata, jak utrudniać i opóźniać przekroczenie granicy, w ogóle nie jest nauczona, jak można tę czynność ułatwić. Do odkrycia przez polską straż graniczną możliwości wbijania pieczętek osobom siedzącym w samochodach doszło na moich oczach w drugim tygodniu wojny. Niestety, wynalazek ten, choć świetnie funkcjonował, zaraz potem zarzucono.

Wszyscy widzimy, z jakim trudem rząd uczy się korzystać z nowoczesnych narzędzi elektronicznych, tych wszystkich „systemów informatycznych”, o których ma pojęcie seniora świeżo po nieudanym kursie. Kiedy już rząd opanuje umiejętność obsługi jednym palcem tych narzędzi, wykorzystuje je do inwigilacji i ograniczania wolności obywateli (o, niezapomniana aplikacja Kwarantanna Domowa!). Jak te narzędzia przestawić w tryb pomagania obywatelom, rząd nie wie, tym bardziej że te nowoczesne aplikacje w ogóle nie posiadają widzialnej wajchy. Poza nieutrudnianiem mi podróży niczego tak nie potrzebowałem od państwa na początku wojny, jak zaplecza logistycznego. Tysiące Ukrainek z dziećmi wzywały pomocy z zatłoczonych dworców w zakorkowanych miastach. Setki Polaków próbowały do nich dotrzeć i wywieźć do Polski. Siłą rzeczy próby skomunikowania jednych z drugimi podjęły się kanały Telegramu i Facebooka zajmujące się dotąd komercyjnym transportem z Ukrainy do Polski. Ilu nieporozumień by się uniknęło, ile mniej by było płaczu dzieci, ile czasu i benzyny by się zaoszczędziło, gdyby nie amatorzy-wolontariusze, ale zespół profesjonalistów urządził sobie hackathon i szybko stworzył system wymiany informacji między jednymi i drugimi, tego już nikt nie wyliczy.

Po miesiącu wojny z dworców kolejowych zaczęto wypraszać wolontariuszy, ponieważ po odwaleniu przez nich czarnej roboty kolej państwowe zaczęły się bać chaosu, a nawet zagrożenia terrorystycznego. Z czasem, kiedy rząd opanuje trudną sztukę apdejtowania mieczy na lemesie, cała pomoc dla Ukrainy ujęta zostanie w organizacyjne karby, dokona się relokacji zgodnie z harmonogramem, wszyscy uchodźcy zostaną ponumerowani i sytuacja się unormuje. Ostatnio ciągle wraca do mnie taki flashback, że jakiś ważny urzędnik na stanowisku z komputerem służbowym pomyli backslash z push-backiem, system padnie, świat nam się zawali i znów wszystko będzie zależeć od ludzkich odruchów. ©

PORTRET



NIE RUSZ MOICH KÓŁ

Putin nie zniszczył mi marzeń i nie zmienił życia.
No dobra – trochę zmienił. Ale ja mu za to wyrzuciłam
rosyjskie zawody z kalendarza sportowego.

EDWARD AUGUSTYN

NAJBARDZIEJ TĘSKNIĘ ZA MAGNOLIAMI. Teraz jest ich czas – mówi Wiktor, przeglądając na ekranie smartfona zdjęcia kwitnących krzewów. Do wojny mieszkała w Kijowie, blisko starego ogrodu botanicznego pełniącego dziś funkcję miejskiego parku. Jest tam zakątek magnolii wszystkich gatunków świata: białych, różowych, czerwonych, nawet żółtych. Kwitną wcześniej, zanim rozwiną liście.

Mówię, że dla Włochów magnolia to symbol siły przetrwania. Nie wiedziała, ale nie jest zdziwiona. Rozmawiamy po włosku. Nauczyła się go w kijowskim Instytucie Kultury. Mówi płynnie, choć czasem brakuje jej słów. Proszę wtedy, by przeszła na ukraiński. By mówiła bardziej z serca niż z głowy.

Zwycięstwo

Pierwszy raz zobaczyłem ją 27 marca na rzymskim maratonie. Biegła z ukraińską flagą. Dla dziennikarzy była łakomym kąskiem – udzieliła wywiadów chyba wszystkim kanałom telewizyjnym. Opowiadała o wojnie i o tym, jak z dziesięcioletnim synem Lwem uciekała z Kijowa do Warszawy. Mówiła, że biegnie po zwycięstwo – nie swoje, ale Ukrainy. I jeszcze te symboliczne imiona. W mediach społecznościowych pojawiły się komentarze, że na pewno nie jest uchodźczynią, tylko od lat mieszka we Włoszech. Że została opłacona i że jest ukraińską nacjonalistką.

– Widziałeś? – pyta, gdy dwa tygodnie później spotykamy się w Polsce. Pokazuje mi profil jednej z autorek komentarzy. Dziewczyna namawia Rosjan mieszkających we Włoszech, by malowali literę „Z” na samochodach tych, którzy trzymają z Ukraińcami.

– Zrobiłam screena i rozesłałam do mediów. Takich rzeczy nie daruję.

Nie darowała też organizatorom triathlonu Wild Siberia XTreme w Krasnych Worotach, w górach Altaju, gdzie miała startować. Skomentowała na ich stronie rosyjską napaść na Ukrainę. Usunęli wpis i zablokowali komentarze. Napisała więc do organizatorów ligi Xtreme World Tour, by cofnęli rosyjskim zawodom akredytację. No i zostały usunięte z kalendarza.

– Tak, jestem zawzięta – przyznaje. Ale pokazuje zdjęcia znajomych, którzy

zginęli na wojnie, i fotografie zniszczonych miejsc, które dobrze знаła. Opowiada o ludziach, którzy stracili bliskich i nie mają dokąd wracać. Ona miała szczęście – raz, że ocalała, dwa, że nie musiała z synem spać na dworcu. Ani marzyć się o pracę. Jej firma, Playtika, izraelski producent gier komputerowych, ma w Polsce oddziały. Wynajęła hotele w Warszawie i Gdańsku dla pracowników z Kijowa oraz ich rodzin.

– Jestem im bardzo wdzięczna. Nie dość, że od razu miałam gdzie mieszkać i za co żyć, to jeszcze opłacili mi bilet lotniczy do Bostonu.

Bo Wiktor zapisała się jeszcze przed wojną na bostoński maraton – jeden z największych w świecie, marzenie wszystkich biegaczy (odbył się w wielkanocny poniedziałek, ukończyła go z wynikiem 3 godz. 27 minut”).

– Żaden Putin nie zniszczy moich marzeń i nie zmieni mojego życia – mówiła mi na kilka dni przed wylotem – No dobra. Trochę zmienił. Ale ja mu za to wyrzuciłam rosyjskie zawody z kalendarza ligi.

Ucieczka

W tamtą środę, 23 lutego, była wieczorem w teatrze. Do domu wróciła późno. Rano obudził ją telefon od mamy, która mieszka w Moskwie. Pytała, czy to prawda, że jest wojna. Potem były pierwsze alarmy i ucieczki do metra. Drugiego dnia spakowała rzeczy dla siebie i syna, trochę jedzenia i kilka książek. („To, co akurat leżało na wierzchu: »Viaggio in Italia« Goethego, album z malarstwem Anatolija Krywołapa, coś z psychologii behawioralnej i zbiór reportaży Aleksandra Micheda »Zmieszam twoją krew z węglem« – o Doniecku i Ługańsku”).

Pojechali jej samochodem, we czwórkę – zabrali Daszę, przyjaciółkę, i jej chłopaka, Aleksieja. Najpierw do Winnicy – niecałe 300 km w 8 godzin. Na drugi dzień do Lwowa, bocznymi drogami, by uniknąć korków i bombardowań – 12 godzin. Tam dołączył do nich Wład, kolega-biegacz, który powiedział, że do polskiej granicy jest kolejka na kilkadziesiąt godzin stania. Postanowili przeczekać w górach, na Zakarpaciu. Wynajęli domek w Bedewli, tuż przy granicy z Rumunią. („Trzeba było naprawić dach, kupić materac, posprzątać, wypędzić myszy. Ale ludzie byli bardzo życzliwi, przynosili nam jedzenie i mleko”). Po trzech dniach Olek i Wład dostali wezwanie

do wojska. Zgłosili się do najbliższej jednostki. A Wiktor, Lesia i Lew pojechali, przez Węgry i Słowację, do Polski.

– Do Warszawy przyjechaliśmy po północy. Całą drogę pilotował mnie przez telefon nasz dyrektor regionalny na Europę. Przyleciał specjalnie z Tel Awiwu, by zająć się uchodźcami. Czekał w hotelu, z trzema torbami jedzenia.

Warszawy nie znała, choć w Polsce była kilka razy. Miasto ją urzekło.

– Gdy usłyszałam, że było w 80 proc. zniszczone, że powstało z gruzów, poczułam, jak bardzo jest mi bliskie. Byłam w Muzeum Powstania Warszawskiego i pod Pomnikiem Bohaterów Getta. Wiem, że Kraków ma dłuższą i piękniejszą historię, że są tam cenniejsze zabytki, a tu zostały zrekonstruowane. Ale czuję siłę tego miasta. Siłę Polski.

Pierwsze koło

Pytam, skąd ona bierze siłę.

– To zależy od sytuacji. Ale zawsze ją gdzieś znajduję. Czasem w kontakcie ze sztuką. Stąd teatr, malarstwo, literatura. Czasem biorę ją z przyrody, obcowania z naturą. I z biegania.

Po chwili milczenia dodaje po ukraińsku: – Ale też z dzieciństwa. Było trudne.

Urodziła się w Winnicy w 1991 r. O sytuacji rodzinnej nie chce opowiadać. Tylko tyle, że ojciec odszedł, gdy miała trzy lata, a mama 10 lat później drugi raz wyszła za mąż i wyjechała do Moskwy.

– Zostałam z babcią Lydią. To była mądra i silna kobieta. Nauczycielka, dyrektorka szkoły, którą sama wybudowała. Wszystko jej zawdzięczam. Często powtarzam sobie jej słowa: „Jak jesteś szczęśliwa – śpiewaj. Jak ci jest ciężko – też śpiewaj”. Ona mnie namówiła, bym poszła do policji.

Gdy Wiktor skończyła studia – ekonomię na winnickim uniwersytecie – i rozglądała się za pracą, babcia Lydia uznała, że nowa Ukraina (było tuż po Euromajdanie) potrzebuje nowych, młodych ludzi, którzy zadbają o sprawiedliwość.

– Przeszłam testy sprawnościowe i tak zostałam policjantką. Patrolowałam ulice. Zapisalam się też na prawo w akademii MSW. Doszłam do stopnia lejtnanta, ale ciężko było godzić pracę, zwłaszcza zmiany nocne, z opieką nad dzieckiem. Poprosiłam o przeniesienie na inne stanowisko, najlepiej biurowe, lepsze dla młodej matki. Obiecali, ale potem przyjęli na to miejsce jakiegoś mężczyznę. Odeszłam. ➔



Wiktoria Gudyma z synem Lwem, Rzym, marzec 2022 r.

→ Decyzja nie była łatwa, bo nie chodziło tylko o zmianę pracy. To był również zwrot w życiu prywatnym: rozstała się z mężem, wyjechała z synkiem z Winnicy, zaczęła wszystko od nowa.

– W takiej sytuacji jest wiele kobiet – mówi krótko. – Rozdział zamknięty, nie ma co do niego wracać.

W Kijowie wynajęła mieszkanie i znalazła dobrą pracę. Lewka zapisała do niemieckiej szkoły („dowiedziałam się, że po jej ukończeniu będzie mógł studiować w Niemczech”), na lekcje gitary, angielskiego i tańca. Sama też szlifowała języki, chodziła do teatru („najczęściej do Złotych Wrót i Na Peczerską – małe, studenckie sceny”), na spotkania literackie. Zajęła się też fotografią i sportem: pływała, jeździła na nartach i na rowerze.

– Startowałam w zawodach kolarskich, założyliśmy z przyjaciółmi własną amatorską drużynę. Na treningach robiłam czasem po 100 km wokół Kijowa: Borożianka, Irpień, Gostomel, Bucza... Znam je dobrze. To były modne przedmieścia, dużo nowych domów. Młodzi kupowali tam działki. Blisko miasta, dobry dojazd, czyste powietrze.

W 2017 r. trafiła na reklamę triathlonu w Bukoweli, popularnym ośrodku sportów górskich. Dystans olimpijski, zwany sprintem: 750 m pływania, 20 km rowerem, 5 km biegiem. Uznała, że da radę. Rok później była już mistrzynią Ukrainy. Zadebiutowała też w zawodach Iron Man (3,5 km wpraw, 180 km rowerem, 42 km biegiem) w Tallinie – zajęła 5. miejsce. A pierwszy maraton, w Koszycach, w 2018 r., ukończyła na 15. miejscu wśród kobiet, zdobywając kwalifikację do Chi-

cago. Tam uzyskała najlepszy jak dotąd wynik: 3 godz. 13 minut.

Polubiła życie w biegu, bo pozwala łączyć przyjemne z pożytecznym: zwiedza świat, poznaje ludzi, zawiera przyjaźnie. Choć jest też druga strona medalu: codzienne treningi – setki godzin na rowerze, pływaniu, trasach biegowych – i kontuzje, w tym ta najpoważniejsza, w ubiegłym roku: przeciążeniowe złamanie kości. Nie odpuściła: kilka miesięcy po wyleczeniu zajęła pierwsze miejsce w triathlonach-sprintach w Czernomorsku i Wyszogrodzie oraz, na pełnym dystansie, w Suchołuczcy.

Łańcuch solidarności

Tydzień po ucieczce z Kijowa dostała małą od organizatorów maratonu w Rzymie, na który zapisała się jeszcze jesienią. Pytali, czy przyjedzie.

Mówi Cesare Monetti z biura prasowego biegu: – Na liście startowej było 30 zawodników z Ukrainy. Do każdego wysłaliśmy pytanie, czy przyjedzie. Część zrezygnowała, inni nie odpowiedzieli. Rodzina jednego zawodnika odpisała, że zginął na wojnie. Udział potwierdziło 12 osób, wśród nich Wiktoria. Opisała w mailu swoją historię: ucieczkę z Ukrainy, pobyt w Warszawie. Od razu uruchomiliśmy łańcuch solidarności: firma Joma, nasz sponsor, podarowała jej buty i strój sportowy, bo przecież, uciekając przed wojną, o takich rzeczach się nie pamięta. A drużyna z Watykanu postanowiła wziąć Wiktoria i jej syna pod swoją opiekę.

Watykańska drużyna lekkoatletyczna – Atletica Vaticana – została założona w 2019 r. przez miłośników biegania:

księży, biskupów, siostry zakonne, gwardzystów szwajcarskich i pracowników świeckich. Są amatorami, ale wyników nie muszą się wstydzić. Ks. Vincenzo Puccio (dziś reprezentuje już lokalną drużynę z Sycylii) zdobywał dla niej trofea w maratonach z czasem 2 godz. 35 minut; Sara Carnicelli biega 10 km poniżej 35 minut. W ubiegłym roku Watykańczycy zadebiutowali na lekkoatletycznych Mistrzostwach Europy Małych Państw.

– Gdy dowiedzieliśmy się o Wiktorii, od razu zaproponowaliśmy jej dołączenie do naszego zespołu – opowiada Giam-paolo Mattei, na co dzień dziennikarz „L'Osservatore Romano”. – Zorganizowaliśmy dla niej i jej syna nocleg z wyżywieniem w jednym z domów zakonnych, zwiedzanie Rzymu i Watykanu. Byli też na przedmaratońskiej kolacji, gdzie poznali resztę zespołu, a podczas mszy dla biegaczy Wiktoria czytała modlitwę wiernych – wezwanie o pokój w Ukrainie i na świecie. Po maratonie wziąłem ich na audiencję do papieża.

– Wciąż trudno mi w to uwierzyć – wspomina Wiktoria. – Wszystko działo się bardzo szybko. I jeszcze ta wizyta w Watykanie. Gdy papież do nas podszedł, byłam tak przejęta, że nie pamiętam nawet, co mówił. Pobłogosławił Lewka, podał mi rękę. Powiedziałam po włosku: „Proszę, módl się za Ukrainę i za nasze dzieci”.

Została ochrzczona w cerkwi prawosławnej, ale nie praktykuje, jak większość młodych w Ukrainie.

– Czasami się modlę. Proszę Boga o pomoc. Ale wiem, że niczego za mnie nie zrobi. Do nas należy pierwszy krok. Bo chyba nie chodzi o to, by akceptować wszystko, co przynosi los, mówiąc: taka wola Boża. We mnie często nie ma zgody na to, co się dzieje. Jeśli tylko mogę, próbuję zmieniać rzeczywistość.

O tym, że Franciszek jest krytykowany za postawę wobec Rosji, wtedy jeszcze nie słyszała. Nie interesowała się Kościołem i Watykanem.

– Gdybym wiedziała, może bym go o to zapytała. Albo o drogę krzyżową. Napisał do mnie kolega, który jest w wojsku: „Wiko, czy to ty będziesz szła z Rosjaną z krzyżem? Bo widziałem twoje zdjęcie z papieżem”. Zrobiło mi się przykro. Jaki wspólny krzyż? Wiesz, ile ukraińskich kobiet zostało zgwałconych przez rosyjskich żołnierzy? Ile straciło najbliższych – synów, mężów, braci, rodziców? Ile dzieci zginęło albo zostało kalekami?

Czy ktokolwiek ma prawo mówić w ich imieniu o pojednaniu i przebaczeniu?

Komentuje też pomysł organizatorów maratonu we Florencji, którzy zapraszali ją do udziału. Chcieli, by zawodnicy z Ukrainy i Rosji startowali razem, trzymając się za ręce. – Prędejm się z nimi pobiła, niż podała rękę – mówi.

Drugie koło

– Może myślisz, że jestem nacjonalistką? Nie. Jestem Ukrainką – to moja narodowość, kultura, język, sztuka, tradycja, z których jestem dumna. Ale przecież w Ukrainie od wieków żyją też inne narody: Ukraińcy, Rosjanie, Białorusini, Tatarzy, Polacy, Żydzi, Mołdawianie, Bułgarzy, Węgrzy, Rumuni, Grecy, Ormianie, Szwedzi, Romowie... Ponad 100 różnych narodowości. Nie mam z tym żadnego problemu. Wręcz przeciwnie – to bogactwo mojego kraju. Szanuję ich tradycje i kulturę. Ukraina to też ich ojczyzna. Jeśli o nią dbają, mają poczucie przynależności do wspólnoty, są ukraińskimi patriotami.

Podkreśla, że język to sprawa kluczowa. Ukraina przetrwała, bo zachowała swoją mowę – dzięki elitom kulturalnym i intelektualnym, ale też prostym ludziom, zwłaszcza na wsi. Teraz, w czasie wojny, wszyscy zaczynają to rozumieć.

– W moim domu mówiło się tylko po ukraińsku. Natomiast w szkole syna niemal wszyscy, dzieci i nauczyciele, rozmawiali po rosyjsku. Tylko jedna nauczycielka mówiła, że nie rozumie, zmuszając innych do używania ukraińskiego. Ja to samo mówiłam Lewkowi: „nie ty

Czasami się modłę.
Ale wiem, że Bóg niczego
za mnie nie robi.

I nie myślę akceptować
wszystkiego, co przynosi los,
mówiąc: „wola Boża”.

**We mnie często nie ma
zgody na to, co się dzieje.**

masz się dostosowywać do nich, tylko oni do ciebie”. Ukraińcy powinni mówić po ukraińsku. Kto nie umie, niech się nauczy. Czy to nacjonalizm?

Wie, że nacjonalizm łatwo przeradza się w szowinizm, a nawet w nazizm. Holokaust i Hołodomor są tego przykładem. Dzisiejsza wojna też.

– Drugi mąż mojej mamy, Rosjanin, powiedział do niej ostatnio: „Ty banderówko!”. Po tylu latach wspólnego życia! – opowiada. – On wierzy w to, co mówi rosyjska propaganda. Według niej każdy Ukrainiec, który chce niezależnego i demokratycznego państwa, to nacjonalista. Mają wyprane mózgi. Nawet mama pytała mnie niedawno, przez telefon, czy z tą Buczą to prawda. Czy Rosjanie to zrobili. Mówię: „Tak, mamo, prawda”. Wysyłam jej zdjęcia, opowiadam o ludziach, których znała, a których już nie ma. Rosja zawsze wynosiła swój naród ponad inne. Więc kto tu jest nacjonalistą?

Kazała mamie wyjechać z Moskwy. Boi się, że wkrótce zacznie się nagonka na Ukraińców żyjących w Rosji. A ona ma ukraiński paszport, w każdej chwili mogą ją zatrzymać na ulicy, sprawdzić dokumenty.

– Powiedziałam: zabieraj małą i uciekajcie. Jej córka ma 13 lat, nie chciała wyjeżdżać, płakała za koleżankami. Ale znalazłam im mieszkanie na Łotwie, u przyjaciół. Są bezpieczne.

Pytam, o jakiej Ukrainie marzy.

– Mam tyle samo lat, co wolna Ukraina. Innej nie znam i sobie nie wyobrażam. Moja Ukraina to Kijów, Winnica, Krym, Donieck i Użhorod. Chcę, by była państwem nowoczesnym i demokratycznym, otwartym na Europę. Żeby mój syn żył w bezpiecznym kraju, nie musiał brać do ręki broni, mógł studiować na Zachodzie i podróżować po świecie. Czy to zbyt dużo?

■ ■ ■

Kilka dni po naszym spotkaniu Wiktorja przysłała mi mailem wiersz Oksany Zabuzko „Nowe prawo Archimedes’a”. Piśze: „Wiesz, co powiedział Archimedes do legionisty, kiedy rzymskie wojsko zajęło Syrakuzy? – Nie rusz moich kół! Dla niego koło nie było tylko geometryczną figurą ani formą zapisu myśli. Było symbolem tożsamości i suwerenności. To też mój wiersz. Ja, tak samo jak Archimedes i Zabuzko, mówię: Nie rusz moich kół. Mówię to mężczyznom, czasowi i Putinowi.

© © EDWARD AUGUSTYN

Serwisy specjalne: patrz szerzej

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

GOSPODARKA TRZESZCZY, czyli co nas czeka

KSIĄŻKI W TYGODNIKU: eseje, recenzje, felietony

OCHRONA ZDROWIA: czy system da się wyleczyć

KRYZYS KLIMATYCZNY: jak zatrzymać katastrofę

UCHODŹCY I MIGRANCY: granice wytrzymałości

POLSKA SZKOŁA i lekcje do odrobienia

ATAK NA UKRAINĘ: korespondencje, analizy, podcasty

weź, czytaj!

na TygodnikPowszechny.pl/patrz-szerzej

WIARA

GRAZYNA MAKARA

PIERWSZYM GRZECHEM RELIGII JEST NUDA

Czym jest wiara w jesieni życia? Czym różni się od tej dziecięcej czy dojrzałej?
Jak znosi upadki i kryzysy Kościoła? Jak wciąż ją pogłębiać?
Opowiada dwóch 85-latków: o. Jan Andrzej Kłoczowski i Karol Tarnowski.

O. Jan Andrzej Kłoczowski i Karol Tarnowski
w klasztorze dominikanów.
Kraków, kwiecień 2022 r.



koś też oczyszcza wiarę. Mam i to szczęście, że wciąż kontaktuję się ze studentami, a ponieważ oni interesują się religią i zadają pytania, moją wiarę to ożywia.

A z wiekiem nie jest łatwiej ocenić, co ważne, a czemu nie warto poświęcać czasu?

JAK: Nie wiem, czy słowo „łatwiej” jest odpowiednie. Natomiast wiem, że od zawsze intrygowała mnie koncepcja *sacrum* Rudolfa Otto jako *mysterium tremendum et fascinosum* – tajemnica niepokojąca i fascynująca. Dlatego wiara dla mnie ma w sobie coś wysokogórskiego. Góry fascynują, ale są trudne i łatwo o upadek. Przy opisie wiary – zresztą podobnie jak wszelkich ważnych ludzkich doświadczeń – język logiki zdaje się pusty. Dlatego chcąc coś powiedzieć o wierze, coraz częściej szukam natchnienia w poezji.

Mówienie o wierze nie przypomina popularyzacji filozofii, czyli streszczania łatwymi słowami trudnego problemu. Wiem, że świat, który dotyka wiara, jest, tylko ja nie potrafię o nim mówić. To moja trudność. Z drugiej strony, jeżeli w spotkaniu Jezusa w Ewangeliach nie ma tego *tremendum* i *fascinosum*, to wiara staje się nudnym moralizowaniem. Pierwszym grzechem religii jest nuda.

KT: Całkowicie się z tym zgadzam. Ja też doszedłem do wniosku, że na starość pozostaje przede wszystkim fascynacja *sacrum*, właśnie *tremendum* i *fascinosum*.

Wiara to relacja z Jezusem, a jest on dziwną osobą. Są momenty (np. uratowanie cudzołożnicy), w których zachwyca, ale są też miejsca, które przerażają (np. gdy komentując zawalenie się wieży w Siloe, mówi: „Jeśli się nie nawrócicie, wszyscy podobnie zginiecie”).

JAK: On tylko powiedział, że przypadki nie decydują o twoim życiu, tylko ty o nim decydujesz.

KT: To jest głęboka duszpasterska uwaga, której bym nie wymyślił. Mnie również naiwnie przerażają różne fragmenty Ewangelii, np. jak Jezus przeklina drzewo figowe.

JAK: Wracam do metafory górskiej. Gdy idziesz z fachowym przewodnikiem, nie jesteś głaskany. On ostrzega: to trudna

→

ARTUR SPORNIAK: Karol obchodził urodziny w lutym. Ojciec Kłoczowski świętować będzie w lipcu. Czy z perspektywy 85 lat łatwiej czy trudniej wierzyć?

JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI OP: Wiara, tak jak człowiek, się rozwija. To wejście na jakąś drogę. Można się na niej zatrzymać i wtedy się zapomina, że się stoi. A ja uważam, że siedzi się wtedy na nocniku.

KAROL TARNOWSKI: Wiara nie może się nie zmieniać, bo my się zmieniamy. Ale mnie w pewnym sensie jednak trudniej wierzyć na starość. Choć z drugiej strony

czasem myślę, że się do czegoś istotnego dociera.

Czemu trudniej?

KT: Trudniej znoszę przeciwności życiowe, odsłanianie się własnej słabości, a przede wszystkim przeciętności. Trudno także konfrontować się z kryzysem Kościoła w jego różnych wymiarach – z grzechami Kościoła, jego uwikłaniem w politykę, apostazjami. Ale to jest też prywatna walka z wątpliwnością czy z teoretycznym problemem tzw. demitologizacji dotyczącej zmartwychwstania. Oczywiście to ja

→ droga, możesz spaść. Jest *tremendum*, jest powaga. Potocznie mówi się o grozie, ale to zbyt emocjonalne słowo. *Tremendum* jest lepsze, bo bardziej opisuje moją sytuację życiową niż stan emocjonalny.

Jakiś przykład?

JAK: Pamiętam, jak leżałem przed operacją, która miała stwierdzić, czy to nowotwór złośliwy. I jak potem przyszedł doktor, który mnie operował, i zapytał: „A książdż to się do jakiego świętego tak skutecznie modlił?”. Odpowiedziałem, że do tego jednego, którego widziałem na własne oczy, czyli do Jana Pawła II.

KT: Też miałem raka – skóry. Wyglądało to groźnie i też możliwe, że przeżyłem dzięki Wojtyłce, który się nade mną chwilkę modlił, gdy odwiedziłem go w Watykanie.

JAK: Fałszywe kaznodziejstwo mówi, że przyjęcie wiary jest wejściem w wygodny świat, w którym zawsze wiesz, co masz robić.

KT: To jest ściema. Ateiści tak myślą, np. Heidegger uważał, że wiara idzie na łatwiznę, dając na wszystko gotowe odpowiedzi. A sam mówił, że „pytanie jest pobożnością myśli”. Co do pierwszego się mylił, co do drugiego trafił w punkt. Człowiek, który przestaje pytać, przestaje myśleć. Maryja pyta: „Jak to się stanie, kiedy nie znam męża?”. To myślenie krytyczne i wątpliwe. W każdym razie sceptyczne.

Trzeźwe.

KT: Szalenie! Dla mnie to wzór wiary. Wiara musi być wiarą pytającą i szukającą.

JAK: To banał. Dla mnie najbardziej podważająca wiarę była wypowiedź pewnego człowieka, bardzo praktykującego katolika, który powiedział, że modli się tak, jak Jezus nakazał Faustynie: „Jezu, ufam Tobie”, ale dodawał: „bo nie ufam nikomu”. Tymczasem zaufanie to fundament wiary. Niezdolność do zaufania zamyka drogę wiary. Wracam do metafory gór. Ja gór nie wymyśliłem, one są – są mi podarowane. Najcenniejsze rzeczy przychodzą do nas jako dar: spotkanie z drugim, przyjaźń, miłość.

A naszym zadaniem jest...

JAK: Odpowiedzieć na dar. Dlatego uważam, że nie politykowanie Kościoła czy zgorszenie nim jest przeszkodą dla wiary, tylko przeżycie rozczarowania w kwestii zaufania do kogoś. Np. doświadczenie czyjejś zdrady.

JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI:

Ja gór nie wymyśliłem,
one są – są mi podarowane.
Najcenniejsze rzeczy
przychodzą do nas jako dar:
spotkanie z drugim,
przyjaźń, miłość.

JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI (ur. 1937 r.) jest dominikaninem, filozofem religii, historykiem sztuki. Kiedyś – opiekun legendarnego duszpasterstwa akademickiego „Beczka” i nieformalny duszpasterz Studenckiego Komitetu „Solidarności”, dziś – wychowawca kilku pokoleń „dwunastkowiczów” (uczestników mszy sprawowanej co niedzielę w południe w krakowskim kościele dominikanów).

KT: Rozpoznać dar – tak głęboko rozumiany jak wiara – w kontekście zła, np. dziejącej się teraz wojny w Ukrainie, to rzeczywiście bardzo trudne.

Odpowiedzią wiary na zło jest zmartwychwstanie Jezusa?

KT: Tak, uważam, że jedyną radą na zło jest nadzieja zmartwychwstania. Dlatego niepokoją mnie próby zdemitologizowania teologii zmartwychwstania. Św. Paweł powiedział, że jeśli nie ma zmartwychwstania, próżna jest nasza wiara. Według mnie prawdę o zmartwychwstaniu trzeba brać dosłownie. Zgadzasz się ze mną, Janie Andrzeju?

JAK: Wszelka władza jest próbą zawładnięcia czymś życiem, a On panuje nad śmiercią. Jakaż to afirmacja życia! Stąd z perspektywy władzy odruch sprowadzenia zmartwychwstania jedynie do mitu.

W jakim sensie nadzieja jest fundamentem wiary?

JAK: W jednym z francuskich wierszy znalazłem taki obraz: wiara i miłość to dojrzałe istoty, które idą pewnym krokiem, a między nimi biega mała dziewczynka, która nazywa się nadzieja. Wniosek jest taki, że ta rodzina zawdzięcza swoją dynamikę owej dziewczynce. Bardzo często kryzys wiary wynika z zagubienia nadziei. Nadzieja to jedyna siła, która daje nam odwagę życia.

KT: Myślę sobie, że jest i wiara fundamentalna, i nadzieja fundamentalna. Obie nie wymagają racjonalizacji – płyną rytmem życia. Nie można żyć, nie wierząc i nie można żyć, nie mając nadziei.

JAK: Ale obie weryfikuje życiowe doświadczenie.

KT: Spotykają się z zawodami, ze złem. Muszą to przeskoczyć. Przy czym nadzieja jest pierwsza – ona nie umiera. Wszystkie oczekiwania mogą zawieść, nadzieja nie może. Jeśli zawodzi albo wydaje się, że zawodzi, wtedy następuje odrzucenie życia.

Dawniej Kościół potępiał samobójców – dzisiaj wiemy, że to często ludzie, którzy nie ze swojej winy utracili nadzieję. Co można powiedzieć matce, której dziecko odebrało sobie życie?

JAK: Nie miałem takiego przypadku. Miałem natomiast przypadek rodzica, którego dziecko było po próbach samobójczych. Radziłem, by w delikatnej i cierpliwej rozmowie próbowali znaleźć powody. Nadzieja się kończy wtedy, gdy człowiek przestanie wierzyć w siebie.

KT: Wiara nie przekroczy zdrad i tragedii, jeżeli się koniec końców nie otworzy na wymiar metafizyczny – na to, że nie wszystko się ogranicza do widzialnego świata. Że jest tajemnica, w której objawia się jakaś sprzyjająca moc mówiąca: „Jeżeli wszyscy zawiodą, ja cię nie zawiodę”.

JAK: Dlatego spowiednicy nie mogą podcinać penitentom wiary w siebie – po spowiedzi człowiek ma wyjść wzmocniony.

KT: Tropienie grzechu w każdym potknięciu czy słabości jest niesłuchanie szkodliwe. Zwłaszcza jeśli chodzi o sferę seksualną. Widmo grzechu ciężkiego w masturbacji czy w środkach antykoncepcyjnych to jednak straszny pomysł.

Z wiekiem widać, co jest ważne, a co mniej ważne?

KT: Mówię za siebie: tak. Wyraźnie czuję, że pewne pomysły mnie nie zobowiązują. W gruncie rzeczy cała etyka nakazowo-zakazowa jest niebezpieczna. Jezus Chrystus jest większy niż nasze przepisy i rubryki.

JAK: Miłosz mówił, że nie umie przełożyć tomizmu na obrazy i to była dla niego trudność. Obraz jest bliższy realnej sytuacji egzystencjalnej człowieka. Przyznam, że przed święceniami bardzo się bałem spowiadania. Myślałem, że będzie na mnie całe ludzkie błoto spływało. Odwróciło mi się to zupełnie!

To znaczy?

JAK: Spotykam człowieka. On zwykle przychodzi z jakąś swoją biedą do kogoś, kto powinien być mu życzliwy. Nawet stawiać wymagania powinno się tak, by ten ktoś zrozumiał, że musi w życiu przekręcić jakąś wajchę, a wtedy będzie spokojniejszy. Nie chodzi o nakładanie ciężarów.

Trzeba tylko mieć świadomość

– jak rozumiem – że to nie Ojciec swoją mądrością pomaga. To udział w jakiejś tajemnicy...

JAK: Oczywiście. W pewnych momentach przychodzi coś, co artyści nazywają natchnieniem.

KT: Nie jestem księdzem, więc nie spowiadam, ale, prowadząc seminarium z filozofii religii, też mam wrażenie, że otwieram się na słuchanie Niewidzialnego.

Czym różni się wiara w dzieciństwo od tej w sile wieku i w jesieni życia?

JAK: W dzieciństwie lubiłem bawić się w księdza: przebierałem się, mówiłem „Dominus vobiscum” i zbierałem na tacę – więc podstawowe zadania księdza oparowałem.

KT: Na początku byłem dosyć chłodny religijnie. Do Pierwszej Komunii przygotowywał mnie benedyktyn z Tyńca, Dominik Michałowski, jak się później okazało – jeden z najbardziej szkodliwych tajnych współpracowników SB. W szkole średniej nagle zostałem „pochwycony” – nie wiem przez co i dlaczego, ale poczułem, że wiara to jest moja sprawa. Potem zainteresowałem się liturgią przedśoborową. Dostałem mszał francusko-łaciński i bardzo byłem szczęśliwy. Później pojawił się ważny spowiednik, którym był Wojtyła. Następnie była tomistyczna metafizyka, dzięki spotkaniu z prof. Stefanem Świeżawskim. Ale czułem, że religijnie jałowięję i stąd mój akces do ruchu charyzmatycznego. Mam wrażenie, że tam nauczyłem się trochę modlić i nauczyłem się też wspólnoty modlitewnej, której w kościele jako żywo zupełnie nie doznawałem (nadal zresztą czuję się źle w kościele).

Liturgia nie pomaga?

KT: W obecnej posoborowej jest mniej elementów estetycznych, obecnych w dawnej.

JAK: Jestem pierwszym pokoleniem księży, którzy zaczęli odprawiać liturgię soborową. Nigdy nie odprawiałem

KAROL TARNOWSKI:

Wiara nie przekroczy zdrad i tragedii, jeżeli się nie otworzy na wymiar metafizyczny.

Na to, że jest tajemnica, w której objawia się sprzyjająca moc.

PROF. KAROL TARNOWSKI (ur. 1937 r.) jest filozofem, pianistą. Interesuje się filozofią Boga i podmiotu.

Przez wiele lat był kierownikiem Katedry Filozofii Boga na UPJPII i współpracował z Wydawnictwem Znak. Prowadzi seminaria w Instytucie Myśli Józefa Tischnera oraz na Wydziale „Artes Liberales” UW. Jest wychowankiem duszpasterstwa ks. Karola Wojtyły.

według dawnego mszału. Niedawno, głosząc rekolekcje u bernardynek, dostałem do mszy przedśoborowy ornat w kształcie skrzypiec. Był bardzo sztywny i niewygodny, nie wiedziałem, jak w nim usiąść.

Rozwój wiary zależy od spotkań z ludźmi?

JAK: Ja wierzę dzięki wierze ludzi, z którymi się spotykam. Oni moją wiarę podtrzymują. I odkrywam na nowo liturgię. Już nie mogę sam odprawiać mszy – mam trudności ze zdrowiem. Zrozumiałem, że podczas liturgii eucharystycznej cały kościół mówi przeze mnie – to nie ja mówię. Słyszę, że oni też mówią. To dla mnie nowe odkrycie, które mnie wewnętrznie buduje. Rozmawiałem o tym z aktorami – powiedzieli, że oni wyczuwają, czy są słyszani, czy nie są. Dlatego jako chory wolę dołączyć się do koncelebry – stanąć gdzieś z boku, niż sam odprawiać mszę.

Dawniej nie było można odprawiać wspólnie. Jeden ksiądz odprawiał dla ludzi, a inni po kaplicach odprawiali każdy sobie.

KT: Najbardziej lubię chodzić na mszę Grzeška Chrzanowskiego – krakowskiego dominikanina, który odprawia krótko, z wojskowym drylem, bez upiększania. Zresztą zawsze miałem trudności w ogóle z Kościołem jako ideą. Nie przekonał mnie Henri de Lubac swoim „Katolicyzmem” – biblią starszego ode mnie pokolenia, pokolenia Jacka Woźniakow-

skiego. Bliskie jest mi to, co o Kościele mówiła Simone Weil, że jest on „wielkim zwierzęciem”. Po prostu nie wierzę w masowość. Jeżeli gdzieś oddycham swobodnie, to w małych grupach. Przekonuje mnie klimat wspólnoty Taizé.

JAK: Do wspólnoty Kościoła nie można przykładać czysto socjologicznych kategorii, jak masowość. Nasz Kościół niszczy klerykalizm – ciągle wszystko się musi kręcić wokół księdza. Być może czegoś nas nauczy obecne doświadczenie pomocy uchodźcom z Ukrainy. Świeccy sami się organizują w strukturach kościelnych, a proboszczowie donoszą herbatę. Budujące są te obrazki, choć boję się, że to może nie potrwać długo.

KT: Rzeczywiście, jeśli chodzi o aktywność nie tylko świeckich, ale także duchowieństwa, w ostatnich tygodniach w polskim Kościele coś drgnęło.

Publicysta i poeta Jarosław

Mikołajewski niedawno przekonywał na łamach „Gazety Wyborczej”:

„Nie jesteśmy już dziećmi. Jesteśmy dorośli. Wolni od Kościoła”.

Propozycja rozstania z wiarą niedostatecznie dojrzała?

JAK: Jeżeli wierzyłeś w Kościół, a nie w Jezusa Chrystusa, to jesteś wolny na miarę poprzedniej wiary.

KT: Chodzi o wolność od przymusu. W Kościele jest go pełno.

Może np. chodzić o uwolnienie się od związków przypominających relację z toksycznymi rodzicami.

KT: Levinas mówi, że trzeba się stać ateistą, czyli trzeba stanąć na własnych nogach, żeby nawiązać żywe relacje z Bogiem Stworzycielem.

„Są dwa ateizmy, a jeden z nich jest oczyszczeniem pojęcia Boga” – mówiła Simone Weil.

JAK: Wyrazem jej „ateizmu” było odmawianie rano po grecku w pełnym skupieniu „Ojcze nasz”?

Sami mówicie o paradoksach języka religijnego. Ojciec kiedyś na tych łamach zauważył: „Wolę mówić nie o inteligencji katolickiej, tylko o ludziach myślących nonkonformistycznie, ciągle się uczących, formujących swoją wiarę (dlatego tak ważna jest katecheza dorosłych!)”. Ciągłe się musimy uczyć? →

→ **JAK:** Uczymy się, bo to, co było, dzieje się inaczej. Np. chodzenie. Używam teraz kijów. Kilkakrotnie przewróciłem się na ulicy – to było trudne doświadczenie. Ale to dlatego, że mamy fatalne chodniki. Trochę też gorzej widzę i mam tzw. opad stopy – trudniej mi poruszać lewą nogą. Ludzie wtedy biegną, podnoszą, są bardzo życzliwi. Pytają, czy jakoś pomóc. Ja głupkowato się uśmiecham, mówię: „nie, dziękuję, nie trzeba, przepraszam”. Bardzo bym się wstydził, gdybym był wówczas w habicie. Kiedyś potknąłem się o podwinięty koniec dywanu podczas ceremonii ślubu. Młodym potem życzyłem: „Aby się wam udało małżeństwo, bo błogosławi was upadły ksiądz”. W takich sytuacjach bardziej niż wiara pomaga poczucie humoru.

Jezus stawia za wzór wiary dziecko, ale jednocześnie jest coś takiego, jak starcze zdziecinienie.

JAK: Dla mnie starcze zdziecinienie będzie polegało na tym, że mam pretensję o to, że nie jest tak, jak powinno być. Tymczasem dziecko jest szczęśliwe, że jest tak, jak nie powinno być, bo wtedy coś ciekawego się dzieje. Stary niczemu się już nie dziwi.

KT: Wiara dziecinna to z jednej strony wiara magiczna, a z drugiej zbyt mocno oparta na wzorcach osobowych, np. rodziców. Gdy te wzorce rozczarowują, traci się wiarę. Tymczasem wiara po prostu musi przekroczyć poziom ludzki i jakoś się dochrapać wymiaru metafizycznego, uczynić skok w głąbie. Zaufanie Bogu jest chyba ostatecznie łaską, ale można je podtrzymywać świadomością tajemnicy i wymiaru metafizycznego rzeczywistości. Także zaufaniem do ludzi „mimo wszystko”.

Ojciec chce coś dodać?

JAK: Na uwolnieniu się od uzależnienia od dorosłych polega koniec dzieciństwa. Kryzys mojej dziecinnej wiary przeżyłem wtedy, gdy jako świeżo upieczony ministrant asystowałem w nabożeństwie, które się nazywało godzina święta. Polegało ono na tym, że jest wystawiony Najświętszy Sakrament, ministranci klęczą, ksiądz czyta niekończące się litanie, trwa to bardzo długo, a na koniec jeszcze wielokrotnie się śpiewa: „Ile minut w godzinie, a godzin w wieczności, tylekroć bądź pochwalon, Jezus, miłości”. Wróciłem do domu i oświada-

czyłem, że nie będę ministrantem. Zatem dla mnie problemem nie było rozczarowanie dorosłymi, tylko nuda w kościele.

Czy coraz bardziej niedomagające ciało ma wpływ na wiarę?

JAK: To normalne, że się traci sprawność.

KT: Przy tym doświadczenie dobroci ludzi jest czymś fantastycznym.

Pomimo coraz większej zależności od nich?

JAK: Próbuję się ratować dystansem do siebie.

Obaj doświadczycielście sytuacji granicznej związanej z diagnozowaniem nowotworu. O czym się wtedy myśli?

JAK: O tym, czego nie udało mi się zrobić. Ale gdy się okazało, że będę żyć, energia wróciła. Wiedziałem, że muszę w życie naprawdę wejść.

KT: Ja wtedy skoczyłem w taką pełną ufność Bogu. Oczywiście bałem się jak cholera każdego nowego badania, ale jakoś cały czas ufałem.

Franciszek mówi: „Kiedy starsi opierają się Duchowi, grzebiąc swoje marzenia w przeszłości, młodzi nie mogą już dostrzec rzeczy, które należy uczynić, by otworzyć przyszłość”.

Jakie macie marzenia, którymi moglibyście зараzić młodszych?

JAK: Nie mam specjalnych marzeń, co nie znaczy, że nie widzę przed sobą przyszłości. Chciałbym zachować zdrową świadomość do końca życia. Żeby umiał z pewnym skupieniem wytrwać, a nie jedynie egzystować. Wiem, że muszę z większą uwagą podtrzymywać teraz kontakty z ludźmi.

KT: Wciąż prowadzę seminarium z filozofii, gdzie czytamy różne teksty i dyskutujemy, i to jest dla mnie fantastyczne. Tylko widzę, do jakiego stopnia jestem słabszy intelektualnie od moich młodszych kolegów. Więc jest to i lekcja pokory. Mam w sobie też ducha podróżnika, chciałbym jeszcze pojechać do Włoch. Prawdopodobnie jednak mi się nie uda – moja żona jest chora i nie mogę jej zostawić. Moim zadaniem na teraz jest być z żoną, ale marzyć sobie mogę.

© © Rozmawiał ARTUR SPORNIAK



Nikt ich nie zaprosi

TEKST I ZDJĘCIA: JACEK TARAN

Od początku konfliktu w Ukrainie uchodźcy pochodzenia romskiego są grupą najbardziej niechcianą – zarówno wśród uciekających Ukraińców, jak i polskich wolontariuszy.



Kristina z synem Andriejem i córką Paliną w hostelu w Krakowie.
14 kwietnia 2022 r.

WBLISKO TRZYMILIONOWEJ GRUPIE uchodźców z Ukrainy, która znalazła schronienie w Polsce, sporą część stanowią przedstawiciele społeczności romskiej. Przed wojną, według oficjalnych szacunków, w Ukrainie mieszkało około 400 tys. Romów. Organizacje pozarządowe twierdzą jednak, że ta liczba wydaje się zaniżona i że w rzeczywistości może ich być nawet ponad pół miliona. Do Polski mogło dotrzeć około 20 tys. członków romskiej społeczności.

Kilka rodzin znalazło schronienie w jednym z krakowskich hosteli. To grupa dziewięciu kobiet, dzieci i kilku nastolatków. Przyjechali z obwodu donieckiego, gdzie obecnie trwają najintensywniejsze działania wojenne. Ich podróż do Polski trwała pięć dni. Do Krakowa

docierali różnymi drogami. Jednej z bohaterki tego tekstu udało się wraz z dziećmi dostać do pociągu, który wiozł z frontu rannych żołnierzy na zachód Ukrainy. W Krakowie trafiły pod opiekę stowarzyszenia Salam Lab oraz Romskiego Stowarzyszenia Oświatowego Harangos. Te organizacje zajęły się znalezieniem dla nich tymczasowych mieszkań oraz wszelkiej niezbędnej pomocy.

Grupy romskie na Ukrainie są wewnętrznie zróżnicowane zarówno etnicznie, jak i pod względem religijnym. Pośród kobiet, które przyjechały do Krakowa, są muzułmanki i prawosławne chrześcijanki.

Modlimy się o to samo

Kristina wraz z dwójką dzieci, córką Paliną i synem Andriejem, przyjechała

do Krakowa z Pokrowska. Jest muzułmanką, ale święta od lat spędza ze swoimi prawosławnymi przyjaciółkami. Tak wspomina swoje świętowanie w Ukrainie: – Najpierw jest nasze święto na koniec ramadanu, potem prawosławna Pascha. Najważniejsze, żeby nakryć stół i zasiać do niego razem. Nasze świętowanie zaczyna się już w czwartek wieczorem i prawosławne też.

Wielki Czwartek to w prawosławiu „czysty czwartek” – jego obchody wiążą się z Ostatnią Wieczerzą i tradycją obmywania nóg. W tych samych dniach obchodzi się też islamski Id al-Fitr – święto dziękczynienia kończące ramadan.

Larisa, przyjaciółka Kristiny, jest prawosławna, ale jej ojciec był muzułmaninem. Przyjechała z tej samej miejscowości co Kristina. Na Ukrainie były sąsiadkami, ale bliżej poznały się dopiero, gdy ich dzieci poszły do tej samej szkoły. Dzieci się zaprzyjaźniły i, jak to zwykle bywa, ich mamy również zostały przyjaciółkami. Święta Larisy zawsze były podwójne. Opowiada: –W czwartek w nocy lub w piątek rano palimy ognisko we wsi, bierzemy dzieci na ręce i skaczemy z nimi przez ogień. Czym dalej skoczysz, tym większe szczęście będzie miało dziecko. A potem zaczyna się uczta. Siadamy do stołu, jemy, pijemy. W niedzielę idziemy do kościoła poświęcić paschę. I tak świętujemy podwójnie: u rodziców męża obchodzimy święta prawosławne, u moich – muzułmańskie. Jesteśmy dzięki temu bogatsi. Bóg słucha naszych modlitw dwa razy. Tutaj ogniska nie zapalimy. Nie wiem, czy będzie co postawić na świąteczny stół. To będą najbardziej pamiętne święta.

Kristina na myśl o świętach spędzonych w Polsce nawet nie próbuje powstrzymać łez, tylko ociera je dyskretnie chusteczką. – Nie mam w tym roku w ogóle nastroju na święta. Jak tu świętować? Nasi mężowie zostali w Ukrainie, przyjechałyśmy tu same z dziećmi. Na pewno pójdziemy do cerkwi pośpiewać, pomodlić się. A że ja jestem muzułmanką, a inne tutaj są prawosławne? Po co to rozdzielać? Wierzmy przecież w tego samego Boga, inaczej się modlimy, ale przecież o to samo.

Kiedy to mówi, przychodzą jej dzieci, Andriej i Palina, i próbują ją pocieszać.

Karol Wilczyński ze stowarzyszenia Salam Lab, które współorganizowało ➔

→ m.in. punkt interwencyjny przy ul. Radziwiłłowskiej w Krakowie i zajmuje się wspieraniem romskich kobiet, dostrzega dużą wartość we wspólnym spędzaniu świąt przez muzułmanki i kobiety prawosławne. – Oczywiście, gdyby zapytać kogoś z najbardziej radykalnych odłamów islamu czy prawosławia, to powiedziałyby, że to niemożliwe – mówi Wilczyński. – Trzeba pamiętać o różnicach, przecież muzułmanie nie czczą zmartwychwstania, ale nie można nikomu zabronić wspólnego świętowania. Nie ma tu żadnych przeciwwskazań. Te kobiety są wyrwane ze swoich społeczności, pozostawiły swój świat w dramatycznych okolicznościach, a tutaj mogą być razem. To jest przecież to, co najważniejsze w świątach, żeby świętować wspólnie, w jedności. Ważny jest też aspekt psychologiczny – dodaje. – Ta wspólnota daje im poczucie siły, niezbędne w takiej sytuacji.

Podziękujcie Igorowi

Od samego początku konfliktu w Ukrainie uchodźcy pochodzenia romskiego są grupą najbardziej niechcianą. Dyskryminowani byli zarówno przez uciekających przed tą samą wojną Ukraińców, jak i przez polskich wolontariuszy. Zdarzało się, że odmawiano im obsługi w punktach świadczących pomoc innym uchodźcom. Pracujące tam osoby tłumaczyły swoją niechęć tym, że Romowie biorą za dużo darów lub że będą chcieli je sprzedać.

Trudno znaleźć dla nich mieszkania, uzyskać pomoc. Wolontariusze, którzy pomagali Romom, niejednokrotnie mówią: dzwonię do kogoś, kto oferuje nocleg i kiedy pada informacja, że to Romowie, połączenie się urywa. Nie liczy się nawet to, że niemal w każdym przypadku ta grupa składa się z samych kobiet i dzieci.

Kristina tak wspomina swój kontakt z polską rzeczywistością: – Nie wiem dlaczego, ale w Polsce jakby się nas bali. Czy Cyganie to jacyś inni ludzie? Tak samo wśród nas są dobrzy i zli, pracowici i leniwi. Pytałam o drogę do szpitala, dla mojego dziecka, już tutaj w Krakowie. Ludzie omijali mnie, udawali, że nie widzą. Dopiero jeden młody mężczyzna – miał na imię Igor – zaprowadził nas do lekarza,



LARISA:

Świętujemy podwójnie:
u rodziców męża obchodzimy
święta prawosławne,
u moich – muzułmańskie.
Bóg słucha naszych
modlitw dwa razy.

a potem jeszcze pytał, czy potrzebna pomoc. Był zimny dzień, deszcz, a ja i moje dzieci mieliśmy tylko kroksy na nogach, bo tak przyjechaliśmy z Ukrainy. On kupił nam wszystkim buty. Chcę mu bardzo podziękować: to, co wtedy zrobił, było dla nas bardzo cenne. Innym razem rozmawialiśmy z naszymi dziewczynkami na ulicy o tym, gdzie poprosić o jednorazowe naczynie. Przechodziła kobieta i powiedziała do nas głośno, że trzeba sobie kupić, a nie chodzić i prosić. Po co tak mówią? Przecież wolałabym mieć swoje, ale zostały w Ukrainie. Czy to tak miło kogoś prosić o jednorazowy talerz?

Kristina twierdzi, że w Ukrainie nigdy nie spotkała się z takim traktowaniem jak w Polsce. Również z tego powodu te święta będą inne od poprzednich. – W Pokrowsku wszyscy się znaliśmy, ludzie znali mojego męża, szanowali. Na bazarku miałam stragan. Sprzedawałam damską odzież, bieliznę, skarpety, leginsy. Niczego nam nie brakowało. Nie siedziałam w domu, a tutaj co robić? Teraz u nas wszystko pozamykane, sklepy i z ubraniami, i z żywnością. Do czego

wracać? Źle się czuję sama ze sobą w takiej sytuacji.

Larisa, przyjaciółka Kristiny, na pytanie o dyskryminację przestaje się uśmiechać, poważniej wypowiada słowa. – Nie chcę o tym mówić. Niech każdy odpowiada tylko za siebie. Wiadomo, że ludzie są różni. Jedni kradną, inni się dzielą, nie można wszystkich jedną miarą mierzyć – podkreśla. – Mamy nadzieję, że wojna szybko się skończy, że pojedziemy do domu i nie będziemy dla nikogo ciężarem. Tam wszystko zostało. Czy będziemy mieć do czego wrócić? To wojna o nasze miasta, o nasz rejon. Rosja chce nas zabrać, my nie chcemy, my chcemy być w Ukrainie.

Bo to Romowie

Karol Wilczyński: – Od samego początku było dla mnie jasne, że najtrudniej będzie nam rozwiązać problemy społeczności romskiej. Romów z Ukrainy znam od kilkunastu lat. Jeździłem tam jako wolontariusz. Na samym początku kryzysu pojawiło się mnóstwo głosów, że dyskryminowani są uchodźcy czarnoskórzy: z Afryki, z Syrii, z Afganistanu, ale wiedziałem już wtedy, że dopiero przy Romach zaczniesz największą dyskryminację. Dostajemy często telefony od urzędników z różnych miast z Polski, że na przykład na dworcu od kilkunastu dni koczuje romska rodzina, żebyśmy się nimi zajęli. Czemu ten urzędnik się nimi nie zajmie, tylko dzwoni do nas?

Święta spędzone wspólnie przez rodziny polskie i romskie mogłyby być okazją, by pozbyć się uprzedzeń i przełamać stereotypy. Trudno jednak, mając w pamięci wcześniejsze doświadczenia, oczekiwać, że tak się stanie. Wilczyński dodaje: – Idealnie by było, gdyby ktoś z lokalnej społeczności muzułmańskiej czy prawosławnej zaprosił te rodziny do siebie. To z pewnością przyczyniłoby się do zupełnie innego przeżywania świąt. Teoretycznie jest to przecież możliwe. Jestem jednak realistą i wiem, że tak się nie stanie. Niestety, społeczności zarówno prawosławne, jak i muzułmańskie to dość hermetyczne grupy. Nie sądzę, by do tego doszło. Przyczyna jest jedna: nikt ich nie zaprosi, bo to Romowie.

© JACEK TARAN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

Obrońca księdza Jerzego

PIOTR LITKA

Zmarł przed Wielkanocą. Miał 81 lat. Był kościelnym aniołem stróżem ks. Jerzego Popiełuszki, a po jego śmierci walczył o pamięć o nim. Między innymi z kard. Glempem.

KSIĘDZA INFULATA GRZEGORZA Kalwarczyka znałem od lat kilkunastu. Kiedyś pomógł mi w dotarciu do archiwum kurii warszawskiej, gdy realizowałem film dokumentalny. Od tamtej pory spotykaliśmy się co jakiś czas w jego warszawskim mieszkaniu na Kanonii, tuż przy katedrze św. Jana.

Wiele razy wspominał znajomość z ks. Jerzym. Był od niego starszy o kilka lat, ale ich wzajemne kontakty stały się intensywniejsze po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Niewiele później, latem 1982, wobec niepokornego kapłana z Żoliborza bezpieka wszczęła Sprawę Operacyjnego Rozpracowania (SOR) o kryptonimie „Popieł”, którą kontynuowano do jego męczeńskiej śmierci w październiku 1984.

Podczas jednej z naszych rozmów ks. Kalwarczyk opowiedział o zdarzeniu, które miało miejsce pod koniec sierpnia 1983 r. Poinformowano go wtedy telefonicznie, że milicja zatrzymała ks. Popiełuszkę, kiedy jechał samochodem wraz z ks. Bogdanem Liniewskim oraz Waldemarem Chrostowskim na Wybrzeże. Ks. Jerzy czekał na przedstawiciela warszawskiej kurii w milicyjnym areszcie w Łomiankach. Kiedy ks. Kalwarczyk, pełniący wówczas w kurii funkcję notariusza, tam dotarł, postanowili, że pojadą wspólnie do bp. Władysława Miziołka – dzięki temu ks. Jerzy mógł uniknąć dalszego pobytu w areszcie.

Przed odjazdem z Łomianek ks. Kalwarczyk musiał pokwitować „odbior



Ksiądz Grzegorz Kalwarczyk. Warszawa, 25 maja 2006 r.

obywatela Popiełuszki”. Zwrócił przy tym uwagę jednemu z funkcjonariuszy, że w dokumencie jest błędna godzina „odbioru”. Poprawiono ją i dopiero wtedy złożył podpis.

To także ks. Kalwarczyk odbierał ciało zamordowanego kapelana Solidarności. 2 listopada 1984 r. jako przedstawiciel warszawskiej kurii pojechał do białostockiego prosektorium.

„Po otwarciu drzwi – wspominał – zobaczyliśmy przykry widok: na stole-wózku leżały na wznak zwłoki [ks. Jerzego] przykryte białą tkaniną. Spod tkaniny widać było prawy bok i rękę ułożoną obok ciała i prawie całe nogi. Na prawym boku była ukośna rana (około 3 cm), golenie wyglądały tak, jakby płamami czy miejscami pozdzierano z nich naskórek, a może były tak objęzione

częściowo przez wodną faunę? Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Gdy zapytałem obecnego [tam] lekarza, co się stało z nogami księdza Popiełuszki – odpowiedział, że są to już zmiany pośmiertne”.

Ks. Kalwarczyk asystował przy rozpoznaniu zwłok księdza przez najbliższych, a później wrócił do Warszawy w kolumnie złożonej z kilku osobowych samochodów: „Oczekiwały na nas dziesiątki tysięcy ludzi. Wytyczoną płótkami alejką pojechaliśmy na placyk przed kościołem [św. Stanisława Kostki]. Czekający tam mężczyźni poprosili o zatrzymanie się konduktu i karawanu. Zaczęły też bić dzwony. Mężczyźni wzięli trumnę na ramiona, wśród głośnego szlochu zebranych ponieśli ją za mną do wnętrza kościoła”.

ANDRZEJ WIKTOR / PAP

Podczas jednego z naszych spotkań ks. Kalwarczyk wspomniał, że przyczynił się do tego, by kapelana Solidarności pochować obok kościoła, gdzie posługiwał przez ostatnie cztery lata swego życia (podkreślał jednak, że starających się o to było znacznie więcej). To były trudne negocjacje: kuria planowała pochówek na warszawskich Powązkach, szef bezpieczeństwa, gen. Czesław Kiszczak, próbował przekonać hierarchów, że ks. Jerzego należy pochować w rodzinnych stronach, czyli na cmentarzu w Suchowoli, niedaleko Okopów, gdzie ksiądz się urodził.

– Komunistom – mówił Kalwarczyk – zależało na tym, by powstrzymać rodzący się kult męczennika, a zarazem pomniejszyć wagę uroczystości, która pierwotnie miała się odbyć poza Warszawą. Przeważały moje dyplomatyczne podejście do prymasa i argumenty, że grób przy kościele nie będzie narażony na profanację ze strony „nieznanych sprawców”.

Ks. Grzegorza Kalwarczyka najbardziej dziwiła ciągła niechęć niektórych księży do zamordowanego Popiełuszki. Wciąż żywa była wytworzona przez SB **atmosfera podejrzliwości wobec niego.**

Zaledwie dwa dni po pogrzebie (5 listopada 1984 r.) na ręce prymasa kard. Józefa Glempa wpłynęła pierwsza pisemna oficjalna prośba w sprawie otwarcia procesu beatyfikacyjnego zamordowanego księdza. Blisko 180 podpisów złożyli pracownicy szpitala ginekologicznego w Warszawie, w którym ks. Popiełuszko był kapłanem. Później wpływały kolejne

prośby. Dość powiedzieć, że zaledwie w rok od męczeńskiej śmierci ks. Jerzego do Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej wpłynęło blisko 14 tys. prośb z kilkunastu krajów świata z prośbą o jego beatyfikację.

Kult (na razie nieoficjalny) z roku na rok był coraz intensywniejszy. Grób ks. Jerzego nawiedził też podczas swojej trzeciej pielgrzymki do Polski w czerwcu 1987 r. Jan Paweł II. Wydaje się, że to przede wszystkim władze komunistyczne torpedowały plany wszczęcia procesu – poprzez chociażby różnego rodzaju działania agentury w Rzymie (Departament I) oraz przez niewydawanie rodzinie pamiątek po zamordowanym księdzu (np. sutanna Popiełuszki została przekazana jego najbliższemu z sądowego magazynu dowodów rzeczowych dopiero kilka lat po jego śmierci).

Oficjalnie proces beatyfikacyjny na etapie diecezjalnym otwarto 8 lutego 1997 r. Ks. Kalwarczyk został wyznaczony na jednego z sędziów. Przez cztery lata przesłuchano 44 świadków, zebrano liczne dokumenty oraz wypowiedzi kandydata na ołtarze. Później rozpoczął się rzymski etap procesu. Ks. Jerzego beatyfikowano 6 czerwca 2010 r.

– Co mnie najbardziej w tym wszystkim dziwiło – opowiadał Kalwarczyk – to ciągła niechęć niektórych moich współbraci do zamordowanego kapłana. Myślę, że wciąż żywa była wytworzona przez samą bezpiekę atmosfera podejrzliwości wobec Jerzego. Przecież oni przed jego śmiercią oczerniali go, podważali jego autorytet i starali się skłócić z przełożonymi. Ja zawsze go broniłem. To, o czym wspominałem, bardzo mocno tkwiło w kardynale Glempie. Przeprosił nawet za to publicznie, mówiąc, że gdyby zachował się inaczej i wysłał księdza Popiełuszkę do Rzymu, być może ocaliłby mu w ten sposób życie.

Prymasowskie przeprosiny miały miejsce dopiero w 2000 r.

© PIOTR LITKA

W tekście zacytowałem fragmenty „Relacji ks. Grzegorza Kalwarczyka z podjęcia zwłok ks. Jerzego Popiełuszki z prosektorium Zakładu Medycyny Sądowej w Białymstoku dnia 2 listopada 1984 r.”. Cyt. za: „Ks. Jerzy Popiełuszko. Życie i śmierć. Dokumenty – wspomnienia”, Wydawnictwo Polemika, Paris 1985.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 612/21 toczy się postępowanie z wniosku Piotra Krokis o stwierdzenie nabycia spadku po Helenie Morawskiej zd. Krystyńska, córki Franciszka Morawskiego i Anieli, urodzonej 2 stycznia 1928 r. w Dębnej, zmarłej 25 lutego 1991 r. w Sanoku, gdzie stale przed śmiercią mieszkała.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie Wydziale I Cywilnym w sprawie o sygnaturze I Ns 728/21 z wniosku Rafała Zmorki toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wiesławie Janinie Lis, nazwisko rodowe Zwolanek, córce Jana i Heleny z domu Bochniak, zm. 9 lipca 2015 r. w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałej w Chełmie, w skład spadku po której wchodzi lokal mieszkalny położony w Chełmie przy ul. Sienkiewicza 15/4.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 84/22 postępowanie z wniosku Krystyny Roter-Polak, o stwierdzenie nabycia udziału w prawie własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości, położonej w Jarocinie przy ul. Śródmiejskiej, oznaczonej geodezyjnie jako działki 1258 i 1251, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00019586/4.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

WOJCIECH

Bonowicz: Otulina



JAK MOGĘ POMÓC? – TO PYTANIE SŁYSZĘ ostatnio bardzo często. Co mam zrobić, skoro nie mogę dać pieniędzy, bo nie mam, mieszkanie za małe, by kogokolwiek przyjąć, do punktów pomocy muszę dojechać, a to wymaga czasu, nie jestem w stanie dyżurować zbyt długo, bo kręgosłup...

Co mogę dać – skoro nic nie mogę?

Kiedy odpowiadam, że skoro nie ma się nic innego do dania, można dać dobre słowo, wiele osób krzywi się ironicznie. No tak, chcieliby zrobić coś namacalnego, co dałoby im poczucie sprawczości. A może też – nie lekceważmy i tego motywu – coś, czym mogliby się pochwalić przed innymi. Ja tymczasem proponuję im pomoc symboliczną, właściwie nie pomoc, tylko grzeczność, dobre wychowanie, a więc coś nieuchwytnego. Coś, co wydaje się nie mieć znaczenia.

Tymczasem w pomaganiu – oprócz konkretnych działań – bardzo ważna jest otoczka, która wzmacnia lub osłabia ich efekt, sprawia, że są trwałe lub, przeciwnie, ich energia szybko się wyczerpuje. Tak jak na wojnie walczące strony prowadzą walkę na informacje, wojnę propagandową, decydującą niekiedy o powodzeniu militarnych przedsięwzięć, tak samo w pomaganiu słowo może mobilizować lub demobilizować do działania, podbudowywać lub osłabiać morale. Widzimy to wyraźnie w ostatnich miesiącach: jeśli chcących przekroczyć nasze granice otaczają dobre słowa, atmosfera życzliwości i zrozumienia, wiele osób otwiera swoje serca, nie kalkulując, czy to rozsądne, ile to będzie kosztować. Wszystko nagle się upraszcza: są potrzebujący i my, którzy możemy im pomóc. Jeśli natomiast w obiegu są przede wszystkim złe słowa – deprecjonujące, podsycające nieufność i podejrzliwość – o takie otwarcie dużo trudniej, a ci, którzy ruszają na pomoc, są w swoich wysiłkach odosobnieni.

Tak, to oczywiście źle brzmi: dać dobre słowo. Z różnych przyczyn stało się tak, że kiedy mówimy o „dobrym słowie”, mówimy o tym na ogół z ironią, a nawet sarkazmem. Ktoś

„daje dobre słowo”, żeby nie dać niczego konkretnego. Cóż po „dobrym słowie” głodnemu albo temu, kto nie ma domu, w którym mógłby spędzić najbliższą noc?

Żeby obrazowo wytłumaczyć, dlaczego „dobre słowo” jest tak ważne, używam obrazu otuliny. Słowna otulina, słowne otoczenie naszych działań – to, w jaki sposób o kimś czy o czymś mówimy – decyduje o tym, czy nasza pomoc będzie skuteczna, czy też się rozproszy. Jeśli otulina jest dostateczna – „gruba” i „ciepła”, pomoc bywa skuteczniejsza. Dotyczy to uchodźców, ale też wszystkich potrzebujących, których mamy wokół siebie na co dzień. Od wielu z nich oddzielają nas przesady i stereotypy zapisane w słowach. Złe albo tylko obojętne słowa, które załęgły się w naszych głowach, czynią ich niewidzialnymi, a niekiedy także „skazanymi”. Zauważmy na przykład, że nawet z pozoru opisowe słowo „bezdolny” jest negatywnie nacechowane: to ktoś, kto nosi w sobie jakąś skazę, winę, „coś z nim jest nie tak”, skoro znalazł się „na ulicy”. Dlatego ważnym aspektem pomagania jest odzyskiwanie, odczarowywanie pewnych słów, a tam, gdzie to niemożliwe, wprowadzanie nowych sposobów opisywania – rzetelniejszych, bardziej sprawiedliwych.

Ciepła otulina to taka, która utrzymuje odpowiednią temperaturę rozmowy, zwłaszcza gdy dotyczy nowych i skomplikowanych sytuacji. Zaczął się właśnie kolejny, trudniejszy etap pomagania uchodźcom wojennym z Ukrainy. Tym, którzy chcą kontynuować pomoc, potrzebne jest nie tylko wsparcie państwa, ale też solidarność społeczeństwa. Społeczeństwa, które – dodajmy – samo nie wie, jakie jest i jakie ma być, na co je stać i jak długo będzie w stanie trwać w mobilizacji. Otulające słowa stają się teraz równie ważne jak ciepły koc i lyk gorącej herbaty po długim marszu. Nie chodzi o to, żeby pomijać milczeniem rodzące się problemy, ale by mówić o nich w sposób możliwie rzeczowy, nienacechowany i życzliwy. Życzliwość to założenie, że szukamy rozwiązań problemów, a nie eskalujemy emocje, które się z nimi wiążą. Ciepła słowna otulina będzie w najbliższym czasie potrzebna wszędzie – przy stole, w sklepie, w miejscu pracy, w urzędach, w przychodniach i w kościołach. I oczywiście w internetowych dyskusjach, które mają to do siebie, że często zatapiają problem – a wraz z nim konkretnych, potrzebujących naszej życzliwości ludzi – w powodzi złych słów.

Wszędzie tam – uwierzmy w to – możemy pomóc. ©

REKLAMA

R20 charytatywna
aukcja sztuki
W refugees
welcome **22**

**Artystki i artyści na rzecz
uchodźczyń i uchodźców**

Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie
oraz online aukcja refugeeswelcome.pl

AUKCJA → 15.05, GODZ. 17.00

Organizatorzy

Partner
strategiczny
aukcji

Partner
główny

Siedzibę Muzeum
oraz wybrane projekty
finansuje m.st. Warszawa

Działalność Muzeum
i wybrane projekty
finansuje

Mecenas Muzeum
i Kolekcji

Partnerzy
strategiczni
Muzeum

Partner prawny
Muzeum

Współpraca
medialna

Współpraca



JAK DŁUGO POTRWA TA WOJNA?

Rosyjsko-ukraińskie rozmowy pokojowe zamarły.
Dla obu stron jest jasne, że ten konflikt
rozstrzygnie się na polu boju.

WOJCIECH KONOŃCZUK

WMINIONY CZWARTEK, 21 KWIE-
tnia rosyjski minister obro-
ny Siergiej Szojgu zameldował
Władimirowi Putinowi, że Mariu-
pol został „wyzwolony”. Jednak
z rzeczywistością ma to niewiele
wspólnego. Wprawdzie kilka ty-
sięcy obrońców zostało – po sied-
miu tygodniach walk – wypartych
ze znacznej części miasta, ale pułk
Azow i 36. Brygada Piechoty Mor-
skiej bronią się nadal w zabudowa-
niach ogromnego kombinatu meta-
lurgicznego Azowstal.

Co więcej, kilka dni temu udało im
się dokonać rajdu do portu, skąd ode-
pchnęły siły rosyjskie i wyprowadzili
ponad pięciuset ukraińskich obroń-
ców – głównie funkcjonariuszy poli-
cji i straży granicznej.

Rosyjskie frustracje

Meldunek Szojgu pokazuje, jak bar-
dzo Rosjanie potrzebują sukcesu mi-
litarne go na Ukrainie – i jak wciąż nie
są w stanie go osiągnąć. Gdyby ktoś
przed rosyjską inwazją powiedział,
że po dwóch miesiącach wojny Rosja-
nie nie tylko nie będą w stanie przejąć
kontroli nad Donbasem, ale bronić
się będzie tradycyjnie prorosyjski Ma-
riupol, zaś wojska agresora zostaną
odepchnięte spod Kijowa – prawdo-
podobnie zostałyby uznany za fanta-
stę. Przekonanie, że „potężna armia
rosyjska” załatwi sprawę w krótkim
czasie, było bowiem powszechne.

Frustrację z powodu niepowodze-
nia planów widać nawet w propa-
gandowych programach telewizji
rosyjskiej. Choć nikt nie atakuje sa-
mego Putina, zniecierpliwienie ro-
śnie. Rosjanie wciąż mają problemy
z przetrzymaniem na wschód Ukrainy
dodatkowych jednostek i sprzętu.
Zapowiadana bitwa o Donbas na
obecnym etapie sprowadza się głów-
nie do nieudanych, choć coraz bar-
dziej intensywnych prób przełama-
nia ukraińskiej obrony. Jednocześnie
Rosjanie rozbudowują swoje zaple-
cze logistyczne w regionach położo-
nych przy granicy z Ukrainą.

Wiadomo, że Putin bardzo
chciałby ogłosić jakiś sukces w trak-
cie tradycyjnej „parady zwycięstwa”

9 maja w Moskwie. Zarazem nic nie
wskazuje, że Ukraińcy mu to umo-
żliwią. Z Zachodu trafia do nich coraz
więcej pomocy wojskowej. O części
z tych dostaw wiemy, o części nie
dowiemy się przed zakończeniem
wojny. Kijów twierdzi, że wciąż jest
to zbyt mało w stosunku do potrzeb,
ale bez nich ukraińskie siły zbrojne
byłyby w nieporównywalnie trud-
niejszej sytuacji. Trzeba też pamię-
tać, że Amerykanie przekazują szta-
bowi ukraińskiemu w czasie rzeczy-
wistym informacje wywiadowcze
o ruchach wojsk rosyjskich – jest to
pomoc nieoceniona.

Mobilizacja i determinacja

Inna sprawa – to postawa Niemiec.
Najsilniejsze państwo Unii wciąż
odmawia dostarczania Ukrainie po-
trzebnego uzbrojenia. Powstaje wra-
żenie, że kanclerz Olaf Scholz z jed-
nej strony obiecuje, ale z drugiej
robi wszystko, aby obietnic nie do-
trzymać. Budzi to niesmak nie tylko
Ukraińców, ale i części społeczeń-
stwa niemieckiego, którego więk-
szość opowiada się dziś za udziele-
niem takiej pomocy militarnej.

Brak jasnej decyzji Berlina wynika
z wciąż utrzymujących się złudzeń,
że Niemcy mogłyby odegrać rolę po-
średnika między stronami. Porzuca-
nie przez niemiecką elitę starego pa-
radygmatu patrzenia na Rosję, a za-
razem dostrzeżenie Ukrainy jako
podmiotu, który ma prawo do nie-
zależnego bytu, postępuje tam nadal
z wielkimi trudnościami.

Dowództwo ukraińskie coraz ską-
piej dzieli się doniesieniami o sytu-
acji na froncie i na jego zapleczu.
Można jednak oczekiwać, że postę-
puje szkolenie nowych jednostek
ukraińskich i jest wyłącznie kwestią
czasu, gdy około 250-tysięczna armia
ukraińska otrzyma wzmocnienie. To
samo dotyczy również rozbudowy-
wanego potencjału obrony teryto-
rialnej.

Ukraińcy, w odróżnieniu od Ro-
sjan, nie narzekają na brak chętnych
do służby w wojsku. Słabe mo-
rale sił rosyjskich, którzy – sądząc
po licznych rozmowach żołnierzy,
przechwyconych przez Służbę Bez-
pieczeństwa Ukrainy – nie wiedzą,
o co walczą, kontrastuje z ogromną

mobilizacją i determinacją sił ukra-
ińskich. Oby i tym razem potwier-
dziła się stara wojenna prawda, że
o zwycięstwie decyduje postawa wal-
czących, a nie wyłącznie przewaga
sprzętowa.

Kolejne „republiki ludowe”?

Moskwa deklaruje, że jej kluczowe
cele militarne zostały ograniczone
do zdobycia całego Donbasu, co jest
ogromną zmianą w stosunku do za-
łożeń wyjściowych. Przypomnijmy,
że rosyjskim zamiarem było opano-
wanie całej Ukrainy i zmiana władzy
w Kijowie.

W istocie chodzi jednak nie tylko
o Donbas. Obraz sytuacji militarnej
byłby niepełny bez południa Ukra-
iny. Obwód chersoński i części miko-
łajowskiego oraz zaporoskiego znaj-
dują się pod okupacją Rosjan, którzy
z wielkimi trudnościami próbują za-
prowadzać własne porządki. Brak
wystarczającej liczby kolaborantów
sprawia, że wzmagają się represje. Na
okupowanych terenach Rosjanie po-
dejmują nawet próby przymusowej
mobilizacji Ukraińców do armii ro-
syjskiej. Jednocześnie pojawia się co-
raz więcej sygnałów, że Kreml przy-
gotowuje się do przeprowadzenia
pseudo-referendum o utworzeniu
na zajętych terenach nowych „repu-
blik ludowych”. Choć jest oczywiste,
że będzie ono fikcją, wpisuje się to
w rosyjski model działania metodą
faktów dokonanych, nie zważając na
ich niewiarygodność.

Wciąż jest sprawą otwartą, jak Ro-
sja widzi przyszłość okupowanego
południa Ukrainy. Należy zakładać,
że utworzenie nowych separaty-
stycznych „republiki” może być jedy-
nie wstępem do ich aneksji do Rosji
– mimo że na zajętych terenach na-
stroje prorosyjskie są całkowitym
marginesem. Ostatnie tygodnie wy-
leczyły z prorosyjskości tę część spo-
łeczeństwa ukraińskiego, która za-
chowwała jeszcze iluzję co do Rosji.

Blokada gospodarcza

Wciąż bardzo trudna jest sytuacja
Odessy. Choć od pierwszych dni
wojny miasto przygotowuje się do
rosyjskiego ataku, wciąż do niego
nie doszło. Jednak wykluczać go nie
należy. Dalsza ekspansja agresora →

*Rosyjski żołnierz w zniszczonym
Mariupolu, 15 kwietnia 2022 r.*

→ będzie bowiem uzależniona od powodzenia trwającej operacji w Donbasie. W przypadku jej powodzenia kolejne uderzenie może nastąpić w stronę tego najważniejszego ukraińskiego portu.

Trwające walki przykuwają największej uwagi, ale wielkie znaczenie ma też sytuacja ekonomiczna państwa ukraińskiego. Widać, że jednym z celów Kremla jest gospodarcze wykrwawienie Ukrainy. Dlatego Rosjanie kontynuują blokadę morską Odessy i wszystkich pozostałych portów, przez które wcześniej przechodziła większa część ukraińskiego eksportu. Bez udrożnienia dróg morskich gospodarka ukraińska nie ruszy. Rosjanie to doskonale rozumieją i nic nie wskazuje, aby blokadę zdjeli.

Jej trwanie będzie miało negatywne konsekwencje także dla sytuacji żywnościowej tych państw Bliskiego Wschodu i Afryki, gdzie trafiała większa część ukraińskiej produkcji zbóż. Wydaje się, że wspólnota międzynarodowa nie podejmuje wystarczających wysiłków, aby zmusić Rosję do zaprzestania paraliżu portów. Jeśli się to nie stanie, potrzeba wsparcia finansowego dla Ukrainy ze strony instytucji i państw zachodnich znacząco wzrośnie.

Nie ma o czym rozmawiać

Po ujawnieniu rosyjskich zbrodni w Buczy i innych miejscowościach w okolicach Kijowa, rozmowy pokojowe między Rosją a Ukrainą zamarły. Choć żadna ze stron ich nie odrzuca, wszyscy zdają sobie sprawę, że pozycje stron są na tyle odległe, iż bez rozstrzygnięcia militarnego negocjacje nie mają sensu.

W dodatku codziennie ujawniane są kolejne rosyjskie zbrodnie. Ostatnio władze Mariupola poinformowały, że we wsi Manhusz, odległej od miasta o kilka kilometrów, znajduje się zbiorowa mogiła, w której Rosjanie mogli pochować od 3 tys. do nawet 9 tys. osób. Relacje świadków mają potwierdzać, że okupanci przewozili ciała z Mariupola. Według wciąż niepełnych szacunków w mieście tym miało zginąć nawet 22 tys. cywili.

Nie tylko we władzach ukraińskich, ale również w społeczeństwie dominuje przekonanie, że wojna z Rosją ma charakter egzystencjalny i jedyną moż-

liwością jest zwycięstwo. W to, że tak się stanie, wierzy ok. 90 proc. Ukraińców. Z Kremlm zaś nie ma o czym rozmawiać, bo porozumienie z kimś, kto kwestionuje samo istnienie narodu ukraińskiego i prawo do jego suwerennego trwania, jest zwyczajnie niemożliwe.

„Walczymy z całym światem”

Wszyscy pytają: jak długo ta wojna może jeszcze trwać? Jej pierwsze dwa miesiące nie przyniosły Rosji sukcesu, ale nic nie wskazuje, aby postanowiła ona zrezygnować z kontynuowania agresji przeciw Ukrainie. Choć Putin i jego otoczenie próbują zachowywać pokerowe miny, jest jasne, iż ta wojna generuje również coraz bardziej znaczące koszty dla agresora. I nie chodzi wyłącznie o sankcje, bo to nie one mogą powstrzymać Rosję. Widać, że siły rosyjskie nie były przygotowane do tak długiej kampanii i teraz naprędce próbują nadrobić zaległości w ilości grup bojowych i ukompletowaniu. Straty, jakie już poniosły, trudno jednak będzie szybko uzupełnić.

To zaś każe postawić pytanie o rosyjski plan na dalszą część tej wojny. Nie ma nawet gwarancji, że Rosjanom uda się opanować całość Donbasu. Przypuszczalnie więc siły rosyjskie będą chciały kontynuować powolną ekspansję militarną przy jednoczesnej dalszej blokadzie gospodarczej Ukrainy, licząc, że w końcu pozwoli to osiągnąć sukces. Zgodnie z zasadą – im gorzej dla Ukrainy, tym lepiej dla Rosji.

Uwagę zwraca też dominujący w przekazie propagandowym ton, że to Zachód wypowiedział wojnę Rosji, która się jedynie broni. Kwintesencją tego podejścia jest wypowiedź jednego z dowódców Zachodniego Okręgu Wojskowego Federacji Rosyjskiej, który stwierdził: „Walczymy z całym światem, tak jak w trakcie wielkiej wojny ojczyźnianej, gdy cała Europa i cały świat byli przeciw nam. Teraz jest to samo, bo oni nigdy nie lubili Rosji”.

Słowa te dobrze oddają stan umysłów rosyjskich elit rządzących i – niestety – także większości rosyjskiego społeczeństwa. W takiej sytuacji trudno liczyć na szybkie zakończenie tej wojny. © WOJCIECH KONOŃCZUK

Tekst ukończono 22 kwietnia.



Jeż i niedźwiedź

PATRYCJA BUKALSKA

Zagrożenie z Rosji Estończycy znają aż nadto dobrze. Ukrainę wspierają mocniej niż Niemcy, a swego kraju strzegą, opierając się na idei „obrony totalnej”.

WSZYSCY MUSIMY ZROBIĆ WIĘCEJ. Nie zrobiliśmy dość, dopóki Ukraina nie wygrała” – tak premier Estonii Kaja Kallas skomentowała na Twitterze dane na temat pomocy dla Ukrainy, które opublikował Instytut Światowej Gospodarki z Kilonii (IfW Kiel).

Według niemieckiego instytutu najbardziej szczodry jest rząd USA (ok. 7,6 mld euro w ciągu tylko pierwszego miesiąca wojny; dane te nie uwzględniają pomocy pozarządowej). Jeśli jednak wziąć pod uwagę potencjał gospodarczy liczony wielkością produktu



INTS KALININS / REUTERS / FORUM

Ćwiczenia jednej z organizacji obronnych w Padise. Estonia, 20 marca 2022 r.

buja sojuszników, by ochronić kraj przed możliwą rosyjską agresją w przyszłości.

Do NATO Estonia weszła w 2004 r. i od-tąd robi wszystko, aby być wiarygodnym, odpowiedzialnym członkiem Sojuszu – nawet w czasach kryzysu gospodarczego jej wydatki na siły zbrojne nie spadły wiele poniżej progu 2 proc. PKB. Jak ma-wiał pierwszy prezydent niepodległej Es-tonii Lennart Meri: „Bezpieczeństwo jest drogim towarem, ale cena braku bezpie-czeństwa jest jeszcze wyższa”.

Początki były jednak trudne, bo kraj musiał zbudować siły zbrojne od zera. Po Związku Sowieckim nie odziedziczył ani struktury, ani sprzętu. Odbudowę rozpoczęto od Ligi Obrony, czyli ochotni-czej organizacji obrony terytorialnej (ist-niała ona w okresie międzywojennym; została rozwiązana po wejściu Sowie-tów w 1940 r.). Na tej bazie tworzone regu-larne jednostki wojskowe.

Jak wielu Finów, prof. Alenius zaan-gażował się w estoński proces odbu-dowy. – Tworzenie sił zbrojnych to był naprawdę powolny proces – wspomina. – Najpierw byli to cywilni ochotnicy, wspierani przez policjantów i strażni-ków granicznych. W 1990 r. odtworzono Ligę Obrony, do której zgłosiło się kilka tysięcy ochotników. Młode państwo było jednak dość bezbronne, miało problemy z zakupem nowoczesnego sprzętu, nadal też, aż do 1994 r., stacjonowały tam od-działy rosyjskie.

W tych trudnych początkach Esto-nię wspierała właśnie Finlandia, a także Szwecja. – Finlandia była jednak naj-ważniejszym z parterów, którzy pomo-gli stworzyć Estonii nowoczesną armię – podkreśla Kari Alenius. Teraz Estonia może wesprzeć Ukrainę.

Strategia jeża

Siły zbrojne Estonii – kraju liczącego zale-dwie 1,3 mln mieszkańców – opierają się na kilkudziesięciu tysięcy zawodowej, gru-pie rezerwistów (Estonia utrzymała po-wszechny pobór) i kilkakrotnie większej Lidze Obrony, tzw. Kaitseliit (w jej szere-gach służą też kobiety).

Mając świadomość rosyjskiego za-grożenia (zwłaszcza po wojnie w Gruzji i własnych doświadczeniach z wielkim cyberatakiem w 2007 r.), a także swo-ich ograniczonych możliwości, Estonia

krajowego brutto, na pierwsze miejsce wysuwa się właśnie mała Estonia. Po-moc humanitarna i wojskowa, jaką od 24 lutego do końca marca jej rząd prze-kazał Ukrainie, sięgnęła równowartości 0,8 proc. estońskiego PKB. Druga w ko-lejności jest Polska – z pomocą o wartości niemal 0,2 proc. PKB.

Przed wszystkim broń

Jeśli chodzi o wartość dostaw wojsko-wych, pod koniec marca Estonia była w czołówce również tej listy – na dru-gim miejscu po USA, a tuż przed Wielką Brytanią, choć przecież potencjał mili-tarny Estonii i Zjednoczonego Królestwa trudno nawet porównywać (dziś, gdy wiele krajów – w tym Polska – dostarcza Ukrainie ciężką broń, kolejność na tej li-scie może być już inna).

Estonia jest także orędowniczką kolej-nego pakietu sankcji wobec Rosji. Wpro-wadziła również w życie zakaz zawija-nia do portów rosyjskich statków (o za-kazie zadecydowała cała UE, ale jak do-tąd jedynie kilka krajów go stosuje). Rząd w Tallinnie przeznaczył też dodatkowe pieniądze na wsparcie uchodźców, wzmocnienie granicy i dążenie do niezale-żności energetycznej. Gdy chodzi o Ro-sję, Estonia nie ma złudzeń i nie zostawia niczego przypadkowi.

Prof. Kari Alenius, wykładowca uni-wersytetu w Oulu (Finlandia) specja-lizujący się w historii regionu bałtyc-kiego, jako źródło tej zdecydowanej postawy wskazuje na doświadczenia z przeszłości i kilkadziesiąt lat sowiec-kiej okupacji.

– Estończycy stali się obywatelami dru-giej kategorii na własnym terytorium. Prowadzono kolonizację kraju, liczba ro-syjskojęzycznych mieszkańców przekro-czyła 30 proc. pod koniec zimnej wojny. Estończycy czuli się zagrożeni – mówi prof. Alenius w rozmowie z „Tygodni-kiem”. – Sytuacja Ukrainy przypomina im o ich własnej historii, gdy byli ofia-rami rosyjskiej agresji.

Po pierwsze armia

O tym, że będą potrzebować sojuszników, Estończycy dobrze wiedzieli już w chwili, gdy w 1991 r. odzyskali niepodległość. – Mieli świadomość, że muszą zrobić wszystko, co w ich mocy, by już jej nie stracić. Nie chcieli znów być osamotnieni w walce z Rosją. Było całkowicie jasne, że muszą sprzymierzyć się z silniejszymi są-siadami, a to oznaczało NATO. Tylko So-jusz mógł im zapewnić ochronę – pod-kreśla prof. Alenius. – Pamiętam z lat 90., że wszyscy Estończycy, z którymi rozmawiałem, byli tego samego zdania: potrze-

→ przyjęła w 2008 r. nordycką strategię obrony totalnej czy też bezpieczeństwa całościowego. – Dla małego kraju z małą populacją to najlepsza opcja. Każdy obywatel musi wziąć udział w jego obronie. Każdy jest potrzebny, każdy się przyda – mówi Kari Alenius.

Ta koncepcja, stosowana też przez Finlandię, opiera się – prócz zasobów militarnych – także na wsparciu cywilnym dla sił zbrojnych czy obronie psychologicznej. W opublikowanym w 2020 r. przez Ośrodek Studiów Wschodnich raporcie „Nowe pomysły na obronę totalną. Bezpieczeństwo całościowe w Finlandii i Estonii” jego autor Piotr Szymański pisze, że w 2014 r., po aneksji Krymu i na początku wojny w Donbasie, do estońskiego słownika wprowadzono nowe słowo: „kerksus”. Powstało ono jako odpowiednik używanego w natowskim żargonie angielskiego słowa *resilience* („odporność”). „Kerksus” – definiowane jako „zdolność społeczeństwa do odbudowy (przywrócenia siły, elastyczności i sukcesu) po wystąpieniu negatywnego zjawiska” – na dobre weszło do obiegu urzędowego i publicznej debaty, co świadczy o wadze niemilitarnych aspektów estońskiej strategii, takich jak ogólny stan społeczeństwa i jego odporność psychiczna.

Skoro o języku mowa, Szymański zwraca też uwagę na stosowany przez Estończyków kryptonim cyklu ćwiczeń symulujących kompleksową operację obronną z zaangażowaniem sił zbrojnych, Ligi Obrony, służb mundurowych i samorządów. Brzmi on „Siil”, czyli „Jeż”.

„Symbolika i komunikat strategiczny są tutaj jasne – mały estoński jeż nie jest w stanie zatrzymać rosyjskiego niedźwiedzia, ale po przyjęciu pozycji obronnej może mocno poranić jego łapę kolcami” – pisał Szymański.

Pod skrzydłami NATO

Estoński jeż nie zatrzyma więc niedźwiedzia, ale może go spowolnić na tyle, aby z odsieczą zdążyli sojusznicy. Tallinn polega na NATO, zwłaszcza że Estonia nie ma własnych samolotów bojowych i nadzór jej przestrzeni powietrznej prowadzony jest przez Sojusz.

W bazie w Tapa stacjonuje też natowska wielonarodowa batalionowa grupa bojowa dowodzona przez Brytyjczyków. Jest częścią tzw. Wysuniętej Obecności NATO (ang. *Forward Presence*) – podobne

Estonia reaguje na rosyjski atak na Ukrainę.

Reformuje obronę terytorialną, ułatwia włączanie ochotników w działania defensywne.

grupy bojowe istnieją od kilku lat w Polsce, w Litwie i Łotwie, aby zapewniać bezpieczeństwo wschodniej flance Sojuszu.

Coraz bardziej prawdopodobne członkostwo Finlandii i Szwecji w Sojuszu – otwarcie zapowiadane dziś przez oba rządy – może pozycję Estonii wzmocnić, ułatwiając współpracę przy obronie wybrzeża i działania w Zatoce Fińskiej. Jednocześnie jednak, zdaniem eksperta ds. bezpieczeństwa Meelisa Oidsalu, trzeba przygotować się na możliwe eskalowanie napięcia w regionie przez Rosję, w tym sabotaż czy cyberataki. Choć więc lato roku 2022 może być trudne, to bilans przyszłego fińskiego i szwedzkiego członkostwa w NATO dla Estonii i tak będzie pozytywny.

Cyberpoligon

Polegając na ochronie Sojuszu, Estonia nie chce być jedynie „biorcą” bezpieczeństwa. Chce pokazać, że wnosi swój wkład w kolektywną ochronę – i tu znalazła swoją niszę, w której się specjalizuje: cyberbezpieczeństwo.

Pod koniec kwietnia Estończycy zorganizowali kolejne już natowskie manewry cyberobrony „Locked Shields”. W Tallinnie swoją siedzibę ma ośrodek Sojuszu – Centrum Doskonalenia Cyberobrony (CCDCOE). W marcu 2022 r. do CCDCOE jako tzw. *contributing participant* została przyjęta Ukraina (według nieoficjalnych informacji wcześniej jej kandydaturę jako członka miały blokować Węgry).

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo cyfrowe, Estonia jest w światowej czołówce po USA, Wielkiej Brytanii i Arabii Saudyjskiej. W jej siłach zbrojnych istnieje osobne dowództwo cybernetyczne, a w Lidze Obrony jednostka do walki w sieci.

Nie zawsze tak było – niemal dokładnie przed 15 laty, w kwietniu 2007 r., Estonia padła ofiarą pierwszego wielkiego cyberataku obejmującego całe państwo. Sparaliżowane zostały strony interne-

towe parlamentu, ministerstw, partii, policji, szkół i banków. Choć nie udało się dowiedzieć, że za atakami stała Rosja, to jednak Estonia i całe NATO natychmiast wyciągnęły wnioski. Teraz to procentuje.

Patrzac na Ukrainę

W tym roku wojskowy budżet Estonii zaplanowano na poziomie 2,3 proc. PKB, ale rozważane są dodatkowe inwestycje. W styczniu rząd przeznaczył na zwiększenie możliwości obronnych dodatkowe 380 mln euro (będą to też inwestycje w straż graniczną, obronę cywilną czy bezpieczne kanały komunikacyjne).

W kwestii ochrony granic jednym z nadchodzących wyzwań mogą okazać się uchodźcy. Nie chodzi jednak o Ukraińców (tych przybyło do Estonii dotąd 32 tys.), lecz o Rosjan. Mogą oni przekraczać estońską granicę pod koniec roku, gdy bardziej odczuwalne staną się skutki sankcji nałożonych na Rosję. Estonia z Rosją nie tylko graniczy, ale ma też dużą mniejszość rosyjskojęzyczną. W przygranicznej Narwie po rosyjsku mówi ok. 90 proc. mieszkańców.

Ilu przybyszów z Rosji, w znacznej części zapewne imigrantów ekonomicznych, można się spodziewać? Czy będzie to dziesięć czy sto tysięcy? – To zależy, jak zła będzie sytuacja [w Rosji] w przeszłości – mówił estońskiej prasie Jonatan Vseiov z MSZ, przyznając, że napływ Rosjan jest prawdopodobny.

Estończycy obserwują wojnę w Ukrainie i dostosowują swoje plany do zmieniającej się sytuacji. W połowie marca ministerstwo obrony przygotowało pakiet rekomendacji na kolejne dwa lata, częściowo opierając się już na pierwszych wnioskach wyciąganych z rosyjskiego ataku na Ukrainę. Poza inwestycjami w sprzęt wojskowy poprawione mają być też struktura obrony terytorialnej i możliwości włączenia w obronę kraju ochotników.

To przyszłość. Teraz Estonia nadal wspiera Ukrainę i to nie tylko wojskowo – w połowie kwietnia przed rosyjską ambasadą w Tallinnie zorganizowano przejmujący protest przeciwko gwałtom na Ukrainkach, jakich dopuszczają się rosyjscy żołnierze. Zaś 21 kwietnia estoński parlament, jako jeden z pierwszych, przyjął oświadczenie uznające, że rosyjskie siły zbrojne dopuszczają się w Ukrainie ludobójstwa.



FERDI LIMANI / GETTY IMAGES

Protest przeciwko rosyjskiej agresji na Ukrainę. Prisztina, Kosowo, 25 lutego 2022 r.

Patrząc z daleka, widzę siebie

MARTA SZPALA Z KOSOWA

Wojna w Ukrainie obudziła wśród mieszkańców Bałkanów wspomnienia i lęki – te najgorsze, bo z czasu tutejszych wojen. A wraz z nimi obudziła stare podziaty.

Z PERSPEKTYWY NIECO SENNEJ I WCIĄŻ pokrytej śniegiem Prisztiny, stolicy Kosowa, wojna w Ukrainie wydaje się bardzo odległa. Ludzie spacerują, dzieci się bawią, staruszkowie wygrzewają w promieniach zimowego słońca. Wszyscy czekają na prawdziwą wiosnę.

Jednak to spokój pozorny. Od początku rosyjskiej inwazji nie tylko w Kosowie, lecz w całym regionie wszyscy w uwagę śledzą, co dzieje się na wschodnich rubieżach Europy. Postępowanie Rosji przywołało wspomnienia o dawnych wojnach – i to właśnie pamięć o nich kształtuje stosunek narodów bałkańskich do wydarzeń w Ukrainie.

– Ta wojna obudziła lęk, że konflikt może się rozlać także na Bałkany – mówi mi Adnan Huskić, analityk polityczny z Sarajewa. – Zawsze nam się wydawało, że pamięć o tamtych wojnach chroni nas przed kolejną. Teraz nie jesteśmy już tego tacy pewni.

W ostatnich miesiącach atmosfera w regionie coraz bardziej przypomina bowiem tę z lat 90. XX w. Lider bośniackich Serbów Milorad Dodik – sprzymierzony z Moskwą – coraz głośniejszym straszył secesją Republiki Serbskiej z federacji Bośni i Hercegowiny. Na wzgórzach wokół Sarajewa odbyły się ćwiczenia specjalnych jednostek policji, co wszystkim przypo-

mniało, jak właśnie z tych wzgórz miasto było ostrzeliwane – podczas najdłuższego oblężenia w historii nowożytnej Europy, trwającego od wiosny 1992 r. do lata 1995 r. Z kolei przy okazji kolejnej eskalacji napięcia między Belgradem a Prisztiną jesienią 2021 r. na granicy kosowsko-serbskiej znów pojawiły się przez chwilę transportery opancerzone.

Wtedy wydawało się, że to tradycyjne bałkańskie potrząsanie szabelką – wszyscy na Bałkanach do takich manifestacji są przyzwyczajeni. Jednak w kontekście tego, co dzieje się dziś w Ukrainie, tamte wydarzenia nabierają innego wymiaru.

Powrót traumy

Bombardowania, kolumny uchodźców – wszystko to przywołało zepchnięte w zakamarki pamięci wspomnienia z lat 90., gdy podobne doświadczenia były udziałem mieszkańców Kosowa.

Kiedy latem 1999 r. wojna się tu skończyła, wszyscy zajęli się odbudową. Indywidualne tragedie przykryła radość z uzyskanej wolności. Nie było czasu na rozpatrywanie krzywd. – Nigdy nie myślałem, że cierpię na zespół stresu pourazowego – mówi mi Bekim, z którym spotykałem się w kawiarni w Prisztinie. – Teraz obrazy z Ukrainy uświadomiły mi, →

→ że tak właśnie jest: nie mogę spać w nocy, często płacę.

To motyw, który się powtarza w moich rozmowach z mieszkańcami Kosowa, którzy jeszcze raz przeżywają własne cierpienia – i uświadamiają sobie, jak wielką traumą był dla nich konflikt sprzed ponad 20 lat.

– Kolumny uciekających kobiet i dzieci przypomniły mi naszą tułaczkę – kontynuuje Bekim. – My wtedy zwlekaliśmy długo z wyjazdem. Choć sytuacja była już bardzo zła, do ostatniego momentu liczyliśmy, że ominie nas najgorsze. W końcu, gdy zaczęły się bombardowania NATO [wymierzone w wojska serbskie – red.], sąsiad zabrał nas wszystkich z sąsiedztwa na pakę ciężarówki, razem ponad 60 osób, i ruszyliśmy w kierunku Albanii.

– Najbardziej baliśmy się paramilitarnych band serbskich, oni strzelali bez ostrzeżenia – wspomina Bekim. – Podróż trwała trzy dni, nie mieliśmy jedzenia ani wody. Gdy wycieńczeni dojechaliśmy do granicy z Albanią, pilnujący jej serbscy żołnierze kazali nam wyrzucić wszystkie dokumenty, które potwierdzały nasze związki z Kosowem. Władze serbskie prowadziły czystki etniczne i chciały uniemożliwić nam powrót, gdy walki ustaną. Bez dokumentów trudno byłoby nam udowodnić, że jesteśmy stąd. Tak samo Ukraińcy z okupowanych terenów są teraz wywożeni w głąb Rosji.

Wtedy, w trakcie wojny między Serbami a Albańczykami z Kosowa, prawie półtora miliona Albańczyków musiało opuścić domy, uciekając przed serbskim wojskiem. Ponad połowa z nich schroniła się w państwach ościennych, a najwięcej w Albanii – 444 tys. osób. Tak jak w przypadku obecnych uchodźców z Ukrainy, w pierwszym momencie pomagali im głównie zwykli ludzie. Przyjmowali do własnych domów, dzielili się tym, co mieli. Choć mieli niewiele – Albania była jednym z najbiedniejszych państw Europy.

– Obecna sytuacja uświadomiła mi, jakie mieliśmy szczęście, że nasze dzieci miały niebieskie oczy i blond włosy, i budziły współczucie europejskich społeczeństw. I że wtedy, w 1999 r., świat wciąż miał świeżo w pamięci serbskie zbrodnie w Srebrenicy – mówi mi Nora, Albanka. – Bo wtedy Zachód zareagował militarnie. Dzięki bombardowaniom NATO siły



Prorosyjska demonstracja w Belgradzie, 4 marca 2022 r.

serbskie wycofały się z Kosowa, a my mogliśmy wrócić do domów.

Smutek w Sarajewie

Niespokojne noce to także doświadczenie mieszkańców Sarajewa i innych bośniackich miast. Chociaż w ich przypadku refleksje są o wiele bardziej gorzkie.

– Widzimy w wiadomościach bombardowanie ukraińskich miast, które wyglądają dokładnie tak jak nasze miasta – mówi mi Lejla Ramić-Mesihović z Sarajewa. – Wiemy, jak to jest być nagle zaatakowanym bez powodu i zostać uchodźcą w obcym kraju, bez niczego. Dlatego walka Ukraińców wzbudza wiele sympatii i współczucia wśród Bośniaków. Po wojnach w byłej Jugosławii demokratyczny świat obiecywał, że „nigdy więcej”. A jednak znów widzimy to samo – dodaje Lejla.

– Myślę, że Zachód nie rozumie, o co tak naprawdę walczą Ukraińcy. Tak jak nie rozumiał, o co my wtedy walczyliśmy – mówi mi Jasminko Halilović, twórca i dyrektor Muzeum Wojennego Dzieciństwa w Sarajewie. Miał cztery lata, gdy rozpoczęło się oblężenie jego miasta. – Ukraińcy bronią tego samego, o co my walczyliśmy: prawa do wolności, do własnego państwa i do wyboru własnej drogi – zaznacza Jasminko.

Również Adi Ćerimagić z European Stability Initiative (think-tanku zajmującego się Bałkanami) wskazuje na historyczne paralele. – Dzisiaj to Rosja, po-

dobnie jak Serbia w latach 90., obwinia ofiarę o sprowokowanie agresji, choć jedyną „winą” tej ofiary jest to, że chciała żyć w wolnym, demokratycznym i prozachodnim kraju, inaczej niż życzył sobie jej potężniejszy sąsiad – mówi Ćerimagić.

– Ukraina przypomniła Bośniakom także ich własną bezsilność, gdy przez prawie cztery lata wojny byli pozostawieni sami sobie, a zachodnie embargo uniemożliwiało im pozyskanie broni – komentuje Ćerimagić. – W tym sensie można uznać, że Zachód odrobił pewną lekcję z bośniackich doświadczeń, gdyż od samego początku konfliktu przekazuje Ukrainie broń, która umożliwia jej walkę z agresorem.

Choć, jak zgodnie twierdzą wszyscy moi bośniaccy rozmówcy, Zachód powinien robić więcej dla Ukrainy.

Pokój, ale sprawiedliwy

Jasminko Halilović dobrze zna sytuację w Ukrainie – kilku lat temu jego sarajewskie Muzeum Wojennego Dzieciństwa otworzyło swój oddział w Kijowie i również w tym kraju zbiera wspomnienia dzieci dotkniętych wojną. Chce w ten sposób przypominać, jak konflikty zbrojne wpływają na tych najmłodszych.

Tuż przed rozpoczęciem inwazji 24 lutego wystawa przedstawiająca doświadczenia ukraińskich dzieci została zaprezentowana w Chersoniu, który obecnie znajduje się pod rosyjską okupacją.

cją. Wcześniej eksponaty udało się na szczęście przenieść do Lwowa.

– W Bośni każdy został w jakiś sposób naznaczony wojną, to doświadczenie całego społeczeństwa – mówi Halilović. – Jeszcze dwa miesiące temu w Ukrainie tak nie było. Choć wszyscy mieli świadomość, że w Donbasie od 2014 r. toczą się działania wojenne, była to kwestia dla wielu odległa. Teraz już tak nie jest. I teraz wszyscy Ukraińcy są dotknięci konsekwencjami tej wojny, tak jak my kiedyś.

Podobnie jak wielu moich bośniackich rozmówców, także Halilović ostrzega Ukrainę przed niesprawiedliwym pokojem: – Gdy wojna trwa, wszyscy chcą przede wszystkim, by to się wreszcie skończyło, żeby bomby przestały spadać, żeby nie było więcej zbrodni i ofiar. Zachód naciska na jak najszybsze zaprzestanie walk. I choć zaprowadzenie pokoju powinno być priorytetem, czasem się okazuje, że zawarte porozumienie uniemożliwia odbudowę wspólnoty i normalne funkcjonowanie społeczeństwa, nawet jeśli budynki odbudowano i pozornie niewiele przypomina o wojnie.

Schemat ten sam

Choć od konfliktów na Bałkanach upłynęły już ponad dwie dekady, moi rozmówcy zarówno w Sarajewie, jak i w Prisztinie podkreślają, że metody działania agresorów pozostają takie same.

– Widzimy te same schematy – mówi Adnan Ćerimagić. – Tu i tam obwiniano ofiary agresji o sprowokowanie konfliktu. Doniesienia o zbrodniach określa się jako przesadzone albo wręcz jako sfabrykowane po to, by zyskać sympatię Zachodu i zmusić go do reakcji. Wtedy Bośniaków i Kosowarów oskarżano nawet o atakowanie własnej ludności w celu zrzucenia winy na stronę serbską.

Symboliczna w tym kontekście jest okładka serbskiego dziennika „Večernje novosti”, gdzie rosyjską masakrę w Buczy porównuje się z kosowskim Račakiem i bośniacką Srebrenicą. Autorzy wszystkie te trzy zbrodnie określają jako „rzekome”.

– Również na Bałkanach zarzekano się, że obiekty cywilne nie są atakowane, a jeśli nawet, to tylko dlatego, że ukrywają się tam siły wroga – dodaje Ćerimagić. – Obiecywano oszczędzenie ludności cywilnej, ale za żołnierzy uznawano wszyst-



WORLD CHILDHOOD MUSEUM / MATERIAŁY PRASOWE

Jasminko Halilović z Muzeum Wojennego Dzieciństwa

pojedzie wkrótce
do Strasburga:

wystawę o wojennych losach
ukraińskich dzieci chce
pokazać w Zgromadzeniu
Parlamentarnym
Rady Europy.

kich mężczyzn od szesnastego do sześćdziesiątego roku życia.

„Bracia Rosjanie”

Zupełnie inne nastroje panują natomiast w Belgradzie. W stolicy Serbii regularnie odbywają się prorosyjskie demonstracje, a na murach często można zobaczyć złowieszczą literę „Z” – to oznaczenie rosyjskich pojazdów w Ukrainie używane jest teraz w Rosji oraz przez sympatyków Rosji w Europie jako symbol poparcia dla działań Putina.

W serbskich mediach kontrolowanych przez ludzi bliskich władzy (w Serbii właściwie istnieją tylko takie) trudno byłoby znaleźć dziś informacje o zbrodniach dokonywanych przez Rosjan – za

to dużo o tych rzekomo dokonywanych przez Ukraińców, których nie określa się inaczej niż jako „naziści”. Tymczasem walka z nazizmem – tj. z niemiecką okupacją podczas II wojny światowej – to ważny element serbskiej tożsamości.

Serbskie władze od lat podsycają prorosyjskie sympatie oraz antyzachodnie i antynatowskie resentymenty, gdyż umożliwiało im to politykę balansowania między Wschodem a Zachodem. Ta strategia sprawdzała się w czasie pokoju: Serbia dostawała pewne koncesje i od Moskwy, i od Brukseli, która przez palce patrzyła na coraz mniej demokratyczne praktyki władz w Belgradzie.

Jednak gdy zaczęła się rosyjska inwazja, władze serbskie znalazły się nagle w pułapce: społeczeństwo jest nastawione bardzo prorosyjsko, tymczasem Zachód żądał odcięcia się od Moskwy. W dodatku na niedzielę 3 kwietnia – a więc na ponad miesiąc po rozpoczęciu inwazji – zaplanowano wybory, a rządzący nie chcieli ryzykować radykalnej zmiany polityki zagranicznej w apogeum kampanii wyborczej (do tych wyborów jeszcze wrócimy).

Gdy brakuje krytycznej refleksji

– Serbowie o Ukrainie wiedzą niewiele, a na ich stosunek do rosyjskiej agresji wpływa przede wszystkim narracja, wedle której to Zachód wpełchnął Kijów w konflikt z Rosją – tłumaczy mi Boris Varga, dziennikarz i politolog z Nowego Sadu, jeden z niewielu znawców Ukrainy w Serbii. – Jednocześnie to stosunek do wojen z lat 90. kształtuje dziś pogląd społeczeństwa serbskiego na wojnę w Ukrainie.

Z kolei Aleksandra Tomanić z Europejskiego Funduszu dla Bałkanów (wspierającego budowę demokracji i społeczeństwa obywatelskiego w regionie) uważa, że przyczyną obecnego nastawienia Serbów jest to, iż nie było żadnej krytycznej refleksji nad własną przeszłością, żadnego własnego rozliczenia odpowiedzialnych za zbrodnie.

– Większość Serbów postrzega wojnę Putina przez pryzmat własnych wspomnień o nalotach NATO na ich kraj, nie zastanawiając się, dlaczego do tych nalotów w ogóle doszło – mówi Tomanić. – Dla wielu z nich działania Zachodu wobec Serbii to wystarczający argument, by uzasadnić obecną agresję Rosji przeciw Ukrainie.

→ – Co więcej, rosyjska narracja o Ukrainie bardzo przypomina stosunek serbskich nacjonalistów do innych narodów byłej Jugosławii – mówi Boris Varga. Lekceważą oni specyfikę narodów czarnogórskiego i bośniackiego, a także nie uznają Czarnogóry oraz Bośni i Hercegowiny za odrębne państwa. Hasła Putina o „denazyfikacji” Ukrainy współgrają z twierdzeniami ówczesnego serbskiego prezydenta Slobodana Miloševića o walce z „hordami ustaszy” w Chorwacji, z „islamskimi ekstremistami” w Bośni czy z „albańskimi terrorystami” w Kosowie.

Nieliczni sprawiedliwi

Wojna w Ukrainie wywołała też nastroje odwetowe w serbskim społeczeństwie. Tutejsza skrajna prawica miała nawet nadzieję, że po Ukrainie Rosjanie „wyzwolą” Bałkany, czyli Kosovo i Republikę Serbską w Bośni.

Boris Varga uważa, że te ekspansjonistyczne idee – odwołujące się do idei Wielkiej Serbii i ożywione przez koncepcję „ruskiego miru” – są wspierane przez niektórych kluczowych członków rządu Serbii. Nawiązując do koncepcji owej rosyjskiej „przestrzeni życiowej” (jak można tłumaczyć to pojęcie), nazywa się je „serbskim mirem”. Także dlatego rosyjska narracja ma znajomość w Serbii tak wielu zwolenników.

Oczywiście nie wszyscy Serbowie tak myślą, ale ci wydają się pozostawać w mniejszości. Paradoksalnie, jak mówi Boris Varga, w Serbii przeciwko agresji Putina na Ukrainę najostrzej występują sami Rosjanie.

– Kiedyś Belgrad był schronieniem dla „białej” rosyjskiej emigracji po objęciu władzy przez bolszewików w 1917 r., teraz od paru lat przyjeżdżają tu osoby krytycznie nastawione do putinowskiego reżimu – mówi politolog.

– Nieformalna grupa „Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy i Serbowie wspólnie przeciwko wojnie”, która organizuje demonstracje i pomoc humanitarną, jest szczególnie prześladowana przez serbskie i rosyjskie środowiska nacjonalistyczne, gdyż dobitnie wskazuje na fałszywość narracji o jednomyślnym poparciu Rosjan dla działań Putina – dodaje Varga.

Co przyniesie przyszłość

Mieszkańców Bałkanów łączy jedno: obawiają się ekonomicznych skutków tej wojny. Ceny rosną w całej Europie, ale dla zdecydowanie biedniejszych mieszkańców tego regionu drożejąca żywność i paliwo stawiają pod znakiem zapytania same podstawy egzystencji.

Tymczasem po wyborach – wygranych przez ekipę rządzącą – serbski rząd próbuje stopniowo zmieniać medialną narrację. Używane dotąd w ślad za Rosją określenie „specjalna operacja wojskowa” jest zastępowane słowem „wojna”, pojawiają się nawet zdjęcia z Buczy, a podczas głosowania w ONZ Belgrad opowiedział się za rezolucją potępiającą działania Rosji. Jednak raz uruchomiona nacjonalistyczna propaganda rezonuje, a sprzyjanie Rosji obciąża wizerunek Serbii w oczach Europy.

W tej sytuacji Milorad Dodik, wspomniany już lider bośniackich Serbów, wydaje się wyraźnie zagubiony. To nie są dobre czasy, by podbijać nacjonalistyczną retorykę, która w ostatnich latach przysparzała mu głosów, a wybory w Bośni i Hercegowinie zaplanowano na jesień tego roku. Sam Dodik został objęty sankcjami przez Unię i USA, wzmocniono też unijny kontyngent sił pokojowych w Bośni.

Z kolei Kosovo – choć Kijów nie uznaje jego niepodległości – udziela schronienia Ukraińcom uciekającym przez wojnę. Podobne doświadczenia zbliżają. Zarówno w Prisztinie, jak i w Sarajewie z satysfakcją obserwuje się porażki Moskwy.

– Rosja zawsze groziła Zachodowi, że zdestabilizuje Bałkany, a teraz widzimy, że były to próżne groźby, bo nie jest w stanie narzucić swojego porządku nawet państwu leżącemu w jej bezpośrednim sąsiedztwie – komentuje sarajewski analityk Adnan Huskić. – Choć wojna się jeszcze nie skończyła – dodaje realistycznie.

Tymczasem Jasminko Halilović z Muzeum Wojennego Dzieciństwa wybiera się do Strasburga – wystawę o wojennych doświadczeniach ukraińskich dzieci planuje pokazać w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy. © MARTA SZPALA



Czerwona kartka dla polityków

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z KOŁOMBO

Na Sri Lance trwa obywatelski zryw, jakiego ten kraj nie widział od ogłoszenia niepodległości w 1948 r. Zmęczeni niedoborami podstawowych artykułów Lankijczycy stracili cierpliwość do rządzących.



Demonstracja przeciwko rządowi prezydenta Gotabaya Rajapaksa, który doprowadził Sri Lankę do głębokiego kryzysu. Kolombo, 19 kwietnia 2022 r.

rządzającymi elitami, zirytowani korupcją, niekompetencją i arogancją władzy. A nade wszystko zmęczeni trwającymi już od miesięcy przerwami w dostawach prądu, kolejkami po gaz i paliwo, a także brakami podstawowych produktów.

Domagają się ustąpienia prezydenta Gotabaya Rajapaksa, jak również jego brata Mahindy, który sprawuje urząd premiera i całego rządu złożonego z członków prezydenckiej koalicji.

Największy kryzys w historii

W ciągu ostatnich miesięcy można było odnieść wrażenie, że na Sri Lance państwo stopniowo przestaje działać.

Najpierw galopujące ceny i braki podstawowych produktów, takich jak cukier i mleko w proszku. Wkrótce później niedobory ropy, benzyny, oleju napędowego, gazu do gotowania i kłopoty z dostawami elektryczności. Wiele ulicznych garkuchni, w których stawali się najbiedniejsi, z braku gazu zamknęto, a pod stacjami benzynowymi na całej 22-milionowej wyspie zaczęły się ustawiać sznury pojazdów i długie kolejki ludzi.

Wśród przyczyn kryzysu ekonomicznego wymieniają trwające od kilkunastu lat niekontrolowane zadłużanie kraju. Jeszcze w 2010 r. dług zagraniczny wynosił 20 mld dolarów, podczas gdy dziś przekracza 50 mld. Z kolei pandemia przyczyniła się do spadku wpływów z turystyki. Jeszcze przed jej wybuchem rząd przeprowadził szkodliwe dla państwowej kasy cięcia podatków i zakazał używania naczyni sztucznych, co doprowadziło do drastycznego spadku produkcji ryżu, który trzeba było zacząć sprowadzać, a także herbaty – ważnego towaru eksportowego. W efekcie krajowi zabrakło dewiz do spłacania zagranicznych kredytów i obsługi importu.

W marcu tego roku brak prądu stał się bardziej dotkliwy, zmniejszono częstotliwość kursowania autobusów i pociągów. Odwołano też kończące rok szkolny egzaminy dla milionów uczniów, bo okazało się, że nie da się sprowadzić papieru i tuszu potrzebnego do wydrukowania testów.

PIERWSZY RAZ W ŻYCIU WIDZĘ COŚ TAKIEGO – Sanjit stara się przekrzyczeć demonstrantów, którzy wznoszą antyrządowe hasła przy nadmorskiej promenadzie Galle Face, w administracyjnym sercu Kolombo.

Wokół gęstnieje tłum i powiewają lankijskie flagi. Są tu ludzie w różnym wieku, z banerami i transparentami, z bębenkami i gwizdkami. Niektórzy wyposażeni w megafony, przez które wykrzykują hasła. W ich rytm trąbią stojące w korku samochody. Uczestnicy protestu śpiewają piosenki, a na fasadzie prezydenckiej kancelarii wyświetlają hasła i grafiki.

Tak jest tutaj od prawie trzech tygodni.

Rozczarowani i zirytowani

W tym czasie kilkaset metrów od kancelarii wyrosła również wioska namiotowa protestujących. Można tu posłuchać przemówień, dostać za darmo wodę albo posiłek i skorzystać z zaimprovizowanej biblioteki. Są toalety i ratownicy medyczni.

Dominuje wielkomiejska klasa średnia: biznesmeni, studenci, menadżerowie firm, ludzie wolnych zawodów. Ale można spotkać także kierowców i osoby bezrobotne. Jak również buddyjskich mnichów w szafranowych szatach, protestanckich i katolickich duchownych w białych. Nie ma tylko polityków.

Sanjit, czterdziestokilkuletni pracownik prywatnej firmy, przyszedł już kolejny raz, z żoną i nastoletnią córką. Najbardziej zaskakuje go atmosfera pikniku i jedność demonstrantów, którzy przychodzą niezależnie od pochodzenia i wyznania, i to w sytuacji, gdy takie podziały są w wieloetnicznej Sri Lance bardzo silne.

– Politycy podzielili nas dla własnych korzyści, ale dziś widać tutaj wszystkich: buddystów, hinduistów, muzułmanów, chrześcijan. Okazało się, że możemy żyć w harmonii i razem budować kraj. To piękna wyspa, tylko politycy zamienili ją w piekło – mówi Sanjit.

Inni zebrani myślą podobnie: w rozmowach tłumaczą, że są rozczarowani

→ W końcu zaczęło brakować leków i żywności, której ceny biją nowe rekordy, a szpitale wstrzymały wykonywanie operacji. Gdy na początku kwietnia skończyły się zapasy oleju napędowego, nawet wyposażone w agregaty sieciowe kawiarnie i restauracje zaczęły zostawać bez prądu. W tym samym czasie nasiliły się problemy z dostępem do internetu. Nietknięte kryzysem pozostały tylko obiekty administracyjne, nieliczne turystyczne enklawy i rezydencje bogaczy.

Tłumy na ulicach

W sobotę 26 marca w Colombo Port City – na prawie 270-hektarowym skrawku ładu usypanym w pobliżu stołecznego portu, gdzie ma powstać nowa dzielnica finansowa – zorganizowano festiwal muzyki elektronicznej z imponującymi pokazami świateł. Dzieci najbogatszych bawiły się tam w tym samym czasie, gdy codzienne przerwy w dostawach elektryczności trwały więcej niż pół dnia.

Wybuch niezadowolenia – największy od momentu uzyskania przez Sri Lankę niepodległości od Wielkiej Brytanii w 1948 r. – nastąpił parę dni później: w nocy z 31 marca na 1 kwietnia, gdy ogłoszono, że energia będzie odcinana każdej doby już nie na kilka, ale na 13 godzin. Tłum ruszył na prywatną rezydencję prezydenta na wschodnim przedmieściu Kolombo. W czasie starć z policją w ruch poszły kamienie, policja odpowiedziała gazem łzawiącym i armatkami wodnymi. Podpalono kilka pojazdów.

Następnego dnia prezydent nazwał protestujących ekstremistami i ogłosił stan wyjątkowy na całej wyspie. Dzień później – chcąc zapobiec kolejnym antyrządowym marszom – zarządził 36-go-

Cechą klanu rządzącego Sri Lanką jest nepotyzm:

posady w urzędach
czy spółkach obsadzają
liczni krewni prezydenta.

dzinny zakaz przebywania w miejscach publicznych. Zamknięto niemal wszystkie sklepy, biznesy i obiekty użyteczności publicznej, a ulice opustoszały.

Wiele osób, często pozbawionych zapasów żywności, łamało jednak zakaz, wdając się w utarczki z mundurowymi. Frustracja rosła, a oliwy do ognia dołała kilkunastogodzinna blokada mediów społecznościowych, która rozwścieczyła młodych i aktywnych społecznie obywateli.

Karnawał wolności słowa

Żeby uspokoić nastroje, do dymisji podał się cały rząd – choć poza premierem i prezydentem. Wśród tych, którzy zrezygnowali ze stanowisk, byli bracia prezydenta: kierujący resortem finansów Basil i minister rolnictwa Chamal, oraz syn premiera Namal, który sprawował urząd ministra sportu.

Ale to Lankijczyków nie przekonało. Następnego dnia rano, tuż po zniesieniu godziny policyjnej, na ulice wyległy dziesiątki tysięcy ludzi. Do wieczora spontaniczne protesty objęły cały kraj. Wśród terkotu agregatów prądotwórczych, niedaleko ciągnących się na setki metrów kolejek, zaczął się karnawał wolności słowa, jakiego Sri Lanka nie widziała w swojej historii.

Rodziny z dziećmi, właściciele firm i kierowcy z plakatami, banerami i trans-

parentami zaczęli ustawiać się przy głównych ulicach i na skrzyżowaniach. Uczniowie i studenci pojawiali się z hasłem „Zadarliście z niewłaściwym pokoleniem”. Od ludzi zaroilo się na pustym zwykle stołecznym placu Niepodległości. Zdarzało się, że naprzeciw siebie wychodziły nieskoordynowane marsze. Wkrótce pikietę i wystąpienia w całym kraju zaczęli organizować lekarze i medycy, informatycy, wykładowcy, stolarze, rybacy i pracownicy plantacji herbaty, a poparcie dla protestów wyrazili członkowie narodowej drużyny krykiętowej.

Polityczny klan

Większość haseł skupia się na osobie prezydenta i jego politycznym klanie, którego członkowie zasiadają na najważniejszych stanowiskach. „Gota do domu!”, „Gota złodzieju!”, „Gota wariat!”, „Rajapak-sowie wynocha”, „Kraj należy do wszystkich, a nie do jednej rodziny” – słychać na ulicach.

Pochodząca z rolniczego południa wyspy rodzina Rajapaksov polityką zajęła się jeszcze w latach 30. XX w., gdy kraj był brytyjską kolonią. Natomiast na szczytach władzy po raz pierwszy umościła się w 2005 r., kiedy prezydentem został Mahinda Rajapaksa, wcześniej szef rządu i minister z ramienia nacjonalistycznej Partii Wolności Sri Lanki (SLFP).

Nowy przywódca okazał się skuteczny w twardej walce, nie tylko czysto politycznej. To za jego kadencji – w maju 2009 r. – rządowe wojsko zadało klęskę rebeliantom z separatystycznej organizacji Tamiłskie Tygrysy (LTTE), kończąc trwającą przeszło ćwierć wieku wojnę domową.

Na tym historycznym zwycięstwie – oraz na szowinistycznym przekazie, mającym zapewnić im poparcie buddyjskich Syngalezów stanowiących większość mieszkańców kraju – Rajapak-sowie zbudowali swoją pozycję.

Rodzina na swoim

Ich znakiem rozpoznawczym szybko stał się także nepotyzm. Posady w ministerstwach, urzędach, dyplomacji, w kontrolowanych przez rząd mediach i państwowych spółkach dostawały się dziesiątkom krewnych prezydenta.

Kiedy podczas wywiadu w 2010 r. dziennikarka stacji Al-Jazeera zwróciła

Pa chłopaki pa pa

Pa dziewczyny pa pa

Chciałbym poczekać, ale

Dopał mnie mój sen najdroższy

11 kwietnia 2022 roku odszedł

Jacek „Budyń” Szymkiewicz

uwagę, że publiczne synekury otrzymało już około 30 spokrewnionych i spowinowaconych z nim osób, Rajapaksa nie zaprzeczył, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu. „Wszyscy ludzie w kraju są ze mną spokrewnieni” – wypalił.

W tym samym czasie opozycja oskarżała klan o dopuszczenie do zbrodni na tamilskich cywilach w ostatniej fazie wojny, przypisując Rajapaksom odpowiedzialność za zaginięcia jeńców oraz porwania i zabójstwa krytycznych wobec władz dziennikarzy.

Ale zwykli Lankijczycy, zwłaszcza Syn-galezi, byli gotowi wiele wybaczyć swoim wybrańcom. Zwłaszcza że ci obiecywali bronić buddyjskiej większości przed stanowiącymi jedną trzecią mieszkańców mniejszościami i roztaczali wizję budowy na Sri Lance „drugiego Singapuru”.

Rajapaksowie weszli w strategiczny sojusz z Chinami, które zaczęły otrzymywać największe kontrakty infrastrukturalne. I choć po prawie dekadzie musieli oddać władzę, to wrócili do niej wkrótce po wielkanocnych zamachach terrorystycznych z 2019 r. Prezydentem został Gotabaya Rajapaksa, dawny żołnierz i sekretarz obrony, widziany jako lider, który zapewni krajowi porządek i bezpieczeństwo.

Niedługo później kierowana przez członków jego klanu koalicja zapewniła

Do demisji podali się ministrowie.

Ale demonstranci chcą więcej: głębokich reform w państwie.

sobie przytłaczające zwycięstwo w wyborach parlamentarnych, uzyskując bezwzględną większość. Ich pozycją wstrząsnął dopiero teraz głęboki kryzys gospodarczy.

Ulica nie odpuszcza

W połowie kwietnia, po wielu tygodniach niepokojów, szef banku centralnego ogłosił, że Sri Lanka nie jest w stanie spłacać swojego zadłużenia, zaś niespełna 2 mld dolarów pozostałych rezerw walutowych wyda na najpotrzebniejsze produkty, w tym na żywność i paliwa. Tymczasem tylko w tym roku rząd miał spłacić przeszło 4 mld dolarów długu zagranicznego. Politycy zasiedli do negocjacji z Międzynarodowym Funduszem Walutowym w sprawie możliwego planu pomocowego.

Demonstranci jednak nie odpuszczają. Domagają się nie tylko rozwiąza-

nia obecnego kryzysu, ale także głębokich reform, wśród nich ograniczenia kompetencji prezydenta i wprowadzenia wyższego progu wykształcenia dla osób piastujących najważniejsze urzędy. Organizacja badawcza WatchDog szacuje, że od 30 marca do 20 kwietnia na wyspie odbyło się blisko 300 demonstracji.

Ale prezydent i premier nie zamierzają ustąpić, nadal dysponują parlamentarną większością. Natomiast ruchowi protestacyjnemu, który stroni od kontaktów z opozycyjnymi partiami, brakuje lidera, który mógłby stać się przeciwwagą dla obecnych elit.

Pat trwa, a po obu stronach konfliktu rośnie frustracja. Policja regularnie używa przeciwko protestującym pałek, gazu i armatek wodnych. W miniony wtorek 19 kwietnia funkcjonariusze otworzyli ogień do demonstrantów blokujących linię kolejową w centrum kraju. Zginęła jedna osoba, a wiele z ranami postrzałowymi trafiło do szpitali.

Choć uczestnicy obywatelskiego zrywu nie tracą nadziei na lepszą przyszłość, to Sri Lanka pogrąża się w narastającym chaosie.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

Tekst ukończono 20 kwietnia.

Sąd Okręgowy IV Wydział Karny w Lublinie na podstawie art. 131 § 2 k.p.k., zawiadamia pokrzywdzonych czynami ujętymi w zarzutach aktu oskarżenia w sprawie sygn. akt IV K 280/21 o tym, że dnia 16 maja 2022 r. o godz. 9.15 na sali nr 29 w budynku Sądu Okręgowego w Lublinie, przy ul. Krakowskie Przedmieście 43, rozpoczęła się rozprawa przeciwko Arkadiuszowi Matule oraz Agnieszce Matule, w której Arkadiusz Matuła jest oskarżony o 2 czyny z art. 300 § 1 k.k. w zw. z art. 300 § 3 w zw. z art. 308 k.k. i in. polegające na udaremnianiu lub uszczupleniu zaspokojenia wielu wierzycieli przedsiębiorstwa PBH Cezar A. Matuła popełnione w dniu 6 listopada 2012 r. oraz w okresie od 6 grudnia 2013 r. do 26 sierpnia 2014 r. w Lublinie, nadto o 71 czynów z art. 286 § 1 k.k. i in. popełnionych w okresie od maja 2012 r. do kwietnia 2015 r. w Lublinie oraz Radzynie Podlaskim, polegających na doprowadzeniu do niekorzystnego rozporządzenia mieniem wielu osób i przedsiębiorstw poprzez wprowadzenie w błąd co do zamiaru zapłaty za nabywane towary i usługi w ramach działalności przedsiębiorstwa PBH Cezar A. Matuła; zaś Agnieszka Matuła jest oskarżona o 2 czyny z art. 300 § 1 k.k. w zw. z art. 300 § 3 k.k. polegające na udaremnianiu lub uszczupleniu zaspokojenia wielu wierzycieli przedsiębiorstwa PBH Cezar A. Matuła popełnione w dniach 12 marca 2013 r. i 15 maja 2014 r. w Lublinie, a nadto o czyn z art. 297 § 1 k.k. polegający na przedłożeniu nierzetelnego oświadczenia w imieniu przed-

siębiorstwa PBH Cezar A. Matuła w celu uzyskania pożyczki popełniony w dniu 12 marca 2013 r.

Sąd informuje jednocześnie, że pokrzywdzony na podstawie art. 54 § 1 k.p.k. może przystąpić do udziału w sprawie w charakterze oskarżyciela posiłkowego, w tym celu należy złożyć wnioski przed otwarciem przewodu sądowego.

Sąd informuje również o treści art. 387 § 1 i 2 k.p.k.:

art. 387 § 1 – do chwili zakończenia pierwszego przesłuchania wszystkich oskarżonych na rozprawie głównej oskarżony może złożyć wniosek o wydanie wyroku skazującego i wymierzenie mu określonej kary lub środka karnego, orzeczenie przepadku lub środka kompensacyjnego bez przeprowadzenia postępowania dowodowego. Wniosek może również dotyczyć wydania określonego rozstrzygnięcia w przedmiocie poniesienia kosztów procesu.

§ 2 – Sąd może uwzględnić wniosek o wydanie wyroku skazującego, gdy okoliczności popełnienia przestępstwa i wina nie budzą wątpliwości, a cele postępowania zostaną osiągnięte mimo nieprzeprowadzenia rozprawy w całości; uwzględnienie wniosku jest możliwe jedynie wówczas, gdy nie sprzeciwia się temu prokurator, a także pokrzywdzony należyście powiadomiony o terminie rozprawy oraz pouczony o możliwości zgłoszenia przez oskarżonego takiego wniosku.

Siostro, umieram

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MURCJI (HISPANIA)

Aż tysiąc operacji plastycznych przeprowadza się codziennie w Hiszpanii. Często dokonują ich lekarze, którzy nie mają dostatecznych uprawnień. Z różnymi skutkami.

STATYSTYKA ROBI WRAŻENIE: NAWET dziewięciu na dziesięciu chirurgów plastycznych w Hiszpanii nie ma skończonej odpowiedniej specjalizacji – tak wynika z szacunków tutejszego Towarzystwa Chirurgii Plastycznej, Rekonstrukcyjnej i Estetycznej (la SECPRE). Tymczasem Hiszpania należy do pięciu krajów na świecie, w których wykonuje się najwięcej takich operacji.

Po śmierci 39-letniej kobiety, zmarłej po zabiegu liposukcji, w kraju na nowo rozgorzała debata o uregulowaniu zawodu lekarza.

Bez specjalizacji

– Sara kochała żyć – mówi Nora Gómez Sánchez, siostra Sary, w rozmowie z „Tygodnikiem”. – Miała mnóstwo energii. W Murcji i Kartagenie znało ją bardzo wiele osób. Uwielbiała robić prezenty bez powodu. Miała swoją firmę. Dobrze jej się powodziło, dlatego dużo podróżowała. Wykupiliśmy wycieczkę do Egiptu, marzyliśmy, żeby zobaczyć piramidy. Dziś już wiem, że nigdy tam z siostrą nie pojedziemy.

2 grudnia ubiegłego roku Sara Gómez Sánchez, z zawodu agentka nieruchomości, matka dwójki dzieci, płaci 5,7 tys. euro i poddaje się operacji liposukcji, czyli odsysania tłuszczu. Operacja ma miejsce w jednej z prywatnych klinik w Kartagenie. Zaplanowana na trzy godziny, znacznie się przedłuża. Stan Sary się pogarsza, potrzebne są dodatkowe analizy i transfuzja krwi.

Nieoficjalnie wiadomo, że dochodzi do kłótni między operującym kobietę chirurgiem a obecnym przy operacji anestezjologiem. Po jedenastu godzinach Sara zostaje przetransportowana w ciężkim stanie do szpitala Santa Lucía w Kartagenie. Jak się później okaże, doszło do wstrząsu hipotermicznego. Oznacza to, że duży krwotok uniemożliwił sercu pompowanie wystarczającej ilości krwi do organizmu, co

miało wpływ na wiele narządów. Podczas operacji doszło do poważnego uszkodzenia m.in. nerek, dwunastnicy, wątroby i jelit. Prawdopodobnie chirurg trafił do jamy brzusznej i zamiast tkanki tłuszczowej kobieta straciła dużo krwi.

Po miesiącu spędzonym na oddziale intensywnej terapii Sara umiera 1 stycznia.

– To był najgorszy miesiąc w naszym życiu. To było straszne, widzieć moją siostrę tak wyczerpaną i półświadomą – mówi Nora Gómez Sánchez. – Jednego dnia lekarze mówili nam, że jej stan się poprawia, dawali odrobinę nadziei, aby zaraz potem ją odebrać. Pamiętam, jak pod koniec grudnia Sara, leżąc na łóżku szpitalnym, wyszeptala: „Siostro, wiem, że umieram, słyszałam rozmowę lekarzy”. Myśleliśmy, że to morfina tak na nią działa. Ale ona kilka dni później naprawdę umarła.

W Hiszpanii co godzinę przeprowadza się 40 operacji plastycznych, tysiąc każdego dnia. Łącznie daje to około 400 tys. takich operacji rocznie. Według danych z 2018 r. Międzynarodowego Towarzystwa Estetycznej Chirurgii Plastycznej (ISAPS) Hiszpania jest na piątym miejscu w światowym rankingu krajów, w których wykonuje się najwięcej operacji plastycznych, estetycznych i rekonstrukcyjnych – zaraz po takich państwach, jak Stany Zjednoczone, Brazylia, Meksyk i Niemcy.

Tymczasem, jak już powiedzieliśmy na początku, według szacunków Hiszpańskiego Towarzystwa Chirurgii Plastycznej, Rekonstrukcyjnej i Estetycznej (la SECPRE) spośród około 10 tys. chirurgów prowadzących takie operacje zaledwie 1200 ukończyło stosowną specjalizację.

Kiedyś miało to sens

I tutaj, jak twierdzi rodzina zmarłej Sary, pojawia się problem zwany w Hiszpanii „*vacío legal*” (luka prawna). Okazuje się, że nie ma żadnych uchybień w tym, iż ope-

rację liposukcji Sary wykonywał chirurg sercowo-naczyniowy, który w swojej dziedzinie może i jest fachowcem, lecz nie posiada specjalizacji w zakresie chirurgii plastycznej, estetycznej i rekonstrukcyjnej. Miał on jedynie ukończone kursy i roczne studia magisterskie z chirurgii estetycznej.

– To trochę tak jakbym ja, chirurg plastyczny po skończeniu sześcioletnich studiów medycznych i specjalizacji, zrobił sobie kurs z okulistyki i pewnego dnia chciał operować zaćmę. Owszem, jestem chirurgiem, ale wszyscy chyba rozumieją, że nie mam kwalifikacji do wszystkiego – tłumaczy dr Pablo Reyes w wideo opublikowanym w mediach społecznościowych.

– W Hiszpanii wystarczy skończyć medycynę, zdać egzamin i możesz przeprowadzać wszystkie zabiegi medyczne – mówi Ruben Gómez Sánchez, brat Sary.

– Kiedyś, wiele lat temu, miało to nawet uzasadnienie – tak twierdzi w wywiadzie dla esRadio chirurg plastyczny dr Eduardo Forcal. – Chodziło zwłaszcza o publiczną opiekę zdrowotną czy o dostęp do lekarzy na terenach wiejskich. Jednak teraz generuje to mnóstwo problemów, jeśli chodzi o sektor prywatny.

Według Hiszpańskiego Towarzystwa Medycyny Estetycznej (la S.E.M.E.) roczne studia magisterskie w dziedzi-





DIMA / EUROPA PRESS NEWS / GETTY IMAGES

Rodzina Sary protestuje przed sądem, gdzie miał być przesłuchany lekarz, który przeprowadzał jej zabieg. Cartagena, 4 stycznia 2022 r.

Lekarz z sieci

Sara Gómez Sánchez nie konsultowała swojej decyzji o liposukcji z rodziną. Dzień przed operacją wspomniała o tym tylko siostrze podczas obiadu. – Mówiła tak, jakby to było coś prostego i szybkiego: „Zobaczysz, siostrzo, już po pięciu dniach wrócę do pracy” – wspomina Nora Gómez Sánchez.

W Hiszpanii spośród zabiegów chirurgii plastycznej to właśnie liposukcja jest najchętniej wybieraną operacją (decyduje się na nią 22 proc. osób pragnących poprawić swój wygląd) – tak wynika z danych ISAPS. Tymczasem, jak alarmują lekarze, choć liposukcja nie jest długotrwałą operacją, to niesie jednak za sobą ryzyko. Dlatego ważne jest, aby była wykonywana w warunkach szpitalnych, w obecności anestezjologa i po wyczerpującym wywiadzie przedoperacyjnym.

Sara znalazła chirurga w mediach społecznościowych. Do dziś można znaleźć jego archiwalne wpisy, w których oferuje swoje usługi. – Widziałem konwersację Sary z nim na WhatsAppie. Słyszałem nagranie audio, w którym ją nakłaniał i oferował nowoczesne techniki, których, jak mówił, nie może oficjalnie zdradzić, żeby go nie kopiowano – wspomina Ruben Gómez Sánchez.

Rodzina Sary nie ma wątpliwości, że kobieta padła ofiarą kłamstwa, nieuczciwych praktyk i że nie miała świadomości, iż Javier A.M. nie ma specjalizacji w chirurgii estetycznej, plastycznej i rekonstrukcyjnej.

O zmianę prawa

Rodzina Sary walczy nie tylko o to, aby chirurg został ukarany, ale też o zmiany w prawie. Na Facebooku powstała grupa „La voz de Sara” (hiszp. Głos Sary), do której należy już kilkanaście tysięcy osób. Zbierane są też podpisy na rzecz zmian legislacyjnych na stronie change.org, które skierowane są do hiszpańskiego Ministerstwa Zdrowia. Chodzi w nich o uregulowanie zawodu chirurga tak, aby przeprowadzać operację w danej specjalności mogli tylko lekarze posiadający kilkuletnią specjalizację, a nie

nie medycyny estetycznej można ukończyć na pięciu uniwersytetach: w Madrycie, Barcelonie, Maladze, Kordobie i Sewilli. W internecie nie brakuje też kursów z chirurgii estetycznej. Dla przykładu: można wśród nich znaleźć prowadzony zdalnie przy jednym z uniwersytetów w Madrycie, trwający 45 dni. Inny – w Maladze – został zorganizowany w formie hybrydowej, a temat liposukcji zajmuje w jego programie zaledwie od dwóch do jedenastu godzin zajęć.

Oficjalnie w Hiszpanii nie istnieje tytuł chirurga estetycznego, a jedynie ze specjalizacją w chirurgii plastycznej, estetycznej i rekonstrukcyjnej. Ukończenie studiów medycznych, rezydencji i pięcioletniej specjalizacji w tym zakresie zajmuje łącznie 12 lat.

O problemie owej „luki prawnej” względem chirurgii plastycznej informuje też tutejsze Biuro Rzecznika Praw Pacjenta. Ma o nim świadczyć wzrost o 16 proc. liczby skarg na niezadowolające rezultaty zabiegów i operacji chirurgii plastycznej, rekonstrukcyjnej i estetycznej. Zdaniem rzecznika 60 proc. centrów i klinik, w których przeprowadza się takie operacje, nie spełnia wymagań pod względem personalnym i sanitarnym.

Śledztwo

W sprawie śmierci Sary Gómez Sánchez toczy się śledztwo z powództwa rodziny zmarłej. 27 czerwca chirurg sercowo-naczyniowy i anestezjolog obecny przy operacji Sary mają złożyć wyjaśnienia w sądzie w sprawie domniemanego zabójstwa z powodu zaniedbań zawodowych. Sam chirurg przeprowadzający operację, Javier A.M. odmawia komentarza w tej sprawie i według hiszpańskiego prawa może wykonywać swoją pracę aż do momentu, w którym zostanie mu udowodniona wina. Ze względu na drugie (chilijskie) obywatelstwo Javiera A.M. sąd zakazał mu wyjazdu z kraju i zdecydował o zatrzymaniu jego paszportu.

Tymczasem Pablo Martínez, adwokat chirurga, już kilka dni po śmierci kobiety zapewniał w oświadczeniu: „Mój klient uzyskał dyplom z medycyny na uniwersytecie publicznym w Hiszpanii. Po swoim czasie rezydencji uzyskał specjalizację jako chirurg sercowo-naczyniowy, ukończył także liczne kursy i studia magisterskie z chirurgii estetycznej”. Adwokat zapewniał też, że Javier A.M. jako chirurg plastyczny pracował kilka lat i nigdy do tej pory nie pojawiały się żadne skargi na jego pracę.

→ absolwenci dodatkowych studiów magisterskich czy kursów.

– Nie chcemy wszystkiego ograniczać, ale potrzebne jest jasne określenie zasad, zwłaszcza jeśli chodzi o operacje plastyczne, które są dość inwazyjne. Poza tym dziś w Hiszpanii botoks można wstrzyknąć sobie u fryzjera. Nie powinno tak być – uważa Ruben Gómez Sánchez.

Rodzina Sary sądzi, że regulacje są potrzebne, bo zainteresowanie chirurgią plastyczną i estetyczną w Hiszpanii stale wzrasta, także wśród młodych ludzi. Według Ministerstwa Zdrowia w styczniu 2020 r. odnotowano 30-procentowy wzrost liczby klinik związanych z medycyną estetyczną w stosunku do stycznia roku poprzedniego.

Sprawa śmierci 39-latk z Kartageny stała się na tyle medialna, że coraz więcej osób, które poddają się operacjom plastycznym, sprawdza kwalifikacje lekarza. Można to zrobić oficjalnie w kolegiach medycznych, ale w dobie mediów społecznościowych popularnością cieszą się posty w grupach związanych z poprawą urody. W jednej z nich Cristina pisze: „Dwa razy zmieniałam już chirurga plastycznego. Czy ktoś wie coś na temat doktora...” (tu pada nazwisko).

– Cieszę się, że ludzie stali się bardziej świadomi, iż nie każda osoba z „dr” przed nazwiskiem ma odpowiednie wykształcenie, aby wykonywać każdy zabieg czy operację – mówi Ruben Gómez Sánchez. Dodaje, że wołałby, aby ludzie nie musieli wątpić w kwalifikacje lekarzy i pytać o nie w mediach społecznościowych.

Hiszpania jest na piątym miejscu w rankingu krajów, gdzie wykonuje się najwięcej operacji plastycznych.

– To powinno regulować prawo – przekonuje.

Informacji o walce o zmianę prawa nie brakuje też na ulicach, głównie Murcji i Andaluzji. W wielu tutejszych miastach na słupach można spotkać QR kody ze zdjęciem zmarłej Sary Gómez Sánchez, które przenoszą użytkownika telefonu do informacji na temat zbiórki podpisów i apelu o zlikwidowanie wspomnianej luki prawnej.

Symbolem akcji stały się pingwiny – Sara je uwielbiała. Ludzie, którzy optują za zmianami w prawie, zakładają t-shirty z pingwinami albo przypinają breloczki do torebek czy plecaków. – Sara była miłośniczką pingwinów. Podziwiała to, że są lojalne, wierne i zawsze wybierają sobie jednego partnera na całe życie. Teraz jej symbol nosi coraz więcej osób – mówi Nora Gómez Sánchez.

Z Murcji do Madrytu

Rodzina Sary regularnie spotyka się z politykami ze wszystkich partii w Murcji. Kiedy ich propozycje zostaną zaakceptowane w parlamencie Wspólnoty Autonomicznej (prawdopodobnie stanie się

to do końca kwietnia), trafią następnie do Kongresu Deputowanych w Madrycie. W napisaniu ustawy pomagać ma rodzinie wspomniane już Hiszpańskie Towarzystwo Chirurgii Plastycznej, Rekonstrukcyjnej i Estetycznej (la SECPRE), które o luce w prawie alarmuje już od blisko 15 lat.

La SECPRE to jedna z nielicznych organizacji medycznych, które chcą zmian i widzą problem. – Ze spotkania z Kolegium Medycznym w Murcji wyszliśmy zadowoleni. Powiedzieli nam, że o przypadku Sary usłyszeli z mediów, tymczasem to oni już znacznie wcześniej mogli podjąć próbę wyjaśnienia sprawy tej operacji i rozmowy z chirurgiem. Ale nie podjęli żadnych działań. Usłyszeliśmy tylko: nie, nie i nie. Na wszystko, czego się domagamy z ich strony – mówi Ruben. A chodzi po prostu o uregulowanie kwestii operacji plastycznych i zabiegów estetycznych, ustanowienie oficjalnych ram dla zawodu chirurga plastycznego, a także o kontrolę miejsc, gdzie dokonuje się zabiegów.

Te propozycje nie odbiegają od tych, które już 13 października 2020 r. zostały przegłosowane w senackiej komisji zdrowia. Wówczas o konieczności zmian legislacyjnych alarmowali politycy opozycyjnej Partii Ludowej. Wtedy skończyło się na propozycji i publikacji w senackim biuletynie, ustawa nie weszła w życie.

– Gdyby nie opieszałość parlamentu, może Sara mogłaby być teraz z nami – uważa Nora. – Zmiany w prawie są konieczne. Nie chcemy, aby więcej kobiet podzieliło jej los.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

● **TRÓJMIASTO**, środa 27 kwietnia,
Spotkanie z Moniką Chabior i dr Agnieszką Tomasik,
„Szkoła na froncie” / hybrydowe /

● **KATOWICE**, środa 27 kwietnia, zwiedzanie
Muzeum Organów Śląskich / wycieczka /

● **OGÓLNOKLUBOWE**, środa 27 kwietnia,
Spotkanie z Łukaszem Lamzą,
cykl „Piszą w Tygodniku” / online /

● **GLIWICE**, piątek 29 kwietnia,
Spotkanie z dr. Maciejem Kozłowskim,
„Bliski Wschód wobec wojny w Ukrainie” / stacjonarne /

● **LIPSK**, niedziela 8 maja, zwiedzanie miejsca pamięci
w Nordhausen / wycieczka /

● **WARSZAWA**, czwartek 12 maja, spotkanie z aktywistami
Punktu Interwencji Kryzysowej KIK-u,
„Pomoc na dłuższy dystans” / hybrydowe /



KLUBYTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



WYSTAWA AUGUST ZAMOYSKI

Myśleć w kamieniu

28.04
– 28.08
2022

Oddział Sztuki
Nowoczesnej
(Pałac Opatów)
Muzeum Narodowego
w Gdańsku
ul. Cystersów 18
Gdańsk

EXHIBITION
**AUGUST
ZAMOYSKI**
To Think in
Stone

„August Zamoyski kujący portret Serge'a Lifara”
La Ciotat, ok. 1932, fotograf nieznan (ML)

mng.gda.pl



PROJEKT ZAMOYSKI 2017–2021 poświęcony postaci i twórczości Augusta Zamoyskiego (1893–1970) został przygotowany przez Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie i Muzeum Narodowe w Warszawie w 50. rocznicę śmierci Artysty.

Gdańska odsłona wystawy „August Zamoyski. Myśleć w kamieniu” jest współorganizowana przez Muzeum Narodowe w Gdańsku i Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie we współpracy z Muzeum Narodowym w Warszawie w ramach PROJEKTU ZAMOYSKI 2017–2021.

Organizatorzy proszą o przyjęcie wyrazów wdzięczności następujące osoby i instytucje, które wypożyczyły obiekty i udostępniły reprodukcje oraz udzieliły licencji na ich prezentowanie na gdańskiej wystawie:

Instytucje: Muzeum Augusta Zamoyskiego w Jabłoni, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum Sztuki w Łodzi

Osoby (kolekcje i archiwa prywatne): Piotr Muszalski

Patronat honorowy:



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Minister Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



AMBASSADE
DE FRANCE
EN POLOGNE



Organizator:



Instytucja Kultury Samorządu
Województwa Pomorskiego



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

SCOTT J. KELLY jest wyjątkowy, bo... nie jest do końca wyjątkowy. Nie byłoby prawdą stwierdzenie, że w 60-letniej historii podboju kosmosu był on na orbicie kimś niepowtarzalnym. Przeciwnie, przebywał tam również ktoś bardzo do niego podobny – jego brat bliźniak Mark. Choć obydwaj zaliczyli po cztery misje kosmiczne, nigdy nie spotkali się na orbicie. Bliźniacy dali jednak NASA szansę na przeprowadzenie badania, którego wyniki mogą wpłynąć na życie milionów ludzi na Ziemi.

NA POKŁADZIE Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) Kelly wraz z rosyjskim kosmonautą Michaiłem Kornienką spędził niemal rok między marcem 2015 a marcem 2016 r. Przeprowadził setki eksperymentów, ale to on sam i jego brat byli przedmiotem być może najważniejszego z nich. Aby sprawdzić, jaką cenę płaci ludzki organizm za długotrwałe pozostawanie w stanie nieważkości, naukowcy monitorowali niemal każdy aspekt fizjologii Kelly'ego i porównywali zmiany z wynikami badań jego brata bliźniaka, który został na Ziemi. Na podstawie tych badań powstały setki prac naukowych, które mogą pomóc w przygotowaniu przyszłych długoterminowych misji kosmicznych na Księżyc czy Marsa, ale mogą mieć także istotne znaczenie dla zdrowia ludzi pozostających na Ziemi. Zrozumienie, dlaczego nieważkość powoduje utratę tkanki mięśniowej, osłabienie kości czy zmiany ekspresji genów, ma pomóc w opracowaniu terapii na groźne schorzenia dotyczące milionów pacjentów. Zaś sam astronauta, choć przeszedł już na emeryturę, wciąż pilnie śledzi badania kosmosu.

PO INWAZJI Rosji na Ukrainę Kelly wykorzystał swoją popularność – i doskonałą znajomość rosyjskiego – do przebijania się przez bańkę rosyjskiej propagandy. Publicznie wytykał kłamstwa rosyjskich mediów i urzędników, m.in. szefa Roskosmosu Dmitrija Rogozina. Ten w odpowiedzi zaatakował Kelly'ego, grożąc mu, że jego tweety mogą doprowadzić do „śmierci” Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Tuż po wybuchu wojny Kelly zwrócił też rosyjski medal „Za zasługi w badaniach kosmosu” i poprosił o przekazanie go „rosyjskiej matce, której syn zginął w tej niesprawiedliwej wojnie”. ©


 CYWILIZACJA

NA ZIEMI ZAWSZE

Scott J. Kelly w kopule Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, lipiec 2015 r.

SCOTT J. KELLY, ASTRONAUTA:

Z kosmosu widać susze i pożary, ale też to, jak niewiarygodnie piękna jest nasza planeta. Za to nie widać granic politycznych.



GDZIEŚ JEST WIOSNA

NASA / GETTY IMAGES

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Tęskni Pan za widokami?

SCOTT J. KELLY: Tak, brakuje mi widoku Ziemi. Brakuje mi nieważkości. Ale najbardziej tęsknię za ludźmi, z którymi byłem w kosmosie. Za naszą pracą. Za robieniem czegoś, co jest wielkim technicznym wyzwaniem i ma wielkie znaczenie. Brakuje mi wysiłku i skupienia, które

są do tego potrzebne. Tego brakuje mi o wiele bardziej niż samej nieważkości.

Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, ile pracy macie na pokładzie stacji.

Większość czasu poświęcamy na pracę. Dla siebie mamy najwyżej parę godzin w tygodniu tuż przed snem i za-

zwyczaj dzień wolnego w weekendy. Mamy program zwany OSTPV (Onboard Short Term Planner View – red.), który stale podsuwa nam kolejne zadania. Daje nam też od razu podgląd procedur, informacje o cyklach dnia i nocy, o zasięgu łączności. Ale przede wszystkim zarządza naszym całym życiem.



→ **Czy po powrocie na Ziemię czuł Pan, że coś zmieniło się w tym, jak postrzega Pan świat?**

Tam stale masz przed oczami Ziemię. Widzisz, jak delikatna jest jej atmosfera. Planeta jest piękna, ale widać też, że duże jej części są niemal stale przesłonięte przez zanieczyszczenia, i jak znikają lasy deszczowe. Latałem w kosmos przez 17 lat i w tym czasie zaszły bardzo wyraźne zmiany. Z kosmosu widać susze na Ziemi, pożary i ekstremalne zjawiska pogodowe. Ale widać również, jak niewiarygodnie piękna jest nasza planeta. Rzeczą, której stamtąd nie widać, są granice polityczne. Widzisz potężne lądy i wiesz, że tam, na dole, są ludzie.

To wszystko ma w różnym stopniu wpływ na każdego, kto trafia w kosmos. Im więcej czasu tam spędzasz, tym więcej masz czasu na zastanowienie się nad tym wszystkim i zapewne im dłużej tam jesteś, tym silniej to na ciebie wpływa.

Czy samotność i izolacja są problemem?

To bardzo indywidualna kwestia. Dla mnie nie były wielkim problemem. Odebranie od rodziny, przyjaciół, od samej Ziemi jest trudne, ale można nauczyć się z tym żyć. Widziałem oczywiście ludzi, którzy płakali z tęsknoty za rodziną, ale to nie zdarza się często. Ja sam, gdyby pojawiła się pilna potrzeba, zostałbym tam dłużej.

Przeżył Pan w kosmosie zarówno osobiste tragedie – w 2011 r. Pańska bratowa, kongresmenka Gabrielle Giffords, została postrzelona przez zamachowca – jak i globalne katastrofy. Jak przeżywa się takie wydarzenia 300 km nad powierzchnią Ziemi?

Zło dziejące się na Ziemi zawsze na ciebie wpływa. Międzynarodowa Stacja Kosmiczna to najbardziej skomplikowane urządzenie, jakie kiedykolwiek stworzyła ludzkość – i gdy coś złego dotyka naszą planetę i jej mieszkańców, to będąc na pokładzie stacji, trudno uciec od przekonania, że te wszystkie problemy powinno dawać się rozwiązać łatwiej. Że powinniśmy umieć żyć w pokoju i doceniać to, co mamy. Kiedy dzieje się coś tak strasznego jak to, co obecnie robi Putin, to bardzo trudno pogodzić ze sobą te dwie sprawy: piękno planety i zło, do którego zdolni są ludzie.

Sama stacja kosmiczna jest może jednym z najlepszych symboli tego, do czego jesteśmy zdolni, kiedy pracujemy razem, ale ostatnie wydarzenia pokazały, że to bardzo delikatny symbol. Szef Roskosmosu groził, że odpowiedzią na sankcje nałożone na Rosję może być zniszczenie stacji.

Niestety, niektórzy próbują mieszać w ten program politykę. To niefortunne, bo sam program stacji kosmicznej powstał w konsekwencji zimnej wojny. Był sposobem na pokojową współpracę z Rosjanami, z ich inżynierami i naukowcami. Teraz został zatruty przez Dmitrija Rogozina, szefa rosyjskiej agencji kosmicznej. Moim zdaniem ten człowiek nie powinien być szefem czegokolwiek.

Czy wydarzenia na Ziemi wpływają na astronautów? Na to, na ile są w stanie współpracować?

W minimalnym stopniu. Szczerze mówiąc, kiedy jesteś w kosmosie, najważniejsi dla ciebie są inni członkowie załogi. Wspieramy się nawzajem, współpracujemy, polegamy na sobie, budujemy przyjaźń. Życie wszystkich członków załogi zależy od każdego z nas. Ale wiem też, że Putin jest nieprzewidywalny i wiem, że byłby w stanie zrobić coś, co wpłynęłoby na relacje między członkami załogi. Przekroczyć czerwoną linię, której naruszenie sprawiłoby, że współpraca stałaby się bardzo trudna. Na szczęście na razie nie jesteśmy na tym etapie.

Przyjaźń jest ważna? W końcu spędzacie razem od sześciu miesięcy do roku w bardzo ograniczonej przestrzeni.

Ogromnie ważna. Umiejętność dogadywania się z innymi członkami załogi, od których nie masz ucieczki, jest kluczowa dla zdrowia psychicznego, samopoczucia i możliwości wykonywania zadań.

Zawsze ze wszystkimi nie da się dogadać. Konflikty muszą się pojawiać.

Oczywiście, wielokrotnie byłem ich świadkiem. Sam bywałem w kosmosie z ludźmi, z którymi nie było mi po drodze, ale w procesie rekrutacji astronautów duży nacisk kładzie się na to, by zatrudniać osoby zdolne do dobrej współpracy z innymi. Nawet jeśli czasem się nie dogadujemy, to nigdy nie widziałem,

żeby takie spory przerodziły się w coś poważnego, co mogłoby mieć negatywne skutki dla bezpieczeństwa załogi.

Humor też, zdaje się, jest tam istotny. W 2016 r. udostępnił Pan na Twitterze nagranie z pewnego pościgu za brytyjskim astronautą Timem Peake'em...

Gdy byłem na orbicie, zadzwonił do mnie mój brat i powiedział „wysyłam ci kostium goryla”. Spytałem dlaczego. Odpowiedział, że jeszcze nigdy w kosmosie nie było goryla. Pierwszy kostium wyleciał jednak w powietrze razem z kapsułą Dragon, która eksplodowała podczas startu. Brat się jednak uparł i wysłał kolejne przebranie. Ostatecznie udało mu się mnie namówić, żebym je założył.

I pogonił Pan w nim Tima Peake'a. Pozostajecie w kontakcie po misjach?

Tak, jestem w kontakcie zarówno z amerykańskimi kolegami, jak i astronautami z innych krajów. Mam ciągle kontakt z trzema czy czterema rosyjskimi kosmonautami, z którymi byłem na orbicie.

Rozmawialiście po rozpoczęciu wojny?

Tak. Niektórzy z nich są po właściwej stronie historii. Inni są zupełnie zindoktrynowani. To wariactwo. Czasami ludzie, których zupełnie bym nie podejrzewał o ultranacjonalistyczne przekonania, dają się ponieść propagandzie. Nie winię do końca ich samych. Winię cały rosyjski system. Putin jest mistrzem manipulacji i propagandy. Kontroluje media i informację docierającą do obywateli. Ale dziwne jest to, że ci sami ludzie doskonale rozumieją, że nie żyją w wolnym społeczeństwie, że dziennikarze w Rosji wypadają z okien, że wybory są fałszowane. Mimo to wierzą w propagandę. Trudno to pojąć.

Od początku rosyjskiej inwazji jest Pan bardzo aktywny na Twitterze. Píše Pan po rosyjsku o wojnie, zaangażował się Pan w publiczną dyskusję z Rogozinem. Co chce Pan osiągnąć?

Wiem, że wielu Rosjan korzysta z mediów społecznościowych za pomocą szyfrowanych połączeń VPN. Wiem też, że mam tam sporo odbiorców. Uważam, że to szansa na zmianę ich poglądów, na zwrócenie ich uwagi.

Czy w tych okolicznościach współpraca między Rosją a Zachodem w kosmosie ma jeszcze przyszłość?

Ma przyszłość w kontekście wiążących nas umów dotyczących programu Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, ale dopóki w Rosji nie dojdzie do całkowitej zmiany reżimu, nie sądzę, by USA czy którekolwiek z zachodnich demokracji jeszcze kiedykolwiek współpracowały z Rosją nad pokojowymi badaniami kosmosu. Dlaczego mielibyśmy współpracować z mordercą?

Europejska Agencja Kosmiczna odwołała swoją marsjańską misję, która miała być realizowana wspólnie z Rosją. Inne misje są przekładane albo zawieszane. Jak wiele tracimy, rezygnując z tej współpracy? I ile traci Rosja?

My przede wszystkim tracimy możliwość kontaktu i współpracy. Rosja ma broń jądrową i możliwości jej rozprzestrzeniania. Jednym z celów naszej współpracy z Rosją było to, żeby zająć czymś tamtejszych inżynierów. Żeby zajmowali się czymś dobrym, a nie złym. To jest wpływ, który teraz tracimy.

Ale to oni tracą o wiele więcej – dostęp do międzynarodowych inwestycji, które są im niezbędne. Tracą także prestiż wynikający z posiadania programu kosmicznego, który bez współpracy z Zachodem będzie tylko cieniem minionej chwały. Rosjanie będą musieli zwalniać ludzi, odwoływać programy. Kto wie, czy rosyjska agencja kosmiczna w ogóle to przetrwa.

Jeśli idzie o Międzynarodową Stację Kosmiczną, nie potrzebujemy już Rosjan, by transportować tam astronautów czy zaopatrzenie, ale potrzebujemy ich, by podtrzymywać jej funkcjonowanie. To symbioza. Bez niej funkcjonowanie stacji byłoby bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe.

Tyle że dziś stacja to tylko jeden z komponentów programu kosmicznego, mamy komercyjne firmy, które wożą w kosmos prywatnych astronautów, mamy wreszcie program Artemis zakładający loty na Księżyc i Marsa. To duża zmiana?

Komercyjne loty w kosmos to duży krok w stronę obniżania kosztów lotów kosmicznych. Droga jest długa, ale zazwyczaj wielkie skoki składają się w rzeczywistości z wielu drobnych kroczków. Warto



Scott J. Kelly i Michail Kornienko w japońskim laboratorium Kibo na pokładzie stacji ISS, 2015 r.

Jednym z celów naszej współpracy z Rosją

było zajęcie czymś tamtejszych inżynierów, by zajmowali się czymś dobrym, a nie złym.

Bo Rosja ma broń jądrową.

jednak pamiętać, że kosmiczne firmy komercyjne, takie jak SpaceX, nie istniałyby, gdyby nie NASA. To rządowa agencja zleciła im budowę pojazdów kosmicznych i przeznaczyła miliardy na kontrakty na wożenie załóg i ładunków w kosmos. Rola agencji kosmicznych jest nadal kluczowa. W przypadku programu Artemida, którego celem jest powrót na Księżyc, najtrudniejsza nie jest strona techniczna czy naukowa, ale polityczna. Budowanie poparcia wśród ludzi i wśród polityków, którzy decydują o wydawaniu pieniędzy. Mój brat mawiał, że najważniejsza nie jest inżynieria raketowa tylko politologia. Na szczęście sam jest teraz politykiem.

Podobno w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy na ISS ma polecieć Tom Cruise, który chce tam nakręcić film. To dobry pomysł?

Znakomity. To kolejny sposób na komercjalizację kosmosu, zarabianie na lotach kosmicznych i poszerzanie dostępu do nich. To bardzo ważne dla całego społeczeństwa.

I myśli Pan, że Cruise będzie się dobrze bawił w kosmosie?

Trudno powiedzieć, bo to bardzo indywidualna sprawa. Latałem z ludźmi, z ty-

powymi naukowcami, którym robiło się niedobrze w samolotach, a którzy w stanie nieważkości czuli się doskonale. Widziałem też doświadczonych pilotów myśliwskich i doświadczalnych, którzy chorowali przez tydzień. Nie ma tu reguły.

Czy warto to wszystko robić?

Warto tak się poświęcać dla lotów w kosmos?

Odpowiedź na to pytanie musi się składać z kilku elementów. Przede wszystkim jesteśmy odkrywcami. To część naszego DNA. Gdybyśmy nimi nie byli, ciągle mieszkalibyśmy w jaskiniach, nigdy nie pokonalibyśmy oceanów. To właśnie ten pociąg do odkrywania pcha nas w kosmos.

Są też powody całkiem pragmatyczne. Dzięki programom kosmicznym napędzamy rozwój technologii wykorzystywanej tu, na Ziemi. Ona od dawna wpływa na jakość naszego codziennego życia, daje nam wygodę, zdrowie, bezpieczeństwo, dzięki lotom kosmicznym rozwinęliśmy telekomunikację i komputery.

Kiedy ludzie zadają to pytanie, zazwyczaj mają na myśli pieniądze. Ja spędziłem rok na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej i mogę z absolutną pewnością powiedzieć, że przez ten cały czas nie widziałem tam żadnych pieniędzy. Pieniądze nie lecą w kosmos. Są wydawane na Ziemi, służą do stworzenia dobrze płatnych miejsc pracy. Przekładają się na podatki, na wsparcie dla lokalnych społeczności, firm. To ważny element globalnej gospodarki.

Ale nawet gdyby to wszystko okazało się nieprawdą i jedynym, co dawałby nam program kosmiczny, byłaby inspiracja dla dzieci na całym świecie do studiowania nauki, matematyki i inżynierii, to i tak byłoby to warte każdego wydanego centa. Większość tych dzieci nie zostanie astronautami ani nawet nie będzie pracować w przemyśle kosmicznym. Osiągną jednak inne, równie ważne albo ważniejsze rzeczy, które wpłyną na nasze życie, gospodarkę, bezpieczeństwo. To niesamowita inwestycja w naszą przyszłość.

Wróciłby Pan?

Bez sekundy wahania. Choć nie wiem, czy chciałbym znowu poświęcić aż rok swojego życia.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ZWYCIĘZCY BIORĄ WSZYSTKO

Gdy w 1945 r. po klęsce III Rzeszy żołnierze Armii Czerwonej wracają do domów, sieją spustoszenie nie tylko na ziemiach niemieckich. Zagrażają także innym rejonom powojennej Polski.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

W STYCZNIU 1945 ROKU MIESZKAJĄCY w podwarszawskich wtedy Włochach bohater książki Wojciecha Albińskiego „*Achtung! Banditen!*” pyta swoją matkę, czy powinien się cieszyć, że przyszli Rosjanie. Po chwili namysłu słyszy jej odpowiedź: „Ciesz się, że uciekli Niemcy”. Ten dialog dobrze ilustruje nastroje, jakie panują wówczas wśród Polaków.

Początkowa radość z faktu, że zakończyła się niemiecka okupacja, szybko mija. Konferencja w Jałcie w lutym 1945 r. sankcjonuje utratę ziem wschodnich II RP oraz pozostawia Polskę na łasce Kremla. Sowietci narzucają porządek, który nie ma nic wspólnego z deklarowaną demokracją. Terror uderza w domniemanych lub rzeczywistych przeciwników nowego systemu, a Polska jest traktowana przez Armię Czerwoną jak kraj podbity.

Jednym z przykładów tego zjawiska są ciągnące w 1945 r. z zachodu na wschód tysiące sowieckich żołnierzy. Niektórzy, upojeni – dosłownie i w przenośni – zwycięstwem nad III Rzeszą wiedzą, że mają ostatnią szansę na względnie łatwe wzbogacenie się, głównie przez rabunek. Ofiarą pochodów zmierzają-

cych do domu czerwonoarmistów padają nie tylko rozwinięte gospodarczo regiony, np. Górny Śląsk i Wielkopolska, lecz także uboższe Mazowsze. Straty są znaczne, choć poszczególne gminy i powiaty dotyczą w różnym stopniu. Prześiętstwa mają miejsce głównie na wsi, ale nie omijają też miast.

Kulminacja zjawiska następuje na głównych trasach przemarszu Armii Czerwonej latem 1945 r. Do dziś skala tego bezprawia – mordów, gwałtów, rabunków i zniszczeń – nie została poznana w całości.

Przyjrzyjmy się jego świadectwom z ówczesnego województwa warszawskiego.

„Terroryzują ludność”

Z relacji wynika, że zwycięzcy spod Berlina – szeregowcy i oficerowie – kradną wszystko: zwierzęta hodowlane, sprzęt gospodarski, biżuterię, meble, obrazy, odzież, bieliznę, buty, drewno opałowe, cegły, sprzęt gospodarstwa domowego, żywność itd. Nie pogardzą nawet dość zaskakującymi rzeczami – we wsi Poręby ukradną rój pszczół.

W uprawianiu tego procederu pomaga im argument siły. Wójt gminy



ARCHIWUM ROMUALDA BRONIAKA / FORUM

Żabiny pisze 19 października 1945 r. do Starostwa Powiatowego w Działdowie, że trzy dni wcześniej przybył do majątku Tuczek stuosobowy sowiecki oddział, który dopuszcza się łupiestwa w tej miejscowości oraz w okolicznych wsiach: „Obrabowali kilka rodzin z bielizny, zabrali kilka owiec, które były własnością rolników, zniszczyli lub wypaśli paszę przygotowaną na zimę w kilku gospodarstwach i w ogóle terroryzują ludność tutejszą”.

Grabież ma długofalowe konsekwencje dla poszkodowanych. Rabunek zwierząt gospodarskich wiąże się z ryzykiem zawieszenia prac polowych. Inwentarz żywy stanowi często dorobek całego życia. A posiadanie krowy lub świni może przesądzić o przetrwaniu w skrajnie trud-



Armia Czerwona w Krakowie, styczeń 1945 r.

nym – głodnym i chłodnym – okresie wojennym.

Kradzież trzody utrudnia rolnikom oddawanie drakońskich kontyngentów. Ludzie ślą do gminnych rad błagalne pisma o ich zmniejszenie. Chłop ze wsi Górowo-Trząski prosi radę w Janowcu Kościelnym o obniżenie kontyngentu zbóż i kartofli o 75 proc. Píše, że Armia Czerwona „zabrała” z jego gospodarstwa siedem koni, co „spowodowało liche obsiewy zbóż jarych i kartofli, gdyż nie posiadałem koni od 5 kwietnia do 15 lipca 1945 roku”.

Zabrali wszystkie zapasy

Zdarza się, że ograbieni przez czerwonoarmistów ludzie pozostają bez środków do życia. 9 października 1945 r. gospodarz ze wsi Wieczfnia-Kolonia kieruje prośbę

do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Mławie o umorzenie nałożonego na niego kontyngentu. Uzasadnia, że jego majątek został całkowicie zniszczony podczas działań wojennych. I dodaje: „Natomiast armia czerwona [pisownia oryginalna – red.] zabrała mi konia, świnie, drób i wszystkie zapasy zboża, słomy, a kartofle mi zmrożono. Zabierając mi rower i odzież, pozostałem z rodziną swą w tym, co na sobie posiadałem. Następnie skradziono mi konia, a drugiego nie ma za co kupić”.

Straty wywołują nie tylko grabieże, lecz także przepędzanie przez sowieckich żołnierzy „zdobycznych” krów i koni. Przemarsz ogromnych nieraz stad zwierząt gospodarskich jest najczęściej niebezpieczny. Połączony z ich samowol-

nym wypasem i niekontrolowanym wykaszaniem łąk przez żołnierzy przyczynia się do zniszczenia żyta, koniczyny, warzyw, siana. Np. na skutek takiego procederu w powiecie błońskim ulega zniszczeniu blisko 3,9 tys. ha ziemi ornej (6,8 proc. całości) ze znajdującymi się na niej płodami rolnymi.

Przepędzenie zdobycznych zwierząt na wschód powoduje tak duże straty, że niektórzy z poszkodowanych chłopów zostają całkowicie pozbawieni zbiorów i paszy. Aby przetrwać do nowego roku gospodarskiego, muszą się np. zadłużyć. Wielu zbieudnie na zawsze. Otrzymanie odszkodowań jest ruletką, gdyż odpowiedzialne za to sowieckie władze wojskowe decydują o ich wypłaceniu dość uznaniowo.



„Cios materialny i moralny”

→ W drodze do domu żołnierze Armii Czerwonej dokonują także wielu innych, niczym nieuzasadnionych zniszczeń. Przykładowo 20 maja 1945 r. w wyniku pożaru zaproszonego przez nich w Andrzejewie gospodarze tracą zwierzęta, żyto, sprzęt rolniczy, meble, ubrania. Straty są liczone w dziesiątkach tysięcy złotych. Raport z 8 września donosi o szkodach w Kałuszynie. Tylko u jednego spośród trzynastu poszkodowanych w tej miejscowości gospodarzy „połamano 8 jabłonek, 10 sliw i owoc zerwano, 90 drzewek zniszczono w szkółce, 150 kg kapusty zabrano, 300 kg buraków egipskich, 200 kg marchwi karoty, 50 kg pietruszki, 100 kg kalafiorów, 100 kg ogórków, 150 m płotu połamano i zabrano”.

Dochodzi do przypadków barbarzyństwa – gwałtów i morderstw. W jednym z mazowieckich nadleśnictw 3 sierpnia 1945 r. pewien gajowy przyjmuje czerwonoarmistów poczęstunkiem. Ci sami żołnierze wracają w nocy – okradają go i gwałcą jego żonę. Prośba o odnalezienie winnych spotyka się z odmową sowieckich oficerów, którzy stacjonują w pobliskim obozowisku.

W komentarzu do tej sytuacji nadleśniczy pisze, że w zamian za gościnność jego podwładnemu „zadano cios materialny i moralny. Pozostaje jedyne wyjście – zabronienie przyjmowania żołnierzy Armii Czerwonej, a gdyby napierali się siłą, należy użyć broni”. Apeluje też o zwiększenie sił żandarmerii i NKWD (sic!), które by zdyscyplinowały żołnierzy.

Ale to jest jak gaszenie ognia benzyną, bo funkcjonariusze Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych Związku Sowieckiego (to rozwinięcie skrótu NKWD) również dopuszczają się w Polsce zbrodni i przestępstw kryminalnych.

Dalszy los nieznany

Krasnoarmiejcy mają *de facto* poczucie niemal całkowitej bezkarności, co ilustruje następujący przypadek. 10 sierpnia 1945 r. żołnierze sowieccy, którzy przepędzają na wschód zdobyczne bydło, kradną w Wierzbicy Pańskiej krowę. Jej właściciel informuje o tym bezpiekę i milicję z Sarnowa. Podczas interwencji funkcjonariuszy w okolicy Płońska pijani Sowietci strzelają do nich. Ich dowódca, lejttnant Spiryn, znieważa Polaków.

Następnie na miejsce zdarzenia przyjeżdżają funkcjonariusze UB z Płońska

i domagają się od sowieckiego oficera wydania krowy. Ten żąda przybycia jej właściciela. Gdy on się zjawia, Spiryn kieruje w jego stronę broń. Chłop ucieka i powiadamia o zajściu Komendę Powiatową MO.

Tymczasem funkcjonariusze UB z Płońska zostają sterroryzowani przez Sowietów. Jakiś żołnierz smaga ich batem, a Spiryn przykładą jednemu z nich rewolwer do głowy i grozi zastrzeleniem. Gdy przyjeżdżają milicjanci, Sowietci do nich strzelają. W wymianie ognia zostaje rannych dwóch czerwonoarmistów. Z czasem na miejsce zdarzenia przybierają starosta Płońska Bronisław Brzuski i komendant powiatowy MO por. Stanisław Wojtkowiak. Po ich interwencji krowa wraca do właściciela.

Okazuje się jednak, że kradzież zwierzęcia błędnie wobec porwania przez żołnierzy żony pewnego gospodarza i jego 19-letniej córki, których nie chcą uwolnić. Po interwencji UB i MO oraz pracującego w płońskim szpitalu sowieckiego majora Kozakowa czerwonoarmiści odchodzą do Siedlina.

Brzuski powiadamia o incydencie dowódcę Twierdzy Modlin płk. Gwidona Czerwińskiego, który wieczorem przybywa do Płońska razem z lejttnantem Armii Czerwonej. Dzień później przyjeżdżają do miasta dwaj inni sowieccy kapitanowie i lejttnant, którzy prowadzą dochodzenie. Los porwanych kobiet i dalszy przebieg tej sprawy są nieznane.

Wobec maruderstwa

Sowieci czują się tak pewnie, że atakują nawet posterunki MO i je okradają. Np. 15 października 1945 r. czterech uzbrojonych czerwonoarmistów bije milicjantów na posterunku w Szydłowie i kradnie im rower. 9 listopada Sowietci atakują w Szczawinie Kościelnym posterunek MO, strzelają do milicjantów i obrzucają ich granatami. Zdarza się, że grabieży dokonują razem z funkcjonariuszami UB – 11 października okradają wraz z nimi mieszkańców wsi Cygany, Gołębie i Miecznikowo-Miąchy.

Władze próbują interweniować w sprawie przestępstw sojuszniczej rzekomo armii. Dość późno, gdyż dopiero 5 października 1945 r. minister administracji publicznej Władysław Kiernik informuje wojewodów, pełnomocników okręgowych RP dla Ziemi Odzyskanych oraz prezydentów Warszawy i Łodzi, że Tym-

czasowy Rząd Jedności Narodowej ustalił z marszałkiem Konstantym Rokossowskim, któremu podlegają wojska sowieckie w Polsce, iż przy każdym urzędzie wojewódzkim znajdzie się upoważniony wyższy oficer Armii Czerwonej mający do swej dyspozycji oddział wojska. Do jego zadań należeć ma m.in. walka z maruderstwem sowieckich żołnierzy, w tym kradzieżami i napadami.

W związku z tym starostowie mają obowiązek informowania urzędów wojewódzkich o przebywających na ich terenie przestępcach w sowieckim mundurze. Skargi ludności należy kierować przez starostwa do urzędów wojewódzkich. W teorii każdy przypadek bezprawia ma być rozpatrywany przez sowiecką komendę przy urzędzie wojewódzkim.

Poufne zarządzenie

Władze lokalne szacują straty spowodowane przez przemarsz wojsk sowieckich. W tym celu Wydział Społeczno-Polityczny Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego (UWW) wydaje 3 sierpnia 1945 r. poufne zarządzenie w sprawie opracowania przez gminy wykazów zniszczeń będących skutkiem przepędzania zdobycznego bydła i koni. Materiały te – w postaci podpisanych przez wójtów protokołów – trafiają w pierwszej dekadzie października 1945 r. do UWW za pośrednictwem starostw powiatowych. Treść zarządzenia w praktyce jest rozumiana szeroko – chłopci donoszą też o innych przypadkach bezprawia ze strony sowieckich żołnierzy.

Podobne zalecenie wydaje 21 sierpnia 1945 r. Wydział Odszkodowań Wojennych UWW. Na jego podstawie w starostwach zestawia się szkody i straty, które wywołuje przemarsz żołnierzy Armii Czerwonej od stycznia do sierpnia 1945 r.

Aby gospodarze mogli łatwiej zgłaszać przypadki takich nadużyć, powstaje wzór protokołu. Zawiera on personalia poszkodowanego, miejsce i datę zdarzenia oraz wykaz rzeczy skradzionych przez sowieckich żołnierzy. Uwagę zwraca ezopowy język protokołów dyktowany zapewne strachem przed nazwaniem rzeczy po imieniu. Armia Czerwona w nich nie kradnie, lecz „rekwiruje”, „przejmuje”, względnie „zabiera pod przymusem”. Wykazy strat UWW przesyła do Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego w Warszawie.



*Oficerowie
Armii
Czerwonej
nadzorujący
demontaż
urządzeń
portowych
w Gdyni,
1945 r.*

We wrześniu 1945 r. zniszczenia związane z przepędzeniem zwierząt gospodarczych na wschód lustruje polsko-sowiecka komisja cywilno-wojskowa. W powiatach Mazowska dokonują tego lejtnant Bułanow (pełnomocnik ze strony przedstawiciela Rokossowskiego przy województwie warszawskim) oraz delegat UWW Romuald Rutowski. Straty obejmują w całym ówczesnym województwie warszawskim co najmniej 20 tys. ha obsianych pól. Inne zniszczenia w poszczególnych starostwach także są znaczne. Np. według szacunków Starostwa Powiatowego, w Gostyninie Sowietnicy niszczą na tym terenie w 1945 r. w sumie ponad 585 ha pól zbóż oraz rabują 13 549 sztuk drobiu, 3925 sztuk bydła rogatego, 3889 świń, 3820 koni, 2733 owce i kozy oraz 126 innych zwierząt. Zabierają ponad 21,6 ton mięsa.

Przeciwko bezprawiu sowieckich żołnierzy podejmowane są też działania polne. Przykładowo 14 listopada 1945 r. podczas postoju na stacji kolejowej w Pruszkowie Sowietnicy okradają pobliskie sklepiki. Na rozkaz MO i kolejarzy zostają one zamknięte, co „uniemożliwiło dalsze nadużycia” – jak donosi raport z tych wydarzeń.

Kolbą w twarz

Dokładna skala reakcji organów sowieckich na patologię ich żołnierzy nie jest

jak dotąd znana. Zapewne większość winnych nie została pociągnięta do odpowiedzialności. Nie ignorowano jednak zjawiska zupełnie. Np. pełnomocnik Rokossowskiego w ówczesnym województwie warszawskim, komendant wojenny generał major Porfirij Furt, przyczynia się do zlikwidowania bandy maruderów-czołgistów grasujących w powiecie mławskim, wymierza doraźne kary w garnizonach lub poszczególnych jednostkach Armii Czerwonej, ogranicza nielegalny wyręb drzewa w lasach państwowych. Jest to jednak kropla w morzu bezprawia.

Interwencje w sprawie rabunków ograniczają, lecz nie eliminują tego zjawiska. Przykłady można mnożyć. Pewna mieszkanka Kałuszyna pisze 23 października 1945 r. do burmistrza tego miasta o obrabowaniu jej gospodarstwa przez czerwonoarmistów: „Zaznaczam, że zostałam bez środków do życia, a krowę, którą nabyłam, będę zmuszona sprzedać z braku paszy i na przevegetowanie do nowego roku. Po prostu jestem zrujnowana”. Gdy kobieta próbuje ratować mienie, czerwonoarmista uderza ją kolbą karabinu w twarz.

Z kolei 29 października Gminny Związek Samopomocy Chłopskiej w Ożarowie alarmuje o rabowaniu zboża w gminie i coraz częstszych przypadkach kradzieży mienia. Prosi o interwencję. Sta-

rosta powiatowy w Płońsku apeluje 27 listopada do UWW o przysłanie oddziału ochronnego, który miałby strzec bezpieczeństwa i spokoju na podlegającym mu terenie. Powód? Ten sam, co wszędzie – żołnierze sowieccy. Apel Brzuskiego okazuje się nieskuteczny, bo 6 grudnia ponawia on prośbę o „przydzielenie grupy wojskowej z oficerem”.

Milicja nie może reagować

Z maruderami nie radzi sobie nawet aparat policyjno-wojskowy. Na przykład po zakończeniu obławy na żołnierzy podziemia niepodległościowego w gminie Janowiec czerwonoarmieści dokonują 10 października 1945 r. rozbójniczego rajdu przez wsie Bonisław, Cygany, Jabłonowo-Dyby, Jabłonowo-Mańkowie i Peplówek. Rabują bydło, świnie, odzież, rowery i pieniądze.

Trzy dni później rusza za nimi pościg milicji z Mławy. Pod wsią Kołaki Sowietnicy strzelają do milicjantów. Dochodzi do negocjacji. Ze względu na przeważające siły Sowietów, którzy nie chcą oddać łupów, milicja – po wylegitymowaniu ich dowódcy, starszego lejtnanta Aleksieja Tkaczewskiego – odchodzi z niczym.

W raporcie z tych wydarzeń komendant powiatowy MO w Mławie ppor. Stefan Belchatowski pisze, że podobne wypadki często zdarzają się na podlegającym mu terenie i dodaje: „Ludność na skutek podobnych rabunków wrogo jest ustosunkowana do Armii Czerwonej. Milicja wobec przewagi liczebnej i uzbrojenia oraz braku poparcia od władz zwierzchnich nie może skutecznie reagować na podobne wyczyny żołnierzy rosyjskich”.

■ ■ ■

Do jesieni 1945 r. Polacy są zdani na łaskę i niełaskę powracających do domu żołnierzy „bratniej armii”, którzy nie odjadą jednak wszyscy – w kraju zostaną zainstalowane garnizony armii sowieckiej. Polacy odetchną z ulgą dopiero wtedy, gdy we wrześniu 1993 r. i one wreszcie na zawsze opuszczą terytorium Polski.

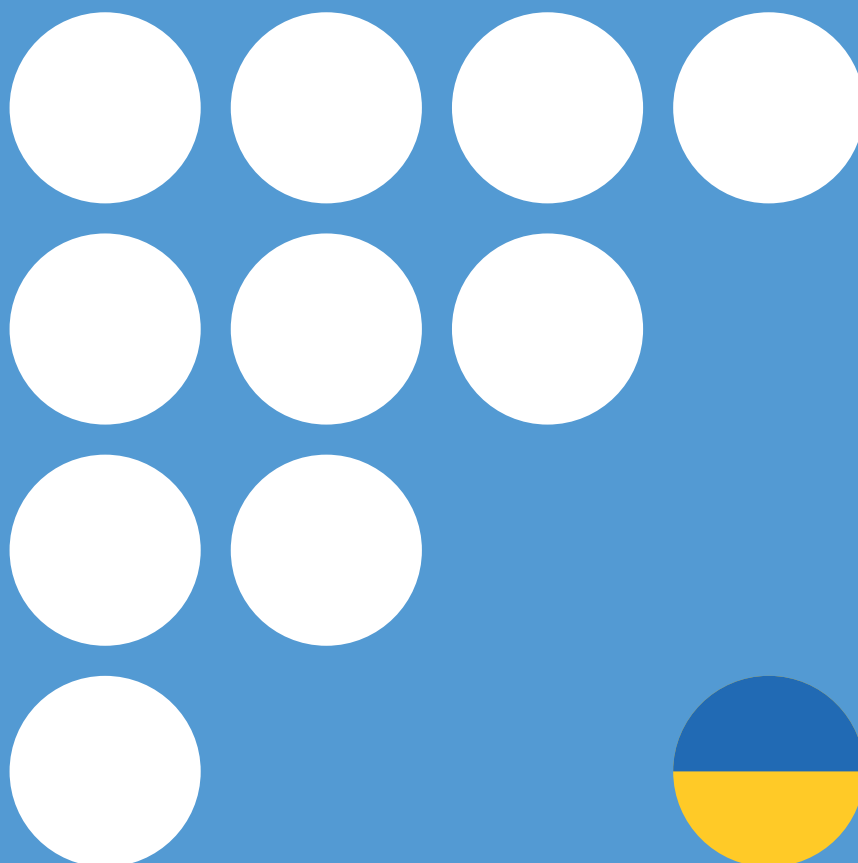
© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor jest doktorem historii, pracownikiem warszawskiego oddziału IPN; wydał szereg książek dotyczących dziejów powojennej Polski. Wkrótce ukaże się jego nowa praca o historii Polskiego Stronnictwa Ludowego w Warszawie w latach 1945-49.

Nie mam nic przeciwko imigrantom, ale...

Najczęstszym powodem dyskryminacji
w Polsce jest pochodzenie etniczne
i narodowość*

KAMPANIA SPOŁECZNA MIASTA GDAŃSKA



Gdańsk
Miastem
Równości

Tu nie ma miejsca na **ale!**

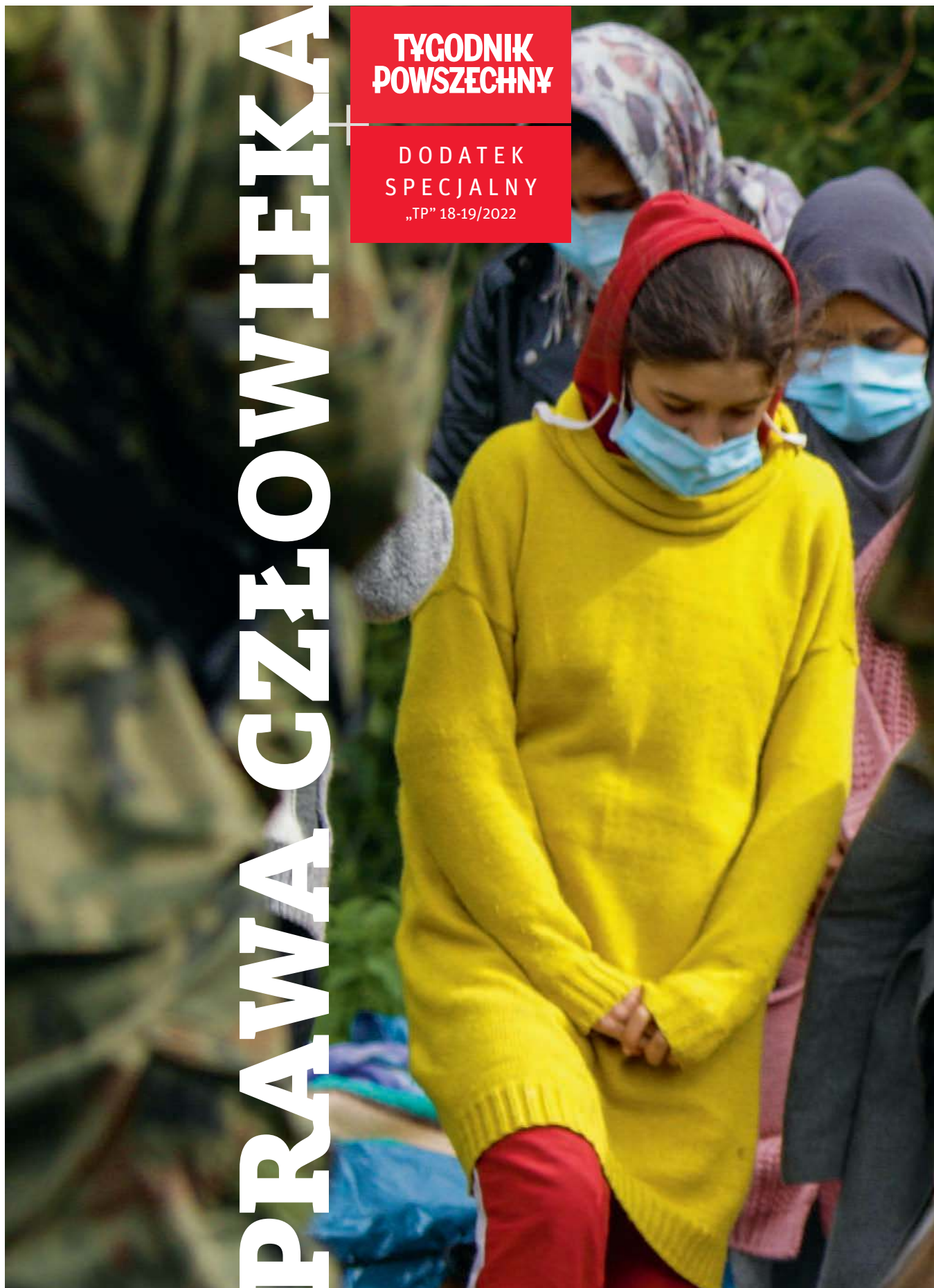
*www.gcrt.pl

PRAWA CZŁOWIEKA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 18-19/2022





Parlament Europejski

W imię praw podstawowych

DLA MOJEGO POKOLENIA DEMOKRACJA I PRAWA

człowieka to filary, na których opiera się Unia Europejska – wspólnota gospodarcza i prawna, ale także, a może przede wszystkim, wyznająca wspólne wartości. Jak każda organizacja międzynarodowa, Unia funkcjonuje dzięki instytucjom. Jak w żadnej innej organizacji zrzeszającej państwa, obywatele mają tu swoich bezpośrednich i powszechnie wybieranych przedstawicieli. Dlatego Parlament Europejski nazywany jest najbardziej demokratyczną spośród europejskich instytucji – a to zobowiązuje. Posłowie mają więc nie tylko prawo, ale i moralny obowiązek monitorować i działać w obronie przestrzegania praw człowieka we Wspólnocie i wszystkich państwach, które chcą z nami współpracować gospodarczo. Zapraszam do lektury tekstów opisujących, jak Parlament dba o przestrzeganie niezwykłych praw ludzi na całym świecie. ©

WITOLD NATURSKI,
dyrektor Biura Parlamentu Europejskiego w Polsce

Co rok to „nigdy więcej”

PROF. LECH M. NIJAKOWSKI, SOCJOLOG, EKSPERT DS. LUDOBÓJSTWA:

**Powtarzamy hasła o „narodach sprawców”.
A odpowiedzialności za zbrodnie się nie dziedziczy, nie istnieją
narody sprawców, lecz konkretni sprawcy, konkretne ofiary
i konkretni świadkowie.**

ZBIGNIEW ROKITA: Czy procesy norymberskie były pierwszym przypadkiem w dziejach, gdy ci, którzy przegrali wojnę, stanęli przed sądem?

LECH M. NIJAKOWSKI: Tak, nigdy wcześniej się to nie wydarzyło. Rozważano postawienie przed sądem cesarza Wilhelma Hohenzollerna za wywołanie I wojny światowej, ale ostatecznie zachodni alianci wycofali się z tego pomysłu.

Naziści zostali osądzeni, ale nie – jak się powszechnie uważa – za ludobójstwo. Zarzucano im te zbrodnie, które wówczas istniały w międzynarodowym porządku prawnym (a ludobójstwa nie było tam aż do 1951 r. i wejścia w życie konwencji ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa) oraz nową zbrodnię – przeciwko ludzkości. Sądzone ich za zbrodnie przeciwko pokojowi, przeciwko ludzkości oraz wojenne. Mało tego – sądzone ich wyłącznie za to, czego dopuścili się w Europie, ale w koloniach już nie. Nie karano też np. za gwałty na kobietach, choć dziś nikt już nie ma wątpliwości, że to zbrodnie.

Czy kiedykolwiek po Norymberdze przed sąd trafiły władze kraju bogatej globalnej Północy?

Jedynym przypadkiem kraju z Północy są politycy z dawnej Jugosławii. Globalna Północ nie chce sądzić samej siebie.

Czy więc praktyka stosowania prawa międzynarodowego w zakresie rozliczania rozmaitych zbrodni obnaża wybiórczość sądenia decydentów?

Obnaża, i nie jestem odosobniony w tym poglądzie. Wolimy sądzić małe i słabe narody, a nie te silne. Nie wypada np. mówić, że Amerykanie popełniali zbrodnie w Iraku – a jeśli to powiemy, usłyszymy, że jesteśmy lewakami.

Jakich zbrodni Zachodu nie osądzono?

Czy Amerykanie, wiodący kraj globalnej Północy, przyznał się do ludobójstwa na

rdzennej ludności amerykańskiej? Wszak po wojnie secesyjnej tamtejszy rząd federalny postanowił – ujmując rzecz publicystycznie – ostatecznie rozwiązać kwestię ludności rdzennej. Kolonialisci w różnych krajach popełniali zbrodnie, a tam, gdzie doszło do dekolonizacji, miejscowi nieraz domagali się zadośćuczynienia od swoich dawnych metropolii. Tak było z namibijskimi ludami Herero i Nama, na których Cesarstwo Niemieckie – wówczas kontrolujące m.in. dzisiejszą Namibię – dopuściło się ludobójstwa na początku XX w. Był to pierwszy genocyd w ubiegłym stuleciu, przy tym genocyd częściowy.

Co to znaczy?

Za politologiem Robertem Melsonem dzielę ludobójstwa na częściowe i totalne. W przypadku pierwszych agresor dopuszcza przeżycie jakiejś części prześladowanej grupy, w przypadku drugiej – już nie.

Ile tych ostatnich było w historii?

Niewiele – popełniono je tylko na Ormianach w Imperium Osmańskim, na Żydach i Romach w nazistowskich Niemczech i na Tutsi w Rwandzie.

Inna sprawa, że termin „ludobójstwo” jest nadużywany. Międzynarodowy Trybunał Karny powinien osądzić Władimira Putina za zbrodnie przeciwko ludzkości na Ukrainie, ale dyskusja o tym, czy jest on winny zbrodni ludobójstwa, nie posuwa nas naprzód.

Wielu ekspertów sprzeciwia się używaniu terminu „ludobójstwo” w odniesieniu do wydarzeń na Ukrainie.

Ludobójstwo ma konkretną definicję i nie możemy stosować tego terminu ot tak. Innym często popełnianym błędem jest mówienie o ludobójstwie w sensie prawnym w odniesieniu do wydarzeń mających miejsce przed rokiem wejścia w życie jego definicji – zresztą definicji złej – w 1951.

Na gruncie innych nauk sens natomiast to ma i dlatego możemy zastanawiać się, czy w 1937 r. doszło do ludobójstwa w Związku Sowieckim lub czy doszło do niego na Polakach na Wołyniu i w Galicji Wschodniej podczas II wojny światowej.

Wspominał Pan o zbrodniach amerykańskich na ludności rdzennej w II połowie XIX wieku. Czy to było pierwsze ludobójstwo w historii? Bo ludobójstwo, podkreślił to, jest pomysłem stosunkowo nowym.

Ludzie masowo mordowali się od początków naszej cywilizacji – jeśli setki lat temu jakieś miasto nie chciało się poddać, eksterminowano jego mieszkańców, ale miało to cel militarny, a nie ideologiczny. Ludobójstwo, rozumiane jako likwidacja w całości lub części jakiegoś etnosu, jest bowiem czymś nowym. To, czego dopuścili się Amerykanie na ludności rdzennej, było pierwszym ludobójstwem w dziejach.

Czy za ludobójstwem zawsze musi stać jakaś ideologia?

Moim zdaniem tak, bez ideologii nie ma ludobójstwa. Chęć starcia z powierzchni ziemi całego narodu lub jego części jest przecież złożoną operacją myślową. To wyzwanie nie tylko fizyczne, ale i intelektualne. Cel ludobójstwa zawsze jest utopią.

Sprawcy definiują ofiary. Najpierw jest ideologia, bo przecież to wcale nie było oczywiste, jak Niemcy zdefiniują żydowskie ofiary. Z czasem mogło dojść do innych nazistowskich ludobójstw – np. prawdopodobnego genocydu Słowian. O ludobójcach mówimy jako o sadystach, ale nigdy nie ma wystarczająco sadystów, żeby masowo mordować. Ważni są „zwykli” ludzie, których władza formatuje i którzy następnie wierzą, że zabijając służą narodowi czy państwu. To formatowanie nie dotyczy zresztą tylko genocydów. Są formy mordów, które pochwalamy i dzisiaj. Przelewanie krwi za ojczyznę na froncie jest wciąż pochwalane w szkołach, ale eksterminowanie innych narodów już nie. A moim zdaniem zabijanie to zabijanie.

Określenie danej zbrodni przez rząd jako ludobójstwo jest sprawą polityczną, prawda? Np. niewątpliwie genocyd Ormian został uznany jedynie przez około trzydzieści



MIROSLAW KAZMIERCZAK

LECH M. NIJAKOWSKI jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, socjologiem, znawcą problematyki m.in. studiów nad ludobójstwem i pamięci zbiorowej. Autor m.in. książki „Ludobójstwo. Historia i socjologia ludzkiej destrukcyjności” (2018).

państw świata – każda kolejna taka deklaracja oznaczałaby kryzys w relacjach z Turcją.

Oczywiście, że to sprawa polityczna. Ludobójstwa Ormian nie uznały nawet Stany Zjednoczone. To napięcie widzimy również dzisiaj, gdy jedna część świata uznaje zbrodnie Federacji Rosyjskiej popełniane na Ukrainie – jak masakry w Buczycy czy Mariupolu – a inne kraje kwestionują rosyjską odpowiedzialność za nie, niektórzy nawet chcą wierzyć, że to Ukraińcy podzucili ciała. Ja czekam na wyrok Międzynarodowego Trybunału Karnego. Rosyjscy politycy nie stawiają się zapewne w Hadze, ale konieczne jest, aby międzynarodowa instytucja obciążająca Rosjan wyrok wydała.

Jasne jest jednak, że jakikolwiek wyrok wyda Haga, nie będzie go w stanie wyegzekwować. Putin nie stawi się do więzienia, a w Rosji jest bezpieczny.

To prawda, pewnie Putin pozostanie w Rosji i będzie dalej twierdził, że Zachód uwierzył w ukraińskie bajki. Fakt jednak, że Zachód zgodnie powie, iż doszło do rosyjskich zbrodni na Ukrainie, to już sukces – może i minimalny, ale sukces.

Jakiego wyroku MTK ws. zbrodni rosyjskich na Ukrainie możemy się spodziewać?

MTK nie sądzi zaocznie, a zatem zapewne w wielu przypadkach procesów

nie będzie. Tymczasem sądzeni powinni być liczni sprawcy, w tym dowódcy niemieckiego szczebla. Federacja Rosyjska zapewni zbrodniarzom bezkarność. Nie spodziewam się także surowych wyroków.

Często twierdzi się, że przygotowanie gruntu w ten sposób, aby polityka ludobójcza spotkała się z pozytywnym odzewem własnego społeczeństwa, wymaga około dwudziestu lat – to jedno pokolenie. Domyślam się bowiem, że trudno byłoby z miesiąca na miesiąc przekonać jakąś społeczność do rzezi na innej.

Nieprawda, to może się wydarzyć znacznie szybciej. Po pierwsze, większość ludobójstw wydarzyła się w trakcie wojen – a wojna rozmaite procesy przyspiesza. Po drugie, zmieniły się technologie komunikacyjne, a internet również przyspiesza definiowanie ofiary. Czasem wystarczy parę miesięcy, żeby zmienić mentalność ludzi, zwłaszcza jeśli wykorzystamy głęboko zakorzenione uprzedzenia.

Do ludobójstwa mogłoby dojść w niedługim czasie nawet w Polsce?

Myślę, że tak. Kilka lat temu niechęć do uchodźców z Azji i Afryki była w naszym społeczeństwie tak duża, że gdyby eksploatowano ją w odpowiedni sposób, w niedługim czasie mogłoby do niego dojść. Gdyby ktoś zaczął np. opowiadać: „Dziś gwałcą nasze kozy, jutro zgwałcą nasze dzieci! Trzeba z nimi zrobić porządek!”. Wówczas robiono by z nimi porządek – nie wszyscy Polacy by tak postąpili, ale wystarczy część.

Przecież do ostatnich pogromów na Romach w Polsce doszło już w III Rzeczypospolitej – w 1991 r. w Mławie. Jeśli więc i współcześnie w naszym kraju widzimy często nastroje pogromowe, to co dopiero mówić o państwach słabiej rozwiniętych. Z ludzi łatwo można zrobić ludobójców, choć w jednych krajach jest to łatwiejsze, w innych trudniejsze; ale nie jest tak, że globalna Północ jest wolna od łamania praw człowieka i nie może popełniać najcięższych zbrodni.

Jaką politykę powinno prowadzić państwo, żeby społeczeństwa miały jak najmniejszą skłonność do łamania praw człowieka?

→ Kluczowa jest powszechna edukacja. To systematyczne kształtowanie postaw i uczulanie na dobro innych ludzi. Szkoła nie może być bezmyślnym narzędziem polityków.

A czym jest ludobójstwo kulturowe?

Najprościej rzecz ujmując: to zabijanie grupy bez zabijania ludzi. Nie jest ono jednak skodyfikowane w prawie międzynarodowym.

Na czym takie zbrodnie polegają w praktyce?

Np. na zakazywaniu posługiwania się swoim językiem czy na odbieraniu ludności rdzennej w Kanadzie czy Australii dzieci i umieszczaniu ich w państwowych szkołach, gdzie miały wyzbyć się własnej kultury. Usuwano też dokumenty, stąd później jeden z działaczy aborygeńskich powiedział, że nie wie, czy przypadkiem nie żeni się z własną siostrą. Wszystko to sprzyjało patologiom, jak plaga alkoholizmu. W Australii mówi się o „straconych pokoleniach” aborygeńskich. Australijczycy – i to już po II wojnie światowej – doszli do wniosku, że „mieszanie się” Aborygenów i ludności białej, kolonistów, prowadzi do „wytracenia białej krwi”, i przeciwdziałał temu.

Ludobójstwo kulturowe w Australii trwa nadal?

Mimo wielu działań afirmatywnych odpowiem, że tak. A czy słyszał pan, żeby choć jednego australijskiego polityka skazano?

Nie słyszałem.

Bo żadnego nawet nie postawiono przed sądem. Choć tak Australia, jak i Kanada przyznały się do ludobójstwa kulturowego, oba rządy przeprosiły – przy tym australijski był do tego zmuszony.

A jaką rolę w uznawaniu własnych zbrodni odgrywają pieniądze?

Jedną z kluczowych kwestii np. w przypadku uznania ludobójstwa Ormian przez ankarski rząd jest widmo wypłaty gigantycznych odszkodowań i globalny precedens.

To jeden z argumentów, ale podkreślimy, że mówimy tu na ogół o roszczeniach spadkobierców ofiar. Wspominam o tym, bo często powtarzamy

hasła o „narodach sprawców”. Nazywam to logiką kolektywistyczną. Odpowiedzialności za zbrodnie się nie dzie dziczy, nie istnieją narody sprawców, a konkretni sprawcy, konkretne ofiary i konkretni świadkowie. Mówimy „Wołyń ‘43 – pamiętamy”, ale wcale nie pamiętamy, a na ogół skandujący te hasła nawet nie potrafiliby wskazać Wołynia na mapie. Przyjeżdżający do Auschwitz młodzi Niemcy, z głowami utkwionymi w smartfonach, może i mieli pradziadka w SS, ale co z tego, skoro oni często nawet nie wiedzą, co to było SS.

Mamy państwowcentryczne myślenie, tymczasem w książce „Ludobójstwo” pisze Pan: „W przyszłości sprawcami ludobójstw mogą stać się międzynarodowe korporacje, topiące we krwi opór rdzennej ludności, przeciwstawiającej się eksploatacji surowców naturalnych”. Może XXI wiek będzie wiekiem masowych mordów dokonywanych przez kapitał?

Już jesteśmy świadkami zbrodni popełnianych przez międzynarodowe korporacje. Proszę spojrzeć, co dzieje się z miejscową ludnością przy okazji eksploatacji puszczy amazońskiej lub wydobywania ropy naftowej w Ekwadorze, Birmie czy Nigerii. Albo Papua Zachodnia – dyskutujemy o oleju palmowym i orangutanach, a zapominamy o Papuasach, którzy są tam eksterminowani. W Papui Zachodniej dochodzi do popełnianego przez kapitał indonezyjski ludobójstwa. Niszczenie środowiska może też przybierać formę innego, jeszcze nieskodyfikowanego ludobójstwa – ekocydu.

Ekologia staje się ważnym tematem w debacie na temat ludobójstwa?

Czekają nas nowe wyzwania w zakresie masowego łamania praw człowieka, które przyniesie pogłębiająca się katastrofa klimatyczna. Ona już ma ogromne znaczenie, przecież jednym z ważnych aspektów toczącego się na naszych oczach ludobójstwa w Darfurze jest rywalizacja o kurczące się zasoby wody. Jest taki satyryczny obrazek: cmentarz, na nim nagrobki z nazwami rozmaitych ludobójstw i każdorazowo napisem „nigdy więcej”. Tymczasem każda dekada przynosi kolejne ludobójstwa.

© Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA



Dobro wspólne

WOJCIECH WOJTASIEWICZ

Parlament Europejski podejmuje starania na rzecz wzmocnienia stabilizacji innych regionów świata.

To pozytywnie wpływa bowiem także na bezpieczeństwo i dobrobyt obywateli Unii.



ALAIN ROLLAND / EUROPEAN PARLIAMENT

Konferencja prasowa komisji śledczej do sprawy wykorzystania oprogramowania szpiegowskiego Pegasus. Bruksela, 19 kwietnia 2022 r.

Parlament Europejski jest jedyną instytucją Unii wybieraną powszechnie i bezpośrednio. 705 deputowanych pełni mandat przez pięć lat, zasiadając w jednej z siedmiu grup politycznych. Są bezpośrednią reprezentacją blisko pół miliarda Europejczyków.

Od stycznia 2021 r. funkcję przewodniczącej PE sprawuje Roberta Metsola z Malty, należąca do Europejskiej Partii Ludowej. Jest trzecią kobietą na tym stanowisku. Z wykształcenia prawniczka, w przeszłości pracowała w stałym przedstawicielstwie Malty przy UE, była sekretarzem generalnym stowarzyszenia European Democrat Students. W 2013 r. objęła mandat poselski w Parlamencie Europejskim. Zaangażowała się w prace Komisji Wolności Obywatelskich, Spra-

wiedliwości i Spraw Wewnętrznych (LIBE), w której z ramienia EPL koordynowała działania nad wytycznymi UE przeciwko homofobii i dyskryminacji ze względu na orientację seksualną i tożsamość płciową. Opowiadała się za relokacją migrantów i za scentralizowanym unijnym systemem przyjmowania wniosków azylowych. W styczniu w swoim inauguracyjnym przemówieniu zadeklarowała działania PE na rzecz różnorodności, równości płci i zagwarantowania praw kobiet.

Wałęsa i Havel

„Mamy dwa i pół roku do następnych wyborów do Parlamentu Europejskiego – mówiła też Roberta Metsola. – To będą trudne lata dla Europy: odbudowa gospodarki po pandemii, napięta sytuacja na

Wschodzie. Wyzwań jest mnóstwo. Ale przede wszystkim marzę, żeby udało się nam w tym czasie wskrzesić tę nadzieję i ten entuzjazm, który pamiętam z początku wieku. Należę do pierwszego pokolenia Erasmusa, Europejczyków, którzy jednak pamiętają czasy Wałęsy i Havla”.

Działania na rzecz praw człowieka oraz praw obywatelskich zawsze były jednym z priorytetów PE. Prawa podstawowe przysługują wszystkim obywatelom Wspólnoty. Należą do nich m.in.: prawo do życia i wolności, swoboda myśli i wypowiedzi. Podstawowe wartości, na których opiera się Unia – poszanowanie godności człowieka, wolność, demokracja, równość, praworządność, poszanowanie praw człowieka, w tym prawa osób należących do mniejszości – zapisano w art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej.





Daria Nawalna, córka Aleksieja Nawalnego, w Parlamencie Europejskim. Bruksela, 15 grudnia 2021 r.

DAINA LE LARDIC / EUROPEAN PARLIAMENT

⇒ Wiodącą rolę w zakresie dbałości o prawa człowieka odgrywa Podkomisja Praw Człowieka oraz komisje Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych oraz Spraw Konstytucyjnych. Pracują w nich polscy deputowani. Podkomisja Praw Człowieka jest odpowiedzialna za kwestie dotyczące demokracji, państwa prawnego, praw człowieka, w tym praw mniejszości, w państwach trzecich oraz zasad prawa międzynarodowego. Ponadto jej zadaniem jest zapewnienie spójności między całokształtem polityki zewnętrznej Unii i jej polityką w dziedzinie praw człowieka. Zadania te realizuje we współpracy z Komisją Spraw Zagranicznych.

W trakcie posiedzeń Podkomisji Praw Człowieka odbywają się wysłuchania poświęcone zagadnieniom z zakresu praw człowieka z udziałem zainteresowanych stron. W ostatnich miesiącach podkomisja zaproponowała rezolucje m.in. w sprawie sytuacji dziennikarzy i obrońców praw człowieka w Meksyku, sytuacji w Birmie (rok po wojskowym zama-

■ Nagroda im. Sacharowa przyznawana jest „za wolność myśli”. W ubiegłym roku wyróżniono rosyjskiego opozycjonistę, Aleksieja Nawalnego.

■ Podczas sesji plenarnej Parlamentu Europejskiego w Starsburgu odbywają się debaty nad przypadkami łamania praw człowieka, zasadami demokracji i państwa prawa.

chu stanu), niszczenia dziedzictwa kulturowego w Górskim Karabachu, sytuacji w Kazachstanie, które następnie zostały przyjęte przez Parlament Europejski.

W Komisji Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych posłowie omawiają i przyjmują rezolucje dotyczące praw podstawowych w UE, jak również konkretnych aspektów odnoszących się do ochrony tych praw w państwach członkowskich. Parlament Europejski w porozumieniu z Radą UE przyjmuje akty prawne mające na celu lepszą ochronę praw podstawowych. Przykładowo deputowana Magdalena Adamowicz w ramach prac w Komisji LIBE była sprawozdawczynią raportu w sprawie wzmocnienia wolności mediów: ochrony dziennikarzy w Europie, przeciwdziałania mowie nienawiści i dezinformacji oraz roli platform internetowych w tym kontekście. Natomiast Janina Ochojska w Podkomisji DROI współtworzyła sprawozdanie ws. wpływu zmian klimatycznych na prawa człowieka i roli obrońców środowiska.

„Za wolność myśli”

Oprócz działalności wyżej wymienionych komisji znaczenie mają również debaty nad przypadkami łamania praw człowieka, zasadami demokracji i państwa prawa. Odbywają się raz w miesiącu podczas sesji plenarnej Parlamentu Europejskiego w Strasburgu. Debatę wieńczy głosowanie nad projektem rezolucji. PE co roku uchwała rezolucję w sprawie praw człowieka i demokracji na świecie oraz polityki Unii w tym zakresie, która zawiera analizę działań instytucji europejskich oraz wyzwań na przyszłość.

Najważniejszym dokumentem traktującym o prawach człowieka w Unii jest Karta Praw Podstawowych. Zapisano w niej wszystkie prawa osobiste, obywatelskie, polityczne, gospodarcze i społeczne przysługujące obywatelom Wspólnoty. Indywidualne osoby mogą kierować skargi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w wypadku naruszenia praw obywatelskich i politycznych ustanowionych w Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. Komisja Europejska może wnieść skargę do Trybunału Sprawiedliwości UE przeciwko państwu członkowskiemu w przypadkach, kiedy nie przestrzega ono unijnego prawodawstwa oraz narusza prawa jednostki. Powołana została również Agencja Unii Europejskiej ds. Praw Podstawowych. Jest ona niezależnym organem specjalizującym się w dziedzinie praw człowieka, do której kompetencji należą zagadnienia określone w Karcie Praw Podstawowych.

Innym z przejawów aktywności PE na polu promocji praw człowieka na świecie jest ustanowiona w 1988 r. Nagroda im. Sacharowa przyznawana „za wolność myśli”. Pierwszymi jej laureatami zostali Nelson Mandela i Anatolij Marczenko. W 2021 r. wyróżniono rosyjskiego opozycjonistę, Aleksieja Nawalnego. Nagroda jest najwyższym wyróżnieniem za działania na rzecz praw człowieka przyznawanym przez Wspólnotę.

Stop wojnie

W zakresie obrony praw człowieka i wsparcia demokracji Parlament Europejski działa na całym świecie. Starania na rzecz wzmocnienia stabilizacji innych regionów świata pozytywnie wpływają bowiem także na bezpieczeństwo i dobrobyt obywateli Unii.

Specjalna grupa posłów (Grupa Wspierania Demokracji i Koordynacji Wyborów) nadzoruje prace parlamentarne dotyczące demokracji poza granicami UE. Od ponad trzech dekad deputowani PE poprzez uczestnictwo w misjach obserwacyjnych wspierają wolne i uczciwe wybory. Dotychczas wzięli udział w ponad 170 misjach krótkoterminowych (Bałkany, obszar postowiecki, Azja, Afryka, Ameryka Łacińska). W 2021 r. obserwowali wybory w Hondurasie, Wenezueli, Gruzji, Uzbekistanie, Kosowie, Iraku i Mołdawii. Ponadto posłowie uczestniczą w działaniach zapobiegających konfliktom na świecie, jak również wspierających ich deeskalację i zapewnianie pokoju i demokracji po ich wygaśnięciu. Do tych aktywności można zaliczyć mediacje pomiędzy członkami zagranicznych parlamentów, pomaganie partiom politycznym w zapobieganiu konfliktom, propagowanie dialogu międzypartyjnego i budowanie konsensusu oraz organizowanie międzynarodowych wydarzeń skupiających się na mediacji.

W dalszej kolejności członkowie PE stworzyli specjalne programy dla parlamentów i parlamentarzystów z całego świata. Ich celem jest umocnienie podstawowych funkcji legislatyw, takich jak reprezentowanie obywateli, kontrolowanie rządu i stanowienie prawa, reformowanie instytucji parlamentarnych oraz dzielenie się najlepszymi praktykami parlamentarnymi. Przygotowano specjalny program PE dla parlamentów Turcji i Bałkanów Zachodnich (Albanii, Bośni i Hercegowiny, Macedonii Północnej, Czarnogóry, Serbii i Kosowa). Europejska legislatura odgrywa istotną rolę w procesie rozszerzania wspólnoty europejskiej poprzez pomoc we wzmocnianiu instytucji demokratycznych w krajach kandydujących.

„Putin to rzeźnik”

Po agresji Rosji na Ukrainę posłowie do PE domagali się zdecydowanych sankcji (zakaz importu rosyjskiego gazu i ropy naftowej), dostarczenia broni Ukrainie, jak również nadania jej statusu kraju kandydackiego. 1 marca PE przyjął rezolucję potępiającą rosyjską inwazję. Również polscy posłowie do parlamentu mocno sprzeciwiali się napaści na Ukrainę oraz prześladowaniu opozycjonistów w Rosji – byli współautorami rezolucji w spra-

wie rosyjskiej inwazji, a także sankcji UE wobec Rosji. Ponadto wielu z nich współtworzyło rezolucję w sprawie nasilających się represji w Rosji, w tym wobec Aleksieja Nawalnego.

Łukasz Kohut (Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów) tak skrytykował atak Rosji na Ukrainę: „Putin to rzeźnik. Żądam od Parlamentu Europejskiego potępienia Putina i nazwania go przestępcą wojennym. Ten symboliczny akt uhonoruje tysiące Ukraińców, którzy zginęli w walce o demokrację” – mówił w trakcie debaty w Strasburgu.

Janina Ochojska (Europejska Partia Ludowa) zwróciła uwagę, że nie wszyscy Rosjanie opowiadają się za atakiem na Ukrainę. Posłanka zauważyła: „Nie możemy postrzegać wszystkich Rosjan jako agresorów czy jako popierających tę agresję. W Rosji istnieje opozycja, są obywatele, z którymi w przyszłości będziemy chcieli i powinniśmy rozmawiać. Rząd Rosji w osobie Putina mocno ograniczył wolność mediów i zgromadzeń. Za najbliższą krytykę polityki rządu, za najmniej protest przeciwko wojnie obywatelom Rosji grozi 15 lat więzienia. Jednak tysiące ludzi wychodzą na ulice. Do protestu przeciwko wojnie w Ukrainie wezwał Aleksiej Nawalny”.

Joachim Brudziński (Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy) podkreślił konieczność energetycznego uniezależnienia się Unii Europejskiej od Rosji: „Protestowaliśmy długo przed uruchomieniem gazociągu Nord Stream w 2010 r., ostrzegaliśmy przed strategicznym niebezpieczeństwem, jakie stwarza dla Europy. Dziś Niemcy wciąż wahają się, czy porzucić projekt Nord Stream 2! Miejmy nadzieję, że ostatecznie rozwiązane zostały wątpliwości, czyje zbrodnicze plany sponsoruje zakup rosyjskiego gazu, a potrzeba przemyślanej dywersyfikacji źródeł energii jest strategiczną koniecznością całej Unii Europejskiej”.

W dniu rosyjskiej napaści na Ukrainę został ostatecznie zburzony powojenny porządek w Europie. Praca na rzecz spójności europejskiej wspólnoty, przestrzeganie prawa (do czego zobowiązane są państwa członkowskie) to dziś nadrzędne wyzwania. Jedynie silna i niepoddająca się wewnętrznym podziałom Wspólnota będzie w stanie sprostać zagrożeniom płynącym ze strony Rosji i innych państw autorytarnych.

© WOJCIECH WOJTASIEWICZ

Żywy język

MACIEJ NOWICKI, PREZES ZARZĄDU HELSIŃSKIEJ FUNDACJI PRAW CZŁOWIEKA:

W praktyce każda władza narusza prawa człowieka, są natomiast wielkie różnice stopnia i charakteru naruszeń. Szczególnie groźne są naruszenia, które mają charakter systemowy.

GRZEGORZ NUREK: Mają teraz Państwo w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka ręce pełne pracy.

MACIEJ NOWICKI: Oprócz tematów związanych z obroną praw człowieka dyskutowanych w mediach narasta wiele tradycyjnie ważnych dla nas problemów: nadużywanie tymczasowego aresztowania, brutalność policji, ograniczanie działania społeczeństwa obywatelskiego.

Najmocniej obciążone, także emocjonalnie, są osoby zajmujące się programami pomocy prawnej migrantom i uchodźcom oraz pracujące w republikach poradzieckich. W Europie, ale też Azji Centralnej wspieramy m.in. koalicję organizacji pozarządowych walczących z bezkarnością tortur. W Ukrainie zajmowaliśmy się od 2014 r. najpoważniejszymi naruszeniami praw człowieka dotyczącymi Donbasu i Krymu. Obserwujemy odchodzenie całego naszego regionu od Zachodu. Ale bynajmniej nie sądzimy, że którakolwiek z wymienionych spraw jest przegrana – skoro nasi węgierscy przyjaciele mają się świetnie, skoro nasi przyjaciele z Ukrainy i Białorusi się nie poddają, trudno, żebyśmy popadali w zwątpienie.

Jakie sprawy najbardziej zapadają w pamięć?

Budują te, w których udało się pomóc. W pamięć zapadają także te krytyczne a niezałatwione i aktualne. Dla mnie to kwestia ludzi na granicy polsko-białoruskiej. Zwłaszcza tych wyrzuconych przez Białorusinów z magazynu w Bruzgach – byli wśród nich osoby poddawane ekstremalnej przemocy, w tym seksualnej. Są wśród nich osoby z niepełnosprawnościami i chore. Teraz wiele z nich przebywa w lesie, w potrzasku między białoruskimi i polskimi strażnikami. To uderzający kontrast wobec sytuacji na granicy polsko-ukraińskiej, którą od wielu tygodni dziennie przekracza mniej więcej tyłu ludzi, ilu łącznie próbowało przekroczyć i przekroczyło granicę białoruską od lata 2021 r.



MARCIN KLUCZEK / MATERIAŁY PRASOWE

Tysiące przepisów i strzelistych zdań zapisanych w deklaracjach i konwencjach praw człowieka. Ale gdy zło manifestuje się z całą mocą, tak jak w Buczy, czujemy się bezradni.

Bo dotykamy tragedii – w wymiarze egzystencjalnym żadne konwencje nie działają. Co nie znaczy, że nie działają w innych wymiarach. Czy mogą doprowadzić do pociągnięcia sprawców do odpowiedzialności? Będzie trudno, ale nie jest to niemożliwe. Sprawą dokonywanych przez siły rosyjskie zbrodni wojennych zajmują się m.in. prokuratura ukraińska, koalicja tamtejszych NGO-sów, Biuro Prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego. Włączają się organizacje pozarządowe z całej Europy. Świadkowie zbrodni sami zebrali dowody. Nie byłoby tak bez rozwoju idei praw człowieka, bez statutu MTK i jego wpływu na kodeksy karne.

Wprawdzie, jak pokazał Samuel Moyn, profesor historii z uniwersytetu Yale, nieprawdziwe jest przekonanie, że to szok moralny wywołany Holokaustem zaowocował Powszechną Deklaracją Praw Człowieka, jednak parę dekad później Holokaust rzeczywiście stał się centralnym negatywnym punktem odniesienia dla idei tych praw. To paradygmatyczne ludobójstwo stało się moralnym skandalem i choć praca nad „nigdy więcej” idzie tak wolno, jej nieprzerwana ciągłość jest faktem.

Miejmy nadzieję, że agresja na Ukrainę ostatecznie skompromituje archaiczną, czysto imperialną konstrukcję Rady Bezpieczeństwa z prawem weta dla stałych członków i pozwoli podjąć realne prace nad reformą tego kluczowego organu ONZ.

Czym są prawa człowieka? Jak ich definiowanie zmieniało się na przestrzeni lat?

W klasycznym ujęciu to prawa przysługujące każdemu człowiekowi w jego relacji z władzą publiczną. Prawo człowieka oznacza, że władza ma wobec nas pewien obowiązek – albo polegający na powstrzymaniu się od ingerencji w niektóre sfery mojego życia (mówimy wówczas o wolnościach, np. słowa, zakazujące państwu reglamentowania naszej ekspresji), albo wymagający od państwa pewnego działania (to prawa pozytywne, np. prawo do sądu, które wymaga od państwa utrzymania struktury sądów, wprowadzenia odpowiednich procedur sądowych itd.).

Rozwój praw człowieka polega i na znaczących przemianach samej idei, i na wzbogacaniu ich katalogu (historycznie przede wszystkim o prawa ekonomiczne, socjalne i kulturalne), i wreszcie na wzmacnianiu ich prawnej ochrony w systemach krajowych i międzynarodowym prawie praw człowieka.

Dyskusja nad rozwijaniem katalogu praw człowieka jest otwarta i żywsza niż choćby dziesięć lat temu. Wiąże się to między innymi z szybkim rozwojem technologii. Wracając do aktualnej debaty – jeden z jej ośrodków stara się stworzyć prof. Adam Bodnar w Polsce. Niektóre postulowane prawa są wysoce kontrowersyjne, np. prawo do prawdy, choć wydaje mi się, że wskazuje ono na poważny problem, jakim jest niepodejmowanie przez standardy wolności słowa problemów destrukcyjnej siły propagandy w erze cyfrowej.

Znakomitą podstawą do rozwoju standardów praw człowieka dotyczących aborcji są ostatnie, marcowe wytyczne WHO

oparte w całości na wynikach badań klinicznych. W kontekście głośnej sprawy karnej pani Justyny z Aborcyjnego Dream Teamu warto przypomnieć, że postuluje się tu pełną i bezwyjątkową dekryminalizację. Wspomnijmy też o prawie antydyskryminacyjnym – niestety, wiele jest tu do zrobienia. Europejskie prawo antydyskryminacyjne ma fragmentaryczny i mozaikowy charakter. Także walka o równą płacę za równą pracę kobiet i mężczyzn bynajmniej się nie skończyła.

Od czego zaczyna się łamanie praw człowieka?

W praktyce każda władza narusza prawa człowieka, są natomiast wielkie różnice stopnia i charakteru naruszeń. Szczególnie groźne są naruszenia systemowe. W Polsce najbardziej systemowy charakter ma naruszanie praw proceduralnych, a także praw osób szczególnie narażonych na dyskryminację. Prawo do rzetelnego procesu sądowego przed ustanowionym ustawą niezależnym sądem mamy zagwarantowane tylko w teorii – zdemontowano instytucjonalne gwarancje niezawisłości sędziowskiej, orzeka rzesza sędziów nieprawidłowo powołanych. Doszło przede wszystkim do demontażu praworządności.

Pogorszenie sytuacji grup już wcześniej dyskryminowanych – kobiet, osób LGBTQI, migrantów – i ataki na wolne media przyszły nieco później, ale nie zawsze scenariusze są dokładnie takie same. Np. na Węgrzech doszło do uchwalenia nowej konstytucji, trudno więc dosłownie mówić o ataku na konstytucję.

Jakimi środkami dysponuje Komisja Europejska, aby interweniować w przypadku łamania praw człowieka?

Trzeba rozróżnić stosunki zewnętrzne Unii i przypadki systemowego naruszania praw człowieka w państwach członkowskich.

W unijną politykę zagraniczną wbudowana jest zasada ochrony praw człowieka – na poziomie prawnym, instytucjonalnym i praktyki. Unia dysponuje naturalnie politycznymi i ekonomicznymi metodami nacisku. Takie inicjatywy, jak przyznawana przez Parlament Europejski Nagroda im. Sacharowa za wolność myśli, mają ważne znaczenie symboliczne.

Na forum wewnętrznym Unia dopiero pierwszy raz sprawdza i rozwija mechanizmy ochrony praworządności, a zatem i fundamentalnych gwarancji ochrony praw człowieka, w związku z załamaniem praworządności na Węgrzech i w Polsce. Do mechanizmów politycznych opartych na monitoringu stanu przestrzegania podstawowych wartości Unii i na dialogu z państwami członkowskimi dochodzą – ewentualnie wraz z widmem sankcji – mechanizmy wiążące wypłatę unijnych pieniędzy z jakością przestrzegania podstawowych zasad.

Trzecia grupa metod nacisku to środki sądowe. Trybunał Sprawiedliwości UE w Luksemburgu odgrywa coraz większą rolę w ochronie naszego prawa do niezależnego sądu, bo sędziowie polscy są jednocześnie sędziami Unii. Na marginesie warto dodać dwie ważne informacje. Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu nie jest organem Unii, tylko odrębnej organizacji – Rady Europy. Stoi na straży przestrzegania tzw. konwencji europejskiej, która jest właśnie konwencją Rady Europy. Ale Luksemburg bierze pod uwagę orzecznictwo Strasburga – i na odwrót.

Po drugie, to nie tak, że Luksemburg i Strasburg uwzięły się na Polskę czy Węgry. Przełomowe wyroki dotyczące niezależności sądów, które wytyczyły tym trybunałom drogę w późniejszych postępowaniach związanych ze zmianami w polskim systemie wymiaru sprawiedliwości, zapadły w sprawach toczonych w Portugalii i Islandii.

Jeszcze przywołując wątek ukraiński. Mer Kijowa Witalij Kliczko powiedział niedawno: „Nie podporządkujemy się Rosji. Nie chcemy żyć w kraju, w którym nie obowiązują prawa człowieka, gdzie życie nie ma wartości”.

Jestem zachwycony sposobem, w jaki Ukraina prowadzi narrację. To, co teraz mówią Ukraińcy, może mieć dla praw człowieka na poziomie komunikacji znaczenie porównywalne do tego, jakie miała kampania medialna F.D. Roosevelta, który chcąc przekonać Amerykanów do udziału w II wojnie światowej w Europie, wykreował z Karty Praw (*Bill of Rights*) „serce Konstytucji” i pokazał nazizm jako jej złowieszcze przeciwieństwo. Ukraina nie tylko broni nas przed Putinem i obnaża słabości imperialnej armii – razem z nią dezawuuje też imperialną ideologię wszelkiej maści i różne tęsknoty za rządami silnej ręki, które miały się przecież ostatnio coraz lepiej.

Czy, zajmując się tyle lat prawami człowieka, może nam Pan przekazać coś optymistycznego?

Krytykom prawa człowieka często wydają się zrytualizowanym, martwym językiem, którym opisuje się polityczny establishment zachodniego świata, którym mówi ONZ. Ci krytycy nie zauważają faktu, że na całym świecie prawa człowieka są żywym językiem, którym ludzie wyrażają żądania podstawowej sprawiedliwości i szacunku. To z dekady na dekadę narasta. Praca w Fundacji, a także programowanie festiwalu filmów dokumentalnych o prawach człowieka WATCH DOCS pozwalają mi z bliska obserwować to zjawisko i się nim cieszyć.

Choć żyjemy w czasach ostrego kryzysu praw człowieka i konstytucyjnej demokracji, w długiej perspektywie – naturalnie jeśli unikniemy skrajnych form katastrofy ekologicznej – możemy mieć sporo nadziei. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 18-19/2022

REDAKCJA: Małgorzata Nocuń, Marcin Żyła
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

WSPÓŁWYDAWCA



Tak pracują **1%** FaniMani **faniFani.pl**
i FaniPay **faniPay**!

Dołącz się do wsparcia – prześlaz darowiznę na powszech.net/dar

Fundacja Tygodnika Powszechnego wspiera wybrane publikacje „Tygodnika Powszechnego” dzięki przekazaniu przez Czytelników 1% podatku, a także dzięki darowiznom przez FaniPay (ikonka przy wybranych tekstach na TygodnikPowszechny.pl) i FaniMani (prowizja od Państwa zakupów internetowych przekazywana nam przez wybranych sprzedawców).

PARTNERZY





CZESŁAW CZAPLIŃSKI / FOTONOVA

Josif Brodski w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku, 1987 r.

Szeroko znane w wąskich kręgach

MAREK RADZIOW

Czy obrońcy praw człowieka z czasów ZSRR mają swoich kontynuatorów? A może dzieje ruchu dysydenckiego w Rosji to już rozdział zamknięty?

Radzieckie środowisko dysydenckie unikało polityki, jego działalność miała charakter etyczny. Nazywano ich różnie: *inakomyslaszczije*, a więc „myślący inaczej”, chociaż Władimir Bukowski wyjaśniał, że inaczej myśli nie on, lecz autorytarna władza sprzeciwiająca się podstawowym wolnościom obywatelskim. Z czasem najpopularniejsze okazało się pojęcie ukute przez zagranicznych korespondentów akredytowanych w Moskwie – „dysydent”, czyli buntownik.

Większość z nich uważała się po prostu za obrońców praw człowieka.

Byli ludźmi różnych pokoleń, rozmaitych życiorysów i poglądów. Najstarsi mieli za sobą doświadczenie łagrów stalinowskich, młodszy wchodził w dorosłość już po odwilży, w czasach breżniewowskich. Niektórzy, jak generał Piotr Grigorienko, przez wiele lat prominentny oficer armii radzieckiej, lub Jurij Orłow, znakomity fizyk i założyciel Moskiewskiej Grupy Helsińskiej, byli członkami partii, przeszli przez ideologiczne zauroczenie

i długo jeszcze żywili rewizjonistyczne złudzenia. Inni, jak Andriej Amalrik, Anatolij Marczenko czy Siergiej Kowalow, nigdy nie poddali się pokusom systemu. Długo byli niewielką grupką przyjaciół. Zorganizowany ruch dojrzał dopiero na początku lat 70. XX w.

Cicho. Oni jeszcze nie wiedzą

Początki ruchu dysydenckiego były jakby przypadkowe. W 1964 r. w Leningradzie sądzono Josifa Brodskiego za tzw. pasywnictwo – niepracujący pełnoletni podlegał sankcjom kodeksu karnego. Choć sam Brodski nie był dysydem, lecz po prostu młodym niezależnym poetą, stenogram z jego sądu przygotowany przez obserwującą proces dziennikarkę Fridę Wigdorową stał się „wydarzeniem pradysydenckim”. Zapis krążył w samizdacie, został też opublikowany na Zachodzie i nadał sprawie Brodskiego szeroki rozgłos. Właśnie rozgłos okazał się najlepszą formą obrony.

Choć proces Brodskiego zakończył się drakońskim wyrokiem kilkuletniego zesłania, pierwsza od czasów odwilży

próba sądowego rozprawienia się z pisarzem pokazała, że nie było już powrotu do strasznych procesów epoki stalinowskiej – z wszechwładną prokuraturą i poniżającymi samokrytykami sparaliżowanymi strachem oskarżonych.

Narodziny świadomego ruchu dysydenckiego przypadają na czasy procesu historyka literatury i krytyka Andrieja Siniawskiego oraz tłumacza Julija Daniela. Sądono ich w 1966 r. z artykułu 70. kodeksu karnego za „agitację lub propagandę prowadzoną w celu osłabienia władzy radzieckiej” – za publikowanie na Zachodzie (m.in. w miesięczniku „L'Esprit” i „Kulturze” Jerzego Giedorycia) opowiadań sygnowanych pseudonimami – chociaż ani pisanie pod pseudonimem, ani drukowanie za granicą formalnie nie było w ZSRR karalne.

W grudniu 1965 r. na placu Puszkina w centrum Moskwy w rocznicę uchwalenia konstytucji radzieckiej Aleksandr Jesienin-Wolpin, wybitny matematyk-logik i syn Sergieja Jesienina, zorganizował manifestację z żądaniem otwartego i sprawiedliwego sądu nad dwójką pisarzy. Był to pierwszy od wielu lat uliczny protest w ZSRR. Jesienin-Wolpin był legalistą – uważał, że żądanie uwolnienia oskarżonych byłoby nadużyciem, to mógł zrobić tylko niezawisły sąd po rozpoznaniu sprawy. Dlatego rolę protestujących było właśnie żądanie niezawisłego procesu.

Protest trwał zaledwie kilka minut, nie wznoszono okrzyków, nie utrudniano ruchu ulicznego, pokazano dwa transparenty – z żądaniem sprawiedliwego procesu i z żądaniem przestrzegania radzieckiej konstytucji. Wśród znajomych Jesienina-Wolpina krążyło anegdotyczne streszczenie jego rozmowy z jednym ze sceptycznych przyjaciół: „Alik, naprawdę chcesz, żeby bolszewicy szanowali swoje własne prawo? – Tego właśnie chcę. – Ale jeśli zaczną szanować prawo, przestaną być bolszewikami. – Cicho, jasne, że tak. Ale oni jeszcze o tym nie wiedzą”.

Szanujcie konstytucję radziecką

O umówionej godzinie na placu Puszkina zebrało się około 200 gapiów, ale samych protestujących było zaledwie kilkunastu. Wszystkich błyskawicznie zatrzymano, a późniejsze przesłuchanie Jesienina-Wolpina i surowa logika, jakiej się trzymał – obracając sytuację w absurd – zrobiły furorę w środowisku: „Miał pan transparent z napisem »Szanujcie konstytucję ra-

dziecką?« – Tak, miałem – Po co napisał pan takie hasło? – Żeby szanowano konstytucję radziecką. – Uważa pan, że ktoś jej nie szanuje? – Nic takiego nie zostało tu napisane. – Dlaczego manifestacja odbywała się akurat dzisiaj? – A gdybym pierwszego maja stanął na placu z transparentem »szanujcie dzień pierwszego maja!« – zdziwiłoby to pana? Dzisiaj jest rocznica konstytucji radzieckiej”.

Tak oto w praktyce wypróbowano najważniejszą dysydencką zasadę – legalizm. obrońcy praw człowieka w ZSRR zawsze działali w zgodzie z obowiązującym prawodawstwem radzieckim.

Proces Siniawskiego i Daniela miał jeszcze jedną konsekwencję. Aleksandr Ginzburg, młody redaktor, niegdyś wydawca słynnego niezależnego almanachu literackiego „Sintaksis”, przygotował z tego procesu „Białą Księgę”. Był to przede wszystkim stenogram posiedzeń sądu. Ginzburg spotykał się codziennie z żonami oskarżonych, Marią Rozanową i Łarysą Bogoraz, i szczegółowo zapisywał ich relacje. Ale nie tylko. Do zbioru dołączył listy protestacyjne, które nie mogły się ukazać w cenzurowanej prasie, oraz omówienia procesu z prasy zachodniej i artykuły propagandowe z gazet radzieckich. Powtórzył zatem i rozbudował pomysł Fridy Wigdorowej – jej też, na stronie tytułowej, dedykował tę pracę.

Najważniejsze jednak było to, że jeden egzemplarz maszynopisu Aleksandr Ginzburg przekazał korespondentem zachodnim (książka szybko ukazała się we Francji i w Niemczech), drugi natomiast podpisał imieniem i nazwiskiem, dopisał adres i zaniósł do siedziby KGB na Łubiance. Akcja ta, jak łatwo przewidzieć, skończyła się szybkim aresztowaniem i wieloletnim wyrokiem, ale Ginzburg ufundował w ten sposób drugą obok działania zgodnego z prawem świętą zasadę dysydencką. Była to zasada działania otwartego, publicznego, odrzucającego jakkolwiek konspirację.

Kiedy dwa lata później w tzw. procesie czworga sądzono Ginzburga, podobną „Białą Księgę” przygotował inny ważny dysydent radziecki, Paweł Litwinow, wnuk komisarza spraw zagranicznych Maksima Litwinowa.

Dzieje obrońców praw człowieka w ZSRR są zatem łańcuchem akcji i reakcji – opresyjnych działań władzy i dysydenckich odpowiedzi na te opresje. Proces Brodskiego nagłośniła Frida Wigdo-

rowa, kiedy władze zaatakowały Siniawskiego i Daniela, wspomógł ich Aleksandr Ginzburg. Władza rozprawiła się więc z Ginzburgiem, ale szykany procesowe wobec niego opisał i upublicznił Paweł Litwinow. Po kolejnych dwóch latach przed sąd i na zesłanie trafił także Litwinow. Jego miejsce zajęli inni.

A kto będzie pomagał felczerowi?

Na przełomie lat 60. i 70. środowisko dysydenckie prowadziło dyskusję o możliwych skutecznych formach działania. Dojrzała myśl o powołaniu niezależnej organizacji.

Poglądy w tej sprawie były różnorokie. Jedni twierdzili, że wyraźna struktura nada wagę protestom i listom otwartym. Inni uważali natomiast, że ludzie i sposoby działania pozostaną bez zmian, różnica będzie nominalna, a ryzyko odwetu ze strony władz gwałtownie wzrośnie, ponieważ zaniepokojona powołaniem struktury KGB spróbuje szybko się z nią rozprawić. Czas miał pokazać, że i jedni, i drudzy mieli rację. Tymczasem jednak przeważała argumentacja o konieczności założenia organizacji. Powołana wówczas Grupa Inicjatywna działała kilka lat i wydała kilkadziesiąt raportów o naruszeniach praw człowieka.

Koniec lat 60. to także legendarny protest przeciwko agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. W sierpniu 1968 r. na plac Czerwony wyszło osiem osób, m.in. Łarysa Bogoraz, Paweł Litwinow i Natalia Gorbaniewska.

W tym czasie pojawił się też pomysł wydawania podziemnego pisma. Samizdat radziecki, szczególnie literacki, miał długą i bogatą tradycję. Tym razem jednak szło o coś nowego – wydawnictwo regularne i informujące o przypadkach łamania prawa przez władzę. Pierwszy numer „Kroniki Wydarzeń Bieżących” ukazał się w kwietniu 1968 r. i był niemal w całości poświęcony relacji z procesu Aleksandra Ginzburga i Jurija Gałanskowa. Pismo pęczniało z numeru na numer, ale zawsze trzymało się zasady: żadnych komentarzy, żadnych felietonów, żadnych manifestów, tylko obiektywne, nawet nieco suche informacje o zdarzeniach. W ciągu 15 lat wyszły aż 63 numery „Kroniki”.

Półowa lat 70. to przede wszystkim powołanie przez Jurija Orłowa Moskiewskiej Grupy Helsińskiej – konsekwencja rozmów Moskwy i Waszyngtonu oraz

→ „trzeciego koszyka” poświęconego prawom człowieka, kwestii, jak się wtedy wydawało ekipie Breżniewa, drugorzędnej, ogólnikowej i bez znaczenia.

Nieco później powstała także Grupa Robocza do Badań Wykorzystywania Psychiatrii w Celach Politycznych. Mroczna i długa jest tradycja umieszczania dysydentów w więzieniach psychiatrycznych i poddawania ich (m.in. Gorbaniewskiej, Bukowskiego, Grigorienki czy Leonida Pluszcza) torturom z użyciem silnych neuroleptyków. W działaniach Grupy Roboczej przejawiała się kolejna ważna zasada dysydencka – niesienie pomocy bez ograniczeń, jeśli to możliwe wszystkim i zawsze. Aleksandr Podrabinek, obok Władysława Bachmina, dzisiejszego szefa Moskiewskiej Grupy Helsińskiej, założyciel Grupy, mówił o tym tak: „Mnie zawsze szokowała tradycja pomagania represjonowanym według klucza narodowego albo przynależności do grupy zawodowej. To zwłaszcza dotyczyło poparcia zagranicznego. Żydzi pomagają Żydom, Ormianie – Ormianom, Litwini – Litwinom. Fizycy pomagają fizykom, malarze – malarzom, pisarze – pisarzom. A kto będzie pomagał na przykład felczerowi albo windziarzowi? Zagraniczne pielęgniarki i dozorcynie? Wszystko to była jakaś głupota, uprzedzenia i nonsens”.

Co dalej

Dzisiaj stajemy przed pytaniem o spuściznę dysydencką we współczesnej Rosji. Czy obrońcy praw człowieka z czasów Związku Radzieckiego mają swoich kontynuatorów? Czy ich dorobek zrobił na kimś wrażenie, zasiał jakieś ziarno? A może ich dzieje to już rozdział zamknięty?

Cóż, wypada przywołać słowa Kowalowa o ciągłym pozostawianiu w mniejszości. Z dysydenctwem radzieckim wiążą się dwa popularne powiedzonka: pierwsze to słynny toast „wypijmy za sukces naszej beznadziejnej sprawy”, a drugi to ciągle przekonanie, że sprawy dysydenckie są „szeroko znane w wąskich kręgach”.

A jednak, chociaż zlikwidowano (ještěm pewien, że zaledwie czasowo) samą instytucję, istnieje i będzie istnieć aktywnie środowisko Memoriału. Powstaniu Memoriału patronował pod koniec lat 80. Andriej Sacharow, naj-

ważniejsza postać wśród obrońców praw człowieka w ZSRR, a jednym z założycieli stowarzyszenia był nieżyjący już Arsienij Roginski, również więzień polityczny, twórca almanachu „Pamięć”. Memoriał od przeszło trzydziestolecia wykonuje tę pracę, którą Roginski zapoczątkował w „Pamięci”.

Istnieje także znakomity portal OVD-Info informujący precyzyjnie i błyskawicznie o nadużyciach służb mundurowych, procesach politycznych, przesłuchaniach, aresztowaniach, zatrzymaniach, rewizjach i służący pomocą prawną we wszystkich tych sytuacjach. Nie przypadkiem OVD-Info bywa nazywane nową „Kroniką Wydarzeń Bieżących”, a młodzi twórcy portalu chętnie się do tradycji „Kroniki” przyznają. Dodajmy, że założycielami OVD-Info są dzieci i wnuki dawnych dysydentów epoki radzieckiej.

Panorama rosyjskich organizacji pozarządowych, dzisiaj likwidowanych, gnębionych ustawami o organizacjach niepożądanych i „agentach zagranicznych”, jest wyjątkowo bogata i różnorodna. Wymieńmy – poza mediami niezależnymi, jak Dożd’ czy Meduza – choćby kilka z nich: „Asocjacja Głos” monitorująca przebieg wyborów w Rosji, „Rus’ sidjaszczaja” zapewniająca pomoc prawną i medyczną więźniom odsiadującym wyroki polityczne, portal gulagu.net śledzący i opisujący przypadki przemocy i tortur w koloniach karnych, „Poslednij adres” upamiętniający ofiary terroru stalinowskiego czy portal dissernet założony przez grupę niezależnych naukowców, badający przypadki plagiatów naukowych przede wszystkim wśród polityków i urzędników kremłowskiej partii Jedna Rosja, wreszcie rozmaite inicjatywy samokształceniowe i kulturalne.

Czy wszyscy oni odwoływaliby się do spuścizny dysydenckiej sprzed 60 lat? Być może nie. A jednak wyrosli z tej samej tradycji i dzisiaj służą tym samym ideałom. ©

MAREK RADZIWIŃ jest publicystą, pisarzem. Wydał m.in.: „Wstyd było milczeć. Świadectwa radzieckich dysydentów” (2013) i „Żyliśmy jak ludzie wolni. Rozmowa z Siergiejem Kowalowem” (2017). W latach 2009-14 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie.

Nie milczmy

IWONA CHMURA-RUTKOWSKA:

Prawa kobiet są prawami człowieka. Powszechność dyskryminacji kobiet sprawiła, że stworzono pojęcie „praw człowieka kobiet”. Wolne i równe społeczeństwo nie zaistnieje, dopóki kobiety nie będą cieszyć się takimi samymi prawami jak mężczyźni.

MAŁGORZATA NOCŃ: W kontekście praw człowieka mówi się oddzielnie o prawach kobiet. Czy sam ten fakt powinien budzić niepokój?

IWONA CHMURA-RUTKOWSKA: Koncepcja *women’s human rights* narodziła się w ONZ. Podczas Światowej Konferencji Praw Człowieka w Wiedniu (1993) pierwszy raz w oficjalnym dokumencie ONZ stwierdzono, że prawa kobiet są prawami człowieka. A przemoc wobec kobiet stanowi poważne ich naruszenie. Powołano też urząd Specjalnego Sprawozdawcy ds. Przemocy Wobec Kobiet.

W prawach człowieka kobiet nie chodzi o to, by traktować je jako odrębne lub drugorzędne w stosunku do ogólniejszych praw człowieka, ale o to, by w zapisach i praktykach uwzględniać perspektywę i codzienne doświadczenia kobiet. Np. tylko kobiety miesiączkują, zachodzą w ciążę, rodzą dzieci i karmią je piersią, są najczęstszymi ofiarami gwałtów w domach i podczas wojen. Jak do tych doświadczeń odnosi się Powszechna Deklaracja Praw Człowieka? Krytyczna analiza pokazuje, że prawa człowieka koncentrują się na mężczyznach i ich doświadczeniu świata. W artykule 12. Deklaracji czytamy: „Nie wolno ingerować samowolnie w czyjekolwiek życie prywatne, rodzinne, domowe, ani w jego korespondencję, ani też uwłaczać jego honorowi lub dobremu imieniu”. W tradycyjnych kulturach, w których „głową” domu i no-

sicielem honoru rodziny jest mężczyzna, a kobiety są od niego uzależnione ekonomicznie, zakaz takiej ingerencji chroni interes mężczyzn.

W dychotomii publiczne–prywatne, w której sprawy domowe, czyli najczęściej dotyczące życia kobiet, są postrzegane jako mniej ważne i wyłączone spod ochrony, widać wyraźnie brak uznania problemów połowy ludzkości. Zapisy w tym kształcie nie odpowiadają na wyzwania, przed którymi stoją kobiety, ani na zagrożenia, z jakimi się borykają. Często postrzegane są jako zbyt specyficzne, aby można je było traktować jako ogólnoludzkie i uniwersalne.

Z czego to wynika?

Wiele zasad i praktyk kulturowych związanych ze światopoglądem czy religią i chronionych jako obszar wolności i praw człowieka narusza prawa do wolności i bezpieczeństwa kobiet. Chodzi o opresyjne tradycje, np. okaleczanie narządów płciowych, małżeństwa dziewczynek czy motywowane stereotypami ograniczanie prawa kobiet do edukacji. Mamy aż nadto przykładów kolizji obyczajowości lub religii z prawami człowieka kobiet w kwestii zdrowia reprodukcyjnego czy ochrony przed przemocą. Wiele państw ratyfikuje konwencje dotyczące praw człowieka z ukrytym „zastrzeżeniem”, że w ramach „tradycji” zachowa dyskryminujące i krzywdzące nas obyczaje.

Dlatego tak ważne jest, aby np. prawa reprodukcyjne kobiet zostały uznane za prawa człowieka? Ponieważ to umożliwiłoby kobietom ochronę przed opresyjnymi i dyskryminującymi przepisami w ich własnych państwach. Stworzyłoby także możliwość szukania pomocy i ubiegania się o azyl w innych krajach.

Właśnie w odpowiedzi na patriarchalne przesłania znajdujące się w przepisach ochrony praw człowieka pierwszej generacji oraz potrzebę zagwarantowania przestrzegania praw człowieka kobiet powstały dwa niezwykle dokumenty. Są to: Konwencja w sprawie likwidacji wszelkich form dyskryminacji kobiet (CEDAW) wraz z jej protokołem fakultatywnym oraz Dokument końcowy Konferencji Pekinńskiej ONZ z 1995 r. Taką samą rolę pełni Konwencja Rady Europy poświęcona zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej z 2011 r. Konserwa-



JACEK KORDUS

**PROF. UAM DR HAB.
IWONA CHMURA-
-RUTKOWSKA**

jest pracowniczką naukową Wydziału Studiów Edukacyjnych w Interdyscyplinarnym Centrum Badań Płci Kulturowej i Tożsamości Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

tywne środowiska kierowały wobec niej uwagi, twierdząc, że jest niezgodna z polską tradycją.

Gdybyśmy spróbowali usystematyzować problemy polskich kobiet, o czym wspomniałaby Pani w pierwszej kolejności? Równouprawnienie na rynku pracy? Prawa reprodukcyjne? Częste paternalistyczne traktowanie przez mężczyzn?

Polki mierzą się z tymi samymi problemami co kobiety na całym świecie. Różna jest skala i specyfika tych problemów. Najwięcej jest do zmiany w kwestii bezpieczeństwa i ochrony przed przemocą, zdrowia reprodukcyjnego, dyskryminacji na rynku pracy, niskiej partycypacji w przestrzeni publicznej – szczególnie w tematach prestiżu, pieniędzy i władzy, a także edukacji wolnej od stereotypów, uprzedzeń i dyskryminacji.

Według ONZ równość płci oraz wzmocnienie pozycji kobiet i dziewcząt jest nie tylko celem samym w sobie. Stanowi klucz do zrównoważonego rozwoju, wzrostu gospodarczego i pokoju oraz bezpieczeństwa całego społeczeństwa. Badania, którymi dysponujemy, to potwierdzają – wszyscy korzystają, gdy prawa kobiet są przestrzegane i traktowane poważnie.

Czy część winy za odebranie kobietom praw nie spoczywa na nich samych? Ten argument często pojawia się w dyskusji.

Nie. Kobiety nie są odpowiedzialne za tworzenie społeczeństwa, w którym to, co kobiece, jest uznawane za „inne”, „gorsze”, „słabsze”, mniej warte uwagi, szacunku i troski. Kobiety nie są odpowie-

dzialne za naruszanie ich granic fizycznych i psychicznych oraz odbieranie im prawa do decydowania o własnym ciele, do wiedzy, zdrowia i bezpieczeństwa. Owszem, w każdym tradycyjnym społeczeństwie udaje się wytrenować „strażniczek patriarchy”, ale to nie one są fundatorkami świata, w którym kobiety usytuowane są na dole społecznej hierarchii.

Jak kobiety mogą mądrze walczyć o swoje prawa?

Przede wszystkim zadbać o siebie – o swoją wolność, bezpieczeństwo i dobrostan. A potem kierować się uważnością w procesie wychowywania dzieci. Nie powielajmy stereotypów. Nie wpajamy dzieciom sztywnych i blokujących rozwój przekonań na temat płci i przypisanych ról społecznych. Ważne jest otwarte wyrażanie przekonań i wartości. Nie milczmy, kiedy dochodzi do przemocy, np. kiedy słyszymy seksistowskie żarty albo jesteśmy świadkami molestowania. Wspierajmy aktywizm na rzecz równości.

Które z inicjatyw podejmowanych przez ruchy kobiece ocenia Pani najlepiej?

Doceniam i wspieram organizacje pozarządowe działające w obszarze interwencji kryzysowej, wsparcia i prewencji antyprzemocowej, edukacji antydyskryminacyjnej i praw kobiet, oraz rozwijania karier kobiet w sferze zawodowej. W tej sprawie każda osoba – gdziekolwiek pracuje i kimkolwiek jest – ma swoją misję do wykonania. Prawa człowieka, jeśli będą istnieć jedynie na papierze, nie będą działać.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUN

BEZTROSKE ŻYCIE TRUTNIA

U pszczół panuje matriarchat.
Na głowę samic spada szereg zadań
– budowa gniazda, zbieranie pokarmu, składanie jaj.
A co właściwie robią samce?

TEKST I ZDJĘCIA: JUSTYNA KIERAT

W RODZINIE PSZCZOŁY MIODNEJ podział zadań jest jasny. Robotnice wykonują wszystkie prace konieczne do funkcjonowania kolonii: karmią swoje młodsze siostry, zbierają pyłek i nektar, bronią gniazda, konstruują i czyszczą woskowe plastry, w których rozwijają się larwy i magazynowany jest pokarm.

Samce, zwane trutniami, nie uczestniczą w żadnej z tych czynności, mało tego – muszą być karmione przez robotnice, bo same nie są w stanie się wyżywić. Ich jedynym przeznaczeniem jest kopulacja z pszczelą matką i przekazywanie swoich genów kolejnemu pokoleniu. Matka również nie grzeszy pracowitością. Poza momentem lotu godowego (weselnego, jak powiedzieliby pszczelarze) i rójki (podziału rodziny i próby założenia nowej kolonii) w ogóle nie opuszcza swojego gniazda, jest karmiona i czyszczona przez robotnice, a jedyne jej zajęcie to składanie jaj. Trzeba jednak przyznać, że to jedno zadanie wykonuje bardzo wydajnie – może złożyć ponad tysiąc jaj dziennie.

Komu potrzebne są żądła

U tysięcy gatunków pszczół (w Polsce występuje ich około 480) samce potrafią same się wyżywić, ale poza tym zwykle nie mają więcej zadań niż trutnie pszczoły miodnej. Muszą przede wszystkim znaleźć partnerkę własnego gatunku, a następnie skłonić ją do kopulacji. Istnieje na to

kilka sposobów. U pszczół samotnic, czyli tych, które nie żyją w rodzinach, zazwyczaj panowie wychodzą ze swoich gniazd jako pierwsi, kilka czy nawet kilkanaście dni przed samicami. W oczekiwaniu na nie krążą po okolicy, odwiedzając miejsca, w których spotkanie dziewiczej samicy jest najbardziej prawdopodobne: patrolują kwiaty, zaglądają do wejść do gniazd, czasami nawet kopią w ziemi, by jak najszybciej dotrzeć do samic, które mogą przecież właśnie teraz torować sobie drogę z podziemnego gniazda na zewnątrz.

Samce niektórych gatunków patrolują terytoria, których bronią przed rywalami. Podlatują przy tym energicznie do każdego owada choć trochę przypominającego ich własny gatunek. Ze szczególnie silnego terytorializmu słyną makatki zbójnice (*Anthidium manicatum*), samotne pszczoły z rodziny miesierkowatych. W tym gatunku samce są większe od samic. Jest to rzadkością wśród pszczół samotnych, a wynika z przewagi, jaką duże rozmiary ciała dają w czasie walki o teren. Dysponują one również groźną bronią – ich odwłok zakończony jest kilkoma kolcami. Samiec atakuje nimi nie tylko przedstawicieli własnego gatunku, ale również inne owady o podobnej wielkości, na przykład pszczoły miodne. Notowano przypadki, kiedy w wyniku takiego ataku robotnica traciła skrzydła, co oczywiście skazywało ją na śmierć.





Na drugim biegunie, jeśli chodzi o stopień agresywności, można umieścić murarki ogrodowe (*Osmia bicornis*). Te pospolite pszczoły samotnice również należą do rodziny miesierkowatych. Ich polska nazwa nawiązuje do sposobu budowy gniazda – samice zakładają je w wąskich, długich szczelinach, np. pustych łodygach roślin, a czasem nawet dziurach po gwoździach, i dzielą tę przestrzeń na krótsze przedziały przy pomocy lepionych z błota ścianek. Na koniec również wejście do gniazda zostaje w ten sposób zamknięte. Samce murarek mogą sobie obierać coś w rodzaju terytoriów, które patrolują, jednak nie są do nich specjalnie przywiązane i nie bronią ich. Wydają się w ogóle nie przejmować konkurentami. Nawet kiedy na horyzoncie pojawi się dziewicza samica i kilku samców jednocześnie ją zauważy, nie wywiązuje się między nimi walka. Każdy z nich stara się po prostu zająć miejsce na grzbiecie potencjalnej partnerki, odpychając pozostałe samce, ale nie próbują się jakkolwiek bezpośrednio atakować, na przykład gryźć.

Gryzienie to zresztą jedyna potencjalnie dostępna samcom murarek opcja ataku, bo natura nie wyposażała ich w kolce podobne do tych, którymi mogą się pochwalic makatkowe, a żądeł – podobnie jak samce wszystkich innych pszczół – także nie mają. Nawet ich żuwaczki nie są zbyt imponujące ani przystosowane do szczególnie silnych ugryzień.

Co mówią vibracje

Znalezienie się na grzbiecie samicy to jednak nie koniec, a dopiero początek starań o bycie ojcem. To samica podejmuje bowiem ostateczną decyzję, czy zaakceptuje zalotnika, czy też zrzuci go z siebie i da się odnaleźć kolejnemu.

Rytuał godowy murarek jest dość subtelny. Jego dokładny opis zawdzięczamy Karstenowi Seidelmannowi, niemieckiemu badaczowi, który murarce ogrodowej poświęcił rozprawę doktorską. Po tym jak samiec znajdzie się na grzbiecie swojej wybranki, przesuwając swoimi czułkami po jej czułkach, głaszcze jej oczy przednimi nogami, a także wprawia swoje ciało w cykliczne vibracje. To właśnie od nich, a dokładniej od długości ich trwania

Śpiący mamrzyk skróćinkowiec.
Pszczoła trzyma żuwaczkami jeden z płatków,
reszta jej ciała zwisa swobodnie.

→ i częstotliwości, w dużej mierze zależy decyzja samicy – czy pozwoli partnerowi zsunąć się nieco w tył na jej grzbiecie tak, by końce odwłoków się stykały, i rozpocząć zasadniczy etap kopulacji, czy też zrzuci go z siebie i poszuka kogoś lepszego.

Dlaczego samice bywają wybredne? Czas trwania jednej sesji drgań jest prawdopodobnie miarą kondycji samca – a w końcu sprawny ojciec oznacza także sprawne fizycznie dzieci. Częstotliwość drgań wydaje się zaś „językiem” murarek, mającym różne dialekty. Jak pokazały badania Tainy Conrad i Manfreda Ayasse, samce z oddalonych od siebie populacji różniły się pod tym względem. Samice zaś akceptowały tylko zalotników wibrujących w sposób charakterystyczny dla populacji, z której one same pochodziły, odrzucając tych wibrujących innym dialektem. Kiedy badacze w sposób sztuczny wprawiali obcego samca w wibracje odpowiadające miejscu pochodzenia samicy, ta nie miała obiekcji, by pozwolić mu przyjąć jego zaloty.

Rytuały godowe nie są domeną wyłącznie murarek. Samce niektórych gatunków z rodzaju miesierek (*Megachile*) mają zmodyfikowane przednie stopy – są one szerokie, jaskrawobiałe i zaopatrzone w obramowanie z włosków. Siedząc na grzbiecie samicy, samiec stopami zakrywa jej oczy. Przedstawiciele grupy *Euglossini*, tzw. pszczoły storczykowe (ang. *orchid bees*), mają jeszcze inną taktykę zjednywania sobie przychylności partnerek. Samce odwiedzają storczyki, ale kwiaty nie są im potrzebne – jak większości pszczoł – żeby się najeść, tylko żeby zebrać z nich substancje zapachowe. Źródłem zapachów dla zalotników mogą być również inne rzeczy, zdecydowanie mniej przyjemnie nam się kojarzące, jak gnijące owoce czy odchody. Efektem mieszania tych wszystkich woni są unikalne „perfumy”, które mają zrobić wrażenie na samicy. Przedstawiciele pszczoł storczykowych, w przeciwieństwie do murarki ogrodowej i miesierek, w Polsce nie spotkamy – żyją w Ameryce Północnej i Południowej.

Historia pasa cnoty

Uważa się, że samice większości pszczoł kopulują tylko raz. Samce natomiast mogą robić to wielokrotnie – przynajmniej w teorii. W praktyce tylko niektóre będą miały to szczęście, innym uda się to raz, a wiele w ogóle nie splodzi potomstwa. U pszczoły miodnej jest odwrotnie.



Makotka zbójnica. Pszczoły te słyną ze szczególnie silnego terytorializmu i występuje u nich dymorfizm płciowy. Samce są większe od partnerek, bo duże rozmiary przydają im się w walce.

Młoda królowa może kopulować kilkanaście razy, natomiast trutnie – zawsze tylko raz. Powód jest dość drastyczny – w trakcie miłosnego aktu aparat kopulacyjny trutnia, tak zwany kopulator, pozostaje w drogach rodnych samicy i zostaje wyrwany z jego ciała, wraz z częścią wnętrzości.

Z ewolucyjnego punktu widzenia takie poświęcenie życia przez samca domaga się wyjaśnienia. Co samiec w ten sposób zyskuje? Być może tkwiący w odwłoku królowej kopulator jej partnera pełnił w ewolucyjnej historii pszczoł funkcję pasa cnoty. Trutniowi mogłoby się opłacać poświęcenie życia, gdyby miało mu zapewnić wyłączne ojcostwo córek królowej, z którą kopulował (u pszczoł samce rozwijają się z jaj niezaplodnionych, co odkrył polski pszczelarz i badacz Jan Dzierżon – pszczele samce nie mają więc synów).

Jeśli dawniej ten mechanizm działał, to w toku ewolucyjnego wyścigu zbrojeń przestał być skuteczny – obecnie kolejny truteń po prostu wyjmując pozostawioną przez poprzednika „zatyczkę”, by po chwili samemu podzielić jego los. Kopulator ostatniego z samców jest usuwany przez robotnice po powrocie królowej do ula.

Istnieje przynajmniej jeden gatunek pszczoł, u których udział samców w rozmnażaniu nie kończy się na zalotach i kopulacji. Ten wyjątek został opisany w 2019 r. przez czeskich uczonych. Mowa o rożycy z gatunku *Ceratina nigrolabiata* (to krewna dwóch występujących w Polsce rożyc, pospolitej *Ceratina cyanea* i czarnej *C. cucurbitina*). To pszczoła samotnica – samica nie ma więc do dyspozycji gotowych do pomocy robotnic, wszystkim musi zająć się w pojedynkę. Gniazda

samotnic zazwyczaj są mocno narażone na atak pasożytów albo drobnych drapieżników, takich jak mrówki, bo przez większość czasu właścicielki nie ma w pobliżu – wszak musi zbierać pyłek i nektar dla swojego przyszłego potomstwa.

U *C. nigrolabiata* gniazdo, będące norką wygryzioną wewnątrz gałązki, jest chronione przed takimi intruzami przez samca. Siedzi on przy wejściu, blokując je swoim ciałem. Do środka wpuszcza tylko prawowitą właścicielkę tej siedziby. Co ciekawe, samce rożyc wcale nie są pewne, w których gniazdach znajduje się ich potomstwo. Samice tego gatunku kopulują z kilkoma samcami, więc w jednym gnieździe mogą rozwijać się larwy mające różnych ojców. Samce co parę dni zmieniają pilnowane przez siebie gniazdo i przenoszą się, żeby pomóc innej samicy.

Zwodnicze kwiaty

Pszczoły są szczególnie przez nas cenione ze względu na ich rolę w zapylaniu roślin. Ponieważ samice zbierają duże ilości pyłku, którego część po drodze do swoich gniazd „gubią” na kolejnych odwiedzanych kwiatkach, ich rola w zapylaniu wydaje się raczej oczywista. I faktycznie, globalnie pszczoły są prawdopodobnie najważniejszymi zapylaczami (przewyższając w tym inne grupy owadów, ptaki, ssaki, gady i inne zwierzęta, które lokalnie mogą odgrywać bardzo dużą rolę jako zapylacze). Samice dzikich pszczoł należą do wyjątkowo efektywnych w tym zadaniu, mogą przewyższać wszechstronną pszczołę miodną.

Jednak relacje pszczoł i roślin nie sprowadzają się wyłącznie do świadczenia przez te pierwsze pożądanej przez rośliny usługi, jaką jest zapylanie. Np. obok pszczoł skutecznie zapylających rośliny są też takie, które „kradną” pyłek czy nektar, nie przenosząc pyłku z pręcików na znamie słupka. Ten sam gatunek może być przy tym zapylaczem dla jednych gatunków roślin, a złodziejem dla innych, a nawet może odgrywać obie role wobec tego samego gatunku w zależności od różnych czynników środowiskowych. Samce z kolei wcale nie okazują się takie bezużyteczne w zapylaniu, jak mogłoby się здаwać w świetle faktu, że pokarm z kwiatów zbierają tylko na własne potrzeby.

Samce, mimo że nie zbierają takich dużych ilości pyłku jak przedstawicielki przeciwnej płci, mogą odwiedzać całkiem

sporo kwiatów – a przecież właśnie to liczy się w zapylaniu. Osobnik patrolujący terytorium może przysiąść co chwilę na innym kwiecie, żeby sprawdzić, czy nie ma na nim samicy, zostawić swój ślad zapachowy lub uzupełnić energię łykiem nektaru. A to wystarczy, by dokonać zapylania. Wspomniane wcześniej samce „pszczoł storczykowych” odwiedzają wiele kwiatów w bardzo konkretnym celu i oczywiście również mogą przy tej okazji je zapylać. Pewne storczyki wyspecjalizowały się nawet w korzystaniu z ich usług, oferując im substancje zapachowe, a rezygnując z produkcji nektaru. Ponieważ ich pyłek nie nadaje się do zbierania jako pokarm, storczyki te nie są w ogóle odwiedzane przez samice pszczoł i polegają wyłącznie na samcach.

Niektóre kwiaty dopuszczają się oszustw. Jeśli dotąd postrzegaliśmy roślinę jako biernego partnera interakcji w czasie zapylania, czekającego aż pszczoła do niego przyleci, a czasem dającego się wykorzystywać, kiedy owad zabiera nektar czy pyłek bez zapylania, to storczyki powinny wywrócić nasze wyobrażenia do góry nogami. Część gatunków nie produkuje bowiem żadnych zachęt dla zapylaczy, za to rozwija kwiaty przypominające samice pewnych owadów. Na wizualnym podobieństwie się nie kończy, storczyk może wydzielać również feromony przypominające te wytwarzane przez owada.

Samiec naśladowanego gatunku myli więc kwiat z samicą i próbuje z nim kopulować. Oczywiście po chwili orientuje

się w swojej pomyłce, ale wtedy zwykle ma już na sobie pyłek storczyka. Roślina jest tak dobrym naśladowcą, że samiec, napotkawszy kolejny okaz tego samego gatunku, znów się nabiera. Podczas następnej próby kopulacji kwiat zostaje zapylony pyłkiem zebranym z poprzedniej rośliny. Cel zostaje osiągnięty – storczyk może rozwinąć nasiona, a samiec, cóż, zostaje z niczym. Ponieważ feromony płciowe są bardzo specyficzne gatunkowo, to również storczyki niejednokrotnie są zapylane przez jeden jedyny gatunek owada.

Cena bezdomności

Na koniec opowieści o życiu samców przyjrzyjmy się temu, co robią męskie osobniki, kiedy kończy się dzień – jak i gdzie śpią? Z samicami sprawa jest dość prosta – zwykle noc spędzają po prostu w swoich gniazdach. Samce jednak zazwyczaj nie mają tam wstępu, muszą więc znaleźć sobie jakieś inne wygodne i bezpieczne miejsce na noc.

Oprócz mało zaskakujących miejsc, takich jak jamki i szczeliny, w które można się wcisnąć i pozostać niezauważonym do rana, niektóre gatunki wybierają lokalizacje bardziej ekstrawaganckie. Należą do nich kwiaty o rurkowatych kielichach i takie zamykające na noc płatki. Wieczorem pszczoła wpłze do otwartego jeszcze kwiatu, a ten z nastaniem nocy zamyka się wokół niej. W takim ukryciu drapieżnik raczej jej łatwo nie znajdzie. Inną strategią, spotykaną na przykład wśród spójnic (*Melitta*) i pseudosmukli-

ków (*Lasioglossum*), jest postawienie na „ochronę stadną”.

Samce nie chowają się, ale usadawiają w widocznych, można nawet powiedzieć – eksponowanych miejscach i nocują grupowo. Na jednym kwiatostanie może siedzieć kilkunastu samców. Być może śpiąc w ten sposób, pszczoły mogą liczyć na to, że jeśli znajdzie je w nocy jakiś drobny drapieżnik, to zaspokoi głód tylko jedną pechową pszczołą, a pozostałe będą bezpieczne – to jedna z zalet trzymania się w grupie w przyrodzie. Takie spędzanie nocy nie jest jednak szczególnie rozpowszechnione wśród pszczeli samców. Wielu z nich woli nocować pojedynczo i, co dość zaskakujące, nie próbując się w żaden sposób ukryć.

Pszczoła wybiera sobie źdźbło trawy, listek czy płatek kwiatu, chwytając za żuwaczki i zastyga w bezruchu. Jedyne, co trzyma ją w obranej pozycji, to mocny uścisk żuwaczek, reszta ciała zwisa swobodnie, a nóżki są zazwyczaj podkurczone. W tej pozycji owad wydaje się idealnym kąskiem, niemalże podanym na talerzu, a jednak, skoro ten sposób nocowania wyewoluował i jest całkiem powszechny wśród pszczoł, najwyraźniej musi być wystarczająco bezpieczny. Być może w rzeczywistości wisząca w ten sposób mała pszczoła wcale nie jest tak łatwo wypatrzeć wśród roślinności, jak to się może wydawać, gdy oglądamy jej wykadrowane zdjęcie. Przekona się o tym z pewnością każdy, kto spróbuje sam odnaleźć śpiące w ten sposób samce.

© JUSTYNA KIERAT

TP WRAZ Z NASTĘPNYM WYDANIEM „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

katalog Copernicus Festival 2022: INFORMACJA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ Dlaczego wszechświat wydaje się być pochłonięty generowaniem informacji?

Ile prawdy o świecie zawiera jedno kubit? Skąd się wzięła informacja genetyczna? Jak groźne są dla społeczeństwa bańki informacyjne, w których żyjemy?

■ Pojęcie informacji przebojem wdarło się do wielu dziedzin nauk:

od psychologii, przez biologię, aż po fizykę i kosmologię. I niemal wszędzie są z nim problemy.

■ Opowiemy o tym, jak mózg przetwarza informacje, i wyjaśnimy, dlaczego ich nadmiar szkodzi.

Przyjrzymy się działaniom komputerów kwantowych i zastanowimy nad konsekwencjami nieuniknionego rozpadu globalnego internetu. Porozmawiamy również z gwiazdami festiwalu – z genetyczką Ewą Bartnik i psychologiem Michałem Kosińskim – oraz przedstawimy jego pełen program.

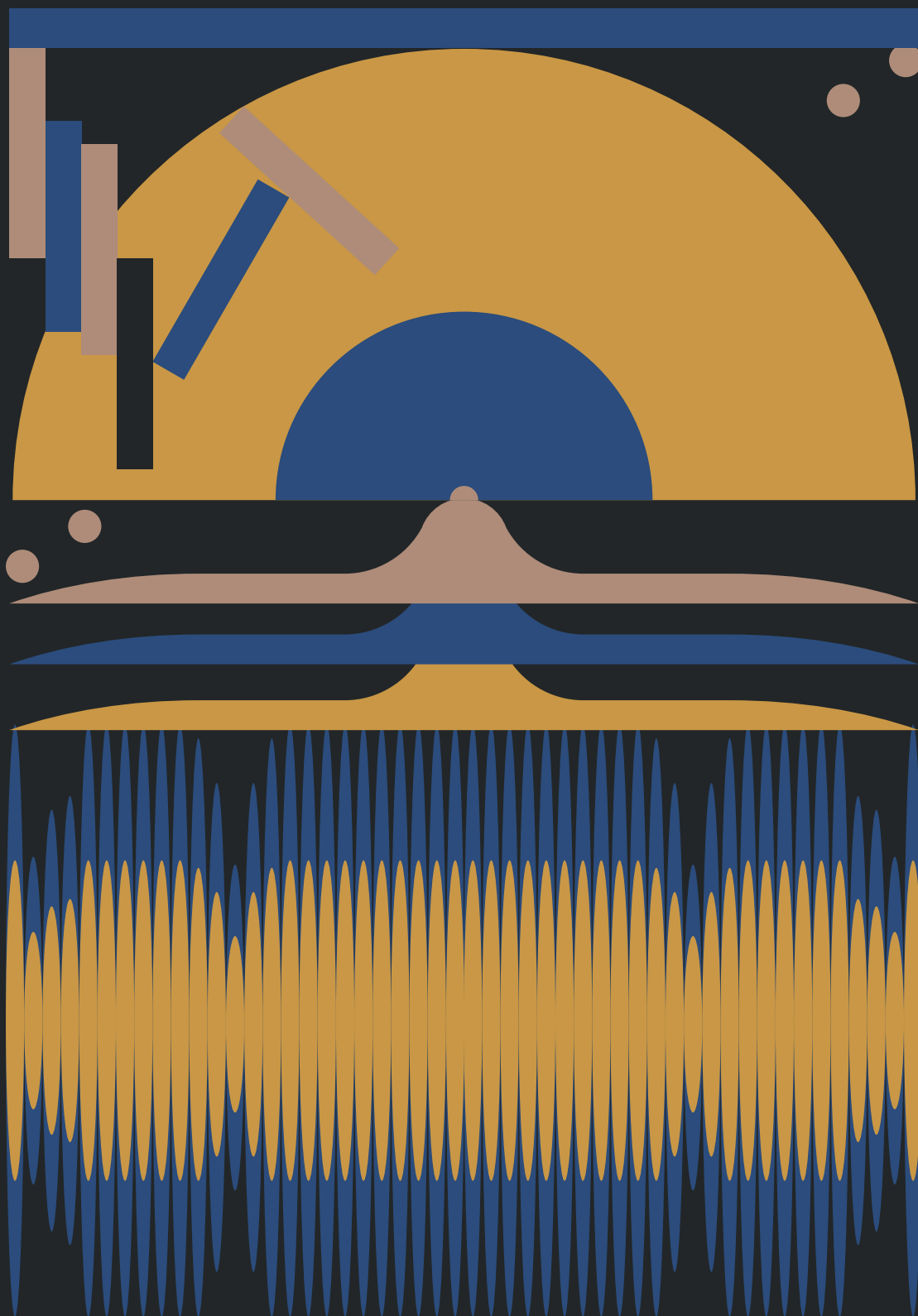
COPERNICUS FESTIVAL, 17-22 maja 2022

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM



COPERNICUS
FESTIVAL

Creators for **Ukraine**.org



KULTURA TO JEDNA Z PIERWSZYCH OFIAR WOJNY.
ALE KULTURA TO TAKŻE NADZIEJA NA PRZYSZŁOŚĆ I GWARANT UKRAIŃSKIEJ TOŻSAMOŚCI.
POMAGAMY TWÓRCOM, ICH RODZINOM I INSTYTUCJOM KULTURY.

www.creatorsforukraine.org
www.zaiks.org.pl/ukraina


CISAC

za'KS
sprzyjamy wyobraźni

„Wojna wojną, a kwiaty posadzić trzeba”,
powiedziała brytyjskiemu reporterowi Richardowi Gaisfordowi
Główna Ogrodniczka miasta Kijowa, która wraz ze swoim zespołem
zasadziła kilka tygodni temu błękitne bratki pod złotą kopułą
Soboru Sofijskiego. To wyraz nadziei, że konflikt nie potrwa długo,
a miasto wypięknieje, nim przekwitną wiosenne kwiaty.

Zasiejmy razem tę nadzieję również w Polsce.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 18-19/2022

Ł Ą K A P O W S Z E C H N A

Zasiej nadzieję!



Gdzie pała dzięcielina?

NATALIA I MACIEJ PODYMOWIE:

**Przestaliśmy zwracać uwagę na to, co rośnie dookoła.
A kwiaty, które możemy dostać w kwaciarni, nie oddają
bogactwa kolorów i zapachów naszej rodzimej flory.**

MICHAŁ SOWIŃSKI: Państwo Łąkowie wręczają sobie kwiaty?

MACIEJ PODYMA: Oczywiście!

NATALIA PODYMA: Ciekawe kiedy...

MACIEJ: Przynoszę wiele bukietów, może nie konkretnie dla Ciebie, ale dla naszego domostwa. W naszej wspólnej historii jest za to jeden szczególnie ważny kwiat – samotna, lekko zwiedła róża, od której zaczął się nasz związek. To były walentynki...

NATALIA: ...mikołajki.

MACIEJ: Mikołajki. Zapakowałem ją w wymięty plakat z Marilyn Monroe, który Natalia niestety zgubiła...

Powinniśmy unikać hodowlanych kwiatów?

MACIEJ: Ostatnio w grupie „Antropogeniczne zmiany klimatu” ktoś wrzucił zdjęcie ciągnącego się po horyzont pola tulipanów – mnóstwo lajków i zachwytów. Dopiero ja musiałem zgasić ten entuzjazm, sugerując, że to raczej antyprzkład tego, o co się tu walczy.

Dlaczego?

MACIEJ: Po pierwsze, to gigantyczna monokultura, a więc wyłławianie gleby i ryzyko chorób. Po drugie, zużywanie olbrzymich ilości nawozów, w tym bezcennego torfu, a także sztucznych preparatów ochronnych. Po trzecie, mechanizacja na wielką skalę. Do tego tulipany często przywożone są z Holandii, więc dochodzi jeszcze znaczący ślad węglowy.

NATALIA: Dlatego właściwie nie kupuję kwiatów. Poza tym jest ich tyle dookoła, że to kompletne marnotrawstwo. Nie lubię patrzeć, jak szybko usychają w wazonie, dlatego też nawet sama zbieram je rzadko. Wolę, żeby rosły, produkowały nasiona i służyły zapylaczom. Można powiedzieć, że prowadzimy domostwo bez kwiatów.

A ogród?

NATALIA: 7 lat temu pod blokiem wysialiśmy łąkową mieszkankę do cienia, która od tego czasu rośnie sobie bez większych ingerencji z naszej strony. W tym roku

przeprowadzamy się do gospodarstwa, więc będziemy mogli poszaleć. Mam słabość do roślin chronionych, bo są rzadkie, a ja wciąż szukam nowych botanicznych doznań. Ostatnio na przykład marzy mi się dziewięciśł popłocholistny.

Właśnie patrzę – przepiękny!

NATALIA: Miał pecha, bo uznano, że przynosi szczęście, dlatego w wielu kulturach zrywano go na potęgę. A do tego, choć to bylina, kwitnie tylko raz w życiu, i to po kilkunastu latach! A więc rozmnaża się powoli. Marzy mi się też kurzyślad błękitny, bardzo rzadka roślina. Z kolei kurzyślad polny to fenomenalne połączenie kolorów – żółtego, fioletowego i pomarańczowego. Nie wiem, czy zobaczysz przez kamerę, ale mam go na ręce [pokazuje wielobarwny kwiecisty tatuaż].

MACIEJ: Ja chciałbym mieć przydomowy ogród botaniczny, gdzie byłoby jak najwięcej gatunków polskiej flory. Moglibyśmy wtedy pokazywać gościom, z jakich roślin powstają nasze mieszkanki.

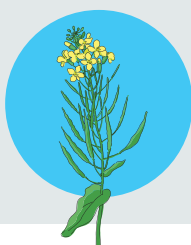
Przekazujemy Czytelnikom błękitno-żółtą mieszkankę nasion łąki kwietnej, aby każdy, siejąc ją u siebie, mógł symbolicznie wyrazić solidarność z Ukrainkami i Ukraińcami.

To rośliny jednoroczne, które można wysiać nawet w stojącej w słońcu donicy lub na działkowej rabacie. Gatunki dobraliśmy ze względu

na ich ozdobne kwiaty, ale też dlatego, że w ukraińskim rolniczym krajobrazie można zobaczyć ich pola ciągnące się po horyzont. Błękitny len i kwiaty żółte: rzepak, nagietek, koper i krokosz to uprawy, na których opiera się przemysł spożywczy i kosmetyczny w całej Europie (i dalej). Niebieskie – ogórecznik, facelia i żmijowiec – to z kolei rośliny,

które mają dać wytchnienie ziemi między kolejnymi turami upraw, a także dostarczyć pożywienia pszczołom.

Wybrane rośliny znajdują się także na dużych łąkach kwietnych w kolorach ukraińskiej flagi, które „Tygodnik Powszechny” i Fundacja Łąka wysieją w Krakowie, Białymstoku i Częstochowie. ©



NATALIA: Mi z kolei podobają się dzikie zbiorowiska roślinne, wolałabym w nie mocno nie ingerować. Z drugiej strony, ogród botaniczny to fajny pomysł, o ile nie będziemy z niego zbierać nasion.

Dlaczego?

NATALIA: Bo powstają mieszańce. Gatunki z tego samego rodzaju – weźmy przykład dziewanny – zapylają się między sobą i powstaje hybryda, na przykład dziewanna fioletowej i pospolitej. Zacieśniają się między nimi granice i nie wiemy już, z jakimi nasionami mamy do czynienia. A jeżeli myślimy o uprawie pod sprzedaż, powinniśmy zachować kilometr różnicy między jedną a drugą.

Polska kultura XIX i XX wieku kwiatami stała – chyba trochę o tym zapomnieliśmy.

MACIEJ: To prawda. Wystarczy spojrzeć na współczesne nazwiska, ile mamy Kąkoli, Makowskich czy po prostu Kwiatkowskich. Przestaliśmy zwracać uwagę na to, co rośnie dookoła. A z kolei kwiaty, które możemy dostać w kwaciarni, nie oddają bogactwa kolorów i zapachów naszej rodzimej flory. Ziołolecznictwo, które ostatnio wraca do łask, to jeszcze inna przebogata tradycja, której echa słychać w naszej kulturze na każdym kroku.

Może powinniście wprowadzić „mieszanki kulturowe”, na przykład „Nad Niemnem”?

NATALIA: Kombinujemy już nad podobnymi pomysłami. „Nad Niemnem” to dobry trop, jest tylko jeden problem – Orzeszkowa, jak zresztą większość pisarzy, używa nazw dość swobodnie. Czasem pod jednym określeniem może kryć się pięć różnych roślin.

MACIEJ: Nie wiadomo na przykład, co miał na myśli poeta, gdy mówił o pałającej dzięcielinie... To dawna nazwa różnych gatunków roślin pastewnych z rodziny bobowatych, zwłaszcza koniczyny, lucerny sierpowatej i sparcety siewnej. Wiadomo, biolodzy mówią inaczej, reszta ludzkości mówi inaczej – tak jest choćby z mleczem. Istnieje roślina o tej nazwie, ale większość ludzi ma na myśli mniszka lekarskiego, zresztą bardzo do mlecza podobnego.

Ludowe konteksty roślin rosnących dookoła nas też niestety zanikają...

MACIEJ: „Gdzie rosną dziewanny, tam słabe panny”.

NATALIA: Nie, to było: „Gdzie rośnie dziewanna, bez posagu panna”.

MACIEJ: Sens ten sam – dziewanna rośnie na kiepskich rolniczo gruntach, więc nie warto było wżeniac się w taką rodzinę. Ale są też ciekawe konteksty narodowe. Niektóre państwa oficjalnie wręcz utożsamiają się z jakąś rośliną – na przykład Szkocja ma w herbie popłoch pospolity. Nie przypadkiem, bo to bardzo typowy gatunek dla ich krajobrazu rolniczego. Odgradza pola, jest wysoki i gęsty, widać go z daleka.

A najbardziej polski kwiat?

NATALIA: Zastanawiamy się nad tym od jakiegoś czasu. Myśleliśmy o plebiscycie, ale to chyba nie najlepszy pomysł, bo nie chodzi o proste skojarzenia, a właśnie silne kulturowe zakorzenienie.

Mak polny w kolorze bohatersko przelanej krwi?

MACIEJ: Chcieliśmy wypromować jakąś mniej oczywistą roślinę (*śmiech*). Ale oczywiście, skojarzenie z polami bitew jest nie od rzeczy, bo nasiona maku potrzebują wystawienia na promienie słońca, by zakiełkować. Jest w tym odrobina legendy, ale zryta przez walczące wojsko gleba faktycznie temu sprzyja. No i oczywiście kolor – stąd te związki z martyrologią. Trudno przebić to połączenie, ale jeśli czytelnicy „Tygodnika” mają inne propozycje, to chętnie posłuchamy.

NATALIA: Z roślinami-symbolami trzeba jednak uważać, bo mogą stać się zbyt popularne, a przez to zniknąć z naszego krajobrazu...



ADRIAN NORBERT CUPER

Jakie popularne niegdyś rośliny straciliśmy?

NATALIA: Przede wszystkim te związane z ziołolecznictwem, ale też tzw. chwasty polne, czyli rośliny, które utrudniały uprawę zbóż – na przykład zanieczyszczały materiał siewny albo sprawiały, że mąka była ciemnego koloru i miała gorzki smak. Tak było choćby z kąkolem. Problem w tym, że „chwasty” pełniły także inne ważne funkcje, choćby chroniły przed chorobami i szkodnikami. We współczesnym rolnictwie coraz rzadziej spotkać można również miedzę, a więc i rośliny, które szczególnie lubiły na nich rosnąć.

MACIEJ: Coraz mniej się wypasa zwierząt, więc znikają murawy kserotermiczne z ich unikalną florą. Nikt nie kosi już tych łąk, więc zarastają gatunkami inwazyjnymi. Niestety, jest coraz mniej miejsca dla roślin i zwierząt – przede wszystkim ze względu na coraz większe zanieczyszczenie środowiska i zmiany klimatyczne.

Czyli tej wiosny – i w kolejnych – powinniśmy odpuścić sobie tulipany i hiacynty?

NATALIA: Lepiej poszukać rodzimych kwiatów, na przykład różnych odmian zimowitów. Mnie wiosna nie kojarzy się z tulipanami, tylko na przykład z gwiazdnicą pospolitą, jednym z pierwszych kwiatów, który u nas zakwita. Małeńki, niepozorny, ale dla mnie to właśnie symbol początku wegetacji.

MACIEJ: To chyba główna różnica między moim i Natalii podejściem do roślin – dla mnie najważniejsza jest użyteczność, a wygląd to sprawa drugorzędna. Nasza łąkowa mieszanka antysmogowa to dobry przykład.

NATALIA: A ja wolę, żeby każda mieszanka była niepowtarzalna, miała swoje smaczki i dziwactwa. Komponuję je dla takich samych botanicznych freaków jak ja. A wiadomo, że apetyt rośnie w miarę wachania. Gdyby ktoś parę lat temu powiedział mi, że moim ulubionym zajęciem będzie chodzenie po łące z papierowymi kopertami i zbieranie nasion, chyba bym nie uwierzyła.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

NATALIA i MACIEJ PODYMOWIE, czyli Pani i Pan Łąka. Założyciele Fundacji Łąka, której celem jest propagowanie w miastach bioróżnorodnych łąk kwietnych oraz zrównoważonego dbania o zieleń.



Białystok rozkwita łakami

fot. Mirosław Cimoch

Pola słoneczników i kolorowych kwiatów oraz połacie rzepaku to znak firmowy Białegostoku. W tym roku, w solidarności z walczącą Ukrainą, jedna z łąk skomponowana zostanie z roślin kwitnących w kolorach żółtym i niebieskim.

Łąki kwietne robią ogromne wrażenie na białostoczanach oraz osobach odwiedzających miasto. Jednak gdy w 2019 r. Urząd Miejski ruszył z tym projektem, jego celem było nie tylko wzbogacenie miasta o piękne, kolorowe połacie kwiatów – chodziło przede wszystkim o podniesienie jakości życia mieszkańców.

– Wygląd miasta jest dla nas zawsze ważny, a łąki poprawiają estetykę, bo przełamują monotonię miejskiego krajobrazu – tłumaczy prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski. – Ale od początku zależało nam

też, by łąki łagodziły mikroklimat, między innymi poprzez ograniczanie skutków miejskiej wyspy ciepła.

Zielona edukacja

Zakładane w pasach drogowych łąki kwietne, stworzone ze specjalnie dobranej mieszanki roślin, wpływają bardzo korzystnie na poprawę bioróżnorodności owadów, w tym tych zapylających. Dzięki nim pojawia się także więcej ptaków.

Przydrożne łąki pochłaniają duże ilości CO₂, jak również oczyszczają powietrze i produkują tlen. Do tego zatrzymują olbrzymie ilości deszczówki, co w miejskiej przestrzeni ma szczególne znaczenie – dzięki temu podczas obfitych opadów ulice są mniej zalewane.

– Łąki kwietne to również edukacja i angażowanie społeczności lokalnej w działania proekologiczne, zachęta do ochrony przyrody, a także do zakładania własnych łąk kwietnych. To także dbanie o owady zapylające i kształtowanie świadomości ekologicznej wszystkich grup społecznych – od dzieci po osoby dorosłe – dodaje Andrzej Karolski, dyrektor Departamentu Gospodarki Komunalnej białostockiego Urzędu Miejskiego i pomysłodawca kwietnych łąk.

Kwiaty dla motyli

W Białymstoku zakładane są różne rodzaje łąk: kwiatne jednoroczne, wieloletnie (mieszanka gatunków z przewagą roślin dwuletnich i bylin) oraz jednogatunkowe (pola słonecznikowe, rzepakowe, zbożowe, motylkowate). Łąki wieloletnie to około 30 proc. wszystkich łąk w mieście, jednoroczne to blisko 40 proc., zaś pola słoneczników, gryki, gorczycy, lnu, łubinu, rzepaku to kolejne 30 proc. Łącznie w Białymstoku łąki zajmują już 10 hektarów, a przy tym projekcie miasto współpracuje z Fundacją Łąka. Na początku kwietnia prezydent Tadeusz Truskolaski i prezes Fundacji Maciej Podyma podpisali kolejną, trzy-

– Dzięki łąkom nie trzeba wyjeżdżać z miasta, by obcować z przyrodą. W ramach projektu zamontowano też 26 tablic informacyjnych. Wszystko po to, by angażować społeczność lokalną w ochronę przyrody oraz poszerzać wiedzę o kwiatach przyjaznych pszczołom – dodaje prezydent Tadeusz Truskolaski.

Łąka w barwach Ukrainy

Nasadzenia łąk kwiatnych w dużej mierze poprawiły także jakość miejskiego powietrza. Z badań przeprowadzonych przez Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego na próbkach pochodzących z Białegostoku wynika, że łąki znacząco przyczyniły się do oczyszczania



fot. Martyna Kowalik-Strapczuk / UM Białystok

letnią umowę na założenie i pielęgnację łąk kwiatnych w pasach drogowych i na działkach gminnych w Białymstoku.

Łąki to wspaniała alternatywa dla miejskich trawników, na których rosną najczęściej tylko dwa lub trzy gatunki roślin. – Do zakładania łąk w mieście przygotowywane są różne mieszanki nasion, w zależności od warunków glebowych panujących na danym terenie oraz od oczekiwanego przez nas efektu końcowego. Dzięki temu możliwe jest stosowanie domieszek roślin innych niż gatunki rodzime, a wszystko w celu urozmaicenia i poprawy estetyki. Na przykład gatunki podporowe, kwitnące w określonych terminach, nektarodajne, antysmogowe, przeznaczone dla motyli lub o charakterystycznej barwie kwiatów – dodaje dyrektor Andrzej Karolski.

nia powietrza ze smogu komunikacyjnego i pyłu zawieszonego. Co istotne, większość gatunków roślin rosnących na miejskich łąkach akumulowała więcej pyłu zawieszonego niż drzewa oraz trawa.

– Białostockie pola słoneczników stały się znane w całej Polsce i są kolejnym znakiem rozpoznawczym naszego miasta – mówi zastępca prezydenta, odpowiedzialny m.in. za promocję i gospodarkę komunalną, Rafał Rudnicki. – Dzięki kwiatnym łąkom Białystok jest jeszcze piękniejszy, bardziej zielony i ekologiczny. Dodatkowo, aby wyrazić naszą solidarność z bohatersko walczącym narodem ukraińskim, w tym roku powstanie łąka kwiatna skomponowana z gatunków roślin kwitnących w kolorach żółtym i niebieskim.



Las Kosocicki, Kraków, lipiec 2020 r.

Z Krakowa na koniec świata

GRZEGORZ NUREK

Pięćdziesiąt trzy parki miejskie, ponad dwieście kilometrów tras i ścieżek rowerowych, Błonia, Planty, Bulwary, Łąki Nowohuckie, Przylasek Rusiecki, ogród zoologiczny i botaniczny, tereny leśne – to wszystko na wyciągnięcie ręki. Witaj majówko! Hej przygodo!

NA POCZĄTEK PLANTY. BLISKO DWADZIEŚCIA dwa hektary powierzchni – ogrody, pomniki, ławeczki pisarzy. Kto łudził się, że zna je dobrze, bo przecież są najbliżej Rynku i często nimi spacerował, srogo się mógł pomylić. Wystarczy, że zerknie do albumu Andrzeja Nowakowskiego opublikowanego przez Universitas dwa lata temu. Gdzie zlokalizowana jest Florianka? Gdzie Ogród Gródek? Gdzie stoją „Sowy” Bronisława Chromego? Place zabaw Plantuś i Dzikie

Planty? A gdyby tak przyjrzeć się dokładnie, z większą uwagą, budzącej się do życia przyrodzie?

Potem Bulwary Wiślane: kilka godzin biegiem lub w siodełku oznakowanymi ścieżkami. Można wypić kawę i nabyć nowości wydawnicze w Lokatorze, umówić się z przyjaciółmi przy kładce Bernatka i mknąć bitykłem po królewsku, mijając Wawel, wzdłuż rzeki, w stronę Kolnej. Kładką przy stopniu wodnym Kościuszko przeskoczyć Wisłę i chwilę potem albo od-

bić na Tyniec albo, podziwiając wyczyny kajakarzy, wrócić w stronę Wawelu drugim brzegiem rzeki. Mijamy biegaczy, kolarzy i rolkarzy. Wiatr we włosach, tu i ówdzie dzika zwierzyna: lisy, wiewiórki, ptactwo wszelakie.

Łosie na wagarach

Jeśli na rower, to koniecznie zapytać o rekomendacje dwójkę najsłynniejszych cyklistów podwawelskich: Ireneusza Kanię i Jakuba Kornhausera.

– Jeden dzień na rower w Krakowie? Ależ proszę bardzo. Na północy macie piękne łąki w Toniach i park leśny Witkowice z przełomem Bibiczanki, na wschodzie stawy w Przyłasku Rusieckim, na Zachodzie co chcecie, od wzgórz w Bodzowie po lasy tynieckie. Ale ja polecam południe, bo i powspinacie się na podjazdach, i oko ucieszy panoramicą: warto zacząć od miasta-ogrodu w Kobierzynie, znanego z Pilchowskiej prozy „Pod Mocnym Aniołem”, następnie udać się na Kliny do pięknego parku Maćka i Doroty – przy odrobinie szczęścia można spotkać gromadkę dzików na kolacji – oraz na przeszpiegi wokół fortu, gdzie czają się fińskie domki. Potem przez Jugowice przejechać na drugą stronę zakopianki: w Swoszowicach znajdziecie stary zespół parkowy przy domu zdrojowym, gdzie wśród siarczanów unosi się wspomnienie Stanisława Staszica i innych kuracjuszy, dalej na Siarczanej Górze wspaniałe widoki na Kraków, w Rajsku staw pełen żab w czasie godów, można sobie je poprzenieć przez ulicę, a żaby są delikatne w dotyku, niemal jak kotki czy króliki. W Kosocicach na pagórze inny staw, wielki fort i ostatni przystanek – Las Kosocicki pełen opuszczonych jarów i łosi na wagarach. A dalej to już koniec świata: Wieliczka, więc nogi za pas i powrót przez Bieżanów. Szerokości! – życzy autor „Premii górskich najwyższej kategorii”, poeta Jakub Kornhauser.

– Moim ulubionym parkiem Krakowa jest Park Lotników niedaleko Muzeum Lotnictwa Polskiego oraz za halą Tauron Areny. Teren pagórkowaty, drzewa, niewielu ludzi. Niekiedy widuję tam na spacerach rodziców z dziećmi. Mam też kilka ulubionych tras rowerowych zaczynających się w Krakowie. Na ogół jeżdżę wokół miasta na odległość 30-40 kilometrów. Piękną trasą, zwłaszcza wiosną, gdy kwitną drzewa i kwiaty, jest ponad 30-kilometrowa droga z Krakowa przez Ska-

winę do Kalwarii Zebrzydowskiej. Ale nie polecam jej każdemu, są górki, można się zmachać.

Drugim kierunkiem są trasy prowadzące do Czernichowa przez Piekary albo Liszki. Jak droga przez Piekary, to rowerowa wspinaczka górską. Cudowne widoki z fantastycznymi perspektywami na Babią Górę, która parę dni temu była cała w śniegu. Tyle razy ją już taką widziałem i za każdym razem zapiera dech w piersiach. Na cudownym błękitnie nieba biały szczyt Babiej Góry przeorany dwoma czy trzema żłebkami. Z Krakowa do Czernichowa to jakieś 25 kilometrów. Dlaczego te trasy tak polecam? O tej porze roku można zobaczyć dwa bocianie gniazda: w Wołowicach oraz dwa-trzy kilometry za Liszkami. Bociany już powinny być w gniazdach. To duża radość, szczególnie dla dzieci.

To są moje trasy, kilka razy w roku je zaliczam – mówi laureat tegorocznej nagrody im. Kazimierza Wyki, tłumacz Ireneusz Kania.

Pobiec w stronę zoo

O rekomendacje dla pragnących pobiegać w majówkę pytam Małgorzatę Lebdę, poetkę, która w ubiegłym roku przebiegła 1113 km wzdłuż Wisły:

– Próbuje omijać beton miasta, opracowałam kilka biegowych ścieżek, które pozwalają mi mieć kontakt z ziemią. Polecam wystartować z krakowskich Błoń, a następnie pobiec wzdłuż Rudawy (w stronę Mydlnik) – to pomysł na spokojne, niedługie wybieganie. Linia rzeki prowadzi tam łagodnie i nastraja do kontemplacji. Jeśli chcemy coś ambitniejszego, ze zmiennym tempem, to polecam ruszyć z Błoń w stronę Kopca Kościuszki. Las okalający Kopiec daje wspaniałe możliwości biegaczkom i biegaczom. Stamtąd proszę kierować się na Las Wolski (zoo), koniecznie robiąc sobie przerwę na Polanie Piknikowej na Sikorniku, potem

w dół, przebiec ulicę Jodłową i wbiec (jest pod górkę!) w Uroczysko Lasu Wolskiego, a tu już dowolność kombinacji ścieżek, podbiegów, zbiegów, polan, skał. Raj!

Z ukochanych, „zabieganych” przeze mnie miejsc polecam jeszcze Dolinę Bolechowicką. Startujemy z centrum wsi (poczta, sklep spożywczy) w górę, aż otworzy się przed nami monumentalny pejzaż Bramy Bolechowickiej tworzony przez Filar Pokutników oraz Filar Abazego. Dalej w las, czerpiąc z piękna Rezerwatu Przyrody Wąwóz Bolechowicki. Miejscami można poczuć się jak w Tatrach! Tu koniecznie przystanek na zanurzenie dłoni w lodowatej wodzie i posłuchanie wodospadu (nie sposób go nie zauważyć). Stamtąd najwspanialej i najprzyjemniej pobiec lasem do Doliny Kobylańskiej i dalej do Doliny Będkowskiej, licząc, że złapie nas ciepła wiosenna ulewa – opowiada Małgorzata Lebda.

Zielono i blisko

Lada chwila do punktów informacji turystycznej trafią przewodniki po mieście w języku ukraińskim. Naszym gościom będzie można zaproponować spacer m.in. po Nowej Hucie lub śladami smoka wawelskiego.

Jeśli ktoś jeszcze nie zbudował kondycji i woli jednak posiedzieć z książką lub najnowszym numerem „Tygodnika Powszechnego” na ławce w tzw. „pięknych okolicznościach przyrody”, polecam uważnie najbliższą okolicę i parki kieszonkowe o bajecznych nazwach – ogród artystyczny, magiczny, leśny, zakręcony, motyli, matematyczny, sielski, prehistoryczny, lipowy, ptasi, relaksacyjny czy kasztanowy. ©

Autor jest redaktorem i dziennikarzem kulturalnym „Gazety Wyborczej” w Krakowie, współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego” i „Nowej Europy Wschodniej”, z zamiłowaniem i w wolnym czasie cyklistą.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NR 18-19/2022 | www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA: Michał Sowiński | MENADŻERKA PROJEKTU: Marta Filipiuk-Michniewicz | OPIKA WYDAWNICZA: Maja Kuczińska, Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron | PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska, Anna Dziurdzikowska, Agnieszka Wenderska | PROJ. GRAF. Marek Zalejski

FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Jacek Taran | GRAFIKI ŁĄKOWE, OKŁADKA, SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu

AUTORKA TEKSTU NA OKŁADCE I W RAMCE NA STR. 94: Agnieszka Nowak / Fundacja Łąka

ŁĄKA ZAKWITNIE DZIĘKI:



pani łąka

**RMF
CLASSIC**



Kraków



JEDYNY TAKI NARÓD

U podstaw piękna naszego miasta i piękna każdego z nas z osobna leży konieczny, jak powietrze i woda, nieodparty mus imperialny. Tak twierdził Perykles, Ateńczyk.

MICHAŁ KOMAR

NIE BYŁO FLOTY SILNIEJSZEJ NIŻ ATEŃSKA. TRZYSTĄTrier z dziobami służącymi za tarany, niektórzy twierdzą, że trier było nawet pięćset, a na ich pokładach kilkadziesiąt tysięcy biegłych żeglarzy i wojowników.

Potęga zawsze gotowa do wymuszenia haraczu na niesfornych sojusznikach i do zadania ciosu jawnemu przeciwnikowi budziła nienawiść wśród większości Hellenów. Tukidydes w „Wojnie peloponeskiej” zapisał: „Tak wrogo odnoszono się do Ateńczyków, bo jedni pragnęli uwolnić się spod ich panowania, inni bali mu się ulec”.

Między murami

Gdy wiosną 431 roku p.n.e. armia peloponeska zakończyła przygotowania do ataku na Attykę, jej wódz naczelny Archidamos, król Sparty, przedstawił żołnierzom moralnie podniosły cel wojny: do tej pory Ateńczycy uważali, że mogą bezkarnie panować nad innymi, „najeżdżać cudze ziemie”, nadszedł wreszcie czas, by zobaczyli niszczenie własnego kraju. Kampania trwała krótko. Peloponezyjczycy spustoszyli część Attyki, a kiedy zbrakło im żywności, powrócili do domu. W odwecie flota ateńska uderzyła na Peloponez, przeprowadziła pacyfikację Eginy i – z pomocą piechoty – zmiażdżyła Megarę. Dużo krwi się polało.

O bezpieczeństwie Aten na lądzie decydowały mury. Dłuższy, podwójny, aż do Pireusu i drugi, bardziej na wschód – do portu w Faleronie, obydwa obsadzone kilkunastoma tysiącami hoplitów. Strategos Perykles słusznie spodziewał się najazdu,

zachęcił więc Ateńczyków żyjących na wsi do porzucenia domostw. Zamieszkali pomiędzy murami.

Wolnych pomieszczeń było niewiele, zatrzymali się byle gdzie, na placach, w pośpiesznie skleconych barakach oraz – wbrew prawu i przyzwyczajeni – w świątyniach, co oburzało wielu obywateli. W mieście zrobiło się tłoczno jak nigdy dotąd, a gdzie ścisk, tam niewygodą, z której często rodzą się złość i gniew. Wszystko obesrane przez uchodźców. Nie da się żyć.

Zimą odbyły się w Atenach uroczystości związane z pochówkiem pierwszych poległych. Ich kości wystawiono na widok publiczny, potem złożono w trumnach z pachnącego słodyczą drewna cyprysowego. Przez miasto przeszedł tłumny orszak złożony z pełnoprawnych Ateńczyków, ale też z cudzoziemców oraz kobiet, bo nawet im udzielono zgody na udział w publicznym zgromadzeniu. Ku niebu płynęły jęki i zawodzenia płaczek.

Piękno

Przy wspólnym grobie przemówił Perykles – „obywatel wyznaczony przez państwo, ogólnie poważany i o wielkim rozumie” – który od wielu lat z powodzeniem kierował mocarstwową polityką demokratycznych Aten, sławny w całej Helladzie autor praw i łupieżca, budowniczy Partenonu i Propylejów, szczodry przyjaciel Sofoklesa, Herodota i Fidiasza.

Ta mowa uchodzi do dziś – po dwóch tysiącach czterystu pięćdziesięciu czterech latach – za wzór →

Wizerunek Peryklesa
na współczesnej
20-drachmowej
monecie



→ perswazyjnej przemysłności. Wezwał Perykles słuchaczy, by stojąc przy mogile bohaterów, przestali myśleć o utraconych majątkach na wsi i utyskiwać na przejściowe niewygody. Wojna wymaga poświęceń, tym bardziej że idzie o wojnę szczególną. Taką, która dotyczy fundamentów ich bytu. Idzie o obronę Piękna.

Nie ma bowiem w świecie piękniejszych ludzi niż Ateńczycy. Nie ma piękniejszego państwa niż Ateny przez nich zbudowane, potężne w pokoju i potężne w wojnie – „szkoła wychowania Hellady”. Wiadomo przecież, że tylko tu każdy obywatel jest równy w obliczu prawa. Tylko tu jednostkę ceni się nie z powodu przynależności do jakiejś grupy, lecz ze względu na osobisty talent. I tylko tu wolność czerpie się i rozkwita dzięki prawom, także tym niepiśnianym, co bronią pokrzywdzonych.

Wiedźcie, Ateńczycy – ciągnął Perykles – że mocą wojenną przewyższamy wojska i floty całego świata, cechująca zaś nas odwaga rodzi się nie z przymusu, lecz jest wrodzona. Kochamy piękno, kochamy wiedzę i nikt jak my nie umie czcić bogów. Dzięki temu łączymy najwyższą śmiałość z najstaranniejszym obmyśleniem planów, jednocześnie zaś „jesteśmy jedynym narodem, który bez obawy wspomaga innych, nie tyle licząc na korzyść, ile kierując się pełną zaufania wielkoduszością”. Budzimy podziw, bo „zmusiliśmy wszystkie morza i lądy, aby stały się nam dostępne, i wszędzie postawiliśmy pomniki klęsk przez nas zadanych i dobrodziejstw przez nas wyświadczonych”, i inaczej już być nie może. U podstaw piękna naszego miasta i piękna każdego nas z osobna leży konieczny, jak powietrze i woda, bez których nie da się żyć, bezalternatywny, nieodparty – mus imperialny.

Perykles chciał tchnąć w Ateńczyków ducha, wykrzesać z nich entuzjazm wojenny, i to mu się udało. Jedni bowiem słuchacze – ci, których upewnił w ich wywyższającej wyjątkowości – mieli na uwadze, że to człowiek wielkiego rozumu, godny zaufania, zatem wszystko, co mówi, polega na prawdzie i tylko prawdzie. Drugim nigdy przedtem nie przyszło do głów, że są tak wspaniali, jak twierdzi strategos, ale skoro tak twierdzi, to należy mu zaufać chociażby z uwagi na rozkosz płynącą z samozachwycenia. Wreszcie trzeci, zrozpaczeni utratą wiejskich majątków i coraz bardziej znękani miejskim smrodem, uznali, że pewność, z jaką przemawia Perykles, daje nadzieję zmiany na lepsze, choć po prawdzie to tylko nadzieja i tylko słowa – ale co innego pozostaje w nieszczęściu prócz zawierzenia słowom? Wkrótce Perykles został ponownie wybrany strategosem.

Z wiosną Peloponezyjczycy po raz wtóry zaatakowali Attykę. Burząc i paląc to, co miało być zburzone i spalone, szli w stronę Laurionu, gdzie Ateńczycy wydobywali srebro i kuli broń. Perykles – przeciwny wyprowadzeniu wojska w pole – stanął na czele floty złożonej ze stu pięćdziesięciu okrętów z zamiarem zniszczenia Epidaurów, a że to się nie udało, rzucił desant na Lakonię. Kraj został spustoszony, a miasto i bazę morską Prasiae zrównano z ziemią. Istna rzeźnia.

Zaraza

W tym właśnie czasie do Aten przypelzła zaraza. Nie wybuchła, lecz przypelzła. Najpierw był jeden chory, potem pięciu, potem trzydziestu, co zrazu nikogo nie dziwiło, a już na

pewno nie przerażało. Zdarza się. Wiadomo, że jedni chorują i z czasem im przechodzi, inni chorują i od tego umierają. Tak zawsze było i będzie. Ateńczycy słyszeli już przedtem o strasznej chorobie, która dotknęła Lemnos. Owszem – słyszeli. Lemnos daleko. Wybiła tam mnóstwo ludzi, ale dlaczego miałyby się pojawić w Atenach? Nie było żadnego powodu. Ponadto od wielu lat towarzyszył im endemiczny tyfus, więc przywykli. A tu jak grom z jasnego nieba, bo po tygodniu pełzania zarazy okazało się, że jej ofiarą pada co dzięsiaty, po miesiącu – co piąty. Już nie pełzła.

Zaraza biegła teraz obok źródeł z czystą wodą, przy których pólżywi chorzy walczyli o jeden łyk, biegła obok baraków i świątyń, w których dogorywali stłoczeni uchodźcy, biegła ulicami, na których leżały stopy rozkładających się trupów, ptaki zaś i te czworonogi, które żywią się mięsem, nie zbliżały się do nich, jakby zdjęte przezczuciem, że jeśli uszczkną choćby najmniejszą drobinę pożywienia, to niechybnie stracą życie. Raz tylko zdarzył się wyjątek: widziano ptaka, który śpiesząc do głodnych piskląt, trzymał w dziobie ludzkie oko. A czy przeżył, to nie wiadomo.

Tukidydes napisał o chorobie: „sam chorowałem na nią i widziałem innych, którzy na nią zapadli”. Najpierw ból głowy, oczy zaczerwienione i piekące, jama ustna i język nabiegłe krwią, potem kaszel, wymioty żółcią i wielki ból. Gorączka i pragnienie tak ogromne, że niektórzy wskakiwali do ulicznych cystern z wodą pitną i tam tonęli. Ciało pokryte pęcherzykami i wrzodami. Nieustanna biegunka. Odpadanie genitaliów, palców rąk i nóg, i do tego utrata wzroku. Śmierć po dniach siedmiu lub dziewięciu. Ci, którym udało się przeżyć, tracili pamięć, nie wiedzieli, kim są i nie poznawali najbliższych. W XIX i XX w. badacze uważali, że to odra (*morbili*), dziś mówi się o jednej z chorób wywoływanych przez arbowirusy (*arthropod borne viruses*), której być może towarzyszyła czarna ospa (*variola nigra*). Nienazwana – *innominata* – piękna to nazwa dla choroby.

Bezwestydy

Strach porusza wyobraźnię, a ta odwołuje się najpierw do zasad rozumu. Skoro toczy się wojna, to należy domniemywać, że zaraza jest rezultatem wrogiego działania Spartan. Niewykluczone przecież, że udało im się przedrzeć przez strzeżone mury i zatruć studnie. Z drugiej strony wiadomo, że nie wszyscy pijący studzienną wodę padają ofiarą choroby, ponadto – chorują i umierają też ci, co korzystają z krystalicznych źródeł. Jak to wyjaśnić? Tu wzburzony lękiem i łaknący jasności rozum dociera do granicy, po przekroczeniu której wyobraźnia rozplywa się w jałowym nadmiarze znaczeń.

„Przypomniano sobie przepowiednię, która – jak starsi ludzie mówili – z dawien dawna była znana: »Przyjdzie wojna dorycka, a z nią zaraza«”. Tak mówili jedni, zapewniając, że to prawda, inni zaś z tego szydzili, twierdząc, że to skutek osłabionych przez starość pamięci i słuchu, bo w przepowiedni sprzed lat była mowa nie o *lajmos* (zarazie), lecz o *limos* (głodzie). Pojawili się i tacy, którzy twierdzili, że znają wyrocznię udzieloną Peloponezyjczykom w sprawie wojny: bóg obwieścił, że jeśli rażno zabiorą się do dzieła, to z jego pomocą odniosą zwycięstwo nad Atenami. Pomógł, nikt temu nie zaprzeczy, zsyłając zarazę na Ateny. Owszem – odpowiadali oponenci – nasi wrogowie rażno zabrali się do dzieła, po raz

wtóry spustoszyli Attykę, co jednak wcale nie znaczy, że bóg jest ich sojusznikiem. Na odwrót. Wiadomo bowiem – a to fakt niezaprzeczalny – że po czterdziestu dniach działań zbrojnych wycofali się na Peloponez z lęku przed zarazą. Z tego należy wysnuć wniosek, że bóg jest po naszej stronie, bo ich zmusił do odwrotu. Każdy więc widzi, że dzięki pomocy niebios nasze państwo zyskało czas na przygotowanie ostatecznego zwycięstwa. Bóg jest z nami!

Tak właśnie bano się, smucono i pocieszano w Atenach, przez które między majem 430 r. p.n.e. a zimą 427 r. p.n.e. przeszły trzy fale epidemii, zabierając nie mniej niż 75 tys. ludzi – co czwartego z całości, na którą składali się obywatele, kobiety, cudzoziemcy (metojkowie) i niewolnicy.

Ile trzeba nieszczęść, ile lęku, ile rozpacz, by w społeczności stłoczonej między murami, zamkniętej w śmiertelnej pułapce, utraciły znaczenie prawa i dobry obyczaj? Czy jest jakaś miara? A jeśli jest, to czy sprostą jej rozum? Zginęli najbardziej ofiarni, którym „honor nie pozwalał oszczędzać własnego życia i odwiedzali przyjaciół nawet wtedy, gdy domownicy złamani nieszczęściem przestawali zwracać uwagę na jęki konających”, ale w większości zdrowi unikali chorych, więc ci umierali w osamotnieniu. Zaczęły się gwałty i kradzieże. Biedni ruszyli przeciw bogatym. Rabowano wszystko, co się dało, bez lęku i opamiętania: „nikt nie był pewien, czy doczeka wymiaru sprawiedliwości, skoro o wiele cięższy wyrok wisiał nad nim w postaci zarazy”. Ludzi ogarnął bezwstyd tak wielki, że ośmielali się dorzucać zwłoki swego bliskiego na cudzy stos. Świat zaczął pękać pod ciosami rozszałego zła.

Nieprzekupny

Wtedy Ateńczycy spostrzegli, że nie są najpiękniejsi w świecie. Spostrzegli też, że ich państwa już nie sposób nazywać „szkołą wychowania Hellady”.

Jedni przyjęli te odkrycia wzruszeniem ramion, bo nie było powodów, by się martwić oczywistością, którą zna każdy doświadczony i jako tako oświecony człowiek. Wiadomo, że Perykles sławił wyższość Aten z chęci wzbudzenia wojennego entuzjazmu wśród ludu i tym sposobem osiągnął sukces polityczny. Posunięcie sprytne, ale – łatwo było przewidzieć – skuteczne tylko na pewien czas. Ludzie są tacy, jacy są. Inni nie będą. Ten, kto studiował dzieje bogów, wie, jak wszechwiedzący osądzają istotę ludzką: „...największym szczęściem dla człowieka byłoby nigdy się nie narodzić, skoro jednak się narodził, to największym dlań szczęściem byłaby szybka śmierć” – i to trzeba brać pod rozwagę. A w związku z tym może należy zapytać, czy Perykles – prawda, że niegdyś wielce dla Aten zasłużony – na starość nie okazał się głupcem?

Z kolei ci, którym wiara w słowa Peryklesa, że nie ma piękniejszych od nich, zapewniała sens i przyjemność istnienia, zaczęli doświadczać bólu duchowego rozdarcia. Widząc, że dotykalna rzeczywistość ateńska zaprzecza ich poczuciu ateńskiej tożsamości, starali się zepchnąć w niepamięć wiedzę o złu, którego byli świadkami i uczestnikami, a że ta wiedza wracała do nich w snach, więc budzili się pełni obrzydze-

Ile trzeba nieszczęść,
ile lęku, ile rozpacz,
by w społeczności stłoczonej
między murami, zamkniętej
w śmiertelnej pułapce,
**utraciły znaczenie prawa
i dobry obyczaj?**

nia nie wiadomo, czy do samych siebie, czy też do swoich snów, i tak wkoło, bez końca. Na pociechę pozostało im obrzucanie Peryklesa obelgami, bo winny zamętu, oraz pewność, że i tak są lepsi niż Spartanie – od dzieciństwa wychowywani na morderców.

Wreszcie trzeci, pokaleczeni przez zarazę i głód, zajęci oczekiwaniem śmierci – zyskiwali chwilę spokoju, a może i radości, prosząc bogów o rychłe skonanie dla Peryklesa, sprawcy ich nieszczęść.

Wtedy Perykles zwołał zgromadzenie obywateli i poprosił, by przestali się nań gniewać. Wie, że im niełatwo, wie, że są przybici nieszczęściami związanymi z zarazą. Ale wie też, że zło przyszło z zewnątrz jako przypadek nie do przewidzenia. W ten sposób ich uspokoił. Nie mówił bowiem, że zaraza odsłoniła i pobudziła zło, które drzemie w każdym i czeka na okazję, by nad nim zapanować. I nie mówił, że aby zło raz doświadczone już więcej nie wracało, człowiek musi się w nim rozpoznać, przeżuć je, przełknąć i potem wyrzucić w bolesnych skurczach, tak dotkliwych, że zapamięta je do końca życia.

Na odwrót – przekonywał Ateńczyków, że nadszedł czas, w którym osobiste cierpienie straciło wagę: „jesteście obywatelami wielkiego państwa i otrzymaliście wychowanie godne jego wielkości, musicie zdecydowanie stawić czoło najcięższym zrządom losu i nie zaprzepaszczać sławy”. Wojna będzie się ciągnąć. Nie liczcie na negocjacje z nieprzyjacielem, zawieszenie broni czy zawarcie pokoju, bo pokój związany z uznaniem wroga szybko doprowadziłby Ateny do ruiny. Naszym celem jest utrzymanie za wszelką cenę pozycji mocarstwa, bez której utracimy to, co nas wyróżnia spośród wszystkich państw Hellady: wywyższające umiłowanie piękna. W tej mierze nieprzyjacieli jest naszym śmiertelnym wrogiem: albo my – albo on. Niezbędne więc w prowadzeniu tej wojny jest wyposażenie demokracji w instrumenty władzy właściwe tyranii: „Zostać tyranem wydaje się rzeczą niesprawiedliwą, jednak przestać nim być jest na pewno rzeczą niebezpieczną”.

Przypomniat Perykles o swoich zasługach w stworzeniu floty, która stanowi o potędze Aten: „nie ma króla ani narodu (...), który by nam stanął na drodze, gdy wypłyniemy z całą naszą potęgą morską”. Podkreślił, że jest nieprzekupny, radując ubogich sugestią, że przekupnych pewnie znajdzie się pośród tych, „którym dobrze się powodzi i dla których wojna jest najwyższym szaleństwem”. Zrećnie ugasił nienawiść do siebie, choć Ateńczycy przestali odnosić się do niego z niechęcią dopiero z chwilą wymierzenia mu grzywny pieniężnej, a potem – „jak to zwykle bywa u ludu” – znów pokochali, wybierając strategosem.

Żył jeszcze dwa lata i parę miesięcy, aż padł ofiarą zarazy. Do ostatecznej klęski Aten doszło dwadzieścia pięć lat po jego śmierci.

© MICHAŁ KOMAR

Tukidydes, WOJNA PELOPONESKA, z języka greckiego przełożył, przedmową i przypisami opatrzył Kazimierz Kumaniecki, Czytelnik, Warszawa 1988.

HANNA

Krall: Widoki z okien



I Nosi czarny kapelusz, na ramionach ma czarną etolę, jest gotowa do wyjścia.

(Kobiety z jej sfery nie wychodzą z domu z gołą głową i odsłoniętymi ramionami).

mu z gołą głową i odsłoniętymi ramionami).

To nie jest boa. Futro narzuciła, nie pióra, czarne futro.

Twarz pod kapeluszem jest biała.

Ręka też biała i bardzo ważna.

Silna ręka twardej kobiety.

Nie – drżąca z przerażenia.

Nie – litościwa.

Chociaż drżała i litowała się.

Co z tego.

Tak, patrzyła w okno. Zobaczyła maszynę do szycia – leciała z góry i spadła na bruk, słyszała uderzenie.

Potem zobaczyła rozdartą pierzynę. Leciwała wolniej i opadła bezgłośnie.

Potem człowieka. Spadał w chmurze pierza z rozpostartymi rękami. Krawiec z trzeciego piętra.

Pruli pościel, złota pewnie szukali.

Jakie złoto mógł mieć ojciec sześciorga dzieci.

Schowała je u siebie.

Przez noc i następny dzień, przez cały pogrom uspokajała, karmiła...

I co z tego. Biała ręka nie pociesza i nie karmi.

Nie drży z przerażenia. Ręka jest spokojna i pewna swego.

Biel – Carrara, marmur, ten co u Dawida we Florencji.

Czerń – Dębnik, wapien uprzejmie nazywany marmurem. Jest na Wawelu, w kościele Mariackim, na jej kapeluszu i na etoli.

II Ludzie z Krakowskiego Przedmieścia. Są czarni, ubrani w biel, ale to inna biel i inne czernie. Gips pomalowany farbami.

Stoją – Ewka i Janek, koledzy z Akademii. Siedzi żebrak spod kościoła Świętego Krzyża. Kroczy Żyd, Wieczny Tułacz (nie – prawdziwy Żyd, tylko Polak z brodą udający Żyda, znany przechodniom Krakowskiego). Leży chłopak, spalowany, więc alegoryczny i tylko dymów brakuje. Powinny być i spowijając wszystko szarobłękitną mgłą. Dymy sześćdziesiątego ósmego roku oglądane z okien Akademii Sztuk Pięknych.

Praca dyplomowa.

Jean-Robert Ipoustéguy – magisterium.

Ponieważ wyrzeźbił męskie ręce, które wyjmują coś z kobiecego łona. Pewnie dziecko. (Więc tak można rzeźbić? Tak można myśleć o ciele i rzeźbie?).

Powinien być we Francji, ten Ipoustéguy, powinien przeczytać pracę o sobie.

Nie ma go we Francji.

W Carrarze mógłby być, gdzie marmury. Nie ma go jeszcze bardziej.

Może w Querceta, u kamieniarzy.

Nie ma go, znowu go nie ma, ale są dwa brzuchy. Ogromne, po dwa osiemdziesiąt na dwa, lekko licząc. Zrosnięte ze sobą i różowe, *rosa del Portogallo*, marmur portugalski.

Cielesne, żywe. Woskiem czy epoksydem zdjęte z czyjegoś ciała i aż tak powiększone.

Na dziedzińcu zakładu kamieniarskiego, na tle włoskiego nieba, które, jak wiadomo, rozświetla wszystko.

Alicze, informuje kobieta, chyba kochanka szefa kamieniarzy, bo mówi o nim – *il mio uomo*, mój mężczyzna, i gestem pokazuje różowe brzuchy.

Sama się jednocześnie przedstawia, bo też jest Alicze. Jak Szapocznikow.

Lubiły się.

Już się nie widują.

Alicze jest bardzo chora, dodaje ze smutkiem.

Umiera pół roku później. W piątek, drugiego marca. (Sześćdziesiąty pierwszy dzień roku, do końca roku pozostały trzysta cztery dni).

Z napięcia między ortodoksją a nieortodoksją tworzy się dialog, z którego powstaje opowieść i z którego bierze się świat.

Olga Tokarczuk w rozmowie z Tomaszem Stawiszyńskim „Tropem herezji”

Wydanie specjalne „Wiara dla dorosłych”

dostępne w najlepszych miejscach z prasą.

Sprawdź na TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN
DLA „TP”

W takim razie w sobotę... może w poniedziałek dopiero słyszy: – Umarła Alina Szapocznikow.

Nie pamięta, czy to był głos.

Czyje głosy, bo ktoś inny od razu dodał: – Zdolna była. I bardzo ładna.

Słyszy w tych słowach jakby ulgę.

Nie będzie już tej najzdolniejszej.

I najładniejszej.

I znanej w świecie najbardziej...

A jaka zaradna była. Pracownię miała na Brzozowej.

Ale może jej się tylko wydaje.

Może głos po prostu poinformował: – We Francji umarła Alina Szapocznikow.

Leży kamienna postać. Kobieta leży, pod całunem. Ma czarne stopy i czarną twarz, usta tylko, bez oczu i czoła. Dalej jest biel, jasny, wydatny brzuch, kobieta jest w ciąży. Zaciśnięte palce z bólu, może z rozpacz. Może zaczyna rodzić.

Przed chwilą usłyszała, że dziecko żywe nie urodzi się, więc prosi o coś Pana Boga. O życie albo o śmierć, wszystko jedno, byle razem z dzieckiem.

Dziecko rodzi się żywe.

Syn Aliny Szapocznikow mówi, że matka leżała pod czymś takim, jak pod całunem. To coś nie mogło dotyczyć jej ciała, bo każde dotknięcie sprawiało ból.

Rzeźba jest poświęcona Alinie Szapocznikow. Której oddała swoje zaciśnięte palce, swój brzuch i swoją modlitwę.

Chodzi czasami na Brzozową.

Mówi: – Nie wiem, co dalej. Co myśleć, dokąd iść, nic nie wiem...

Dotyka ścian dawnej pracowni, jakby miała nadzieję, że dostanie odpowiedź. Od kobiety młodszej o blisko trzydzieści lat – umarli się przecież nie starzej.

Pewnie uważa, że jak ktoś przeżył getto, Oświęcim i Bergen-Belsen, to wie lepiej – co myśleć i dokąd iść.

Nie jestem pewna, czy się nie myli.

III Ekran telewizora – jak okno.

I w oknie, i w okienku telefonu komórkowego – czarne, nieforemne kształty.

Rozrzucone w nieładzie, byle gdzie, po dwa, po jednym. Jak rzeźby z Dębника, z czarnego marmuru.

Są to worki.

W workach są ludzie.

Nie wiadomo, gdzie mają ręce, nogi, głowę.

Człowiek w całunie... Tak, to rozumie.

Człowiek w tałesie... Rozumie.

Człowieka w plastikowym worku nie da się zrozumieć.

I nie ma sensu pytać ścian na ulicy Brzozowej. ©

Bohaterką tekstu jest Barbara Falender.

Ludzie z Krakowskiego Przedmieścia są jej pierwszą pracą,

popiersie Janiny Korolewicz-Waydowej – ostatnią.

weź, czytaj!

Do każdej
prenumeraty
wyjątkowy
notes
kulinarny
w prezencie.



Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



LAMPA KOSMICZNA

PIOTR SIEMION, PISARZ:

Od ponad dwustu lat trzeba było wciąż ładować tobołki i uciekać. Albo to nas ładowali w pociąg i wieźli na białe niedźwiedzie. Tylko że w III RP o tym zapomnieliśmy. Wygodnie było pomyśleć, że my tutaj na swoim i na stałe.

ZDJĘCIA AGATA GRZYBOWSKA DLA „TP”

GRZEGORZ BOGDAŁ: No dobra, wreszcie jest Twoja trzecia powieść, „Bella, ciao”, po 18 latach przerwy od poprzedniej. Szybko zleciało?

PIOTR SIEMION: Książkę warto i trzeba wydać wtedy, kiedy staje się konieczna. Uważam, że godne jest zacząć, aż to, co napiszemy, nabierze wymiaru czy ciężaru konieczności. Przez te lata sporo książek koniecznych przychodziło mi do głowy. Powstawały załączki, a potem myślałem: ale to jest po nic.

Po drodze napisałeś jednak „Dziennik roku Węża”.

Tak, dla mojego syna Miłosza. I dla siebie, żeby zamiast bezradnie mówić: jak ten czas zapieprza, zastanowić się: jak on to robi? Dzień po dniu. Z tego „Dziennika...” co niektórzy krytycy śmiali się trochę, że wyszedł żywot Siemiona pocziwego. Chodzi po bułki do sklepu, dzieciaka przewija. Inni autorzy dzienników, akurat w tamtym roku ze trzy się ukazały, pisali o Michale Aniele albo męstwie, a ja, że mi się syn urodził. Jak to

jest dziwnie, wspaniale, ale też zwyczajnie hodować półrocznego Miłosza.

Jesteś zadowolony z powrotu?

Zadowolony, oczywiście. Jedna rzecz, że w ogóle się udało, i to nie jest żaden tam wielki powrót, ale że udało mi się wejść innymi drzwiami, niż wyszedłem. To była kwestia nie tylko wysiedzenia, ale też zmiany podejścia do pisania. Tu już nie ma żadnych wątpliwości, czy to jest komiks, film, jak było przy „Niskich Łąkach” albo „Finimondo”. Nie, to normalna powieść.

Normalna, choć postapokaliptyczna.

Umiejscowiona w rzeczywistości nie tyle alternatywnej, co lekko przesuniętej wobec tej, którą znamy. Np. nazwy broni palnej są tu zmyślone: marston, uran. Kiedy to się właściwie dzieje?

Powojnie, które mogłoby być przedwczoraj, może być pojutrze. Lata 40. XX albo XXI wieku. Nie ma prądu, nie ma komórek. Nie ma komputerów. Mają tam jakąś broń

z żelaza, mają telefony, które nie działają, pociągi, ale nie jest jasne, czy to są lokomotywy spalinowe, czy wręcz parowe. Opowieść nam się upraszcza, bo już się nie płczemy w gadżety, które nas dzisiaj określają. Możemy od razu przejść do rzeczy istotnych.

Wiesz, jestem dzieciakiem urodzonym szesnaście lat po wojnie, we Wrocławiu zrujnowanym. Cała moja generacja była mocno postapokaliptyczna. Zafascynowana tym, że świat nie jest stabilny, tylko jest cudem odrastającym na gruzach.

A potem znowu zmieniającym się w gruzy?

Wyobraź sobie blokowisko: Ursynów, Bemowo czy Azory. Weź na tym blokowisku odetnij prąd, zaprzestań wywożenia śmieci, odetnij wodę, zimną też. Po jakim czasie zaczną się tam dziać straszne rzeczy? Ten nasz świat jest – truizm i banał – kruchy, łatwo zaburzyć jego stabilność.

Tak sobie żartowałem czasem, że nie wiadomo, czy to jest książka →

A portrait of Piotr Siemion, a man with grey hair, a beard, and glasses, wearing a blue striped shirt and a dark brown jacket. He is standing on a rooftop with a brick wall and a modern building in the background under a cloudy sky. The text is positioned to the left of the man.

PIOTR SIEMION (ur. 1961) jest pisarzem, tłumaczem i prawnikiem. Autor powieści „Niskie Łąki” (2000) i „Finimondo” (2004), a także zapisków „Dziennik roku Węża” (2015). Ukończył anglistykę na Uniwersytecie Wrocławskim i wydział prawa Uniwersytetu Columbia. Dwanaście lat spędził na emigracji w USA i Kanadzie, od 2000 r. mieszka i pracuje w Warszawie. Właśnie w wydawnictwie Filtry ukazała się jego powieść „Bella, ciao”.

→ o Pomorzu jesienią 1945 r., czy np. o Meklemburgii w 2045 r. Potem przyszła Ukraina i wyszło na to, że to jest o dzisiaj, w jakimś sensie. Pali się, śmierdzi, dobiega do nas z trzeszczącego radia. Historia nie jest tylko tą słynną nauczycielką życia, ale dziewczyną, która na ulicy dopada nas i krzyczy: „Ratuj mnie, bo tamci chcą mnie zgwałcić”. Dzisiaj, teraz, na ulicy, pod Kijowem. Mówię tak, ponieważ wszyscy jesteśmy podkreśleni tą sytuacją, widzimy już, że nie da się jej zamknąć w okładkach. Zamykamy, a to odzywa się syrena za oknem.

Trudno uciec też od skojarzeń z Ukrainą, gdy się czyta w „Bella, ciao” o komendancie Tugarinie, który na zniszczonych wojną terenach szuka dla siebie motocykla bmw.

Ten i ów mi nie uwierzy, ale pisałem to przed inwazją na Ukrainę. My to niby oswoiliśmy, że Armia Czerwona zabierała zegarki i rowery. Zrobiliśmy z tego pyszną anegdotę o czasach tużpowojennych. Z jednej strony nie powinny więc dziwić te sceny. Z drugiej, jak patrzysz teraz na ruskich, którzy rabują stare adidasy przeora – czysta perwersja – myślisz: dowcipy dowcipami, ale jest jeszcze realność. To nie jest bieda, tylko – zabrać, bo cudze.

Wstydzilem się, że idę w ohydne stereotypy etniczne. Ale co zrobić, że stereotypy etniczne nagle wracają czkawką w postaci pralek z Ukrainy. Co u mnie było przerysowaną satyrą, nagle staje się mętym, niepewnym odzwierciedleniem mocnej rzeczywistości.

Zaczynasz od zdania: „Idzie ich siedmioro, przez kraj bez map, przez bezmiar”. Możemy zrekonstruować tę przestrzeń? Jest tam mowa o strefie rozjemczej na 1200 kilometrów, która kończy się na ławicy Dogger. Próbowałem wyznaczyć jej początek i wyszły mi okolice Klajpedy.

Właśnie, Nizina Północnoeuropejska. Moja stara fascynacja. Wrocław też jest w jakiejś odnodze tej niziny. Jak ktoś powiedział o Polsce: płasko, idealny kraj dla czołgów. Więc jeździły w tę i nazad. Stamtąd jestem. To jest krajobraz i pojęcie przestrzeni wpisane w moje DNA pisarskie. Tego nie zmieniły ani Stany, ani Kanada, dwanaście lat w sumie. Nie zmie-

niła tego też Warszawa, w której jestem napływowy.

Ten zdegradowany świat „Bella, ciao” przemierza kieszonkowa armia – jak nazywasz swoich bohaterów. Ni to partyzanci, ni to bękarty wojny. Idą z tajemniczą misją podjęcia wysłannika z morza.

Pytanie, czy są wyklęci i za każdym rogiem czai się NKWD, żeby ich pozabijać, czy raczej są jak rycerze Świętego Grala u Monty Pythona i galopują stukając orzechem kokosowym o orzech, i są w swoim świecie. Pewnie jedno i drugie.

Dopytuję tak, bo budujesz ten świat ze strzępków informacji. Są np. pogłoski, że spustoszenia dokonała w nim „lampa kosmiczna”. Czytelnicza ciekawość domaga się, żeby to zostało rozwinięte, ale Ty to zostawiasz, resztę trzeba sobie wyobrazić.

Zawsze mnie wkurzał w książkach *science fiction* dokładny opis technologiczny wynalazku, który sprawił, że wszyscy nagle zmienili się w ślimaki. Mnie to nie obchodzi. Co innego Kafka – budzisz się i jesteś karaluchem. Pewnie jest jakaś przyczyna, proces biologiczny, ale na razie jesteś karaluchem i tylko to cię dręczy. Rodzina rzuca w ciebie przedmiotami. Gdy uciekasz przez lasy, jest drugorzędne, czy spotkasz „ruskie czołgi” czy „lampę kosmiczną”. Trzeba spier..., a potem się zastanawiać. Nie ma luksusu refleksji. Na razie musimy przeżyć, zjeść coś. Wymyć się. Jak dziewczyna w pierwszym rozdziale, która marzy tylko o tym, żeby kubeł wody znaleźć.

Sporo tu tego konkretno, fizycznego znoju, krótkich dosadnych opisów.

Moje opisy są skrajnie realistyczne, a nie turpistyczne. Bez fascynacji wymyśloną brzydotą. Tak wyglądają rany, obtarcia, pęcherze. Nie życzę tego nikomu, zwłaszcza swoim dzieciom.

Jest taki wiersz Czesława Miłosza, przeciwko papierowej literaturze, który się zaczyna: „Człowiek nie powinien kochać księżycy. Siekiera w jego ręku tracić nie ma ciężaru”. Chciałem, idąc właśnie za Miłoszem, ukazać świat jako obiekt, ciężar w podwójnym znaczeniu: udrękę, ale też ten realny wymiar, od butów i błota. Zrozummy się dobrze, nie jestem żadnym

pieprzonym Hemingwayem: tu drink, tutaj strzelba, słońca na śniadanie rozwalić. Nie mieszkamy jednak, chociaż czasem bardzo byśmy chcieli, w zamku z papieru. Nie mieszkamy w wielkiej bibliotece Borgesa.

Stąd Twoje zamiłowanie do przemysłu ciężkiego, potężnych agregatów, kopalni miedzi, drożdżowni?

Jestem dzieckiem dwojga naukowców, wykładowców akademickich. Ojciec był biochemikiem, w jego laboratorium śmierdziało – to był jedyny konkretny. U mamy z kolei cały instytut filologii klasycznej był jedną wielką biblioteką. Kończyłem filologię angielską we Wrocławiu – też papier. Potem robiłem doktorat na Uniwersytecie Columbia. Biblioteka miała 12 pięter półek z papierem.

W którymś momencie zrodził się we mnie bunt przeciwko tej papierowej umowności świata. Chciałem siekiery, łopaty. Tylko że po dziesięciu minutach pracy łopatą nieprzygotowanymi rączkami ma się krwawe bąble. Świat niezapośredniczony: ciężka praca, bąble na dłoniach, atmosfera szatni męskiej, ciężary, od których wypada dysk – zasadniczo nie ma co tego idealizować.

Później studiowałeś prawo.

I znów to samo, tylko gorzej. Zamiast fikcji Borgesa były fikcje znaczeniowe i hermeneutyczne całego aparatu prawa. W ogóle tego nie rozumiałem, chociaż byłem całkiem niezły. Zrozumiałem dopiero, gdy poznałem prawo rzymskie. Oni tam na początku określili bardzo proste relacje. Ten winien, ten ma. Ten chciałby, ale nie może, i na to wszystko są fajne łacińskie nazwy. Niech kupujący się strzeże. Widziały gały, co brały. Czyli konkretny, na który jeśli nie zwrócisz uwagi, to na swoje nieszczęście. Jesteśmy od tego oddaleni, tęsknimy za tym.

Co to za cienie, którym dedykujesz „Bella, ciao”?

Cienie rodzinne, przodków. Jest taka pokusa: wziąć historię rodzinną albo dwie, zderzyć i zrobić z tego jeszcze coś innego. Tylko że wtedy padnie pytanie: co ty, Siemion, robisz rekonstrukcję historyczną, wspominki rozpisane na prozę i dialogi? Ale tak, są tam historie rodzinne.

O stryju, o dziadku? Opowiadasz o nich w „Dzienniku...”

O stryju i o dziadku. Mój dziadek po ocaleniu z oblawy augustowskiej, w której zginął jego brat, przez trzy lata ukrywał się pod cudzym nazwiskiem w Łebie i Lęborku, ścignął tam rodzinę. Aż się ujawnił, zamknęli go i wywieźli do Strzelca Opolskich na Dolny Śląsk. W ślad za moim dziadkiem przyszła cała reszta przez lasy. Odsiedzieli swoje, a potem urządzali wieczorki pijackie ze wspomnieniami.

W których brateś udział jako kilkulatek.

Żeby nie pyszczył, kupowali mi oranżadę za oranżadą, aż już nie mogłem. Nie poskładałem tej powieści tylko z tuzina lektur, ale też z biesiad dziadka, który opowiadał z kolegą, jak robili egzekucje szpiclów w lesie. W papierach to brzmi dumnie, że dziadek, pseudonim taki a taki, był szefem kontrwywiadu AK na okręg taki a taki. Może i był, ale konkretnie przekładało się to na to, że rozwalali podejrzanych.

W powieści jest fragment z barykadą z autobusu i strzelaniną. Podkreciłeś trochę, scena jak u Tarantino. Ten konkret działający na wyobraźnię i kondensacja są filmowe.

W polskiej prozie mi tego brakuje. Zwykle to jest takie wyciskanie resztki pasty z tubki, w sensie narracyjnym. Polska literatura współczesna ma kłopot, nie dlatego, że nie umie, tylko się wstydzi: narracyjności, gawędy, wartkiej opowieści. Stara się być jak najmniej sienkiewiczowska. Rozumiem, Sienkiewicz to jest *diarrhea* prozą. Za dużo się dzieje. Ten wstyd powoduje, że robi się pęd ku Gombrowiczowi, a Gombrowicz tak na sucho, bez ironii i humoru, jest zakalcem. Czyta się to, ale z móżdżem.

U mnie proporcje są zaburzone w stronę Sienkiewicza, mimo że nie jest moim bohaterem. Owszem, dzieje się, jedna sytuacja prowadzi logicznie do drugiej, albo z niespodzianką logicznie prowadzi do drugiej. A nie, że coś mi się przypomniało sprzed dwudziestu lat albo siadamy, dłubiemy w nosie i rozmawiamy o Sartrze. Nie, jedziemy.

Dużo piszesz w „Bella...” o butach. Podkute, rozsznurowane, rozłazące się...



W którymś momencie zrodził się we mnie bunt przeciwko papierowej umowności świata. Chciałem siekiery, łopaty. Ale po dziesięciu minutach pracy łopatą nieprzygotowanymi rączkami ma się krwawe bąble.

Buty unurzane w krwi i gnoju, buty, w których stopy krwawią. Człowieka można kupić za buty.

A pułkownik Tyński stwierdza: „każdy ma obowiązek suszyć buty, a potem je solidnie natłuszczać”.

To jest też książka o rzeczach, które nam się wydają tak oczywiste. Żyjemy w czasach nadmiaru. A tu nagle buty są skarbem. Kawalek chleba jest skarbem. Banały, ale wyobraź sobie świat bez tych banałów.

Byłem kiedyś w Turcji, asystowałem w interesach. Przemysławiec, Turek, zabrał nas pod Istanbül, do fabryki, gdzie wstawił nowiuteńką linię do produkcji patelni teflonowych. Z jednej strony wjeżdżała blacha, z drugiej wyjeżdżały patelnie. Największe tego biznesmena zmartwienie brzmiało: czy znacie kogoś, kto kupi ode mnie patelnię? Bo ja będę rocznie produkował ich 60 milionów. A w Turcji jest 80 milionów ludności, więc jak on Turcję zaspokoi, to musi z patelniami jechać dalej.

W świecie „Bella, ciao” muszą podłomyki smażyć na kawałku blachy,

a nowiutkie buty są w jednym miejscu – w komendanturze miasta, rozdawane po uważaniu.

Wiele spraw jest tu inaczej niż w naszej rzeczywistości. Np. Polacy są uchodźcami.

Kanonicznym utworem kinematografii polskiej ostatniego już prawie stulecia są „Sami swoi”. Opowieść o wyrwaniu, uchodźstwie i początkach życia na cudzej ziemi. Więc my w tej roli osiadłych, przyjmujących uchodźców albo nie – to jest bardzo świeża rola. Zasadniczo czasy od insurekcji kościuszkowskiej przyzwyczaiły nas do tego, że trzeba ładować tobołki i uciekać. Albo ładują nas w pociąg i jedziemy na białe niedźwiedzie.

Przed chwilą tak było. Tylko przez ostatnie 30 lat III RP o tym zapomnieliśmy. Wygodnie było pomyśleć, że my tutaj na swoim i na stałe. Fajnie, ale pamiętaj: Ukraińcy też myśleli, że są u siebie na swojej Ukrainie. Wjechali Rosjanie i powiedzieli im, że to jest tylko Małorosja i że należy ich zasadniczo wytępić, a wpięć przesiedlić.

To, że jesteśmy nowi w tej roli, tłumaczy jakoś to, że wybieramy, których uchodźców wpuścić, a których nie?

Mówimy o odruchach nawet jeszcze wcześniejszych niż plemiennych. Swój – obcy. To się strasznie zmienia. Nie jestem jako pisarz od tego, żeby powiedzieć, czy to ładnie, czy nieładnie, ale żeby pokazywać, co się dzieje i jak. W latach 60. Niemiec to był ten zły, obcy. Kto z nas w ogóle widział Niemca inaczej niż w czarno-białym telewizorze? Jeszcze 20 lat temu Ukraińiec to był ten z tryzubem i czarnym podniebieniem, i wara mu od naszej Polski.

W „Dzienniku roku Węża” spokojny żywot toczy się w cieniu Rosji i zagrożenia, jakie ona stanowi. Poświęcasz jej sporo miejsca, a całość kończy opis barykad na Majdanie. „Dziennik...” opisuje świat u progu katastrofy, „Bella...” już po niej.

Ciekawa obserwacja. Rosja wcisnęła mi się tam zawodowo, to był 2013 rok, przed Krymem i Donbasem. Pracowałem wtedy w firmie paliwowej i zajmowałem się doглядaniem inwestycji, a to w Czechach, →

→ a to na Litwie. A świat jest tu taki, że jak ropa i gaz, to Rosjanie.

Rosja nie przestanie kształtować naszej wyobraźni i lęków?

Związek Sowiecki miał potężną broń w postaci utopii. Tak, mamy onuce, rabujemy, sramy do fortepianów, ale jednocześnie niesiemy anielską nowinę lepszego świata. Wszyscy będą mieli co jeść, zamiast nas będą pracować roboty, a my będziemy komponować symfonie – czy kto chce, czy nie chce. Ale jak się zawalił ZSRR, została Rosja bez uniwersalnej utopii. I co może zaproponować światu, carskie imperium? Może to zaproponować Gruzji, Czeczeńcom, teraz zaproponowała Ukrainie, ale to jest absolutnie niechodliwe jako kod kulturowy dla świata. Rosjanie znaleźli więc z tego wyjście: mają się nas bać. Nie muszą nas naśladować, nie muszą lubić, mają się bać.

Jak na podwórku.

Tak. Tylko że przegrana wojna sprawi, że reszta świata powie: aha, i my mamy się was bać? Niepokoję się, jak Rosja zniesie takie upokorzenie. Może dostanie w mordę i powie OK, a może będzie jeszcze jakoś próbowała. Tu się kończą mity, lekcje z przeszłości, precedensy. Rosja, która nagle nie ma pieniędzy z ropy i gazu, jest pariasem i ma broń atomową. Sami to powiedzieli: po co nam pokój i świat (u nich to jedno słowo: *mir*), skoro nie ma w nim Rosji. Co robi, kiedy zabierze się jej dominację? Mam nadzieję, że po prostu zapije się na śmierć. Nie bierz tego na finał rozmowy.

Prześle do autoryzacji.

Nie, nie, zrób mi niespodziankę. Chyba że dopiszesz tam straszne rzeczy. Nie rozmawialiśmy w ogóle o Orlenie, spółkach itp. I bardzo dobrze.

Dużo Cię już o to pytali.

Dużo i nic nie wnosi. W rozmowach już mnie to męczy. Dawniej myślałem i w wywiadach mówiłem: „jako prawnik nie jestem pisarzem, jako pisarz nie jestem prawnikiem”. Teraz mam gdzieś takie rozróżnienia. Mogę robić, co chcę, bez oglądania się: kim ty właściwie jesteś? Tu siedzę, tym jestem.

© P Rozmawiał GRZEGORZ BOGDAŁ

Wśród Panter

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Była twarzą z plakatów, sztandarów i t-shirtów. Angela Davies nie chciała czekać z wolnością na lepsze czasy. Walczyła o wszystko, dla prawie wszystkich.

PATETYCZNE OKREŚLENIE „ŻYWA LEGENDA” pasuje do niej jak do mało kogo. Urodzona 78 lat temu Angela Yvonne Davies była głosem i twarzą Black Power, a teraz inspiruje ruch Black Lives Matter. W latach 1970-72, kiedy oczekiwała na proces za dostarczenie broni zabójcom sędziego Haleya, ludzie z całego świata ślali słowa solidarności. W komunistycznej Polsce nawet drużyny harcerskie pisały listy do „imperialistycznych” władz USA z żądaniem uwolnienia aktywistki. Rolling Stones śpiewali o niej „Sweet Black Angel”, a John Lennon i Yoko Ono napisali „Angel”.

Obie piosenki mówiły o kimś, kim w rzeczywistości wcale nie była – o słodkiej idealistce tragicznie zakochanej w rewolucjonście i z powodu miłości siedzącej w więzieniu. Nieprawda, Davies była motywowana przez ideę walczącego komunizmu. Ale była przy tym dumna i piękna. Dumę nosiła na wierzchu, ale to jej piękno fizyczne uczyniło z niej ikonę wolnościowego zrywu Czarnych. Angela z długą szyją i bujnym afro spoglądała na osiadłą na mieliźnie rasowych i klasowych nierówności Amerykę z wyższością, jaką dobrze знаła z przedrewolucyjnego życia.

Bodaj raz wcieliła się w kogoś innego. Wychowując się w Alabamie, gdzie Ku Klux Klan w latach 50. wciąż działał legalnie, szybko dostrzegła, że świat porządkują kolory, a jej przypadek w udziale ten najtrudniejszy. Marzenie o ucieczce motywowało ją do nauki. Pewnego dnia, gdy miała siedemnaście lat, weszła wraz z młodszą siostrą Fanią do butik z drogimi butami. Rozmawiały po francusku, odgrywając role turystek z Marty-niki. Takim niecodziennym klientkom pozwolono przymierzać buty w salonie, a nie na zapleczu. W pewnym momencie dziewczęta przerwały grę, śmiejąc się

białej obsłudze w twarz. Jako Francuzki były dla nich pełnoprawnymi ludźmi, jako Amerykanki – nie.

Niedługo potem wyjechała na studia do Paryża. Francja, też hołdująca rasizmowi, nie uwiodła jej. Ani Niemcy, gdzie studiowała u Theodora Adorno. W 1968 r. wróciła do Stanów i stała się wrogiem publicznym. „Musimy walczyć o Twoje życie tak, jakby chodziło o nasze własne (...) i zagrozić własnymi ciałami przejście do komory gazowej. Bo jeśli zabiorą ciebie o świcie, to wieczorem przyjdą po nas” (przeł. Juliusz Kydryński) – pisał dwa lata później James Baldwin w „Otwartym liście do mojej siostry, Angeli Davies”.

Czarna Pantera

Po powrocie z Frankfurtu dostała etat na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, gdzie miała pisać doktorat pod kierunkiem Herberta Marcusego, ale wyrzucono ją za członkostwo w Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Pod wnioskiem podpisał się gubernator Kalifornii Ronald Reagan. Uważała się za komunistkę i głośno o tym mówiła, na Kubie uściśliła dłoń Fidelowi Castro. Dla establishmentu stała się terrorystką. Wtedy zbliżyła się do Partii Czarnych Panter, z którą po dziś dzień jest kojarzona, choć oficjalnie nie była jej członkinią.

Historia Czarnych Panter zaczęła się, kiedy Davies studiowała w Europie. Partię założyło dwóch chłopaków z Oakland, z klasy robotniczej, Huey P. Newton i Bobby Seale, pod wpływem śmierci Malcolma X i tekstów Frantza Fanona. Jako „wyklęci tej ziemi” uważali, że czarne dzielnice to wewnętrzne kolonie białej Ameryki. „W 1966 roku nazywaliśmy siebie Czarną Partią Narodowoczną, ponieważ myśleliśmy, że narodowość jest odpowiedzią” – wspo-



Angela Davies przemawia na wiecu ulicznym. USA, 1974 r.

minał Newton. Okazało się jednak, że nacjonalizm jest nagi w tym klasowym świecie, i jeśli ma dać czarnym nadzieję, musi być ubrany w socjalizm.

Paul Alkebulan, autor „Survival Pending Revolution”, krytycznej historii partii, zauważa, że od początku istniały dwie przeciwstawne narracje o Czarnych Panterach. W świetle pierwszej to siatka anarchistów i pospolitych przestępców o nie-realistycznych politycznych pretensjach. Wedle drugiej to przede wszystkim organizacja samopomocowa, walcząca o godność czarnych Amerykanów, maniakalnie zwalczana przez J. Edgara Hoovera, dyrektora FBI, inicjatora wymierzonej w nich akcji wywiadowczej Cointelpro. Popkulturowe obrazy Czarnych Panter, których nie brakuje w ostatnich latach, czerpią głównie z tej drugiej opowieści.

„Proces siódemki z Chicago” (2020) w reżyserii Aarona Sorkina pokazuje niezłomność Bobby’ego Seale’a, którego wspierają biali współsądzeni za podżeganie do prze-

mocy w trakcie antywojennych demonstracji w 1968 r. „Seberg”, filmowa biografia Jean Seberg z 2019 r., zatrzymuje się na fascynacji i podziwie aktorki dla Panter, które niczym pionierzy organizują wolnościowe szkoły i udzielają pomocy rzeczowej najsłabszym grupom Afroamerykanów. Zarówno czarni aktywiści, jak i wspierająca ich gwiazda stają się ofiarami perfidnych działań FBI. Zeszłoroczny „Judas” i czarny Mesjasz” Shaki Kinga jest hagiografią Freda Hamptona, lidera partii w Chicago, inicjatora akcji darmowych śniadań dla dzieci i opieki medycznej dla czarnych mieszkańców. Policja zamordowała go podstępnie, w czasie snu, w 1969 r. Miał wówczas jedynie 21 lat, a zdradził go jego własny szef ochrony, William O’Neal, złodziej samochodów zwerbowany przez FBI, który w zamian za wolność wstąpił do Panter i przez kilka lat był informatorem Hoovera.

Ocena Czarnych Panter powinna być bardziej złożona, a historia Angeli Davies

stanowi część skomplikowanego bilansu ich działań. Kiedy młoda akademiczka zaczęła się interesować Panterami, ich partia osiągała pełny rozkwit. Na początku lat 70. działała w 61 miastach, mając ponad 2 tys. członków i wiele razy więcej sympatyków. Struktury partii powstały też w kalifornijskim więzieniu San Quentin. Kiedy w 1970 r. w pobliskim zakładzie karnym w Soledad zginęło trzech więźniów, a odpowiedzialny za ich śmierć biały strażnik nie poniósł konsekwencji, George Jackson, Fleeta Drumgo i John Cluchette, znani jako Bracia Soledad, zabili w odwecie innego strażnika. Jackson siedział wcześniej w San Quentin, stając się lokalnym liderem czarnych aktywistów.

Davies, poruszona nierównymi praktykami sądenia białych i czarnych, stała w obronie Braci Soledad. Aby wymusić zwolnienie Jacksona, jego młodszy brat Jonathan przeschmuglował broń do sądu, gdzie inni czarni więźniowie składali zeznania. Wzięto zakładników, ➔



MATT CARR / GETTY IMAGES

Angela Davis podczas Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Toronto, Kanada, 10 września 2012 r.

Na przykładzie Czarnych Panter wyraźnie widać zakręty na drodze czarnych aktywistek do samoświadomości. W ogłoszonym u zarania partii Programie Dziesięciu Punktów żaden nie dotyczy spraw kobiet. Nacjonalizm schlebiał patriarchatowi, a pozycję kobiet uważano za pomocniczą względem mężczyzn. Oddziaływanie tego dyskursu było tak silne, że działaczki nie protestowały. Jednak pod powierzchnią wrzało. Skoro jesteś w stanie nosić broń, kiedy partia jest zagrożona, to dlaczego w czasie pokoju twoje główne zadanie to robienie kanapek?

„Wierzmy, że rola Czarnych Kobiet jest taka sama jak innych w wysiłkach, by edukować, mobilizować, organizować i walczyć ze wszystkich sił” – głosił manifest opublikowany w partyjnej gazecie „Right On!” w grudniu 1971 r. Członkinie były lepiej wykształcone niż ich towarzysze i stopniowo obejmowały ważne funkcje. Liderki partii nie uważały się za część ruchu na rzecz emancypacji kobiet – ich sojusznikiem był czarny mężczyzna, a nie biała kobieta.

W swoich książkach Davies, ideolożka Panter, komunistka i feministka, szuka przyczyn tego rozłamu. W 1974 r. powstała „Autobiografia”, gdzie doświadczenie kobiety, czarnej, akademicki po awansie klasowym staje się źródłem rzeczywistości społecznej, a nie jedynie jej kadrem. W tym samym czasie Hélene Cixous publikuje „Śmiech Meduzy”. Padają w nim słowa, które staną się refrenem całego pokolenia feministek: „Chodzi o to, by kobieta siebie napisała: musi zacząć pisać o kobiecie i wprowadzić kobiety w świat pisma, z którego zostały wyparte z taką samą gwałtownością, jak i z odczuwania swoich ciał”.

Takie zadanie stawia Davies swoim książkom. Najślawniejsza, „Kobiety, rasa, klasa” z 1981 r. właśnie ukazała się po polsku w wydawnictwie Karakter. Jedną z przyczyn jej powstania było rozczarowanie debatą o niewolnictwie, która przetoczyła się przez Stany w latach 70. i nie podejmowała na serio kwestii zniewolonych kobiet. „Kiedy zostanie spisana prawdziwa historia walki z niewolnictwem, kobiety zajmą ważne miejsce na jej kartach, bo sprawa niewolnicza

→ a sędzia Harold Haley, Jonathan Jackson i dwóch więźniów zginęło w obławie. Broń, którą się posłużyli, należała do Angeli Davies. Twierdziła, że młody Jackson, który był w tym czasie jej ochroniarzem, wziął pistolety bez jej wiedzy. Zaczęła się ukrywać, złapano ją dwa miesiące później w Nowym Jorku. Groziła jej kara śmierci, ostatecznie została uniewinniona i oczyszczona ze wszystkich zarzutów. George Jackson zginął rok później przy próbie ucieczki z San Quentin.

Davies, Jackson i inni stali się bohaterami zbiorowej wyobraźni. Ta-Nehisi Coates w rozliczeniowym esej „Między światem a mną” (2015, pol. wyd. 2021) wspomina, że jego ojciec był kapitanem lokalnego oddziału Partii Czarnych Panter: „Podobało mi się, że jej członkowie nosili broń palną, bo broń wydawała się uczciwa. Z krajem, który zaprojektował ulice patrolowane przez despotyczną policję, broń komunikowała się w jego podstawowym języku – języku przemocy. Porównywałem Pantery do przedstawianych mi w szkole bohaterów – mężczyzn

i kobiet, którzy wydawali mi się absurdalni i sprzeczni ze wszystkim, co znałem”. Davies, niezachwiana i radykalna, błyszczała na ich tle.

Napisać kobietę

W 1971 r. Newton ogłosił koniec walki siłowej, dyskredytując zwolenników partyzantki. Mimo sprzeciwu Newtona działalność kontynuowała Czarna Armia Wyzwolenia, zbrojne ramię partii. Jej czołową bojowniczką była Assata Shakur z Nowego Jorku. O ironio, to własna przemoc czołowego moralisty Panter stała się gwoździem do trumny tej organizacji. W 1974 r. Newton został oskarżony o zabójstwo młodziutkiej pracownicy seksualnej i uciekł na Kubę, w 1977 r. wrócił na proces w Oakland, w trakcie którego napadano i zastraszano świadków. Defraudował też pieniądze przeznaczone na akcje pomocowe. Dzięki kobietom, z Elaine Brown na czele, partia przetrwała do 1982 r., koncentrując się na pomocy socjalnej i edukacji. Davies była dla nich inspiracją.

dotyczyła ich w wyjątkowym stopniu” – prorokował wiek wcześniej Frederick Douglass, były niewolnik i abolicjonista popierający emancypację kobiet. Davies spełnia jego życzenie. Upomina się o nieokrojoną pamięć o niewolnicach, widząc w nich prekursorów ruchu Black Power.

Trzy siostry

Książka Davies nie jest kobiecą historią niewolnictwa, ale opowieścią o trzech siostrach – płci, rasy i klasie – oraz trzech braciach – rasizmie, patriarchy i kapitalizmie, których drogi się przecinają, rodząc różny poziomy nierówności. Davies interesują zwłaszcza koalicje i konflikty między grupami walczącymi z nierównościami o różnym źródle i ciężarze.

Dla wielu białych Amerek z klasy średniej sprzeciw wobec niewolnictwa był sposobem wyrażania własnych frustracji. Swoje położenie w małżeństwie i rodzinie chętnie porównywały do niewolniczej pracy. W poczuciu wspólnoty losu z czarnymi było jednak więcej retoryki niż głębokiej empatii. „Ruch antyniewolniczy pozwolił kobietom z klasy średniej dowiedzieć własnej wartości na innym polu niż w przypisanej im roli żon i matek – uważa Davies. – Głęboko i żarliwie angażowały się w walkę z niewolnictwem, ponieważ dawało im to ekscytującą odmianę”.

Jednak deklaracja z Seneca Falls (1848), najważniejszy manifest ruchu kobiecego z tamtych lat, skupiał się na interesie niepracujących białych kobiet z tak zwanych „dobrych domów”, na ich prawach do własnego majątku, edukacji, autonomii w małżeństwie i równych praw w sytuacji rozwodu. Białe aktywistki niekoniecznie były zwolenniczkami zniesienia segregacji rasowej. Przekonał się o tym wierny sojusznik sprawy kobiecej, Frederick Douglass. Jego córka, przyjeta do szkoły dla dziewcząt w Rochester, nie mogła zasiadać w jednej klasie z białymi uczennicami. Zakazała jej tego dyrektorka, niedawna abolicjonistka.

Podobnie było z postulatem praw wyborczych dla czarnych mężczyzn. Emancypantki widziały w nim zagrożenie dla sprawy praw wyborczych białych kobiet. Wykreowały sytuację wyścigu – kto pierwszy zmiekkczy zatwardziało serca konserwatystów z Południa i uszczknie coś dla swojej grupy. Na manifestacjach zalecały, by czarne koleżanki szły w ostatniej grupie, tak aby nie zrazić białych mężczyzn do 19. poprawki. Czarne

Dla wielu białych Amerek z klasy średniej sprzeciw wobec niewolnictwa był sposobem wyrażania własnych frustracji.

Swoje położenie w małżeństwie i rodzinie chętnie porównywały do niewolniczej pracy.

kobiety, ze świetnie wykształconą Mary Church Terrell i Idą B. Wells na czele, wsparły więc czarnych mężczyzn.

Białych i czarnych kobiet, robotnic, nauczycielek i pań domu nie połączył też XIX-wieczny ruch na rzecz „dobrowolnego macierzyństwa”, który wiele lat później przekształcił się w kampanię na rzecz praw reprodukcyjnych. Wydawałoby się, że ta sprawa będzie łączyć wszystkie kobiety, bez względu na klasę i kolor skóry. A jednak przez wiele lat ruch kierował się perspektywą białej klasy średniej i hasłami wolności wyboru, zamiast zastanowić się nad jego realnością. Perspektywa kobiet pokątnie przerywających ciężką z powodu braku środków do życia, konieczności pracy lub przemocy domowej znajdowała się poza przestrzenią empatii. Białe nie dostrzegały też drugiej strony medalu – przymusowych sterylizacji dokonywanych na czarnych kobietach z klasy niższej.

Czarne działaczki zerwały też sojusz, występując przeciw linczom i fałszywym oskarżeniom czarnych mężczyzn o gwałty na białych kobietach. Nie chciały bagatelizować przestępstwa gwałtu, ale zdawały sobie sprawę, że „mit czarnego gwałciiciela białych kobiet jest bliźniakiem mitu złej czarnej kobiety – oba mają na celu uzasadnić i ułatwić nieustanny wyzysk Czarnych obojga płci”. Systematyczna kampania przeciw linczom przyniosła pewne efekty. W 1930 r. założono Stowarzyszenie Południowych Kobiet na rzecz Zapobiegania Linczom, którego członkinie przekonywały, że lincz godzi w wartości chrześcijańskie.

Jednak jeszcze w latach 70. zeszłego wieku, kiedy w celi śmierci siedział Delbert Tibbs, niewinnie skazany za gwałt

na białej siedemnastolatce, niemal do samego uniewinnienia nie otrzymał wsparcia od białych organizacji feministycznych. Davies angażowała się w jego obronę i długo bezskutecznie zabiegała o wsparcie u białych. Nie oskarża ich jednak o tchórzostwo.

Zdaniem Davies wszystkie elementy tej układanki, walczące o wolność białe kobiety, czarne i czarni, robotnice i robotnicy są zakładnikami kapitalizmu. Kalkulują sojusze i wyłamują się z nich po to, by nie wypaść z gry. Ta rozgrywka toczy się na rynku idei i polityki, ale kosztą rzuci gospodarza. Davies zamyka swoją książkę peanem na cześć socjalizmu jako jedynego politycznego rozwiązania problemu potrójnej dyskryminacji czarnych kobiet z klasy robotniczej.

Prof. Małgorzata Fidelis, autorka posłowa do „Kobiet, rasy, klasy” przypomina, że podziwiający Davies wschodni Europejczycy widzieli w niej przede wszystkim obrończynię praw człowieka, a nie komunistkę. Czyżby się pomylili? Podróżując po Związku Radzieckim i NRD, niedługo po wyjściu z więzienia w 1972 r., Davies milczała o tamtejszych więźniach politycznych, odmówiła poparcia czechosłowackim dysydentom, gdy wprost ją o to poproszono, nie agitowała na rzecz wschodnioeuropejskich kobiet i mniejszości seksualnych prześladowanych przez reżimy komunistyczne, mimo że robiła to wielokrotnie, jeśli chodziło o kobiety, lesbijki i gejów żyjących w kapitalistycznej Ameryce. Jej mentor Herbert Marcuse nie wahał się zarzucić jej hipokryzji. Nawet po upadku ZSRR nie dokonała rozrachunku z komunizmem. Dziś też budzi sprzeczne emocje, wybierając jedno sojusze, a pomijając inne.

W ostatnich latach zaangażowała się w jednoznaczne poparcie sprawy palestyńskiej i ponosi tego konsekwencje. W 2019 r. Instytut Praw Obywatelskich w jej rodzinnym Birmingham w Alabamie zrezygnował z uhonorowania jej nagrodą, a w kwietniu 2021 jej wykład na Uniwersytecie Butler w Indianapolis został odwołany po protestach proizraelskich studentów. Natomiast o Europie Wschodniej i Rosji wypowiada się bardzo rzadko. Teraz też milczy.

© JUSTYNA NOWICKA-FRANCAK

Angela Y. Davies, **KOBIETY, RASA, KLASA**, przeł. Dariusz Zukowski, posłowie Małgorzata Fidelis, *Karakter*, Kraków 2022.

Wizje rzeczywiste

JAKUB MAJMUREK

W kinie Roberta Eggersa – niezależnie, czy kręci horror, czy widowisko – historia stapia się z mitem i legendą, przybiera postać niepokojącej halucynacji.

AKTORZY MÓWIĄ, ŻE TRUDNO SPOTKAĆ w branży filmowej kogoś, kto każdy film ma tak ułożony w głowie już na etapie preprodukcji. Pracę nad swoimi projektami Robert Eggers rozpoczyna, jakby przygotowywał się do pisania pracy naukowej.

Pracując nad „Czarownicą. Bajką ludową z Nowej Anglii” (2015) – horrorem osadzonym w angielskich koloniach w Ameryce w latach 30. XVII w. – zakopał się w literaturze z epoki i o epoce. Wiele dialogów w filmie wziętych zostało z oryginalnych źródeł, głównie z dzienników Johna Winthropa, purytańskiego gubernatora kolonii Massachusetts. Pracę nad scenariuszem „Wikinga”, który miał właśnie polską premierę, rozgrywającego się przede wszystkim na Islandii z początku X w., poprzedziły długotrwałe kwerendy w pracach współczesnych historyków, archeologów, filologów i antropologów.

Każdy detal w historycznych produkcjach Eggersa musi być zgodny ze współczesną wiedzą o danej epoce. Farma, na której rozgrywa się akcja „Czarownicy”, została zbudowana przy pomocy takich samych narzędzi i technik, jakimi posługiwali się pierwsi angielscy koloniści w Ameryce. W „Wikingu” każdy rekwizyt, nawet jeśli widać go na ekranie ledwie przez kilka sekund, musiał mieć jakość repliki muzealnego eksponatu.

To nagromadzenie szczegółów tworzy w filmach Eggersa hiperrealistyczny obraz przeszłości, pozwala widzom całkowicie zanurzyć się w świat przedstawiony. Hiperrealistyczny szczegół staje się jednak punktem wyjścia dla wizyjnej, onirycznej poetyki reżysera, dla fantastycz-



nego „narkotycznego” tripu – tyle że narkotykiem przenoszącym w inne stany świadomości jest tu kino, nie substancje psychoaktywne.

Od szkolnego teatru do wielkiego ekranu

Skupienie na szczególe może też wynikać z faktu, że Eggers zaczynał artystyczną pracę jako scenograf i twórca kostiumów, przede wszystkim dla teatru. Teatrem i sztuką zainteresował się jeszcze jako dziecko dorastające w małym miasteczku Lee w New Hampshire w Nowej Anglii. Jego ojczym pracował jako profesor w pobliskim college’u, niedaleko mieszkał dziadek ze strony matki – z wykształcenia geolog, z zamiłowania kolekcjoner osobliwości, głównie z historii Dzikiego Zachodu. Jako nastolatek Eggers wystawił w szkolnym teatrze adaptację „Nosferatu” Friedricha Wilhelma Murnaua, wampirycznego horroru z 1922 r. Produkcję pokazał następnie lokalny zawodowy teatr (teraz Eggers ma przygotować filmowy remake obrazu sprzed stu lat).

Z Lee reżyser przenosi się do Nowego Jorku. Tam studiuję, projektuje plakaty, scenografię i kostiumy. Głównie dla teatru – niezależnego, bardzo offowego, czasem ulicznego – ale z czasem też dla ma-

łych, niezależnych, głównie krótkometrażowych produkcji filmowych. Dorabia też jako scenograf i dyrektor artystyczny przy sesjach fotograficznych. Cały czas myśli o kinie. Pisze, gromadzi kontakty, kręci filmy krótkie. W 2007 r. – adaptację baśni braci Grimm o Jasiu i Małgosi, stylizowaną na niemy film w poetyce niemieckiego ekspresjonizmu. Rok później – adaptację „Zdradzieckiego serca”, noweli Edgara Allana Poe’a.

W 2015 r. w „Braciach” podejmuje luźną wariację na temat biblijnej historii Kaina i Abla. „Bracia” są wyjątkowym filmem w dorobku Eggersa, jedynym, który odbywa się bez historycznego kostiumu, osadzonym na odludnej farmie gdzieś w Stanach. Eggers pokazuje, że potrafi posługiwać się realistycznym idiomem kina niezależnego rodem z festiwalu w Sundance równie sprawnie, jak filmowym gatunkiem. W Sundance w 2015 r. Eggers debiutuje „Czarownicą”. Film został świetnie przyjęty, rok później trafił do kin. Zarobił 40 mln dolarów, kosztował 4 mln. Reżyser wszedł na dobre do świata zawodowego kina.

Na skraju obłędu

„Czarownica” i drugi film Eggersa, „Light-house” (2019) to filmy grozy osadzone



MATERIAŁY PRASOWE FOCUS FEATURES

Kadr z filmu „Wiking”, 2022 r.

wiedźmy nękające ją czarami. O czary, a przynajmniej o jakiś związek z wiedźmami rodzina, a zwłaszcza żona Williama Katherine, podejrzewa najstarszą córkę – Thomasin. To ona ostatecznie jako jedyna przeżyje, gdy obłęd, natura, trudy przetrwania, a może faktycznie czary zabiorą wszystkich pozostałych.

W „Lighthouse” (Latarni) żywiołem przynoszącym bohaterom obłęd jest morze. Latarnią morską na odległej wyspie zajmuje się dwóch mężczyzn: dojrzały, kulejący Thomas Wake i młody, zaczynający pracę latarnika Thomas Howard. Panowie źle znoszą izolację, a jeszcze gorzej swoje towarzystwo. Tym gorzej, im dłużej przebywają na wyspie. Wake traktuje Howarda jak służącego, zmusza go do wykonywania najcięższych, najprostszych prac. Nie pozwala mu wejść na szczyt latarni, gdzie mieści się źródło światła. Wake traktuje tę przestrzeń jak sanktuarium, gdzie codziennie odprawia swój sekretny kapłański rytuał. Zamknięty szczyt latarni staje się obiektem pragnienia młodego Howarda. Im bardziej Wake zabrania mu kontaktu ze światłem, tym bardziej Howard go pragnie, tym bardziej utwierdza się w nienawiści do starszego kolegi – co prowadzi w końcu do tragedii.

Oba horrory Eggersa mają wyraźny genderowy wymiar. „Lighthouse” jest filmem o męskości – dwóch mężczyzn w wielkiej fallicznej latarni zabija się o dostęp do znajdującego się u jej szczytu źródła światła. Młody chce pojąć to, co – jak wierzy – posiada stary. Stary broni swojego sekretnego skarbu przed młodym, jak sam twierdzi, dla jego dobra. Czym jest miejsce, z którego wydobywa się światło? Co oznacza? Nigdy nie otrzymujemy jasnej odpowiedzi. Być może symbolizuje po prostu wszelkie arbitralne stawki, o które toczą się patriarchalne gry. Może sekretem, którego Wake strzeże przed młodym kolegą, jest to, że u szczytu latarni tak naprawdę niczego nadzwyczajnego nie ma?

W „Czarownicy” patriarchat obserwujemy z punktu widzenia Thomasin – młodej dziewczyny, której dorastanie, uroda, budząca się seksualność traktowane są przez rodzinę jako źródło zagrożenia, jako coś, co burzy ustalone hierarchie i porządku. Oskarżana o czary i związki ze Złym na końcu filmu faktycznie odnajduje swojego diabła i dołącza do

grupy czarownic gromadzących się nocą w lesie przy ognisku. Ta scena pozostaje jednak głęboko wieloznaczna: można ją czytać jako metaforę feministycznego wyzwolenia w siostrzeństwie czarownic, ale też jako głodową halucynację przestraszonej, niezdolnej przetrwać z dala od cywilizacji nastolatki.

Niesamowici wikingowie

Dwie pierwsze produkcje Eggersa były tanie i kameralne. Reżyser odrzucił większe pieniądze na „Lighthouse”, by móc zachować pełną kontrolę nad filmem i nakręcić go, jak od początku planował, w czerni i bieli.

Za to „Wiking” jest produkcją z dziesiątkami, a nawet setkami statystów, kilkoma lokacjami i budżetem, który ostatecznie zamknął się w kwocie 90 mln dolarów. Fabularnego kośca dostarcza legenda Amletha – młodego księcia wikingów, któremu wuj zabił ojca, a następnie poślubił jego żonę, matkę chłopaka. Amleth pojawia się w islandzkich sagach z XII w., kolejne wersje legendy powracają w kolejnych stuleciach. Historia ta zainspirowała Szekspira. Pod jego piórem Amleth z wikinga ogarniętego żądzą zemsty zmienia się w pełnego wahań i wątpliwości renesansowego księcia Hamleta. Eggers i jego współscenarzysta, islandzki poeta Sjóń – znany głównie jako autor tekstów pisanych dla piosenkarki Björk – stworzył scenariusz, posługując się różnymi wariantami historii.

Mimo wielkiego budżetu Eggers nie zrezygnował ze swojej metody twórczej. Znowo zanurzamy się w pieczołowicie odtworzonej przeszłości, nie tylko na poziomie detali, kostiumów, kultury materialnej, ale i tej duchowej. Eggers wychodzi z założenia, że jeśli mamy naprawdę doświadczyć w kinie przeszłości, to tylko patrząc na nią oczami zamieszkujących ją ludzi. Ich obraz rzeczywistości był zupełnie inny niż nasz.

W „Czarownicy” kolejne nadprzyrodzone ingerencje w życie rodziny osadników przyjmowane były przez jej członków z lękiem, ale bez zaskoczenia – czary były dla nich czymś oczywistym. Podobnie jest w „Wikingu”: realistyczny obraz przeszłości miesza się ze scenami religijnych i mistycznych wizji, których doświadczają bohaterowie. Jeśli pod wpływem kolejnych seriali wikingowie trochę nam spowszednieli i się opatrzyli, to u Eggersa odnajdziemy ich świat

w perfekcyjnie odtworzonej przeszłości; w obu widzimy niewielką grupę osób, która egzystując na skraju cywilizacji, przy granicy destrukcyjnych, niezrozumiałych żywiołów, zaczyna popadać w obłęd, tracąc zdolność do rozróżniania między rzeczywistością a własnymi koszmarami.

W „Czarownicy” tym żywiołem jest dziewiczy las, wielka masa zieleni niezbadana przez europejskich osadników. Przy jego granicy osiedla się William z rodziną – żoną i piątką dzieci. Mężczyzna został wygnany z purytańskiej kolonii w Nowej Anglii, gdyż popadł w konflikt z jej starszą, którą uznawał za nie dość religijnie czystą, nie dość radykalną w religijnej żarliwości. William wierzy, że farma, którą zbuduje z rodziną na marginesach kolonialnego społeczeństwa, stanie się nową ziemią obiecaną, społecznością wolną od grzechu i pobłogosławioną przez Boga.

Błogosławieństwa nie chcą jednak nadejść – przeciwnie. Najpierw gdzieś w lesie ginie najmłodszy syn, Samuel. Pierwszy zbiór jest nieudany, rodzinie grozi głód. Najstarszy syn gubi się w lesie, wraca obłąkany i umiera w młynie. Rodzina zaczyna wierzyć, że padła ofiarą złego ducha, że w lesie mieszkają

→ w całej jego obcości i niesamowitości. Najlepiej widać to, gdy po przejmującej, pełnej okrucieństwa, a przy tym wspaniale wyreżyserowanej scenie zdobycia przez wikingów słowiańskiej osady Amleth w zrujnowanej świątyni Słowian doświadcza religijnej wizji. Spotyka kapłankę, a może bóstwo obcego słowiańskiego ludu, które przypomina mu o jego obowiązku zemsty na zdrańskim wuju, po czym rozplywa się w powietrzu.

Właściwie trudno powiedzieć, czy „Wiking” jest widowiskiem historycznym, czy *fantasy*. Być może to rozróżnienie nie ma sensu na gruncie przyjętych przez twórców założeń: nawet jeśli z naszego punktu widzenia wszystkie nadprzyrodzone doznania, których doświadcza Amleth, nie mają obiektywnie miejsca, to dla niego są one namacalną rzeczywistością.

W niezwykle entuzjastycznej recenzji filmu na portalu „IndieWire” David Ehrich napisał, że samo powstanie „Wikinga” jest cudem. Oto bowiem kino angażuje swój potencjał finansowy, produkcyjny, gwiazdorski, by w końcu zaoferować masowemu widzowi coś nowego – a nie kolejny *sequel*, *prequel*, film z uniwersum Marvela lub DC czy inną produkcję opartą na założeniu, że współczesny widz, jak inżynier Mamoń, nie polubi piosenek, których jeszcze nie zna.

Podzielałam ten entuzjazm. Powstał film faktycznie niezwykle. To nie tylko zachwycająca wizualnie wyprawa w świat wikingów, przywracająca na ekranie jego egzotykę i niesamowitość, ale też mądry film o męskości i jej pułapkach. Tak jak w poprzednich filmach Eggersa, bez nachalnej publicystyki, świat w historycznym kostiumie otwiera się na bardzo współczesne interpretacje.

© JAKUB MAJMUREK

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Andrychów – 98,8 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



LINDA KALLERUS / MATERIAŁY PRASOWE COURTESY A24

Kadr z filmu „Yang”

Herbatka z androidem

ANITA PIOTROWSKA

**W „Yangu” zaparzanie herbaty
lub jedzenie pałeczkami ramen
staje się nie mniej istotne od
dywagacji na temat galopującej
technologii i jej roli w naszym
codziennym życiu.**

NAD PROBLEMEM „DUCHA W MASZYNIE” kino pochyla się często i od dawna, tworząc przy okazji dzieła daleko wykraczające poza *science fiction*: „2001: Odyseję kosmiczną” (1968) Stanleya Kubricka, „Łowcę androidów” (1982) Ridleya Scotta, „Oną” (2013) Spike’a Jonze’a czy „Ex Machinę” (2014) Aleksa Garlanda. W filmie „Yang” gatunkowy sztafaż raz jeszcze skłania do filozoficznego namysłu, ale posłużył również – wizualnie i emocjonalnie – do stworzenia wyjątkowego świata, w którym zamieszkały razem „ludzkie aspiracje i alienację”.

Kogonada, amerykański reżyser pochodzący z Korei Południowej, jest niekwestionowanym mistrzem wideoesejów.

Ze swadą opowiadał w nich, co łączy „Rome” z „Ludzkimi dziećmi” i „Grawitacją” Alfonsa Cuaróna, ale także o balecie dłoni i „mowie” drzwi w twórczości Roberta Bressona czy o krzątaniu i kontemplacji u Yasujirō Ozu – to na cześć jego scenarzysty o nazwisku Kogo Noda obrał swój pseudonim. Filmowa erudycja i wyjątkowy zmysł estetyczny dają o sobie znać, ilekroć Kogonada staje za kamerą, czy w debiutanckim „Columbusie” (2017), czy w nowym serialu „Pachinko”, nakręconej z czułością rodzinnej sadze o kilku pokoleniach koreańskich imigrantów w USA (do obejrzenia na Apple TV+). Istotną rolę odgrywa w nich zawsze przestrzeń, architektura, dom jako miejsce i zarazem pojęcie.

W ostatnim filmie tytułowy Yang (Justin H. Min) to przedstawiciel nowego gatunku zwanego techno sapiens, „kulturowy brat” zakupiony przez amerykańską rodzinę dla adoptowanej z Chin córeczki. Mała Mika poznaje dzięki niemu język mandaryński oraz wyimki z rodzimej tradycji, a przy okazji znajduje przyjaciela, z którym spędza czas pod nieobecność bardzo zapracowanych rodziców. Kiedy mechanizm sterujący Yanga ulega nieodwracalnemu uszkodzeniu, dziewczynka pogrąża się w rozpacz – Yang zdążył stać się częścią tej rodziny, wszyscy razem brali też udział w wirtualnym konkursie tanecznym. Tymczasem ojciec Miki, Jake (dobra rola Colina Farrell), szuka ratunku dla mechanicznego syna.

Mógłby oddać go do muzeum archiwizującego wewnętrzne życie zużytych robotów, ale nielegalnie udaje mu się otrzymać dostęp do banku pamięci Yanga. Podczas projekcji jego „filmu życia” przed Jakiem otwiera się sekretny świat androida. A że był on nabytkiem z drugiej ręki, miał swoją historię i jednocześnie prehistorię. Jake podąża owym tropem. Po drodze okazuje się, że również dla jego żony Kyry (Jodie Turner-Smith) przedwcześnie wygasły robot był kimś ważnym.

Na podstawie opowiadania „Saying Goodbye to Yang” („Pożegnanie z Yangiem”) Alexandra Weinsteina powstała opowieść, która w innych rękach łatwo zabrnęłaby w rejony technofobii bądź sinofobii. Chiński kontekst gra w filmie istotną rolę, nie tylko dekoracyjną. Jake posiada małą herbaciarnię i kamera chętnie zatrzymuje się na herbacianych rytuałach. Uliczna moda przyszłości ma w sobie wyraźnie panazjatycki sznyt, nie mówiąc o gastronomii i wystroju wnętrza. Ale przecież Yang mógł zostać zaprojektowany do czegoś więcej niż bycie prywatnym ambasadorem dalekowschodniej kultury. Jako kupiona okazynie „chińska podróbka” może nosić w swojej czarnej skrzynce oprogramowanie szpiegujące. „Cud, że Yang nie przywłókł ze sobą jakiegoś wirusa komputerowego czy innego covid-19” – pisze z przekąsem krytyk Martin Tsai.

Jednakże zarówno problem etnicznej tożsamości, jak i aspekt korporacyjnej inwigilacji staje się tutaj drugorzędny. Gdy Jake wędruje nocami po konstelacjach pamięci androida, gdy obsesyjnie przeszukuje, przesuwając i zatrzymując jej okruczności, nie jest to już film o potencjalnym zagrożeniu ani o domniemanym człowieczeństwie, choć Yang miał swoje skryte pragnienia i kolekcjonował motyle. Oglądamy raczej historię o tym, ile wniósł on w życie tej rodziny, wcale nie tak idealnej jak na wspólnej fotografii.

Czyli oglądamy film bardziej o nas aniżeli o nich. Bardziej o osobliwości ludzkiego świata niż o tej technologicznej, która w wizji Kogonady staje się jedynie przymglonym zwierciadłem. „Yang”, wyróżniony na festiwalu Sundance za oryginalne spojrzenie na technologię, fascynuje nie tyle intelektualnym błyskiem, bo pod tym względem bywało już na ekranie ciekawiej. Przed nami kino niespokojnych nastrojów

i tłumionych emocji, a efekt ten osiąga Kogonada za pomocą intensywnego obrazu, szczególnie scenografii zasysającej naszą uwagę w każdym niemal ujęciu. Dodajmy: scenografii z lekka tylko futurystycznej, albowiem reżyser rozmyślnie ucieka od typowej dla s.f. zimnej sterylności.

Kamera kontempluje obcym spojrzeniem wnętrze domu Jake’a i Kyry, jakby był on dopiero co oswojonym organizmem albo podejrzaną przyjazną planetą, wyizolowaną z chaosu panującego na zewnątrz, w odwiedzanych przez zdesperowanego Jake’a rupieciarzach i serwisach naprawy. Obiektyw zatrzymuje się na wygodnych sprzętach, gładkich, acz ciepło oświetlonych powierzchniach, na pustych miejscach, i rejestruje zatrzymaną w miejscu czas. Postacie sprawiają wrażenie sztucznie spowolnionych i uspokojonych, częściej zresztą rozmawiają z monitorami czy mikrofonami aniżeli z innymi żywymi ludźmi. Jeśli cierpią na jakieś deficyty, pozostają one nienazwane. Łatwo się ich jednak domyślić, aczkolwiek żałoba po Yangu może z początku wydawać się jedynym problemem mieszkańców nowego wspaniałego świata, w którym uprzywilejowane rodziny żyją sobie w dobrobycie tudzież w wieloetnicznej i ekologicznej harmonii. Respektuje się tutaj wszelki indywidualizm i nawet w samochodach hoduje się rośliny.

Na tle innych tytułów z serii „czego nauczył mnie android” wyróżnia się „Yang” wyeksponowaniem wątku pamięci. Podczas jej wyświetlania bohaterowie dowiadują się z pozornie przypadkowych kadrów, kim tak naprawdę byli dla właściciela owych wspomnień. Aż się prosi, by uruchomić wtedy własną wyobraźnię i zapytać, jak wyglądałaby moja „czarna skrzynka”. Co pozostałoby na zawsze ze strumienia obrazów pochwyconych w ciągu całego życia? W czyich bankach pamięci ostałby się mój ślad?

Ten pośmiertny, nieprzefiltrowany zapis działa jak filizanka – lub raczej czarka – aromatycznej herbaty. Zaparza się bez pośpiechu, drażni usta swoją melancholią i smakuje czymś bliżej nieokreślonym, lecz koniec końców, w przeciwieństwie do innych dystopii, działa pobudzająco. ©

YANG (*After Yang*) – reż. Kogonada.
Prod. USA 2021. Wkrótce w kinach.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Oskarżony



Dramat,
reż. Yvan Attal, Francja
2021, VoD
Czy Alexandre rzeczywiście dopuścił się gwałtu na znajomej nastolatce?

Bez relatywizacji i uproszczeń film pokazuje, jak bardzo komplikuje się dojście do prawdy pod wpływem różnych czynników – obyczajowych, emocjonalnych, klasowych czy religijnych. Batalii sądowej towarzyszy podwójny dramat rodzinny, w którym ścierają się moralne racje i manipulacje.

2. Pamiętnik Andy’ego Warhola



Seriał dokumentalny,
reż. Andrew Ross, USA
2022, odc. 1-6, Netflix
W oparciu o wydane pośmiertnie zapiski z lat

1976-87 dokument próbuje zgłębić postać, która za życia pozostawała bardziej symbolem niż osobą. Wiele tu osobistych szczegółów, jest też kontekst nowojorskiej kultury queerowej w cieniu AIDS. A w tym wszystkim obraz samotnego geniusza i ekscentryka, który pod wieloma względami wyprzedzał naszą narcystyczną epokę.

3. Szef roku



Komedia, reż. Fernando León de Aranoa, Hiszpania 2021, VoD
Znakomity Javier Bardem wcielił się w postać

właściciela fabryki, który jest w stanie zrobić wiele, żeby zdobyć tytuł najlepszego lidera biznesu. Satyryczną kreską twórcy filmu kreślą rozmaite nadużycia, jakich dopuszcza się producent wag (a jakże!) w imię sukcesu firmy i własnego wizerunku. Gorzkie spojrzenie na patriarchalno-kapitalistyczne urządzenie świata.

4. Złapani w sieci



Dokumentalny,
reż. Vít Klusák, Barbora Chalupová, Czechy/Słowacja 2020, CDA Premium
W studiu zaaranżowanym

na dziecienny pokój aktorka przebrana za dziewczynkę prowokuje internetowych pedofilów. Cała akcja jest rejestrowana na naszych oczach i toczy się równolegle w kilku pokojach. Metoda eksperymentu może być dyskusyjna, ale szokuje przede wszystkim rozmiar uchwyconego na żywo zjawiska. Film ogląda się niczym horror o bezbronności dzieci w sieci.

RODZAJ CUDU

HANNA POPOWSKA-TABORSKA, SLAWISTKA:

Wiele rzeczy w życiu utrudniłam sobie z tego powodu,
że mówię to, co w danej chwili myślę.

KATARZYNA KUBISIOWSKA:

To ta ściana?

HANNA POPOWSKA-TABORSKA: Ta za panią, źródło utrapienia. Wprowadziliśmy się tutaj w 1959 r., ale dopiero na początku lat 80. znalazłam osobę w instytucji o nazwie „Walka z hałasem”. Do prowadziła do zbudowania wyciszającej drugiej ściany postawionej od strony świetlicy, gdzie odbywały się całonocne zabawy.

Z mężem pracowaliśmy w domu, córka w nocy budziła się z płaczem.

PRL kojarzy się właśnie z hałasem, głośnie muzyką i cienkimi ścianami.

Odwiedził mnie na początku lat 60. kolega z Białorusi. Zachwycał się łazienkami m.in. dlatego, że na drzewach nie wisiały głośniki i że słyszać było wyłącznie śpiew ptaków. Ale władza wieszała wtedy głośniki wszędzie, gdzie się dało. „Kołchozniki” znajdowały się nawet wewnątrz Pałacu Kultury i Nauki, w którym siedzibę miała Polska Akademia Nauk, gdzie przez wiele lat pracowałam. Ten nieustanny hałas znosiłam z wielkim trudem.

A ten kilim, który widzę za Panią?

Z dwudziestolecia międzywojennego, w Muzeum Narodowym w hallu wisi kilka podobnych.

W czasie powstania warszawskiego wywieziono nas do obozu, nasze mieszkanie przy Raszyńskiej zostało spalone do szcztetu. Gdy wiosną 1945 r. wróciliśmy, kolega ojca zaprosił nas do siebie, na Powiśle. Zaproponowany nam pokój na czwartym piętrze eleganckiego domu był niezwykle: posiadał umeblowanie

i istotny mankament – nie było w nim połowy sufitu. Ale był maj, potem nastąpiło ciepłe lato, kiedy padał deszcz, chowaliśmy się pod ocalałym dachem. I wtedy właśnie prof. Rajmund Barański, przyjaciel mego ojca, który w czasie powstania kierował szpitalem polowym, ofiarował nam kilim, na którym przyniesiono mu rannego człowieka.

Nie wiem, co się stało z tym rannym, była to natomiast pierwsza rzecz, którą dostaliśmy jako zaczątek nowego gospodarstwa i z którą przeprowadziliśmy się wkrótce do Łodzi.

Obok kilimu wisi zdjęcie Pani taty z papierosem.

Zostało zrobione w szpitalu przy Litewskiej. Był to pierwszy duży szpital pediatryczny w Warszawie, w którym po I wojnie światowej zaczęli pracować mój ojciec Stanisław Popowski i Rajmund Barański. Ojciec specjalizował się w gruźlicy dziecięcej i łączył pracę w klinice z dyżurami w przychodniach przeciwgruźliczych na ubogim Powiślu, gdzie przed wojną ta choroba zbierała szczególnie obfite żniwo wśród dzieci. W czasie okupacji, po likwidacji „małego getta”, Niemcy zajęli budynek przy Litewskiej i szpital przeniesiony został na ulicę Śliską. Podczas tej przymusowej przeprowadzki powstała seria zdjęć ówczesnego personelu, także mego ojca. Niestety, wszystkie fotografie utrwalają go z papierosem. To były czasy, kiedy lekarze ze szkodliwości palenia nie zdawali sobie dostatecznie sprawy.

Z powstania warszawskiego, w którym była Pani z rodzicami i spa-

ralizowaną babcią, wspomina Pani w książce „Zapisywane z doskoku” wstrząsającą scenę: kiedy ma się odbyć egzekucja, stoi Pani obok ojca, który się do Pani uśmiecha i mówi: „Spokojnie, to nie będzie wcale takie straszne”.

Zwykło się mówić, że dzieci z takich sytuacji wychodzą z traumą, ale ja mogę powiedzieć, że tej traumy nie miałam. Nie mam pojęcia, czy to moja cecha, czy zasługa tego, że miałam koło siebie człowieka, któremu bezgranicznie ufałam. Ponieważ pluton egzekucyjny spóźnił się, więc dołączono nas do ludzi pędzonych przez Pole Mokotowskie. Co pewien czas strzelano w tłum, padaliśmy w kapustę i pomidory rosnące na działkach. Niektórzy wstawali, inni zostawali. Przechodziliśmy obok nieżywego mężczyzny i obie z mamą stwierdziłyśmy, że to nasz bliski sąsiad, po czym spotkał się tego sąsiada całego i zdrowego na Zieleniaku. O nas też niektórzy myśleli, że rozstrzelano nas na Polu Mokotowskim, a myśmy trzy noce spędzili na Zieleniaku. Ojciec ukrywał mnie pod sobą, bo tam gwałcono dziewczęta i młode kobiety. Starałam się nie myśleć i nie rozumieć tego, co się wokół działo.

Pani rodzice ukrywali żydowskie dziecko, ocalili życie Bianki Perlmutter.

Przez nasz dom przewinęło się w czasie okupacji bardzo wiele osób pochodzenia żydowskiego, znajomych i przyjaciół rodziców.

Oni rzeczywiście chyba się nie bali. Gdy wiele lat później pewien pan profesor →

A portrait of an elderly woman with short, wavy white hair and bright blue eyes. She is smiling gently at the camera. She is wearing a maroon-colored V-neck cardigan with small buttons. She is seated in a chair with a patterned, floral fabric. Her right hand rests on the chair's backrest, and she is wearing a black watch with a gold-colored case. Her left hand is resting on her lap, and she is wearing a simple gold ring. The background is softly blurred, showing a vase with red flowers and some books on a shelf.

HANNA POPOWSKA-TABORSKA (ur. 1930) jest slawistką, językoznawczynią, emerytowaną profesorką PAN. Badaczka języka kaszubskiego, współautorka 15 tomów „Atlasu językowego kaszubszczyzny i dialektów sąsiednich” (1964-1978) i 6 tomów „Słownika etymologicznego kaszubszczyzny” (z prof. Wiesławem Borysiem, 1994-2010). Niedawno ukazała się jej książka „Zapisywane z doskoku”.

→ o prawicowych poglądach dowiedział się, że moi rodzice są Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata, powiedział: „Przyznam się pani, że gdybym miał córkę czternaścieletnią, tobym nie ryzykował”. Byłam tą wypowiedzią wstrząśnięta.

Czym dokładnie?

Że w ogóle coś takiego można pomyśleć. On pierwszy spojrzął na tę sytuację od strony mającej takie uzasadnienie, ale to był argument, który nigdy nie przychodził do głowy ani rodzicom, ani mnie.

Pani też jest Sprawiedliwą wśród Narodów Świata. Nie pisze Pani o tym w książce.

Bo to zawdzięczam wyłącznie rodzicom. Moja zasługa jest tylko taka, że nie polecałam zadenuncjować.

To z przeżyć okupacyjnych wzięta się Pani powojenna nieśmiałość?

Po obozowych przeżyciach bałam się kontaktu z nieznanymi mi osobami. Ale potem już jako dialektolog pukałam do chat nieznanymi mi Kaszubów i prosiłam, by zechcieli porozmawiać ze mną o swojej mowie.

Za uczestnictwo w tej pracy jestem wdzięczna losowi. W pierwszej połowie lat 50., gdy pod kierownictwem prof. Zdzisława Stieberta zaczęliśmy opracowywać „Atlas językowy kaszubszczyzny i dialektów sąsiednich”, zebranie jak najpełniejszego materiału językowego było naszym podstawowym zadaniem i pilną potrzebą chwili. Pracę kontynuowaliśmy aż po późne lata 70. Nasz materiał ma już charakter historyczny. Zdołaliśmy jeszcze uchwycić szereg archaizmów i cech językowych dziś już nieistniejących lub mających mniejsze zasięgi terenowe.

Jak wyglądała praca w terenie?

Szukaliśmy ludzi starszych, ponieważ już wówczas proces utraty dawnej gwary wszędzie był widoczny. Dla sołtysów mieliśmy pisma oficjalne, z informacją, że to praca naukowa, i z prośbą o pomoc. A ta pomoc polegała z jednej strony na szukaniu dla nas kwatery, choć najchętniej wybieraliśmy spanie na sianie w stodole, z drugiej zaś strony chodziło o wskazanie najstarszych mieszkańców wsi. To nie była sprawa łatwa, gdyż zależało nam też i na tym, by były to dzieci rodziców urodzonych w tej samej okolicy. Wybieraliśmy się wtedy do danej osoby, czasem po

„Życie nie jest romansem, czym nie należy się zrażać”

– taki wpis zostawił pan Topoliński w pamiętniku swojej córki, a mojej koleżanki. Dzisiaj dodam: czasem nie pozostaje nic innego, jak się nie zrażać.

prostu sami pytaliśmy kogoś wiekowego i mówiliśmy, że bardzo nas interesuje kaszubska mowa. Właściwie nie spotkała nas nigdy jakaś przykrość z tego powodu. Może raz tylko, gdy pod eskortą Wojsk Ochrony Pogranicza przeprowadzono nas przez parę wsi na posterunek, gdzie jakiś gorliwiec wyciągnął nam z aparatu fotograficznego i zniszczył kliszę zawierającą „obiekt wojskowy”. Owym „obiektem” była koleżanka siedząca nad morzem na tzw. babce do wyciągania sieci, morze zaś stanowiło właśnie ową ścisłą tajemnicę państwową.

A sami Kaszubi?

Otwarci, serdeczni, dumni ze swojej odrębności. Ożywiali się, opowiadali dyktetyki. Poddawali się badaniom za pomocą kwestionariusza, który miał szereg działów ułożonych tematycznie. Rybaka pytało się o sieci, o części łodzi, o nazwy ryb, staruszkę o części kołowrotka. A jeśli wnuk siedział obok dziadka, który nie mógł sobie przypomnieć, jak coś się nazywa, to często dziecko podpowiadało dziadkowi właściwą nazwę.

Na podstawie zebranego słownictwa powstawały bardzo liczne mapy. Ukończony w roku 1978 „Atlas...” stał się „ostatnią rodzinną fotografią kaszubszczyzny”, ukazującą jej znaczne zróżnicowanie dialektalne, a zarazem ową specyficzną spójność, która pozwoliła mieszkańcom tej ziemi oprzeć się długo trwającej germanizacji.

Cały czas myślę o Pani nieśmiałości, i chwili, w której została ona radykalnie przez Panią pokonana. W klasie maturalnej, w roku 1948, wstawiła się Pani za swoją nauczycielką, którą z przyczyn politycznych

z dnia na dzień pozbawiono wychowawstwa. Została Pani za to wyrzucona ze szkoły.

Byłam przewodniczącą samorządu szkolnego, nie mogłam inaczej postąpić.

Obie wiemy, że mogła Pani schować głowę w piach, udawać, że nic się nie stało.

Wiele rzeczy w życiu utrudniłam sobie z tego powodu, że mówię to, co w danej chwili myślę.

A w czasach powojennych, kiedy znalazłam się w Łodzi, dyskusje młodzieży bardzo często dotyczyły istotnego problemu, czy cel uświęca środki. Czy np. zaangażowanie się w pracę partyjną, aby móc studiować, jest godne pochwały, czy wprost przeciwnie.

I jak jest?

To kwestia indywidualnych cech każdego z nas, w którym momencie dojdzie się do wniosku, że to już dla mnie za dużo, że to o krok za daleko. Dość szybko stwierdziłam, że jednak nie jestem w stanie zrobić czegoś, co mi się nie podoba.

Inaczej niż Maria Dąbrowska, którą Pani bardzo ceni jako pisarkę i jednocześnie zastanawia się nad jej oportunizmem. Po co właściwie poszła na urodzinowe przyjęcie Bieruta?

Dąbrowska mogłaby sobie odpuścić imprezę u towarzysza Bolesława, ale właśnie w tym czasie wychodziły w wielkim nakładzie jej książki. Patrząc wstecz, widzę jednak również zmiany bardzo pozytywne, które następowały np. w lecznictwie. Ojciec mój zafascynowany był tempem, w jakim powstawały sanatoria dla dzieci chorych na gruźlicę. Obserwowałam to i doceniałam. Nie mówiąc już o tym, że po przełomowym Październiku '56 do pewnego momentu wszystko miało swój pozytywny charakter. Przede wszystkim zaś nie żył już wówczas Stalin.

I kraj ogarnęła „gomutkomania”, większość uwierzyła w obietnice swobód składane przez towarzysza „Wiesława”.

W ogóle bardzo trudno jest oceniać te bezpośrednio powojenne czasy. Obok niewątpliwych zbrodni stalinowskich następowały przecież niezwykle zmiany na wsi związane z walką z analfabetyzmem.

Ja sama weszłam w konflikt z własnym wujem, który powątpiewał, że Gomułka uda się coś zmienić. I gdyby nagle w jakiś sposób zakończył on wówczas życie, mówilibyśmy zapewne do dzisiaj, że wszystko byłoby inaczej, gdyby jeszcze żył Gomułka.

W „Pisanym z doskoku” przywołuje Pani różne momenty z historii Polski i właściwie nieustannie towarzyszy temu rozczarowanie rodzimą polityką: czy to był PRL, czy epoka po roku 1989.

Jak widać, sądzono mi zawsze być po stronie opozycji. Zapewne w wielu wypadkach zbyt wiele pragnę.

Czego najbardziej?

Może tego, aby historia przestała być zakłamywana.

Był w historii Polski czas politycznego dobrostanu?

Boję się, że nie. Ta wizja może być tylko moją utopią.

A czy Pani spodziewała się wojny rosyjsko-ukraińskiej?

Chyba nikt się tego nie spodziewał, ja na pewno nie. Gorącym problemem stał się ostatnio problem bojkotu Rosjan w życiu naukowym i artystycznym, gdyż jak zawsze w takich przypadkach są w Rosji ludzie, którzy dają dowody bardzo dużej odwagi. Np. znana językowniczka, prof. Swietłana Tołstojowa, wraz z córkami umieściła w internecie pod koniec lutego odważne wystąpienie opowiadające się przeciwko temu konfliktowi.

W tym świetle tendencja, by wszystkich Rosjan usuwać z komitetów redakcyjnych, staje się już moralnym problemem. W środowisku toczy się na ten temat ożywiona dyskusja.

A Pani zdanie?

Opowiadam się za tym, że te osoby należy zostawić w „stopce”. Lecz nastroje są zupełnie inne.

Pani ojciec ukończył uniwersytet kijowski...

Miał jeszcze dyplom przedrewolucyjny, zrobił go w 1917 r. Do wspomnień o Ukrainie wracał często. „Gdyby orłem być, lot sokoła mieć, lotem orłem lub sokołem unosić się nad Podolem...”, nucił uśmiechając się melancholijnie, kiedy był już

bardzo chory. A mnie samej nigdy nie udało się dotrzeć do Kijowa. Za czasów ZSRR starałam się o to kilkakrotnie. Byłam najbliższa celu, gdy w 1983 r. odbywał się w Kijowie Międzynarodowy Kongres Sławistów. Miałam na ten Kongres zatwierdzony referat. Ale na dzień przed wyjazdem dziewiętnastu polskich referatów nie otrzymało paszportów. Na miejsce profesorów i docentów z referatami pojechali ludzie bez referatów i tytułów, ale za to niepowiązani z Solidarnością.

A teraz jak Pani patrzy na Kijów, to co Pani myśli?

Widzę obrazy, które pamiętam z powstania i z ostatniej wojny. Całym sercem jestem po stronie prześladowanych. Ta wojna zapewne będzie się jeszcze długo jątrzyć. I zapewne też niedługo pojawi się kolejny problem: piękny zryw polski do pomagania uchodźcom nie może długo trwać. Pojawiają się niesnaski, oskarżenia, niechęci. W ogóle świat wokół nie jest przyjazny. Czasem nawet cieszę się, że ja już *volens volens* za długo nie będę go obserwować.

Smutno.

Ale miałam w życiu kilka pięknych chwil. Na pewno te pierwsze dni powstania były taką jasną smugą.

Naprawdę?

Po pierwsze, wierzyliśmy, że powstanie szybko się skończy. Po drugie, z początku byli i tacy, którzy wierzyli, że jednak Rosjanie stojący na drugim brzegu Wisły przyjdą nam z pomocą. Ale ostatnie tygodnie powstania były straszne. To wówczas Józef Andrzej Szczepański, ps. „Ziutek”, walczący na Woli i w Śródmieściu, napisał przejmujący wiersz zaczynający się od słów: „Czekamy ciebie – czerwona zarazo / Byś wybawiła nas od czarnej śmierci, / Byś nam, kraj przed tym rozdarłszy na ćwierci, / Była zbawieniem witanym z odrazą”. Mogę to sobie wyobrazić, bo przeżyłam straszne chwile na Zieleniaku.

Drugą piękną chwilą mojego życia był karnawał Solidarności. Odmłodnieliśmy wówczas i byliśmy bardzo szczęśliwi. Na ulicach Warszawy widywało się 60-, 70-latków z ocalonymi jeszcze z powstania plecakami.

A na miłość wśród tych pięknych chwil jest miejsce?

Ona jest zawsze bardzo istotna. Wzięła się z niej ta książka, i z mojego niepokoju o córkę, która od końca lat 80. mieszka między Polską a Stanami Zjednoczonymi. Początkowo spisywałam te wspomnienia tylko dla Agnieszki, by wiedziała więcej o dziejach swojej rodziny. Sama przed wojną żyłam w wielopokoleniowej rodzinie. W tej chwili te dawne układy zanikają, przede wszystkim dlatego, że kobiety na równi z mężczyznami oddają się pracy zawodowej i chcą mieć swoje własne życie. Sztuką jest ułożyć to wszystko i na wszystko znaleźć czas.

Pani ze swoim mężem zna się 70 lat.

I długo trwało, zanim przeszliśmy na ty. W naszych czasach nie było jeszcze szkół koedukacyjnych, co sprzyjało zachowaniu się form: pan – pani. Czuło się ponadto językowy komizm powiedzenia „wyście mówiliście”, który miał w przyszłości trafić do kabaretu. Zachowanie tych dawnych form stanowiło więc jeszcze jeden rodzaj oporu. A z mężem poznałam się na studniówce, w Wielką Sobotę obchodziliśmy 63. rocznicę ślubu. Dawniej w tę rocznicę chodziliśmy wieczorem na kolację, choć niełatwo było wówczas o dobrą restaurację.

Jest jakaś recepta na dobre wspólne życie?

Przeświadczenie, że ludzie się nie zmieniają. I jeśli mają cechy odmienne od naszych, lecz przez nas akceptowalne, walczyć z nimi nie należy.

Trudne.

Dla mnie niespecjalnie. Nasza sytuacja jest już zresztą zupełnie nietypowa, bo wokół nas jest coraz mniej ludzi, którzy tak długo trwają przy życiu i co więcej, jeszcze trwają w małżeństwie.

„Życie nie jest romansem, czym nie należy się zrażać” – taki wpis zostawił pan Topoliński w pamiętniku swojej córki, mojej bliskiej koleżanki z lat akademickich. Ja dziś dodam: czasem nie pozostaje nic innego, jak się nie zrażać.

Ale jedno muszę podkreślić: jestem optymistką. Może to za mało wybrzmiało w tej rozmowie, a także w książce. Optymizm w życiu mi pomagał i pomaga nadal. Choć w tej chwili zachowanie optymizmu zakrawa na rodzaj cudu, bo przecież wszyscy przeżywamy czas pod każdym względem bardzo ciężki.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

„NASZ
NAJWIĘKSZY
SKLEP”

Książki, których szukasz,
czekają na Ciebie
w jednym miejscu.

allegro



CARMEN MARIA MACHADO

EVA MEIJER

ROBERTO ESPOSITO

ABDULRAZAK GURNAH

24-30.10.2022

WSPÓLNOTY

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL LITERACKI

Festiwal Conrada, 24 – 30 października 2022



GRZEGORZ JANKOWICZ

Festiwal – zwłaszcza taki, który odbywa się cyklicznie od wielu lat – jest miejscem spotkania dla osób zainteresowanych jakąś dziedziną, np. literaturą, i chcących swoje pasje współdzielić z innymi. Czy tę grupę można nazwać wspólnotą? Czy relacje, które się wtedy zawiązują, można określić mianem wspólnotowych? Jako organizatorzy Festiwalu Conrada odruchowo odpowiadamy: tak, wraz z Wami, Pisarkami i Pisarzami, Czytelniczkami i Czytelnikami, tworzymy wspólnotę, która spotyka się co roku w Krakowie, by rozmawiać o świecie za pomocą różnych języków literackich.

Jednak jako obserwatorzy życia kulturalnego i społecznego mamy kilka zastrzeżeń, gdyż wspólnota jako pojęcie odsyłające do pewnej grupy osób, a szerzej bytów, jest dziś definiowana na wiele – niejednokrotnie sprzecznych ze sobą – sposobów. Mamy do czynienia z wieloma wspólnotami, z których jedne ciągle się przekształcają, drugie zaś starają się zachować tę samą strukturę. Niektóre z nich zawierają sojusze, inne niestrudzenie ze sobą walczą. Pewne jest jedno – mimo licznych zmian kulturowych, politycznych czy ekonomicznych, wciąż myślimy o naszych relacjach społecznych w kategoriach wspólnotowych, nie ma w tym jednak nic oczywistego. Od pierwszej edycji Festiwalu towarzyszy nam przekonanie, że z tym, co nieoczywiste, najlepiej mierzyć się z pomocą literatury, dlatego tegoroczną edycję Conrada nazwaliśmy „Wspólnoty”.

Wśród dominujących wykładni naszego hasła wciąż znajdują się te etyczne. Mowa w nich wyłącznie o obowiązku i powinności jednostki wobec innych jako fundamentach wspólnotowych więzi. Trzeba jednak pamiętać, że etyka bywała i bywa wykorzystywana jako zasłona dla politycznej funkcji wspólnoty. Etyczny nakaz może być zarówno kurtyną, pod którą ukrywa się polityczny wymiar każdej grupy, jak i narzędziem, za pomocą którego grupa ta uprawia politykę (zobowiązanie wobec jednej wspólnoty jest sposobem, w jaki ta ostatnia może odróżnić się od innych i prowadzić z nimi walkę). Ale to nie jest jedyna droga. Wspólnotę można pomyśleć i zorganizować jako dobrowolny związek osób, które chcą ze sobą współpracować nie mimo, lecz właśnie na skutek dzielących je różnic. Takie rozumienie zakłada dobrowolność, spontaniczność i swobodę uczestnictwa.

Widać wyraźnie, że zgłębiając rozmaite znaczenia tegorocznej idei przewodniej, zmuszeni jesteśmy zadawać kolejne pytania. Zaprosiliśmy do Krakowa pisarki i pisarzy z całego świata nie po to, by ostatecznie rozstrzygnąć liczne kwestie związane z tematem wspólnoty, lecz po to, by w różnorodności ich doświadczeń i opowieści poszukać inspiracji do tworzenia nowych form jednostkowego i zbiorowego życia.

©P GRZEGORZ JANKOWICZ

DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU CONRADA

W NUMERZE



I25

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI
Wspólnota, wojna i władza

I30

EVA MEIJER
Los wszystkich istnień

I34

NAGRODA
CONRADA

I36

MATEUSZ BURZYK
Wspólnota jako wyzwanie

I40

MONIKA OCHĘDOWSKA
Słowo na P

I44

GRZEGORZ JANKOWICZ
Pomiędzy

REDAKCJA

Grzegorz Jankowicz
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA
Grażyna Makara
GRAFIKA NA OKŁADCE
Krzysztof Iwański / KBF

Organizatorzy:



kbf:



www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Dyrektorka wykonawcza
– Urszula Chwalba

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Wspólnota, wojna i władza

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Ocalające poczucie wspólnoty potrafi zrekompensować niedobory indywidualnego życia, nawet te najokropniejsze. Wojny nie tylko przynoszą zniszczenie i ból. Ujawniają też reguły rządzące ludzkimi wspólnotami.

1 W jednym z opowiadań Balzaka narrator opisuje dyskusję młodych paryskich spekulantów, którzy próbują dociec źródeł fortuny jednego z ich znajomych. Rozmowa ta, czytamy, „świadczyła o wyczerpaniu dusz żyjących wyłącznie sobą, bez innego celu prócz zadowoleń egoizmu, będącego owocem pokoju, w którym żyjemy” (tłum. Tadeusz Boy-Żeleński).

Opowiadanie napisane zostało w roku 1837 i rzeczywiście Francja od ponad dwudziestu lat, czyli od klęski Napoleona, nie uczestniczyła w żadnej wojnie. Wrzucona marginalnie do toku narracji teza Balzaka zdawała się dla jego czytelników, oswojonych z dekadencją wczesnego kapitalizmu, czymś oczywistym. Im mniej wojny, tym więcej egoizmu i odwrotnie: im więcej wojny, tym mniej narcyzmu. Starożytne powiedzenie o milczeniu Muz podczas zbrojnego konfliktu zostaje przez Balzaka uwspółcześnione: im mniej wiąże nas wojna, tym drapieżniej jednostki walczą o własne interesy. Kiedy zaś wojna wybucha, jednostki nagle odnajdują wspólny interes z innymi. Można z tego wyciągnąć wniosek, że wojna, choć niszcząca dla jednostek i ich prywatnych interesów, jest korzystna z punktu widzenia wspólnoty, która dzięki niej może zdobyć się na coś, czego nigdy by w czasie pokoju nie przeczuwała.

2 Jedną z tych korzyści opisał przed laty niemiecki filozof Hans Blumenberg. Analizując polityczną historię Europy, doszedł do wniosku, że istnieje „korelacja między demencją państwa a krzepnięciem pokoju”, albowiem – jak pokazują dzieje – „państwo od zawsze było podmiotem pokoju jedynie w stanie wycieńczenia” (tłum. Piotr Graczyk). Według filozofa tym, co zakłóca pokój, jest agresywne państwo, które zmierza do „ureczywistnienia się w sposób wyższy”. Najlepszym zaś sposobem na „ureczywistnienie się” państwa jest postawienie go w stan kryzysu, który staje się „instrumentem wewnętrznej stabilizacji władzy”.

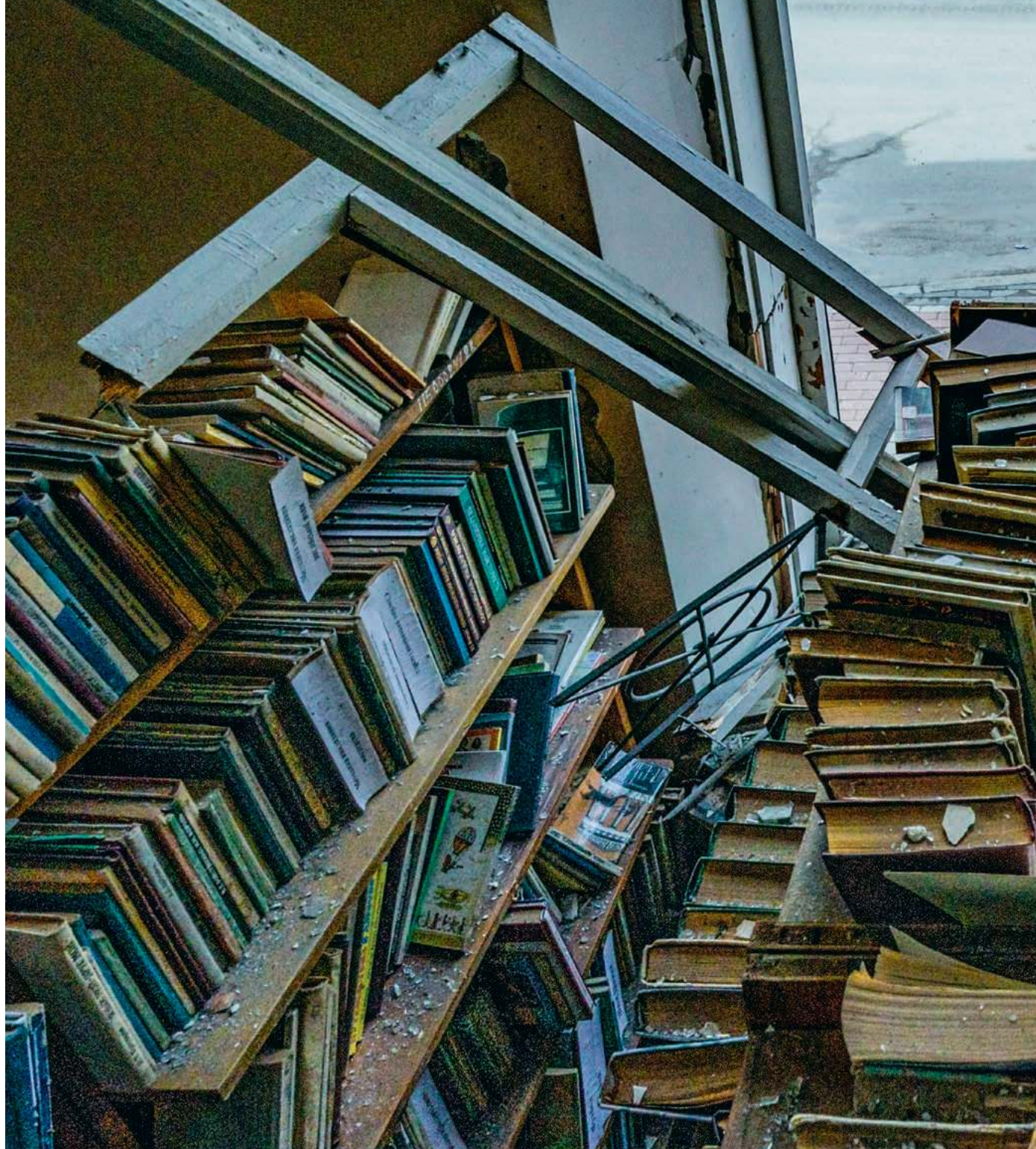
Kontynuując analizę Blumenberga, można powiedzieć, że wojnę wywołuje państwo, które samo w sobie jest słabe i w swojej zewnętrznej potędze widzi szansę na wewnętrzne umocnienie. Nietrudno zauważyć, że tak samo zachowuje

się agresywny ojciec, który szuka ratunku dla swojej impotencji w różnych formach przemocy domowej. To słabe, a nie silne państwo wywołuje wojnę, gdyż celem wojny nie jest bynajmniej dominacja nad innym państwem, lecz likwidacja własnej niestabilności. Zewnętrzna przemoc jest niezaprzeczalnym dowodem na wewnętrzną słabość, na którą lekarstwa szuka się w niewłaściwym miejscu.

3 Władza w państwie wywołującym wojnę rozpaczliwie szuka scalającej zasady, która pozwoli jej umocnić się wobec wspólnoty, którą reprezentuje. Wojnę, której celem jest umocnienie władzy, można prowadzić wewnątrz państwa albo na zewnątrz. Albo z użyciem siły, albo bez niej. Wojna wewnętrzna z użyciem czołgów to dyktatura, wojna wewnętrzna z użyciem słów to wojna kulturowa. Wojna zewnętrzna z użyciem armii to agresja. Wojna zewnętrzna bez użycia rakiet to imperializm. Imperializm może korzystać z przemocy militarnej, ale nie musi, gdyż ma do dyspozycji wiele innych skutecznych form podboju: od ekonomii po kulturę. Oto paradoks każdego imperium: by się wzmocnić wewnętrznie (czyli uzasadnić swoją władzę wobec wspólnoty), musi angażować się w konflikt zewnętrzny, który w ostateczności wyniszcza jego siły. Logistyczna i mentalna obsługa eksportu własnej przemocy (fizycznej lub innej) kosztuje niestety tak dużo, że wcześniej czy później – fizyka jest nieubłagana – musi zabraknąć napędu. Imperia upadają, bo upaść muszą. Nie wytrzymują wewnętrznego konfliktu, który powołał je do istnienia. Kto jest zadowolony z własnego życia wewnętrznego, nie napada na nikogo i cieszy się długo udaną egzystencją, która cieszy też innych.

4 A co z ofiarami przemocy i agresji, z ofiarami wojny? Cierpią i giną jednostki, ale umacniają się wspólnoty, gdyż mają teraz jeden wspólny cel, zamiast mnóstwa rozproszonych celów pojedynczych. Teraz ich wspólnym celem jest obrona przed wrogiem i cel ten przekształca ich słabość (która spowodowała agresora) w siłę. Naprzeciw siebie stają agresor, czyli słaby podmiot, który dopiero szuka zasady integracji, i ofiara agresji, czyli

→



⇒ słaby podmiot, który zasadę tę już znalazł, bo dostał ją z rąk wroga. Broniący samego siebie słaby podmiot ulega nagle scaleniu i przeobrażeniu. Jego fizykę, czyli siłę militarną, wspiera teraz metafizyka, czyli – by użyć klasycznego wyrażenia – zasada racji ostatecznej, która mobilizuje całą wspólnotę przeciwko groźbie unicestwienia. Ta metafizyka może mieć zarówno święty, jak i świecki charakter. Najczęściej obydwa te wymiary spotykają się w sytuacji zagrożenia.

Z punktu widzenia logiki symbolicznej naród jest wspólnotą zbudowaną na podobnej zasadzie, co wspólnota religijna. Zarówno Kościół, jak i naród to wyrwa w fizyczności,

niewidzialne spoiwo, które łączy ludzi poprzez akt wiary w umowną przynależność. Stąd gładki przeskok od nacjonalizmu do religii i odwrotnie – odejście od Kościoła bardzo często towarzyszy zwątpieniu w narodową przynależność. Inaczej w czasach wojny: poczucie zbiorowej przynależności daje symboliczną osłonę drżącym ciałom, bez której nie sprostają one dotkliwej fizyczności.

W czasie wojny cierpią i giną jednostki, ale nie wspólnoty, bo tych, ze względu na ich symboliczny charakter, nie można łatwo unicestwić. Gdyby tę logikę doprowadzić do końca, należałoby powiedzieć, że z punktu widzenia za-



CELESTINO ARCE / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Zniszczona przez armię rosyjską biblioteka w Czernichowie. Ukraina, kwiecień 2022 r.

atakowanej wspólnoty wojna jest wyjątkowo korzystna, gdyż uruchamia uśpione rezerwy integracyjne. Racje metafizyczne przekraczają racje fizyczne i to, co dotyka pojedynczych ludzi, pojedyncze zwierzęta, pojedyncze domy i urzędnicy, ich zniszczenie i degradacja, nie dotyka ponadjednostkowego spoiwa, jakim jest poczucie dumy z przynależności do niszczonej wspólnoty. Jest tak dlatego, że ocalające poczucie wspólnoty potrafi zrekompensować wszystkie niedobory indywidualnego życia, nawet te najokropniejsze. Wojny nie tylko przynoszą zniszczenie i ból. Ujawniają też reguły rządzące ludzkimi wspólnotami.

5 Trzeba uważać na kwantyfikatory. Czy poczucie zagrożenia rzeczywiście „mobilizuje całą wspólnotę”?

Gdyby tak było, nie znalazłbyśmy fenomenu zdrady i kolaboracji, która rozrywa cud znalezionej jedności. Obiektywnie rzecz biorąc, zdrada i kolaboracja dowodzą nieskuteczności metafizycznej integracji i ujawniają przemieszczenie interesów jednostki poza własną wspólnotę. Żaden jednak zdrajca nie może liczyć na obiektywność sądu, niezależnie od tego, na jakim poziomie ów sąd zostaje umieszczony. Zdrajcom się nie wybaczają, choć zdrajca w jednych oczach jest zwykle bohaterem w innych. Działa tu jedna



→ reguła: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Kara dla zdrajcy jest symbolicznym aktem oczyszczenia wspólnoty, która myśli o sobie wyłącznie w kategoriach „naturalnej” jedności.

6 Słowo „naturalnej” wzięte zostało w nawias, bo jeśli chodzi o wspólnoty, to nie ma w nich nic „naturalnego”. Są one tworami powstającymi w sprzyjających okolicznościach, które mogły, ale wcale nie musiały się ukonstytuować. Skoro każda wspólnota wyłania się z określonej – politycznej, egzystencjalnej, instytucjonalnej – konstelacji zdarzeń, żadnej wspólnoty nie jest pisany żywot wieczny. Żadna wspólnota nie jest tworem koniecznym. By się o tym przekonać, wystarczy przyjrzeć się dziejom.

Na wiele sposobów próbowano wytłumaczyć fenomen rozpadu wspólnot i najczęściej uciekano się do metafor przyrodniczych: wspólnoty „rodzą się”, „rosną” i „umierają”, jakby były żywymi organizmami. Ale nie są. Ich znikanie wynika z odmiennej aranżacji pola społecznego, w którym brakuje już dla nich miejsca. Ich istnienie podtrzymywane jest przez wyobraźnię, język, przyzwyczajenie, interesy: gdy one się zmieniają, gdy zmienia się ich układ, wspólnotom odebrana jest lub nadana racja istnienia.

7 Zależy nam na tym, żeby trwało to, co przynosi nam satysfakcję, gdyż tak ludzkie życie jest urządzone, że dążymy do zadowolenia i staramy się, jak możemy, unikać poczucia przykrości. Wspólnota z tego punktu widzenia to przede wszystkim obietnica satysfakcji, nadzieja dobrego samopoczucia, społeczna dopamina, której nie umie wyprodukować pojedynczy organizm. Ale ten pojedynczy organizm może znajdować inne metody osiągania satysfakcji, niekoniecznie związane ze wspólnotą. Gdy św. Augustyn napominał swoich czytelników, by nie szli na rynek, lecz by w sobie samych odnajdywali prawdę, to ostentacyjnie przesuwiał akcent z życia wspólnotowego na indywidualne. Z punktu widzenia wspólnoty stereotypowy obraz filozofa zatopionego we własnych myślach jest śmieszny, ale z perspektywy owego filozofa śmieszna jest wspólnota, która – jak pisał Pascal – ugania się na złamanie karku za piłką i zajęcem.

8 Jaki związek ma wspólnota z władzą? Sama w sobie wspólnota nie ma żadnej władzy, jest zatem bezbronna. Wprawdzie wspólnota zawiązuje się dlatego, że jest silniejsza niż jednostka, jednak sama w sobie stanowi związek kruchy i wystawiony na niechęć innych wspólnot. Dlatego w chwili powstania musi wyłonić z sie-

■ Im mniej wojny, tym więcej egoizmu. I odwrotnie: im więcej wojny, tym mniej narcyzmu. Starożytne powiedzenie o milczeniu Muz podczas zbrojnego konfliktu można uwspółcześnić: im mniej wiąże nas wojna, tym drapieżniej jednostki walczą o własne interesy. Kiedy zaś wojna wybucha, jednostki nagle odnajdują wspólny interes z innymi.

bie władzę, która będzie ją chronić i reprezentować na zewnątrz. W zamian użycza jej przywilejów, których sama nie posiada. Państwo na przykład, jak słusznie zauważył Max Weber, ma monopol na przemoc i używa jej, zabezpieczając własne interesy, czasem nawet wbrew woli obywateli, którzy nie mogą już na to nic poradzić, gdyż sami obdarzyli władzę państwową tym mandatem. Obywatele pod groźbą kary nie mogą używać przemocy wobec państwa, które jest jej wyłącznym dysponentem.

Bezbronne wspólnoty domagają się ochrony do tego stopnia, że potrzeba bezpieczeństwa przeważa nad innymi potrzebami – na przykład sprawiedliwością czy wolno-

ścią – i prowadzi do umowy handlowej między wspólnotą i władzą: ty dasz nam poczucie bezpieczeństwa, a w zamian my zrezygnujemy z naszych swobód obywatelskich. Ty będziesz się cieszył władzą nieograniczoną, my zaś zadowolimy się złudą spokojnego życia. Nic w tym dziwnego: każda wspólnota domaga się uznania w swoim jestestwie, co nie może się dokonać bez zagwarantowania jej bezpieczeństwa.

9 Czy można być niezadowolonym ze wspólnoty, w jakiej się żyje? Nie można. Z definicji nie można, gdyż człowiek chce być we wspólnocie dlatego, że życie w niej uważa za wysoce zadowalające. Można natomiast nie chcieć żyć w danej wspólnocie – albo od niej stronić, albo z nią zerwać, gdy tylko życie w niej zaczyna przynosić więcej smutku niż radości, gdy interesy wspólnoty i interesy jednostki zaczynają się poważnie różnić. Tak jak żywot wspólnot nie jest wieczny, tak nikt nie jest wieczyście przypisany do jakiejś wspólnoty. Tyle że wspólnota nie bardzo chce uwierzyć, że kogokolwiek mogłaby uwierać, że komukolwiek mogłaby się nie podobać. Jak to, pytają członkowie wspólnoty, nasza wspólnota jest dobra dla nas, ale nie dla ciebie? Czyli co, jesteś niby lepszy od nas, że się chcesz wypisać? Nam się podoba, a tobie nie? Wspólnoty rzadko wybaczą odstępstwo i czują się z nim jak Shylock z wyrwanym kawałkiem mięsa.

10 W 12. rozdziale Pierwszego Listu do Koryntian Paweł szkicuje teologię ciała Chrystusa. Wszyscy ochrzczeni w Duchu Świętym stanowią jedno ciało i tak jak poszczególne członki ciała nie mogą w tym ciele nie uczestniczyć, tak wszyscy wierni są ze sobą nierozzerwalnie związani: „wprawdzie liczne są członki, ale jedno ciało” (Biblia Tysiąclecia). „Jeśli by noga powiedziała: Ponieważ nie jestem ręką, nie należę do ciała – czy wskutek tego rzeczywiście nie należy do ciała? Lub jeśliby ucho powiedziało: Ponieważ nie jestem okiem, nie należę do ciała – czyż nie należałoby do ciała?”. Z tak rozumianej wspólnoty –

wspólnoty – jako ciała – nie ma ucieczki, bo członki ciała nie mogą się przecież same z siebie usamodzielniać, a jeśli dochodzi do odłączenia jakiejś części ciała od całości, to końcowym efektem może być tylko okaleczenie, czyli wspólnota dysfunkcyjna. Gdy tylko zaczynamy myśleć o wspólnocie jako ciele ludzkim albo używamy metafory ludzkiego ciała do jej opisu, wkraczamy na drogę wspólnotowego szantażu, który nie pozwala nodze czy oku obsługiwać ciała zgoła odmiennych. Na szczęście medycyna w pewnym momencie wynalazła transplantację i takie skandaliczne, „nienaturalne” przeszczepy okazały się czymś zwykłym, co pozwoliło także przebudować naszą „cielesną” metaforę.

11 Wspólnota – to brzmi dumnie. Ale tylko dla jej członków. Każda wspólnota ma dwa aspekty: łączący jej członków i odłączający ją od innych wspólnot, integracyjny i różnicujący. Bardzo często obydwa te aspekty napędzają się wzajemnie i wówczas integracja we wnętrzu wspólnoty jest możliwa jedynie za cenę poróżnienia z innymi. Prawdę mówiąc, tam gdzie wchodzi w grę najżywotniejsze interesy, tam życie wspólnoty jest całkowicie uzależnione od możliwości odróżnienia się od innych wspólnot. W takich sytuacjach wydaje się, że wspólnota nie ma żadnej substancji, lecz tylko negatywne relacje z innymi.

Wystarczy pomyśleć o polskim antysemityzmie, który jest jednym z klasycznych przypadków, kiedy to jedna wspólnota (polska) czuje się silniejsza dzięki temu, że stanowczo odróżnia się od innej (żydowskiej). Ale antysemityzm, jak każdy rasizm, dodaje do tego odróżnienia wartościującą nadwyżkę: Żydzi nie tylko są inni, ale są też, jako inni, gorsi. Jeżeli są gorsi, to „my”, czyli wspólnota polska, jesteśmy z definicji lepsi. Potrzebujemy Żydów jako gorszych, bo nie mamy wielu innych sposobów na „lepszość”. Oczywiście, jak w każdym rasizmie, kluczową rolę odgrywa tu resentyment. Wspólnota biedna, niedouczone, poniżana nie umie

przetłumaczyć swojego resentymentu na język porozumienia, bo nie posiada żadnego języka, który by ją spajał poza nagą przemocą skierowaną na zewnątrz. Dlaczego antysemityzmu, mimo ogromnych wysiłków, nie da się wykorzenić z polskich umysłów? Bo nie da się z nich wykorzenić myślenia o wspólnocie jako zbiorze „lepszyc” jednostek, których „lepszość” padła łupem wrogów. Kto jest antysemitą albo rasistą jakiegokolwiek rodzaju, podlega presji wywieranej przez myślenie wyłącznie wspólnotowe.

12 „– Krótko mówiąc, Węgrzy to hołota – zakończył stary saper Vodička, na co Szwejk zauważył: – Niektóry Węgier nie winien temu, że Węgier. – Jakżeby nie – rozeźlił się Vodička – każdy temu winien, nie pleć głupot” (tłum. Antoni Kroh).

W tym krótkim dialogu odbijają się dwie różne szkoły myślenia o wspólnocie. Jedna, reprezentowana przez starego sapersa Vodičkę, zakłada, że każda wspólnota zbudowana jest na jednorodnej esencji, którą łatwo zdefiniować („Węgrzy to hołota”). Druga, reprezentowana przez Józefa Szwejka, zakłada, że jeśli nawet taka esencja istnieje (sam Szwejk jest dumnym Czechem), to nie ma ona władzy absolutnej nad każdym. Jest to spójne z nominalistycznym światopoglądem Szwejka, który każdej narzuconej regule przeciwstawia opowieść o przypadkach pojedynczych ludzi. Vodička nienawidził wszystkich Węgrów, bo przeniósł swoje jednostkowe doświadczenie („jak mnie się zdarzyło”) na całą grupę etniczną, która z kolei musiała wcielać się w każdy kolejny indywidualny przypadek. Szwejk natomiast zawsze od jednostkowego zaczynał i na jednostkowym kończył, dlatego – choć nie zawsze zgadzał się z saperem Vodičką – koniecznie chciał się z nim napić piwa „o szóstej wieczorem po wojnie u Kalicha” (tłum. Antoni Kroh). Wojna jest sprawą wspólnot, ale piwo o szóstej u Kalicha jest sprawą jednostek. Gdy te dwie sprawy ze sobą się gwałtownie zderzą – nieśczęście gotowe.

© MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Conrad 2022: instrukcja obsługi

14. EDYCJA FESTIWALU

CONRADA pt. „Wspólnoty” odbędzie się w dniach 24-30 października i będzie miała w całości stacjonarny charakter. Z zaproszonymi pisarkami i pisarzami będą się Państwo mogli spotkać w naszym centrum festiwalowym. Program główny Festiwalu ogłosimy 15 czerwca, ale już teraz chcielibyśmy zapewnić, że projektując go,

dbaliśmy o różnorodność, przejrzystość oraz dostępność. Zależy nam na tym, by znów spotkać się z Państwem w przestrzeni festiwalowej i poczuć tę niezwykłą atmosferę, którą wspólnie tworzyliśmy przed pandemią.

W programie głównym znajdzie się cykl warsztatów lekturowych przeznaczonych przede wszystkim dla uczniów i uczniów szkół średnich z Krakowa i Małopolski, będący częścią realizowanej przez Fundację Tygodnika Powszechnego akcji społecznej „Lekcje czytania”.

W tym roku celem warsztatów będzie przeciwdziałanie dyskryminacji, a także upowszechnianie tolerancji i inkluzywnych sposobów komunikacji. Pięć spotkań poświęconych literaturze opowiadającej o doświadczeniach osób LGBTQA+ zorganizujemy pod szyldem **QUEEROWE LEKCJE CZYTANIA**. Program i informację o zapisach na poszczególne warsztaty udostępnimy również 15 czerwca.

Za Państwa namową postanowiliśmy rozwinąć jeden z naszych ubiegłorocznych

formatów – **CAŁOROCZNY CYKL ROZMÓW „NATURA PRZYSZŁOŚCI”** – który od maja do grudnia będziemy prezentować online w ostatni czwartek każdego miesiąca. Pierwsza seria, prowadzona przez Grzegorza Jankowicza, cieszyła się dużą popularnością (obejrzało ją przeszło 70 tysięcy osób). Drugi sezon zainicjujemy 26 maja wywiadem z Elizabeth Kolbert. Wśród tegorocznych gości i gości „Natury przyszłości” znajdą się także Abdulrazak Gurnah, Lauren Groff czy Peter Pomerantsev. ©



Los wszystkich istnień

EVA MEIJER:

Zacieśniamy relacje z najbliższymi nam zwierzętami.
Nie tylko na poziomie emocjonalnym, ale także społecznym
– włączamy je do naszej wspólnoty, przez co lepiej dostrzegamy
ich indywidualną podmiotowość.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Wiele osób zwraca uwagę, że uchodźcom z Ukrainy często towarzyszą ich psy i koty.

EVA MEIJER: Status zwierząt pozaludzkich w naszych społeczeństwach zmienił się w ciągu ostatniej dekady. Część z nich postrzegana jest już jako członkowie rodziny. Jednocześnie na tym samym przykładzie widać, że wciąż istnieje hierarchia, w której zwierzęta towarzyszące są zdecydowanie bardziej uprzywilejowane. Oczywiście – o ile mają swoich właścicieli. Przy okazji też ujawniły się problemy natury prawnej, choćby z przekraczaniem granicy, bo uciekający nie mieli odpowiednich dokumentów. Osobną kwestią jest los zwierząt gospodarskich. Bez człowieka krowy, świnie czy kury najprawdopodobniej umrą z głodu.

Sam fakt, że o tym rozmawiamy, dowodzi jednak, że coś się zmieniło w naszym myśleniu.

Bez wątpienia. Zacieśniamy relacje z najbliższymi nam zwierzętami, czyli psami i kotami. I to nie tylko na poziomie emocjonalnym, ale także społecznym – włączamy je do naszej wspólnoty, przez co coraz częściej dostrzegamy ich indywidualną podmiotowość. Problem w tym, że to wciąż relacja jednostronna, oparta na decyzjach ludzi, dlatego nie podważa podziału na zwierzęta lepsze i gorsze.

A może to zapowiedź dalszych zmian?

Emocjonalny stosunek do wybranych zwierząt może bez wątpienia być punktem wyjścia do dalszej debaty o miejscu i roli wszystkich zwierząt w naszym świecie. Kryzys migracyjny, o którym mówimy, stał się na przykład impulsem do ujednolicenia systemu prawnego regulującego możliwości przemieszczania się zwierząt wewnątrz Unii Europejskiej.

To zacznijmy od początku. Piszę Pani, że samo słowo „zwierzę” jest problematyczne. Dlaczego?

Zgrabnie ujął to Derrida: podział na ludzi i zwierzęta jest oparty na przemocy, zarówno tej symbolicznej, jak i konkretnej, fizycznej. Pojęcie „zwierzę” zawiera w sobie tak różne i niepodobne do siebie istoty jak ssaki naczelne, ryby czy insekty, co samo w sobie jest już problematyczne. Co więcej, taki ostry podział często służy legitymizacji najróżniejszych form prze-

EVA MEIJER (ur. 1980) – holenderska pisarka, filozofka, artystka wizualna, autorka tekstów piosenek oraz ich wykonawczyni. Entuzjastycznie przyjęła jej dwie powieści „Het schuwste dier” („Najpłochliwsze zwierzę”) oraz „Dagpauwoog”, jak też przełożona na polski pracę badawczą poświęconą komunikowaniu się zwierząt pt. „Języki zwierząt”. „Dom ptaków” – kolejna praca naukowa – ukazał się do tej pory w tłumaczeniu na język angielski, niemiecki, turecki i polski. W Polsce wydano jeszcze dwie jej książki: „Zwierzęta mówią” oraz „Granice mojego języka. Esej o depresji”.

mocy, bo „to tylko zwierzę”. W ten sposób ludzie sami sobie przyznają wyjątkowy status, co z kolei determinuje standardy, wedle których oceniamy wartość innych gatunków. A przecież to arbitralnie przyjęta perspektywa – każde zwierzę jest wyjątkowe.

Dlatego używa Pani pojęcia „non-human animal”?

W ten sposób sygnalizuję zmianę hierarchii bytów, z którymi dzielimy naszą rzeczywistość. Słowo „człowiek” od zawsze było definiowane poprzez wykluczenie różnych istnień, także innych ludzi, choćby kobiet, dzieci czy nie-Europejczyków. Świadomość, że człowieczeństwo oparte jest na relacji władzy, narodziła się przez wieki, a emancypacja możliwa jest tylko wtedy, gdy dochodzi do przesunięcia obowiązujących granic.

Skoro jesteśmy przy polityce – wprowadza Pani pojęcie „demokracji międzygatunkowej”. Co ono znaczy?

Na pierwszy rzut ucha zestawienie tych słów może zabrzmieć dziwnie, bo już od Arystotelesa polityka definiowana jest wyłącznie jako przestrzeń ludzka, a jedynym zwierzęciem politycznym jest człowiek. Jednak od lat ten ostry podział bywa na różne sposoby podważany. Po pierwsze, w greckiej koncepcji polityki mowa jest nie tyle o człowieku jako gatunku, ile o białych mężczyznach, będących do tego wolnymi obywatelami polis. Po drugie, za sprawą kolejnych badań naukowych wytyczanie jasnej granicy między

ludźmi i zwierzętami staje się coraz bardziej problematyczne. Większość różnic, które wcześniej uważaliśmy za kluczowe i rozstrzygające, okazuje się nie jakościowa, lecz ilościowa. Wcześniej na przykład zakładano, że tylko ludzie świadomie używają języka, budują relacje społeczne oraz tworzą kulturę, a to nieprawda. Po trzecie wreszcie, nawet tradycyjnie, czyli antropocentrycznie definiowane praktyki polityczne bywają udziałem zwierząt. Wiele gatunków świadomie ustala między sobą hierarchię władzy albo wspólnie podejmuje decyzje, czasem nawet poprzez głosowanie.

Jaki płynie z tego wniosek?

Mamy już wystarczająco dowodów na to, że nie jesteśmy jedynym gatunkiem, który w świadomy sposób kształtuje otaczającą go rzeczywistość. A skoro dzielimy świat z innymi podmiotami, powinniśmy tak przeformułować nasze myślenie o polityce, aby uwzględnić także ich perspektywę.

Istniejące do tej pory prawa zwierząt nie wystarczają?

Jednym z podstawowych założeń etycznych liberalnej demokracji jest ochrona jednostek słabszych czy niesamodzielnych, na przykład dzieci. Decyzje pełnoprawnych członków wspólnoty politycznej wpływają także na ich życie, stąd poczucie odpowiedzialności za ich los. Z tego samego powodu zrodziła się koncepcja praw zwierząt. Jednak niektórzy teoretycy idą krok dalej, uznając, że sama ochrona to za mało. Chcą dla zwierząt nie tylko praw, ale również możliwości ich współtworzenia. Skoro nauka udowodniła, że zwierzęta mają świadomość, język, a nawet kulturę, to dlaczego nie miałyby brać częściowego udziału w zarządzaniu naszym wspólnym światem?

Tylko jak się w praktyce do tego zabrać?

To bardzo nowa koncepcja, w której wciąż jest dużo więcej pytań niż odpowiedzi. Podstawowym problemem jest komunikacja. O ile w przypadku ssaków naczelnych, psów czy kotów instynktownie czujemy, że jest ona możliwa, o tyle w odniesieniu do innych gatunków trudno sobie nawet to wyobrazić. Jednocześnie wiele osób dostrzega rozdźwięk między tym, że wiele zwierząt traktujemy jako

→ pojedyncze, czujące jednostki, a jednocześnie odmawiamy im jakiegokolwiek prawa do samostanowienia.

Chodzi o przyjmowanie innej, nie-ludzkiej perspektywy?

Niekoniecznie przyjmowanie, raczej uwzględnianie. Nigdy nie spojrzymy na świat oczami słonia czy wróbla, o insektach czy innych odległych nam stworzeniach nie wspominając. Nie jest to jednak konieczne, aby próbować wypracować bardziej sprawiedliwe zasady koegzystencji.

A co z empatią?

Miłość, współczucie czy w ogóle emocjonalne podejście mogą być dobrym punktem wyjścia do działania, ale nie są one niezbędne. Więcej nawet, długoterminowo nie jest to najlepsze paliwo dla działań politycznych. Doskonale widać to w przypadku innych dyskursów emancypacyjnych – walka o równe prawa dla wszystkich ludzi nie zakłada, że musimy kochać całą ludzkość.

Dlaczego zatem powinniśmy reformułować nasze relacje ze zwierzętami?

Choćby z powodu postępującej katastrofy klimatycznej. Przez niszczenie środowisk naturalnych i masową hodowlę zwierząt na mięso zagrażamy istnieniu własnego gatunku. Jedynym ratunkiem jest radykalna zmiana naszego podejścia do świata – porzucenie idei, że człowiek może bezkarnie korzystać z całego świata, przekształcając go wyłącznie wedle własnej woli. Wprowadzenie zwierzęcej perspektywy do polityki byłoby dobrym krokiem w tę stronę.

Dużo pisze Pani także o samym języku. Tu również będą potrzebne zmiany?

Zwierzęta komunikują się z nami od zawsze i to na wiele sposobów. Każdy, kto ma kota lub psa, wie o tym doskonale. Problem w tym, że przez lata badań nad językami zwierząt braliśmy pod uwagę wyłącznie zdolność danego zwierzęcia do komunikacji z człowiekiem – i to na naszych, niezwykle restrykcyjnych zasadach. A to nie tylko aroganckie, ale zwyczajnie niemądre.

Na przykład uczenie szympanсів języka migowego?

■ Mamy już wystarczająco dowodów na to, że nie jesteśmy jedynym gatunkiem, który w świadomy sposób kształtuje otaczającą go rzeczywistość. A skoro dzielimy świat z innymi podmiotami, powinniśmy tak przeformułować nasze myślenie o polityce, aby uwzględnić także ich perspektywę.

■ Niektórzy teoretycy uważają, że sama ochrona to za mało. Chcą dla zwierząt nie tylko praw, ale również możliwości ich współtworzenia. Skoro nauka udowodniła, że zwierzęta mają świadomość, język, a nawet kulturę, to dlaczego nie miałyby brać częściowego udziału w zarządzaniu naszym wspólnym światem?

Pierwsze tego typu eksperymenty prowadzono już na początku XX w. W wielu przypadkach rezultaty były faktycznie zdumiewające. Niektóre szympansy potrafiły używać po kilkaset słów i to z zachowaniem podstawowych reguł gramatycznych. Jednak większość zwierząt albo nie jest zainteresowana tego typu komunikacją, albo ich anatomiczna specyfika,

przede wszystkim budowa układu nerwowego, na to nie pozwala.

Da się pokonać tę barierę?

W ostatnich latach wielu naukowców próbuje przemawiać do zwierząt ich własnym językiem, i to z dużym powodzeniem. Wykorzystują na przykład zapachy albo dźwięki, które często znajdują się poza zasięgiem ludzkich zmysłów. Jako gatunek nie jesteśmy w tej kwestii specjalnie utalentowani, dlatego większość niuansów nam umyka. Na przykład dźwięki wydawane przez pieski prioryowe dla naszego ucha brzmią jak seria jednakowych pisków, podczas gdy jest to złożony system językowy z elementami gramatyki, zdolny komunikować bardzo złożone treści. Odkryto nawet, że osobniki tego gatunku rozmawiają o nas – opisują wygląd poszczególnych ludzi i oceniają, jakie mają względem nich intencje. A jeszcze do niedawna panowało powszechne przekonanie, że zwierzęce komunikaty są wyłącznie instynktowną reakcją na bodźce zewnętrzne.

Czyli komunikacja, w której używa się abstrakcyjnych pojęć i gramatyki, nie jest ludzkim wynalazkiem?

A dlaczego miałaby być? Sam Darwin twierdził, że ewolucyjnie jest bardzo mało prawdopodobne, żeby dana cecha występowała wyłącznie u jednego gatunku.

To wyraca do góry nogami większość dotychczasowych teorii językowych.

Niekoniecznie, raczej poszerza definicję samego języka. Już od dawna wiemy, że nie tylko wypowiedziane słowa są nośnikami sensu, ale również mowa ciała czy kontekst, w którym odbywa się komunikacja. U zwierząt jest tak samo, tylko w innych proporcjach. Wielu filozofów języka twierdziło, że język to zamknięty system znaków, który da się w pełni kontrolować. Żeby to było możliwe, najpierw konieczne jest arbitralne wyznaczenie granic tego systemu. Języki zwierząt pokazują nam, że komunikacja zawsze jest głęboko zakorzeniona w konkretnej rzeczywistości, a przez to składa się z niezliczonych elementów.

Wróćmy do polityki międzygatunkowej. Możemy się jakoś dogadać w tym gąszczu języków?

Podkreślę jeszcze raz – nie chodzi o to, żebyśmy zaczęli ze słoniami albo sójkami dyskutować o bieżących wydarzeniach na świecie. Wszechobecność zaawansowanych zdolności komunikacyjnych w świecie zwierząt przede wszystkim unieważnia elitarny status naszego gatunku. Skoro inne stworzenia również odnoszą się do rzeczywistości w świadomy i złożony sposób, to ich perspektywa powinna być uwzględniana w naszym zarządzaniu światem.

Jeśli coraz lepiej je rozumiemy, to możemy przemawiać w ich imieniu?

Takie praktyki zawsze bywają ryzykowne etycznie, ale jednocześnie są konieczne, szczególnie w tak skonstruowanej hierarchii władzy. Parę lat temu zaadoptowałam grupę myszek laboratoryjnych. Obserwowałam je przez długi czas i stopniowo odkrywałam, jak złożone relacje społeczne panują między nimi, łącznie z empatią i opieką nad chorymi osobnikami. Naukowcy, którzy eksperymentują na myszach, zakładają, że nie są one zdolne do odczuwania bardziej zaawansowanych emocji. Tymczasem te moje wyraźnie czuły strach przed śmiercią pomimo braku bezpośredniego zagrożenia. Był to zapewne efekt wcześniejszych doświadczeń, gdy kolejni ich towarzysze znikali bezpowrotnie.

Czyli inne zwierzęta pozaludzkie również znają pojęcie śmierci?

Długo szukałam prac naukowych na ten temat – zwłaszcza na temat myszy – i nic nie znalazłam. Zwierzęta laboratoryjne mają wyłącznie wartość użytkową, więc nikomu nie przyszło na myśl, żeby badać ich zachowanie w tych skrajnie nienaturalnych warunkach. Wracając do poprzedniego pytania – tak, czasem mówienie w czyimś imieniu jest konieczne, tylko zawsze należy mieć świadomość własnej uprzywilejowanej pozycji.

W „Domu ptaków”, fabularyzowanej biografii Len Howard, brytyjskiej badaczki i miłośniczki ptaków, opisuje Pani właśnie taką relację.

Za swoją empatię i próbę głębszego zrozumienia ptasiego uniwersum Howard zapłaciła dotkliwą cenę. Stała się wyrzutkiem społecznym i otrzymała łatkę zdziwaczki staruchy. Z drugiej strony wybrała tę drogę świadomie, prawdopodobnie również dlatego, że nigdy nie prze-

padała za towarzystwem innych ludzi. Dzięki temu dokonała wielu przełomowych odkryć naukowych, a przy okazji nawiązała bardzo głębokie relacje z ptakami, z którymi dzieliła swój świat. Nie sądzę, żeby czuła się samotna.

Aby żyć z ptakami, Howard porzuciła karierę muzyczną. Zrezygnowała z klasycznych form kultury na rzecz czegoś zupełnie nowego?

Z racji pracy akademickiej mam częsty kontakt z filozofami języka. To zaskakujące, ale żaden z nich nie interesuje się poezją, która przecież jest jedną z najbardziej wyrafinowanych form wypowiedzi. Być może jej nie rozumieją, bo mają zbyt duży bagaż teoretyczny? Ptaki też tworzą muzykę, tyle że nie do końca mieszczącą się w ludzkich konwencjach. Z drugiej strony sztuka w ogóle pomaga w otwieraniu się na inne światy, także te pozaludzkie.

Kultura może być międzygatunkowym mostem?

Fundamentalną cechą żywej kultury jest jej otwartość na nowe doświadczenia i formy wyrazu. Uczestnicząc w inkluzywniej kulturze możemy się rozwijać, uczyć nowych rzeczy i lepiej rozumieć świat. W tym innych jego mieszkańców.

Otwartość na międzygatunkową komunikację czyni nas lepszymi ludźmi?

W naszych działaniach politycznych często zapominamy, że pozytywne impulsy są skuteczniejsze niż negatywne. Podkreślanie, że to nasz moralny obowiązek działać na rzecz emancypacji innych, jest oczywiście ważne, ale też na wielu potrafi działać zniechęcająco. A przecież można inaczej – sprawiedliwość społeczna sprawia, że świat jest lepszym miejscem do życia dla wszystkich. Na przykład mężczyźni uwolnieni od patriarchalnych norm społecznych mają szansę doświadczyć zupełnie nowych relacji z innymi ludźmi, zarówno z kobietami, jak i mężczyznami. Większość z nas, gdy tylko pojawi się taka możliwość, woli nie budować relacji w oparciu o przemoc.

W przypadku zwierząt też?

Wszyscy zdają sobie sprawę, jak wygląda przemysłowa hodowla zwierząt – na przykład wiemy, w jak przerażających

warunkach żyją kury. Zazwyczaj jednak nawet najbardziej drastyczne zdjęcia czy filmy pozostawiają nas obojętnymi lub odpychają. Po ich obejrzeniu staramy się jak najszybciej zapomnieć o sprawie. A gdyby zamiast tego pokazać, jak kury czule gdczą do swoich niewyklutych jeszcze pisklaków? Albo podsłuchać ich rozmowy? Ostatnio naukowcy udowodnili, że kury używają nawet kilkudziesięciu słów, a także nadają imiona, i to nie tylko innym kurom, ale również ludziom.

Niektórzy pewnie stwierdzą, że mamy dziś poważniejsze problemy niż dobrostan kur. Jak zwiększyć skutecznie odeprzeć taki zarzut?

Jeżeli chcemy lepszego, bardziej sprawiedliwego świata, nie powinniśmy czynić z tego wyboru. Nie jest tak, że gdy chcemy zatroszczyć się o ludzi starszych i schorowanych, to przestajemy się interesować losem głodujących dzieci. Oczywiście nikt nie da rady zajmować się aktywnie wszystkim, ale jako społeczeństwo powinniśmy podchodzić systemowo do problemu przemocy.

Wierzy Pani, że mamy szansę – w najbliższych latach albo dekadach – zobaczyć lepszy, bardziej sprawiedliwy świat?

Dziś dominują prognozy pesymistyczne, żeby nie powiedzieć – katastroficzne, co jest oczywiście uzasadnione. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że dzieje ludzkości nie poruszają się po z góry ustalonych torach. Czasami, zupełnie niespodziewanie, pojawia się impuls do zmiany na lepsze. Niestety, zazwyczaj są to poważne kryzysy, jak choćby wojna czy pandemia. Być może mamy jeszcze szansę. Obyśmy tylko jej nie zmarnowali.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Na Festiwalu Conrada porozmawiamy z **EVĄ MEIJER** o konieczności stworzenia bardziej otwartego pojęcia wspólnoty, obejmującego swym zasięgiem nie tylko ludzi, ale również inne istnienia, z którymi zamieszkujemy i współtworzymy świat. Poruszymy również temat możliwości komunikacji międzygatunkowej oraz roli literatury w budowaniu pomostów między zwierzętami ludzkimi i pozaludzkimi. Spotkanie poprowadzi Ada Arendt.

NAGRODA CONRADA

2 0 2 2

Nagroda Conrada – przyznawana podczas Festiwalu Conrada, największego wydarzenia literackiego w Polsce – jest wsparciem dla debiutek i debiutantów. Dzięki festiwalowej platformie nowe opowieści mogą łatwiej dotrzeć do odbiorców. Wspieranie początkujących pisarek i pisarzy na różnych etapach ich pracy jest ekscytujące tym bardziej, że pozwala zobaczyć nowe twarze i usłyszeć nowe głosy – wyróżnienie przyznawane jest bowiem od 2015 roku najlepszym autorkom i autorom. Chociaż dopiero dają się poznać szerokiej publiczności, to już prezentują twórczość dojrzałą i ze wszech miar inspirującą.

Idea przyznawania laurów literackich twórcom i twórczyniom stawiającym pierwsze kroki na rynku wydawniczym, która przyświeca nam od siedmiu już lat, opiera się głównie na wierze w potencjał młodych autorów i autorek i przekonaniu, że ciągle potrzebujemy nowych literackich głosów i świeżych, nieoczywistych narracji. Jest również sygnałem i zachętą dla wydawców, by inwestowali w debiuty. Bez tego niewątpliwego wydawniczego ryzyka prawdopodobnie nie byłoby dziś takich świetnych książek jak *Rozrzucone Liliany* Hermetz, *Wyspa Żanny* Stoniowskiej, *Rozpływaj się* Anny Cieplak, *Ufo nad Bratysławą* Weroniki Gogoli, *Łyski liczą do trzech* Olgi Hund czy *Cukry* Doroty Kotas. Wszystkie autorki uhonorowane Nagrodą Conrada kreują po debiutach kolejne fascynujące światy literackie, a wymienione wyżej pozycje są pokłosiem Nagrody Conrada i efektem współpracy poszczególnych pisarek z wydawnictwami o ogólnopolskim zasięgu. Krakowskie wyróżnienie jest jedną z najważniejszych nagród w Polsce, która na różne sposoby wspiera twórczynię i twórców po debiucie.

Fundatorzy i organizatorzy Nagrody Conrada dbają o to, by krakowskie wyróżnienie było przyznawane przy zachowaniu najwyższych standardów merytorycznych oraz instytucjonalnych. Zmiany, jakie zachodzą na polu literackim – lokalnym i międzynarodowym – oraz w całej przestrzeni społecznej, skłaniają do wprowadzania nowych rozwiązań. W tym roku osoby, które zostały powołane do nowej kapituły, otrzymały prośbę, by w trakcie trwania kadencji nie wykonywały podobnej pracy na rzecz innych polskich wyróżnień literackich. Propozycja ta spotkała się z pełnym zrozumieniem ze strony jurerek i jurorów. Reguła została wprowadzona po to, by stworzyć najdogodniejsze

warunki dla lektury i namysłu nad książkami zgłoszonymi do Nagrody Conrada, a do tego potrzebne są czas i możliwość koncentracji na konkretnej grupie utworów literackich. Poza tym w przeświadczeniu fundatorów i organizatorów jedną z najważniejszych wartości stymulujących rozwój literatury jest różnorodność sądów estetycznych. O teksty literackie powinniśmy się nieustannie spierać, posługując się kryteriami adekwatnymi do zmian, które zachodzą w literaturach (bo jest ich wiele) oraz w światach (bo jest ich mnogość), w których te literatury powstają. Im bardziej różnorodna grupa osób prowadzących takie dyskusje – nie tylko w kapitułach nagród – tym lepiej dla pisarek i pisarzy oraz całej przestrzeni literackiej.

Z każdym rokiem Nagroda Conrada wspiera rozwój debaty społecznej, wzmacniając głos osób, które mają do powiedzenia coś nowego. Warto ich słuchać z uwagą nie mniejszą od tej, jaką poświęcamy twórcom już szeroko uznanym. Świat będący w nieustannej przemianie potrzebuje wszak ciągle nowego spojrzenia.

Nagroda Conrada jest częścią miejskiego programu wsparcia debiutów Krakowa Miasta Literatury UNESCO i stanowi wspólne przedsięwzięcie Miasta Krakowa, KBF oraz Fundacji Tygodnika Powszechnego. Pięć tytułów nominowanych do Nagrody Conrada za rok 2021 ogłosimy 3 października.



Gala Nagrody Conrada

w Centrum Kongresowym
ICE Kraków będzie dostępna na:

-  Conrad Festival
-  Tygodnik Powszechny
-  kanale KBF
-  platformie
PLAY KRAKÓW

LAUREATKI NAGRODY CONRADA

**Liliana
Hermetz**

Alicyja
(Nisza)
2015



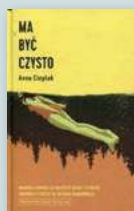
**Żanna
Słoniowska**

Dom z witrażem
(Znak Literanova)
2016



**Anna
Cieplak**

Ma być czysto
(Wydawnictwo
Krytyki Politycznej)
2017



**Weronika
Gogola**

Po trochu
(Wydawnictwo
Książkowe Klimaty)
2018



**Olga
Hund**

Psy ras drobnych
(Korporacja Ha!art)
2019



**Dorota
Kotas**

Pustostany
(Niebieska Studnia)
2020



**Elżbieta
Łapczyńska**

*Bestiariusz
nowohucki*
(Biuro Literackie)
2021



JURY



Michał Paweł Markowski

Przewodniczący Kapituły, dyrektor artystyczny Festiwalu Conrada, krytyk literacki, eseista, tłumacz, publicysta.

fot. archiwum prywatne



Monika Ochędowska

Krytyczka literacka, publikuje na łamach „Dwutygodnika” i „Tygodnika Powszechnego”.

fot. Grażyna Makara



Urszula Chwalba

Dyrektorka wykonawcza Festiwalu Conrada, kierowniczka zespołu Kraków Miasto Literatury UNESCO w KBF.

fot. Edyta Dufaj



Olga Stanisławska

Dziennikarka, pisarka, autorka reportaży, studiowała literaturę angielską i amerykańską w Warszawie.

fot. Margot Sputo



Julia Fiedorczyk

Pisarka, poetka, tłumaczka i wykładowczyni w Instytucie Anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

fot. Albert Zawada



Joanna Szulborska

Sekretarzynie Nagrody, doktor nauk humanistycznych, wykładowczyni Uniwersytetu Jagiellońskiego, teatrolożka.

fot. archiwum prywatne



Grzegorz Jankowicz

Dyrektor programowy Festiwalu Conrada, filozof literatury, krytyk i tłumacz, doktor nauk humanistycznych.

fot. archiwum prywatne



Błażej Warkocki

Profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza, pracuje na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej.

fot. Stanisława Kosić

Organizatorzy:



Dofinansowanie:



Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu
Promocji Kultury



Wspólnota jako wyzwanie

MATEUSZ BURZYK

Według Roberta Esposito każda wspólnota potrzebuje mechanizmów, które chronią ją przed własnym nadmiarem, jednostki zaś, nie mogąc zrezygnować z relacji z otoczeniem, muszą bronić swojej indywidualności.

ROBERTO ESPOSITO (ur. 1950) – włoski filozof, jeden z najważniejszych przedstawicieli tzw. Italian Theory, autor oryginalnych koncepcji wspólnoty, immunizacji i biopolityki. Do jego najważniejszych, szeroko komentowanych i przetłumaczonych na wiele języków prac należą: „*Communitas. Origine e destino della comunità*” (1988), „*Immunitas. Protezione e negazione della vita*” (2002), „*Due. La macchina della teologia politica e il posto del pensiero*” (2013). W Polsce ukazał się tom jego esejów filozoficznych pt. „*Pojęcia polityczne. Wspólnota, immunizacja, biopolityka*” (2015).

nej migracji, która raz wywołuje w Polsce panikę i skutkuje militarną barierą ustawioną na granicy z Białorusią, innym razem spotyka się z otwartością i prowadzi do przyjęcia rekordowej liczby uchodźców z zaatakowanej przez Rosję Ukrainy.

Filozof wspólnoty

Głośna książka Esposito wyływała z innych epokowych przemian: upadku komunizmów z ich ludową retoryką oraz rozkwitu konsumenckiego indywidualizmu. Więńczyła dyskusję, jaka w latach 80. i 90. XX w. toczyła się między francuskimi i włoskimi filozofami. Chodzi przede wszystkim o tak uznanych autorów, jak Maurice Blanchot z jego „*Communauté inavouable*” (Niewysławiona wspólnota), Jean-Luc Nancy z „*Rozdzieloną wspólnotą*” (obydwie książki z 1983) oraz Giorgio Agamben ze „*Wspólnotą, która nadchodzi*” (1990). Praca Esposito z 1998 r. uchodzi za najbardziej dojrzałą i kompletną publikację spośród wymienionych.

Esposito to myśliciel zanurzony zarówno w filozoficznej tradycji oraz związanych z nią debatach, jak i w aktualnych problemach świata. Chociaż wydaje nowe książki średnio co dwa lata, otwierając w nich kolejne pola problemowe, wciąż pozostaje przede wszystkim myślicielem wspólnoty. To zagadnienie znajduje się też nieprzerwanie wśród tematów, które prezentuje podczas zagranicznych wykładów (inne to: biopolityka, teologia polityczna, specyfika włoskiej i europejskiej filozofii). Jego podróże wyhamowało dopiero nadejście pandemii

COVID-19. Prace Esposito są dobrze znane w USA, gdzie moda na Italian Theory (czyli takich autorów jak on, Agamben, Antonio Negri czy Rosi Braidotti) zaczęła w pewnej mierze zastępować popularną French Theory. Był tłumaczony na wiele języków, w tym na koreański i japoński. W Japonii pracował zresztą jako *visiting professor*; wrócił do Włoch na dzień przed tsunami, które doprowadziło do katastrofy w elektrowni Fukushima, co było dla niego traumatycznym przeżyciem.

W Europie – poza Włochami – najczęściej czyta się go we Francji. Jego myślenie zanurzone jest zresztą w filozofii Michela Foucaulta, Gilles’a Deleuze’a, Jeana-Luca Nancy’ego i Georges’a Bataille’a, w mniejszym stopniu Jacques’a Derridy. Pierwszy przekład jego tekstu na polski pojawił się w roku 2008 w „Przeglądzie Politycznym”, gdzie śledzenie jego myśli zarekomendował gdańskiej redakcji niemiecki socjolog Ulrich Beck. W 2013 r. pojawił się w Krakowie, prowadząc gościnnie zajęcia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Lądował w maju w puchowej kurtce, wyraźnie niepokorny tego, co go tutaj czeka. Szybko jednak oddał się dyskusji wywołanej wieścią o śmierci Giulia Andreottiego, symbolu powojennego świata włoskiej polityki: jej sekretów, szantaży i korupcji.

W 2014 r. ukazał się zbiór jego esejów „*Pojęcia polityczne*”, dający wgląd w najważniejsze tematy jego filozofii: wspólnotę, immunizację, biopolitykę. Czytając Esposito, odnosi się wrażenie, że jego styl jest w pewnym sensie tradycyjny. W porównaniu z takimi autorami jak Heidegger, Deleuze i Guattari, czy choćby Slavoj Žižek, którzy podważali dawny model filozoficznego pisania, Włoch prezentuje swe myśli w sposób jasny i uporządkowany, językiem stosunkowo prostym.

Dar z obowiązku

Jak wielu mieszkańców południa Europy, Esposito jest osobą szybko skraccającą dystans, chętnie przechodzącą na „ty”, przesyłającą w mailach nawet nie tyle pozdrowienia, ile uściski. Sympatia, jaką budzi, bez wątpienia służy mu także do budowania relacji i dobrego klimatu wokół włoskiej filozofii, co postrzega jako część swojego powołania. Tak jakby nie można było pisać o wspólnotocie, nie praktykując jej, nie próbując jej stworzyć. Ciekawy jest jednak przy tym fakt, że Włoch nie utożsamia wspólnoty z tym, →

Niespełna 25 lat po publikacji książki „*Communitas*” powtórzyć możemy zdanie, którym Roberto Esposito ją otworzył: „Nic nie wydaje się dziś bardziej stosowne niż myślenie wspólnoty”. Obecnym kontekstem jest wciąż doświadczenie pandemii i związane z nią zjawiska społecznej izolacji oraz wirtualnego przebodźcowania. Palącym problemem stała się kolejna odsłona global-

→ co najczęściej przychodzi nam do głowy, gdy o niej myślimy: z ciepłem domowego ogniska, bezpieczeństwem, poczuciem akceptacji. Esposito – przeciwnie – sugeruje, że wspólnota to przestrzeń, w której jednostki się zatracają, przed czym muszą się jakoś bronić.

Wspólnota to bowiem przeciwieństwo tego, co własne. Włoch argumentuje, że kluczowy dla zrozumienia sensu pojęcia „wspólnota” jest termin *munus*, kryjący się zarówno w łacińskim *communis*, jak i greckim *koinos*, a także starogermańskim *gemein*. Jego sens jest paradoksalny. Z jednej strony słowo to oznacza obowiązek (*onus*, *officium*), z drugiej dar (*donum*). *Munus* to szczególny rodzaj daru, którego otrzymanie nie jest równoznaczne z przywilejem i wartością dodaną, lecz z ustanowieniem obowiązku wobec innych. W świetle tej etymologii *communitas* to po prostu dzielenie tego samego *munus*: służby, ciężarów i zadań.

Istotne są dwie rzeczy. Po pierwsze, przechodni charakter *munus*, a więc fakt, że nie można go dla siebie zatrzymać. Ta niemożliwość przywłaszczenia daru dowodzi zdaniem Esposito, że wspólnoty nie powinno się pojmować w kategoriach posiadania: ani jako substancji, którą według konserwatystów współdzielimy, ani jako przynależnej nam rzeczy, co bliskie jest liberałom. Łączy nas nie „coś”, nie jakiś ontologicznie uchwytany element, lecz brak, wspólne zadłużenie. Po drugie, *munus* jako paradoksalny rdzeń wspólnoty sprawia, że nie mogę powiedzieć: „jesteś mi coś winien”, ale wyłącznie: „jestem ci coś winien”. Oznacza to, że bycie we wspólnocie ma dla podmiotu zawsze charakter anektujący, zmuszający do wyrzeczenia się siebie, swych granic i własności. Kiedy nastaje wspólnota, przestaje się liczyć jednostka i jej dobro, istotna staje się wyłącznie perspektywa *communis*.

Potrzeba uodpornienia

Z pojęciem *communitas* związana jest u Esposito inna, lecz wywodząca się z tego samego źródłosłowa kategoria: *immunitas*. Wyraża ona negatywny stosunek do *munus*, a więc oznacza wyłączenie ze wspólnotowego obowiązku czy też zwolnienie z wzajemnych obciążeń. W przestrzeni prawa kto zyskuje immunitet, zajmuje uprzywilejowaną pozycję, może przestać podporządkowywać się niektórym regułom, może być bezkarny. Z wiedzy medycznej z kolei wiemy, że układ

■ Esposito nie utożsamia wspólnoty z tym, co najczęściej przychodzi nam do głowy, gdy o niej myślimy: z ciepłem domowego ogniska, bezpieczeństwem, poczuciem akceptacji. Przeciwnie: sugeruje, że wspólnota to przestrzeń, w której jednostki się zatracają, przed czym muszą się jakoś bronić.

■ Wspólnoty nie powinno się pojmować w kategoriach posiadania: ani jako substancji, którą według konserwatystów współdzielimy, ani jako przynależnej nam rzeczy, co bliskie jest liberałom. Łączy nas nie „coś”, nie jakiś ontologicznie uchwytany element, lecz brak, wspólne zadłużenie.

immunologiczny ogranicza negatywny wpływ środowiska zewnętrznego na nasz organizm – zatrzymuje to, co szkodliwe, broni nas.

Można powiedzieć, że podczas kolejnych fal pandemii immunitet posiadali wszyscy ci, którzy mogli wykonywać swoją pracę zdalnie, wyłączając się z licznych kontaktów społecznych zwiększających ryzyko transmisji wirusa. Posiadają go też użytkownicy komputerów, których stać na systemy eliminujące szkodliwe oprogramowanie. Tworzą w ten sposób filtry, które zabezpieczają ich przed niebezpieczną wymianą z innymi użytkownikami sieci.

Tak jak odporność nie jest stanem trwałym, tak też wspólnota może mieć różne oblicza intensywności. Dlatego warto postrzegać *communitas* i *immunitas* jako wzajemnie warunkujące się procesy: komunizacji oraz immunizacji. W tym sensie wspólnota – pisze Esposito – „to nic innego jak obiekt immunizacji i jednocześnie punkt oporu wobec niej”. Z perspektywy społecznej tendencjami sprzyjającymi wspólnocie będą na przykład powszechne nauczanie i osiedlowe podwórka, a działaniami immunizującymi – prywatne szkolnictwo i grodzone osiedla. Gdy jedna z tych tendencji zaczyna wyrażnie dominować, powstaje niebezpieczeństwo, które skutkować może z jednej strony niedoborem odporności, wystawieniem na liczne infekcje i na negatywny wpływ otoczenia, a z drugiej strony chorobą autoimmunologiczną, kiedy to organizm zamiast chronić życie zaczyna je zwalczać – niszcząc także własne.

Najtragiczniejszym historycznym przykładem takiego autoimmunologicznego kryzysu była śmiertelność polityka nazistów, którzy, chcąc za wszelką cenę chronić życie Niemców przed skażeniem (propaganda przedstawiała Żydów jako biologiczne zagrożenie), byli gotowi wydać własny naród na śmierć. Symbolicznym tego przypieczętowaniem był ostatni rozkaz Hitlera, nakazujący popełnienie zbiorowego samobójstwa. Jego bardziej współczesną odsłonę stanowi z kolei przemoc związana z terroryzmem i zwalczaniem go. Zamach na World Trade Center był zresztą wydarzeniem, które sprawiło, że współczesna włoska myśl nabrała aktualności.

Giorgio Agamben jako autor „Stanu wyjątkowego” dostarczył wówczas najbardziej sugestywnej filozoficznej interpretacji międzynarodowej sytuacji politycznej. Esposito z kolei osadził te wydarzenia w kontekście immunologicznych wstrząsów, jakie targają globalną wspólnotą. Nie zrównując odpowiedzialności obydwu stron, pisał, że islamscy fundamentaliści walczą z zepsutym w ich przekonaniu światem o zachowanie czystości, a angażujący się w prewencyjne wojny Zachód podejmuje radykalne próby uodpornienia się na te wrogie akty. Dokładnie tę samą aberracyjną retorykę i podobne mechanizmy obserwujemy obecnie podczas wojny w Ukrainie: Putin przekonuje społeczeństwa świata, że wyzwala

rosyjskojęzycznych obywateli Ukrainy, przynosząc śmierć i zniszczenie Ukrainom i pogłębiając kryzys w samej Rosji.

Obsesja zagrożenia

Nie sposób powiedzieć, co było pierwsze: komunizacja czy immunizacja. Procesy te prawdopodobnie równolegle towarzyszyły ludzkości od jej początków. Każda wspólnota potrzebuje mechanizmów, które chronią ją przed własnym nadmiarem, a jednostki, nie mogąc przecież zrezygnować z relacji z otoczeniem, muszą jakoś obronić swoją indywidualność.

O ile wszystkie społeczności w historii musiały stawić czoło zagrożeniom ze strony świata zewnętrznego i innych ludzi, o tyle w nowoczesności – jak przekonuje Esposito – kwestia ochrony życia stała się zagadnieniem centralnym, przenikającym całość ludzkiego doświadczenia. Filozof argumentuje, że gdy słabnąć zaczęły tradycyjne mechanizmy obronne, wywodzone ze wspólnej religijnej wizji świata, konieczne stało się wypracowanie nowych. Jak wielkim lękiem o siebie podszyte było ich poszukiwanie, obrazuje sposób, w jaki Thomas Hobbes przedstawił u progu nowoczesności wizję wspólnoty: każdy stanowił w niej dla innego śmiertelne zagrożenie.

Antidotum musiało być równie radykalne: umowa o bezpieczeństwie została zawarta z powołanym do jego zapewnienia państwem. Chodziło o wyeliminowanie wszelkiego zagrożenia, a więc bezpośrednich relacji z innymi indywidualnymi. Nowy porządek społeczny został w całości pomyślany jako ochrona dla jednostki, a kluczowe dla niego pojęcia: suwerenność, własność i wolność, stanowią jedynie inną nazwę tego, co „własne”.

Wysuwając tezę o strukturalnym pokrewieństwie między nowoczesnością i immunizacją, Esposito próbuje uczynić z tej ostatniej pojęcie równie niezbędne dla zrozumienia istoty nowoczesnych przemian, jak racjonalizacja Maksa Webera, sekularyzacja Karla Löwitha czy legitymizacja Hansa Blumenberga. Przekonuje nawet, że zaproponowany przez niego klucz hermeneutyczny jest najszerzy i sprawia, że dzięki niemu trzy wcześniejsze teorie zyskują dodatkową głębię. To zestawienie z nazwiskami niemieckich myślicieli dobrze prezentuje stawkę filozoficznego projektu Esposito.

Co istotne, włoski filozof nie opisuje dialektyki *communitas* i *immunitas* z po-

■ Z perspektywy społecznej tendencjami sprzyjającymi wspólnocie będą np. powszechne nauczanie i osiedlowe podwórka, a działaniami immunizującymi – prywatne szkolnictwo i grodzone osiedla. Gdy jedna z tych tendencji zaczyna wyraźnie dominować, powstaje niebezpieczeństwo.

zycji neutralnego badacza. Paradygmat immunitarny doprowadził jego zdaniem do najgorszych katastrof politycznych w historii, czyli polityki nazistów, przedstawianej przez nich samych jako „biologia stosowana”, i do Zagłady. Dlatego jego książki mają za cel przepracowanie immunitarnego charakteru zachodniej filozofii politycznej i wypracowanie nowych, otwartych form wspólnotowego życia.

Esposito jest przy tym politycznym realistą. Nie proponuje żadnej utopijnej wizji. Trzeźwo ocenia, że każda próba bezpośredniego przekucia filozoficznych idei w rzeczywistość kończyła się tragicznie, o czym najlepiej zaświadczył krwawy przebieg zeszłego stulecia. Stara się jednak, by jego filozoficzne przedsięwzięcie miało także wymiar pozytywny. „Immunitas” kończy się więc koncepcją układu odpornościowego, który działałby nie tyle w opozycji do sił wspólnoty, ile z nimi. Pełniłby on rolę systemu komu-

nikacji z zewnątrz, umożliwiając podmiotom zmianę i wymianę przy zachowaniu zdolności do samookreślenia.

W stronę afirmatywności

Podczas pierwszej fali pandemii koronawirusa we Włoszech rozgorzała dyskusja filozofów. Najgłośniejsze stało się wystąpienie Agambena, który podważając zasadność nakładanych przez państwo restrykcji i kładąc akcent na wszelkie jej negatywne konsekwencje, został przez wielu publicystów obsadzony w roli intelektualnego patrona Donalda Trumpa i Jaira Bolsonaro. Esposito, dzięki rozumieniu potrzeby immunizacji, mógł zareagować w sposób bardziej wyważony. Nie tylko nie podważył zasadności ograniczeń, ale też bronił ludzkiej chęci przetrwania, krytykowanej zazwyczaj przez innych myślicieli progresywnych jako siła, która skłania nas do rezygnacji z życia jakościowego (*bios*) na rzecz samego biologicznego przetrwania (*zoë*). W niewielkiej książeczce „Instituzione” (Instytucje) Esposito zakwestionował tę dychotomię, przekonując, że chęć zachowania życia jest zakorzeniona w zachodniej tradycji filozofii politycznej. Wskazał również na prosty fakt – życie musi najpierw zaistnieć, by mogło się kulturowo wyrazić.

Takie stanowisko Esposito było możliwe, ponieważ jego myślenie na temat wspólnoty przeszło znaczną ewolucję. O ile jeszcze na etapie pisania „Communitas” traktował on wspólnotę wyłącznie jako czystą negatywność, jako pewien horyzont myślenia lub niemożliwy do odzwierciedlenia w porządku społecznym mit, o tyle w pracy „Immunitas”, wydanej pierwotnie w 2002 r., odnalazł drogę do bardziej afirmatywnej koncepcji współistnienia i współdziałania. Uznał wówczas, że niezbędne jest nie tylko samo odzyskanie zagubionego przez nowoczesność sensu wspólnoty, ile wypracowanie równowagi między procesami komunizacji i immunizacji, które są szkodliwe, gdy stają się dominującymi paradygmatami politycznymi.

Dzięki tej korekcie udało się mu wyjść poza perspektywę jednoznacznie krytyczną, a jego intelektualny projekt stał się użyteczny w interpretowaniu zjawisk społeczno-politycznych. Dziś może nam pomóc w poszukiwaniu tak wszystkim potrzebnej, inkluzywnej formy wspólnoty.

© MATEUSZ BURZYK

Na Festiwalu Conrada porozmawiamy z **ROBERTEM ESPOSITO** o relacji między wspólnotą a jednostką, o wynikających z tej relacji zyskach i zagrożeniach, o dwudziestowiecznych i współczesnych wspólnotach politycznych, a także o charakterze aktualnych konfliktów politycznych oraz militarnych. Spotkanie poprowadzi Mikołaj Ratajczak.

Słowo na P

MONIKA OCHĘDOWSKA

Machado konsekwentnie odwraca męskie spojrzenie i przywraca kobietom głos, jednocześnie zwracając im ciała. Nie poprzestaje jednak na tym – ma również do opowiedzenia historię przemocy w związku dwóch kobiet.

Carmen Marię Machado – amerykańską laureatkę szeregu nagród literackich, finalistkę National Book Award – znamy w Polsce z jej wszystkich publikacji książkowych: tomu opowiadań „Jej ciało i inne strony”, powieści graficznej „Pośród lasu” oraz wydanej niedawno powieści „W domu snów”. Każda z tych książek jest wyjątkowa pod względem gatunkowym, każda proponuje czytelniczkom i czytelnikom inną grę komunikacyjną, zaprasza do innej zabawy formą. A jednak istnieją pomiędzy nimi silne – nie tylko tematyczne – spoiwa, które świadczą o tym, że Machado jest jedną z najkonsekwentniejszych i najciekawszych pisarek amerykańskich.

Niewidzialne kobiety

Przy pierwszej lekturze debiutanckiego zbioru ośmiu historii, których narratorkami są kobiety, uwagę zwraca przede wszystkim to, że realne w sposób swobodny i samorządny miesza się w nich z tym, co nierealne. Nieznane i wrogię sączy się i przepływa przez to, co oświecone. Ciepło bliskich relacji zostaje zrównoważone albo nawet rozbite przez chłód kamer, obiektywów, pornografii. Co ciekawe, z niedługimi tekstami „Jej ciało...” można robić przeróżne sztuczki, np. dzielić na mniejsze fragmenty. Zachęca do tego pocięta w paski okładka i oryginalny – wieloznaczny – tytuł zbioru: „Her body & other parties”. Można go przełożyć na trzy sposoby: Jej ciało i inne części, inne strony (jak w wyrażeniu „strona sporu”) albo inne imprezy (które są tu tematem akcji). Tak wypreparowane części tekstów („części, partie”) przywodzą na myśl klasyczne przypowieści. Przy czym są to przypowieści bardzo współczesne i zada-

jące pytania o wydarzenia tak literacko nieatrakcyjne, jak np. globalny kryzys finansowy z lat 2007-09.

Machado w bezwzględnie prosty, a jednocześnie zaskakujący sposób przedstawia też w swojej prozie *mansplaining*. Słowo to (wymyślone przez jedną z czytelniczek eseju Rebekki Solnit „Mężczyźni objaśniają mi świat”) oznacza skłonność mężczyzn do wymądrzania się w obecności kobiet na tematy, o których niekoniecznie mają pojęcie. Otóż gdy w prozie Machado dochodzi do takiego zdarzenia, ciało milczącej kobiety robi się coraz bardziej przezroczyste, aż wreszcie, niczym w baśni, znika. „Nikt nie wie, jaka jest przyczyna” rozpląnięcia się bohaterki w powietrzu – komentuje ironicznie narratorka. Za zniknięcie „nie odpowiada wirus ani bakteria, a jeśli, to taka, której naukowcy jeszcze nie odkryli” (tłum. Dobromiła Jankowska). Szczęśliwie tę tajemniczą „bakterię” opisała niedawno Caroline Criado-Perez w książce „Niewidzialne kobiety. Jak dane tworzą świat skrojony pod mężczyzn” (2019). Pochodząca z Brazylii dziennikarka udowodniła, że badania naukowe prowadzone przez przemysł farmaceutyczny, odpowiedzialny za nowe metody diagnostyczne czy innowacyjne terapie, dotyczą głównie mężczyzn. Ciała kobiet jawią się jako przezroczyste, gdyż są dla nich zbyt skomplikowane, zależne od zbyt wielu zmiennych.

Ale Machado w debiutanckim zbiorze nie poprzestaje oczywiście na obnażeniu *mansplainingu*. Idzie krok dalej: odwraca męskie spojrzenie i przywraca kobietom głos, jednocześnie zwracając im ciała. Z taką grą mamy do czynienia na poziomie fabularnym, gdy bohaterka jednego z opowiadań pt. „Towarzyskie trudności”



odbiera filmującemu ją mężczyźnie kamerę i sama zaczyna przez jej obiektyw patrzeć na siebie. To także metafora sposobu, w jaki czytelnik bądź czytelniczka spogląda na bohaterkę i na siebie, zawsze mając nieco zawężone pole widzenia. Machado poniekąd odwraca fokus narracji, jakby chciała powiedzieć swojej publiczności: spójrzcie, tacy właśnie jesteście, tak można was zobaczyć.

Każdy z zawartych w tym tomie tekstów jest historią o wielopoziomowych relacjach – kobiet z mężczyznami, kobiet z innymi kobietami, ale wreszcie: bohaterów i bohaterek z czytelnikami i czy-



KBF / MATERIAŁY PRASOWE

telnikami. Jednocześnie Machado wyzyskuje klasyczne, obłaskawione, znajome formy czy style, zastawiając na nas liczne pułapki.

Podobne gatunkowe i stylistyczne zapadki znajdziemy również w powieści graficznej „Pośród lasu”, która ukazała się w serii stworzonej przez Joego Hilla (Machado jest autorką jej scenariusza, za ilustracje odpowiada grecka graficzka o pseudonimie Dani). Nastoletnie przyjaciółki El i Octavia po zakończonym seansie kinowym uświadamiają sobie, że żadna z nich nie pamięta filmu, którego napisy

CARMEN MARIA MACHADO

(ur. 1986) – amerykańska pisarka i eseistka, autorka zbioru opowiadań „Jej ciało i inne strony” (wyd. pol. 2018), komiksu „Pośród lasu” (2021) oraz powieści „W domu snów” (2022). Debiutancka książka znalazła się w finale National Book Award i została nagrodzona National Book Critics Circle’s John Leonard Prize. Machado jest laureatką stypendium Guggenheima i pisarką rezydentką na Uniwersytecie Pensylwanii w Filadelfii, gdzie mieszka wraz z żoną.

końcowe płyną właśnie przez ekran. Wkrótce zaczynają dziać się wokół nich dziwne rzeczy, a El i Octavia postanawiają się dowiedzieć, co takiego wydarzyło się podczas seansu, przy okazji odkrywając prawdę o miasteczku, w którym żyją. I znów – jak w tomie „Jej ciało i inne strony” – postaci komiksu początkowo wydają się zwyczajne, jakby wycięte z realnego świata, a po chwili rozplywają się w barwne plamy i impresje. Zagarnia je mglisty świat snu, w którym łatwo zaakceptujemy nagłe pojawienie się mężczyzny bez skóry lub kobiety z dziurą w żołądku.



Gra na wielu bębenkach

→ Polskie kino niekoniecznie ma szczęście do udanych horrorów, za to pełne jest martwych gejów i lesbijek – notował niedawno pisarz i krytyk Bartosz Żurawiecki. W filmach, dla których kluczowe są wątki LGBTQA+ i w których główni bohaterowie lub (rzadziej) bohaterki to osoby *queer*, motorem akcji albo jej punktem kulminacyjnym jest przemoc. Lesbijki i geje w polskim kinie są ofiarami zaściankowej – zimnowojennej, wspieranej przez państwo („Hiacynt” Piotra Domańskiego) bądź prowincjonalnej, bezrefleksyjnej („Wszystkie nasze strachy” Łukasza Gutta i Łukasza Rondudy) – często brutalnej homofobii, która uniemożliwia prezentowanej na ekranie tęczącej *love story* wyjście poza etap zauroczeń, pierwszych pocałunków czy seksualnych inicjacji. Nie negując tłącej się wciąż w naszym kraju, podgrzewanej wypowiedziami polityków i kościelnych hierarchów homofobii, Żurawiecki – także jako recenzent trafiających na jego biurko scenariuszy – zauważa, że rolę ofiar chętnie wybiera dla siebie samo środowisko LGBTQA+.

Niewykluczone, że widok tego cierpienia jest po prostu warunkiem, środkiem do emancypacji. Zachęca bowiem społeczeństwo do aktywizmu i zwraca szyki coraz liczniejszych marszy w obronie demokratycznych praw, także dla mniejszości seksualnych. Z drugiej jednak strony stawianie osób LGBTQA+ wyłącznie w roli poddawanych społecznej czy domowej opresji czyni uwikłaną w nieheteronormatywne związki sztukę dydaktyczną, a w najlepszym razie – doraźnie publicystyczną. Tę tendencję widać również w teatrze. W wystawianym właśnie na deskach stołecznego Nowego Teatru „Mieszkaniu na Uranie” na podstawie książki Paula B. Preciada pominięto oryginalne zakończenie, w którym konserwatywni rodzice zmieniają się pod wpływem swoich dzieci i dojrzewają do ich akceptacji.

Na tym tle, przy braku rodzimej literatury opisującej doświadczenia osób LGBTQA+ (a jednocześnie – co ciekawe – przy obecności coraz chętniej tłumaczonej na język polski literatury młodzieżowej o nich traktującej), lektura powieści Machado „W domu snów” może podzielać na czytelniczki i czytelników jak kulebki zimnej wody.

Podzielona na krótkie rozdziałiki opowieść zaczyna się jak klasyczny romans

■ W swojej powieści Machado sugeruje, że nie ma wśród wypracowanych przez literaturę gatunków takiego, który umożliwiłaby pełną opowieść o przemocy w związku dwóch kobiet. Nie ma też, oczywiście, na takie opowiadanie środowiskowego przyzwolenia.

■ Machado pokazuje, że język posiada jednocześnie moc twórczą i opresyjną. Usunięcie jednej litery z tekstu powoduje natychmiastowe zakneblowanie ust bohaterkom i bohaterom, zmusza do kluczenia, do zastępowania właściwych określeń ich synonimami, snucia opowieści poprzez negację.

w stylu trzeciej części przygód Bridget Jones albo bestsellerowych powieści Irlandki Sally Rooney: obietnicą nowoczesnej, poliamorycznej i niezobowiązującej relacji. Na początku dziewczyny są trzy, ale z tercetu szybko wyłania się duet. Carmen oraz atrakcyjna, drobna blondynka (jej imienia nie poznajemy, nazywana jest po prostu „dziewczyną”) nawiązują romans, zakochują się w sobie, wchodzą w związek, poznają swoje rodziny i dzielą mieszkanie, a gdy są już naprawdę blisko, partnerka Carmen zaczyna stosować wobec niej różne rodzaje psychicznej przemocy. Manipuluje, szantażuje emocjonal-

nie, szuka powodów do sprzeczek, urzęduje pyskówki i awantury. Narratorka opowieści ma nerwy w strzępach, ale nie potrafi odejść. I owszem, czuje się w tym związku ofiarą.

Nieprzypadkowo przywołuję klasykę romantycznej, heteronormatywnej komedii spod znaku Bridget Jones. Carmen Machado świadomie gra w swojej książce na wielu gatunkowych bębenkach, a tytuł każdego z rozdziałów zdradza, na którym aktualnie wystukuje melodię swojej opowieści. I tak, mamy tu „Dom snów” jako „powieść lotrzykowską”, „lesbijski klasyk”, „bildungsroman”, „amerykański gotyk” i „musical”, ale też „mit”, „Panią Dalloway” i „apokalipsę”. Taka budowa utworu odsyła oczywiście do klasycznych „Ćwiczeń stylistycznych” Raymonda Queneau, założyciela OuLiPo. W tej niewielkiej książeczce francuski pisarz przedstawił pewną sytuację na 99 różnych sposobów (skądinąd jeden z rozdziałów powieści Machado nosi tytuł „Dom snów jako ćwiczenie stylistyczne”).

Zabieg zostaje zastosowany z co najmniej dwóch powodów, choć ma też swoje uzasadnienie autobiograficzne (autorka brała udział w kursach literackich i warsztatach twórczego pisania, a dziś sama wykłada je na Uniwersytecie Pensylwanii). Po pierwsze „technika pisania pod przymusem” konkretnego stylu czy gatunku, *écriture sous contrainte*, miała wyposażać pisarza w świadomość ograniczeń, jakie stawia język. Przeniesienie doświadczenia działającej w latach 60. XX w. francuskiej grupy literackiej na doświadczenia współczesnych amerykańskich lesbijek sugeruje, że nie ma wśród wypracowanych przez literaturę gatunków takiego, który umożliwiłaby pełną opowieść o przemocy w związku dwóch kobiet. Nie ma też, oczywiście, na takie opowiadanie środowiskowego przyzwolenia.

„Rozwalasz wszystkie narracje, nad którymi pracujesz, i podporządkowujesz je temu czy innemu rygorowi – notuje Machado – wiesz, że jeśli je rozbijesz i przestawisz, i rozplączesz, i pozbawisz silnika, będziesz w stanie dotrzeć, skuteczniej niż kiedyś, do zawartych w nich prawd”. A zaraz potem: „chciałam, żeby moje opowiadania się rozpadły, bo sama się rozpadałam i nie wiedziałam, co innego miałabym zrobić”.

Osoby LGBTQA+ zawsze zapożyczają się w heteronormatywnych historiach, bo „nasza kultura nie ma żadnego inte-

resu w tym, by pomóc zrozumieć osobom *queer*, co znaczy ich doświadczenie” (tłum. Łukasz Błaszczuk). Nieprzypadkowo to Anne Shirley z cyklu powieści Lucy Maud Montgomery stała się z biegiem lat ikoną kanadyjskich lesbijek.

Anihilacja albo zniknięcie

Jednym z ciekawszych gatunków, poprzez który przygląda się swojemu związkowi autorka „W domu snów”, jest amerykański gotyk. Zaraz po II wojnie światowej nakręcono w Stanach wiele filmów, w których niepokój w bohaterce (i widzach) budziło nowe mieszkanie albo zamieszkujący je mężczyzna, najczęściej po prostu mąż – z pozoru bliski, znajomy, a jednocześnie skrywający mroczne sekrety jak Sinobrody (tę postać znamy już z opowiadań Machado). Kino przepracowywało w ten sposób traumę wracających z frontu żołnierzy. To ich lęki, ich wywołaną wojennymi przeżyciami depresję i psychiczne urazy reprezentować miał nawiedzony dom.

Do dziś motyw ten jest niezwykle popularny i obecny w wielu – nie tylko hollywoodzkich – produkcjach, by przywołać chociażby „Innych” (2001) Alejandra Amenábara z Nicole Kidman czy „Anihilację” (2018) Alexa Garlanda z Natalie Portman. W obu filmach zło przenika do domu z zewnątrz, aby zatrzeć ślady bohaterki w środku – także w ich własnych wnętrzach. Szczelnie zasłonięte okna i wyciszone telefony doskonale symbolizują wewnętrzny krajobraz emocjonalny kobiet. Kochając, należy iść za mężczyzną aż do jego samounicestwienia, podpowiadają reżyserzy. Machado odsłania rolety i robi mały przeciąg. Swoimi ćwiczeniami wydobywa na wierzch to patriarchalne przesłanie. Przy czym nawet w przewietrzonym domu grozy nie znajduje miejsca dla dwóch kobiet.

Innym, równie ciekawym zabiegiem stylistycznym jest wykorzystanie przez Machado poetyki lipogramu, czyli utworu, w którym świadomie rezygnuje się z używania jakiejś litery. Słynna lipogramatyczna powieść Georges’a Pereca „Zniknięcie” opowiadająca o zaginięciu niejakiego Antona Voyla i kolejno wszystkich, który go poszukują (napisana bez samogłoski „e” i jej wariantów) interpretowana była swego czasu jako historia ofiar, które uczestniczą w procesie własnej eliminacji.

Ponieważ Perec był czytelnikiem Franza Kafki, a Machado zapewne jest czytelniczką ich obu, „Dom snów” pokazuje, że język posiada jednocześnie moc twórczą i opresyjną. Usunięcie jednej litery z tekstu powoduje natychmiastowe zakneblowanie ust bohaterkom i bohaterom, zmusza do kluczenia, do zastępowania właściwych określeń ich synonimami, snucia opowieści poprzez negację. Odwołując się do gestu Pereca, Machado nie tylko ujawnia, że nie znajduje języka do opowiedzenia własnego doświadczenia; odkrywa też, że doświadczenia innych kobiet, które zasnęły w przeszłości przemocy ze strony swoich partnerów, były skrzętnie ukrywane lub unieważniane.

Przemoc archiwum

W prologu „Domu snów” Machado odwołuje się do pojęcia „archiwum” Jacques’a Derridy, wyjaśniając czytelniczkom i czytelnikom, że francuski filozof wywodził je od starogreckiego słowa *archeion*, oznaczającego „dom władcy”. Władzę ma ten, kto decyduje, co zostanie zapisane, a więc przechowane i zapamiętane. Archiwum to także zbiór praw, wedle których wydaje się wyroki, uniewinnia bądź skazuje. Wreszcie – to sam dostęp do prawa, możliwość wglądu w jego księgi, a także pamięć o tym, w jaki sposób i w czyjej obronie je zastosowano.

Zagłębiając się w archiwach, Machado odkrywa, że temat przemocy w związkach lesbijskich podnoszony był już pod koniec lat 80. XX w. Niedługo po tym, jak mieszkająca na Florydzie Amerykanka Annette Green zastrzeliła swoją przymocowaną partnerkę. Green była jedną z pierwszych lesbijek, która przed sądem powołała się na „syndrom bitej kobiety”, by wytłumaczyć motyw swojego czynu. Pojęcie „bitej kobiety” było wówczas w Stanach stosunkowo nowe, zaczęto go używać ledwie dekadę wcześniej, ale – uwaga – jedynie w przypadku przemocy wobec białych i heteroseksualnych kobiet. A Green była nie tylko lesbijką, ale także Latynoską.

Ostatecznie sędzia pozwolił oskarżonej posłużyć się nim, ale nalegał, by przeformułowała je na „syndrom bitej osoby”. Mimo tej wymuszoności „łaskawości” wymiaru sprawiedliwości, Green przegrała proces. Asystent jej adwokata miał wówczas powiedzieć – relacjonuje Machado

– że gdyby chodziło o heteroseksualny związek, jego klientka zostałaby uniewinniona. Prawo (archiwum – „dom władcy”) nie tylko nie uwzględniało i nie uwzględnia niektórych kategorii ofiar. Wciąż prześlepia wiele rodzajów przemocy: przemoc werbalną, emocjonalną, finansową czy psychologiczną. Wewnętrzne prawo społeczności LGBTQA+ nie chce z kolei dostrzec, że także osoby *queer* zadają sobie wzajemnie ból. Chęć „zachowania twarzy i utrzymania pozorów jednolitej moralności” wygrywa z prawdą.

Zresztą ta zasada dotyczy nie tylko przemilczania wzajemnej przemocy. Odnosi się także do stosowania wygodnych politycznych podziałów. W jednym z rozdziałów Machado opisuje wujka Nicka, typowego rednecka, Republikanina ze Środkowego Zachodu – właściciela kolekcji broni i wiernego widza Fox News. „Złamane serce wszystkich nas boli tak samo” – mówi jednak niespodziewanie Nick, gdy Carmen rzuca mu się w ramiona, by się wypłakać po rozstaniu z dziewczyną. Cóż, „melodramat rozwodowy” to także jeden z gatunków, które zostają tu nadkruszone.

Być może jedynym rodzajem opowieści, który wciąż trzyma się mocno po stylistycznym trzęsieniu ziemi wywołanym przez Machado, jest romans. Eros, ten „słodko-gorzki stwór” (fragment okraszony cytatem z Safony otwiera jedną z części powieści), jest oczywiście patronem schematów, jakim podlega każda historia miłosna. Ale też każda zakochana i każdy zakochany chce wierzyć, że jej i jego miłość była wyjątkowa. Oraz że równie wyjątkowy i wart zauważenia jest ból, którego doświadczają po rozstaniu.

©© MONIKA OCHEŃDOWSKA

Na Festiwalu Conrada porozmawiamy

z **CARMEN MARIĄ MACHADO**

o doświadczeniu przemocy w relacjach osób LGBTQA+, a także o trudnościach ze znalezieniem odpowiedniego języka – nie tylko literackiego – za pomocą którego można by o tym mówić. W świecie, w którym homofobiczne i transfobiczne ataki zdarzają się nieustannie, poruszanie takiego tematu jest wyjątkowo skomplikowane, ale możliwe i potrzebne. Spotkanie poprowadzi Aldona Kobus.

Pomiędzy

GRZEGORZ JANKOWICZ

Powieści Gurnaha ukazują gęsty spłot rozmaitych sił, które wpływają na życie osób wywodzących się z krajów kolonialnych i postkolonialnych.

W jednej ze scen debiutanckiej powieści Abdulrazaka Gurnaha „Memory of Departure” („Wspomnienie wyjazdu”) służby porządkowe zmuszają ludność fikcyjnego miasta Kenge na wschodnim wybrzeżu Afryki do pracy przy budowie osiedli dla mieszkańców slumsów. Jest niedziela, ale nikt nie może odpoczywać. Niedawno skończyła się rewolucja, trzeba tworzyć nowy porządek. Do poszczególnych dzielnic wysłane zostają partyjne bojówki, by ściągnąć jak największą liczbę „wolontariuszy”.

W domu głównego bohatera – Hassana Omara, nastolatka, który właśnie ukończył szkołę – dochodzi do przepychanki z „funkcjonariuszami”, gdyż rodzina chłopaka stawia symboliczny opór. W powietrzu wisi groźba aresztowania. Wszyscy mają okazać dokumenty.

Hassan znajduje się w opałach, ponieważ w urzędzie meldunkowym podał nieprawdziwe dane. Gdy dowiedział się, że na mocy nowego prawa musi wpisać do kwestionariusza nie tylko nazwisko, datę urodzenia i narodowość, ale też pochodzenie rasowe, postanowił zakpić z systemem. Nie spodziewał się, że władza będzie go prześwietać przy każdej nadarzającej się okazji. Ale w świecie, w którym wszystkim wyznaczono określone miejsca, nic nie jest politycznie obojętne. Zwłaszcza że chodzi o odwrócenie dawnych hierarchii. Ci, którzy zajmowali uprzywilejowane pozycje, mają cierpieć. Są wewnętrznymi wrogami, których wspólnota musi się pozbyć, by zapanowała sprawiedliwość.

W sidłach kolonializmu

U Gurnaha jednak nic nie jest oczywiste – ani los poszczególnych bohaterów i bohaterów, ani ich relacje rodzinne czy społeczne, ani tym bardziej skutki politycznych przemian.

W swojej pierwszej powieści, opublikowanej w 1987 r., pisarz przedstawia m.in. wpływ rewolucji na życie wchodzącego w dorosłość chłopaka. Możemy się domyślać, że Kenge jest częścią Tanzanii, która została utworzona w połowie lat 60. zeszłego wieku z połączenia dawnych kolonii brytyjskich – Tanganiki oraz Zanzibaru. Koniec protektoratu oraz rewolucja na Zanzibarze doprowadziły do powstania federacyjnego bytu państwowego i nowego ustroju. Napięcia społeczne przebiegały wzdłuż linii dawnych różnic klasowych i rasowych, przy czym te ostatnie zostały pogłębione na skutek wprowadzenia specjalnych ustaw ograniczających wpływy ludności pochodzenia arabskiego.

Kolonizacja wschodniej Afryki była bowiem wieloetapowa. Zanim w regionie pojawili się Europejczycy, wyzyskiwały go Indie, a przede wszystkim kraje arabskie. W 1698 r. Zanzibar stał się posiadłością Omanu, a w pierwszej połowie XIX w. na wyspę została przeniesiona stolica sułtanatu omańskiego, co było równoznaczne z wprowadzeniem tam arabskich rządów. Otwarcie Kanału Sueskiego zintensyfikowało ekspansję krajów europejskich (głównie Niemiec i Anglii). Po I wojnie światowej kontrolę nad Tanganiką i Zanzibarem sprawowali Brytyjczycy. Kres protektoratu, który datuje się na początek lat 60., doprowadził do przekazania pełnej władzy nad Zanzibarem sułtanatowi, obalonemu niedługo później przez rewolucjonistów.

Właśnie na tym tle rozgrywa się historia opowiedziana przez Gurnaha w „Memory of Departure”. Powtórzę: nic w niej nie jest oczywiste ani jednowymiarowe. Hassan pochodzi z biednej, dysfunkcyjnej rodziny arabskiej. W domu i na podwórku panuje przemoc, której ofiarami mogą stać się wszyscy: kobiety, dzieci,

młodzi i starsi mężczyźni. Na porządku dziennym są pobicia, kradzieże oraz gwałty (dzieci regularnie krzywdzone przez dorosłych dręczą seksualnie rówieśników). Po zmianie władzy i wprowadzeniu nowych praw dla niektórych osób nie ma żadnych perspektyw rozwoju. Wyniki egzaminów końcowych utrzymywane są w tajemnicy przed uczniami, by tych najzdolniejszych zniechęcić do emigracji.

Wspomniana przeze mnie na początku scena daje wgląd w skomplikowaną sytuację, w jakiej znalazła się lokalna społeczność. Władzę sprawują autochtoni, którzy wywalczyli ją po wycofaniu się brytyjskich kolonizatorów i zdetronizowaniu Arabów. Rodzina Hassana należy do grupy historycznie utożsamianej z najeźdźcami, z których rekrutowały się elity polityczne. Mimo że już wcześniej nie była zamożna, mimo że nowe regulacje prawne uderzają w nią bezpośrednio, jej członkowie nie mogą wejść w rolę ofiar rewolucyjnego reżimu, gdyż narracji, w obrębie której zajęliby taką pozycję, nie dałoby się uspołnić. Partyjni bojówkarze, których wyposażono w plenipotencję, sprawują kontrolę jedynie częściowo. Rozkazują zgromadzonym, by okazali dokumenty, ale mogą co najwyżej przyjrzeć się wklejonym do nich zdjęciom, gdyż nie potrafią czytać. Przymusowa praca w niedzielę jest dla niektórych potężnym obciążeniem, a jednak ma na celu poprawę warunków bytowych ludzi, którzy wcześniej żyli w nędzy.

Gurnah prezentuje nam zdarzenia, w których ocenie musimy uwzględnić niewidoczne na pierwszy rzut oka czynniki. Każda z sytuacji przedstawionych w powieści składa się z różnych warstw, do których trzeba dotrzeć, by zrozumieć wschodnioafrykańską rzeczywistość, a także uchwycić złożone trajektorie losów poszczególnych postaci.



ABDULRAZAK GURNAH

(ur. 1948) – brytyjski pisarz, emerytowany wykładowca Uniwersytetu w Kent, laureat Literackiej Nagrody Nobla za rok 2021. Urodzony na Zanzibarze, skąd w latach 60. uciekł do Anglii. Studiował najpierw w Christ Church College w Canterbury, a następnie na Uniwersytecie w Kent. Jego zainteresowania naukowe i tematy podejmowane w twórczości związane są z doświadczeniem migracji, rozdarcia między kulturami, budowania swojej tożsamości i życia w nowym, obcym miejscu. Jest autorem dziesięciu powieści, m.in. „Memory of Departure” (1987), „Paradise” (1994), „By the Sea” (2001) czy „Desertion” (2005). W 1994 r. znalazł się na krótkiej liście Nagrody Bookera za „Paradise”, a w 2016 r. zasiadał w jury tej Nagrody.

Postkolonialny świat

Debiutancka (pisana w pierwszej osobie) powieść Gurnaha ma autobiograficzny charakter. Przyszły pisarz urodził się na Zanzibarze w rodzinie arabskiej (jego ojciec pochodził z Jemenu). W obliczu represji wobec Arabów zdecydował się na opuszczenie wyspy, na której pozostała jego rodzina. W wieku osiemnastu lat wyjechał do Anglii, gdzie najpierw podjął studia literaturoznawcze, a następnie pracę na uniwersytecie. Do połowy lat 80. nie mógł odwiedzać swojego kraju.

Zaczął pisać dopiero na emigracji, a początki jego aktywności pisarskiej nie miały nic wspólnego z tradycyjnie rozumianą twórczością literacką. W wywiadach podkreśla, że w pierwszych latach pobytu w Anglii odczuwał potrzebę uporządkowania doświadczeń z okresu młodości. Wyjazd był równoznaczny z porzuceniem – na bardzo długi czas – rodziny oraz przyjaciół. To była w jego życiu radykalna zmiana. O swoich przeżyciach nie mógł tak po prostu opowiedzieć angielskim znajomym. Przyczyn tej niemożno-

ści było wiele: żal, różnice kulturowe, poczucie zagubienia w nowej rzeczywistości, strach przed odrzuceniem, konwenanse, a wreszcie problem z wysłowieniem traumy, która istniała w nim w postaci plątaniny różnych zdarzeń, impulsów i emocji. Zaczął pisać, by skomunikować się z samym sobą, by wytyczyć ścieżki we własnym wnętrzu. Dopiero z czasem ta zwyczajowa czynność zaczęła przeradzać się w prawdziwą twórczość, która była mu bardzo potrzebna, choć nigdy nie przeceniał jej wpływu na własne czy cudze życie. ➔

→ Zapytany, czy dzięki literaturze można przezwyciężyć poczucie bezdomności, które towarzyszyło mu po wyjeździe z Zanzibaru, odpowiedział, że nie sądzi, by pisanie miało taką moc. Zaczynając pisać – tłumaczył – nie jesteśmy nawet świadomi, że szukamy nowego domu. Dopiero z czasem, krok po kroku, odkrywamy, że w bliższym lub dalszym sąsiedztwie znajdują się ludzie, którzy również tworzą i czytają opowieści, by za ich pomocą komunikować się ze sobą i światem zewnętrznym. Tak rodzi się więc z wyjątkową wspólnotą, do której należą osoby rozsiane po różnych zakątkach globu.

Analiza własnych przeżyć skłoniła Gurnaha do napisania pełnowymiarowej powieści. W centrum uwagi, jak już wspomniałem, znajduje się w niej Hassan oraz jego rodzina. Na sposób funkcjonowania tej ostatniej wpływają różne czynniki: wielowiekowy kolonialny wyzysk, przemoc ze strony najeźdźców, która pozostawiła ślady w zbiorowej podświadomości kolejnych pokoleń, nakładające się na siebie formy wykluczenia, pielęgnowana przez miejscowych i wzmacniana przez kolonizatorów patriarchalna struktura relacji społecznych (której rewolucja wcale nie chce rozbić)...

Młody bohater jest częścią tego świata, ale chce się z niego wyrwać. Odrzuca przemoc, której bezwiednie oddają się rówieśnicy. Przeciwwstawia się regułom – także religijnym – panującym w domu. Wiecznie pijanego i bezwzględного ojca demaskuje jako dwulicowego uzurpatora, który ma nad nim władzę wyłącznie dlatego, że dysponuje większą siłą fizyczną. Zdaje sobie sprawę, że jako uzdolniony uczeń jest osobą pożądaną przez nowy reżim, ale pracę znajdzie wyłącznie wtedy, gdy zgodzi się zająć wyznaczone mu przez jakiegoś urzędnika miejsce. Urzędy zaś są niedostępne dla zwykłych ludzi od czasów panowania kolonialnej administracji. Ci, którzy wyzyskują, niedawno byli podporządkowani, a może nadal nimi są, choć nie zdają sobie z tego sprawy.

Wcześniej rozbudzona świadomość pozwala Hassanowi zachować dystans wobec otaczających go ludzi i zdarzeń. Jednak wewnętrzna niezależność mu nie wystarcza. Chce wyjechać z Kenge, najlepiej do dalekiego kraju. Rodzice, początkowo sceptyczni, akceptują jego wolę. Matka podpowiada, by udał się do jej

■ Gurnah prezentuje nam zdarzenia, w których ocenie musimy uwzględnić niewidoczne na pierwszy rzut oka czynniki. Każda z sytuacji przedstawionych w powieści składa się z różnych warstw, do których trzeba dotrzeć, by zrozumieć wschodnioafrykańską rzeczywistość, a także uchwycić złożone trajektorie losów poszczególnych postaci.

brata Ahmeda, mieszkającego w stolicy Kenii Nairobi biznesmena, który na początku swojej działalności wykorzystał rodzinną schedę jako kapitał założycielski i nie podzielił się pieniędzmi z siostrą. Ten wątek pozwala Gurnahowi obnażyć patriarchalizm jako nieusuwalny fundament arabskiej rodziny.

Wujek Ahmed ma piękny dom, kilka firm, rozległe wpływy, ale w rzeczywistości jest zależnym mężczyzną, który narcyzmem i nieopanowanymi wybuchami agresji próbuje zasłonić powracające poczucie bezradności. Więzi żonę, bo boi się, że go zdradzi (ostatecznie kobieta popełnia samobójstwo), znęca się nad córką, bo odnosi wrażenie, że za bardzo się wyemancypowała. Próbuje zdominować każdego, kto jawi mu się jako „lepszy” (lepiej wykształcony, bogatszy, bardziej wpływowy etc.). Hassana chce od siebie uzależnić, oferując mu posadę w jednej ze swoich firm. Bohater odrzuca tę propozycję, gdyż pragnie zmiany radykalnej, a nie powierzchownej. Wujek wyrzuca go z domu, rzucając pod jego adresem

bezpodstawne oskarżenie o znieważenie czci jego córki (w której Hassan się zakochuje). Bohater, wyzbywszy się ostatnich złudzeń, wraca do domu i rozpoczyna przygotowania do emigracji.

Gurnah robi w tym miejscu cięcie, dając nam do zrozumienia, że świadomość głównego bohatera jednak nie jest do końca odczarowana. Owszem, zdekonstruował świat, w którym się urodził i wychował, ale w chwili wyjazdu całkowicie zawierał krzepiącemu i fałszywemu mitowi wielkiej zaoceanicznej podróży, przeocząc fakt, że jest on częścią kolonialnej narracji. Powieść kończy się listem Hassana do ukochanej kuzynki, pisany z okrętu, na który się zaciągnął. Jasne jest, że choć podjął właściwą decyzję, nie ma pojęcia, jakie będą jej konsekwencje i co czeka go w nowym kraju.

Dochodząc do głosu

Gurnaha – nie tylko jako prozaika, ale również jako badacza literatury – interesują zmiany zachodzące w życiu migrantów (w ich świadomości, psychice i percepcji rzeczywistości) pod wpływem oddziaływania dominującej kultury. Temat ten stale powraca w jego twórczości. Jeśli pierwsza powieść kończy się przejściem od wglądu (analiza struktury tanzaniańskiego społeczeństwa) do ślepoty (bezkrytycznie przyjęty mit podróży), to kolejny utwór Gurnaha – wydana w 1988 r. powieść „Pilgrims Way” („Droga pielgrzymów”) – przedstawia niezwykle trudny proces osuwania się z krajem imigracji.

Trzecioosobowa narracja jest epizodyczna. W dwudziestu częściach pisarz ukazuje losy Dauda, który po przyjeździe do Anglii (opuścił Tanzanię najprawdopodobniej na przełomie lat 60. i 70. XX w., choć czas akcji nigdy nie zostaje dookreślony) doświadcza ataków ze strony przeżartego rasizmem brytyjskiego społeczeństwa. Nienawisć, z którą bohater spotyka się każdego dnia (a poznajemy go pięć lat po przeprowadzce), jest przytłaczająca i obezwładniająca. Czuje się podporządkowany, wykluczony i wyzyskiwany (po przerwaniu studiów zatrudnił się jako salowy w szpitalu). Tak bardzo wstydził się swojej sytuacji, że postanawia na jakiś czas odciąć się od bliskich z Tanzanii, by nie dowiedzieli się, w jakich warunkach żyje. Przystaje odpowiadać na ich listy. Jego sieć społeczna ogranicza się w zasadzie do trzech osób: dwóch przyjaciół

oraz Catherine, z którą zaczyna się umawiać.

Tytuł powieści nawiązuje do trasy, którą rzekomo pokonywali pielgrzymi zmierzający do sanktuarium Thomasa Becketa w Canterbury. Daud pracuje właśnie w Canterbury i choć wiele razy przechodzi obok świątyni, nie przekracza jej progu. Na samą myśl o tym odczuwa dysonans poznawczy. Skinheadzi, którzy upokarzają go werbalnie i fizycznie, odwiedzają ją regularnie. Katedra jest istotną częścią systemu opresji. Wejście do środka byłoby równoznaczne z symbolicznym przyjęciem roli podporządkowanego. Ostatecznie Daud przekracza próg sanktuarium, ale już na innych warunkach. Stosując różne strategie oporu (przede wszystkim wykorzystując opowieść jako narzędzie kształtowania rzeczywistości), udaje mu się wzmocnić swą podmiotowość.

Do tego samego tematu Gurnah powrócił w piątej powieści – zatytułowanej „Admiring Silence” („Wielbiąc milczenie”) i opublikowanej w 1996 r. Jej bezimienny bohater przyjechał do Anglii z Zanzibaru w latach 60. zeszłego wieku. Pozostaje w związku z Brytyjką Emmą (z którą ma córkę) i pracuje jako nauczyciel. Spotykamy go, gdy udaje się do lekarza z nawracającymi bólami w klatce piersiowej. Okazuje się, że cierpi na arytmie, na którą – według specjalisty – podatni są Afrokaraibowie. Bohater nie protestuje, choć ogólnikowa diagnoza podsztyta jest rasistowskimi uprzedzeniami, na dodatek nie ma nic wspólnego z jego pochodzeniem.

„Rzecz jasna, po całym zamieszaniu nie miałem serca, by wyjaśnić mu, że nie jestem ani Afrokaraibem, ani jakimkolwiek innym Karaibem, i nic mnie nie łączy z Atlantykiem. Mówiąc ściśle, jestem chłopakiem znad Oceanu Indyjskiego, muzułmaninem, ortodoksyjnym sunnitą z wychowania, wahabitą przez powiązania. I wciąż nie potrafię uciec przed konsekwencjami tych wczesnych uwarrunkowań” (tłum. własne). Choroba serca jest tu figurą niemocy. Bohater „nie ma serca”, by zmanifestować swą tożsamość, by wyrazić swoje pragnienie, by opowiedzieć własną historię. Ukrywa się nie tylko wśród Anglików, ale też wśród swoich.

Gdy po wielu latach od wyjazdu odwiedza wreszcie Zanzibar, nie mówi bliskim, że w Anglii ma rodzinę. Wyznaje im to

dopiero wtedy, gdy postanawiają zaaranżować dla niego małżeństwo z miejscową dziewczyną. Jest unieruchomiony – emocjonalnie i egzystencjalnie. Jego sytuacja materialna jest lepsza niż Dauda, ale to wcale nie daje mu poczucia sprawczości. Emma, przygotowująca doktorat z literatury, postanawia od niego odejść, rzucając na pożegnanie, że jej życiowa narracja jest otwarta i właśnie rozpoczyna pracę nad kolejnym rozdziałem. Jego historia jest domknięta, wszystko tonie w jego wnętrzu. To tam rozwija się długi monolog, niedostępne dla nikogo, choć niezwykle elokwentne świadectwo niepewności i zgorzknienia.

Opowiadać dalej

Twórczość Gurnaha jest przykładem literatury antykolonialnej, przykładem z wielu względów wyjątkowym. Przede wszystkim pisarz nigdy nie redukuje swoich bohaterów do roli ofiar, choć z niezwykłą konsekwencją odsłania mechanizmy opresji, którym podlegają. Jedni cały czas trwają w stanie podporządkowania, drugim udaje się ten stan na jakiś czas lub trwale przezwyciężyć. Bohater „Admiring Silence” ponosi porażkę, ale postaci z następnej książki Zanzibarczyka – powieści „By the Sea” („Nad morzem”) wydanej w 2001 r. – mimo sprzecznych interesów, mimo rodzinnych zaszłości, które utrudniają im porozumienie, wspólnie znajdują sposób na ugruntowanie własnych tożsamości w emigracyjnych warunkach. Ci, których Gurnah portretuje, zawieszeni są zazwyczaj pomiędzy różnymi światami, kulturami i językami.

Ostatnia – dziesiąta – powieść Gurnaha „Afterlives” ukazała się w 2020 r. Trudno przełożyć jej tytuł. Najprostsza wersja – „Życie po życiu” – jest nieadekwatna nie tylko dlatego, że zamiast jednego słowa dostajemy trzy, ale także dlatego, że w oryginalne mamy liczbę mnogą. Jej akcja rozgrywa się w pierwszej połowie XX w. we wschodniej Afryce. Poznajemy połączone ze sobą losy grupy osób w różnym wieku, różnego pochodzenia i różnej płci: Khalify, jego żony Ashy Fuadi, Ilyasa, jego siostry Afiyi, jej męża Hamzy i ich syna – kolejnego Ilyasa.

W tle toczy się brutalna walka. Brytyjczycy skutecznie walczą z Niemcami o kontrolę nad Niemiecką Afryką Wschodnią. W ten konflikt, będący

w istocie częścią I wojny światowej, zaangażowani są jako żołnierze Ilyas oraz Hamza. Pierwszy jest gotowy oddać życie za Niemców, ślepo podążając za ideologicznymi wskazówkami okupantów. Drugi robi wszystko, by wydostać się spod ich władzy. Hamza dowiaduje się o istnieniu Ilyasa dopiero wtedy, gdy wiąże się z jego siostrą. Na cześć brata, który nie wraca po wojnie do domu i uchodzi za zaginionego, Afiya nadaje synowi to samo imię.

Już jako dorosły człowiek, w 1963 r., drugi Ilyas wyjeżdża do Niemiec. Jest dziennikarzem radiowym i, korzystając ze stypendium rządu RFN, chce rozwijać swoją pasję. Przekopując archiwa, natrafia na ślad wujka, który jako afrykański żołnierz niemiecki, były członek oddziałów kolonialnych, znalazł się w Rzeszy i po przejęciu władzy przez nazistów związał się z ruchami nawołującymi do odzyskania dawnych kolonii. Zginął w obozie, do którego trafił za romans z Niemką (złamał prawo o ochronie czystości rasy).

Tytuł powieści Gurnaha odsyła do osobliwego stanu, z którym mamy do czynienia, gdy upada pewien świat, a wraz z nim określona forma życia, narzucona lub wybrana. Życie toczy się dalej, ale nie jest już takie samo, rozgrywa się w sferze pomiędzy, którą trudno zdefiniować. Młody Ilyas to figura pisarza, którego celem jest wydarcie pojedynczych historii z pracującej nieustannie (wciąż, nawet teraz) kolonialnej niszczarki dziejów. Tytułowe *after* oznacza nie tylko cezurę oddzielającą dwa etapy egzystencji, ale także kierunek, w jakim zawsze zmierza Abdulrazak Gurnah. Podążając za śladami dawnego życia, szuka go w pamięci ocalałych i tam, gdzie inni już od dawna nie zaglądają. Życie po życiu to według niego również pewna możliwość, którą daje nam literatura.

©® GRZEGORZ JANKOWICZ

ABDULRAZAK GURNAH będzie gościem całorocznego cyklu rozmów „Natura przyszłości”, który stanowi integralną część Festiwalu Conrada. Wywiad z noblistą zostanie wyemitowany w ostatni czwartek września (29.09) i zbiegnie się z premierą jego pierwszej wydanej w języku polskim książki – „Afterlives” w przekładzie Krzysztofa Majera.

JAN

Klata:

Ostatnie słowa



AŁA GUTNIKOWA MA 23 LATA. KOLEJNE dwa lata spędzi na „robotach korekcyjnych”, poprawianiem jej postawy zajmą się putinowscy czynownicy – tak orzekł w zeszłym tygodniu „sąd”. Przez rok znajdowała się w „niepełnym areszcie domo-

wym”, codziennie w godzinach 00:00-23:59, czyli od czasu, kiedy wraz z Armenem Aramjanem, Władimirem Mietielkinem i Nataszą Tyszkiewicz pozwolili sobie poprzec prawo do protestów przeciwko uwięzieniu Aleksieja Nawalnego. Rosja w osobie „prokuratora” Triakina (nazwiska są ważne, konkretne nazwiska czynią zło) orzekła, że czworo redaktorów studenckiego czasopisma „Doxa” „wciąga nieletnich w protesty”.

Studenci elitarnych moskiewskich uczelni zostali skazani kilka dni temu. Zgodnie z procedurami mieli oka-

zję wygłosić „ostatnie słowa”. Armen Aramjan zaczął od minuty milczenia za ofiary „operacji specjalnej” na Ukrainie... ale pani „sędzia” przywołała go do porządku, zwracając uwagę, że przecież ostatnie słowa mają się składać z ostatnich dźwięków, a nie z ostatniego milczenia, więc jeśli chce skorzystać z prawa, musi coś mówić, inaczej „wysoki sąd” odbierze głos.

Zapis tego, co powiedziała Ała Gutnikowa, można znaleźć *in extenso* zarówno w formie nagrania z sali rozpraw, jak i polskiego tłumaczenia. Mówiła rzeczy piękne i najważniejsze. Mówiła głosami innych. Naiwnie, jak ludzie, którzy mają moc zmieniania świata na lepsze: „Ja, moi przyjaciele i koleżanki, nie umiemy sobie znaleźć miejsca, przerażeni i zbolali, ale w metrze nie widzę zapłakanych twarzy. Nie widzę zapłakanych twarzy. Żadna z moich ulubionych książek – dla dzieci ani dla dorosłych – nie uczyła obojętności, nieczułości, tchórzostwa. W żadnej nie znalazłam słów: »jesteśmy tacy małyńcy«, »jestem zwykłym człowiekiem«, »to wszystko nie jest takie proste«, »nikomu nie można ufać«, »to mnie nie interesuje«, »trzymam się z dala od polityki«, »to mnie nie dotyczy«, »nic ode mnie nie zależy«, »właściwe organy będą wiedziały«, »co ja sama poradzę«”.

Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że młodzi Polacy też czytają takie książki. ©

Lektor:

Pochwała czułej podróży



■ Andrzej Franaszek
GWIAZDA PIOŁUN.
OPOWIEŚCI O POEZJI,
PODRÓŻOWANIU I PRZYJAŹNI

Wydawnictwo Znak, Kraków 2022, ss. 666

SUMIENNY BIOGRAF ZBIERA świadectwa, przekopuje się przez archiwalia i odbywa niezliczone rozmowy – z żywymi i umarłymi. Czy raczej, jak pisze autor, wsłuchuje się w głosy zmarłych. Poprzez swojego bohatera poznaje innych ludzi, zaczyna ich darzyć sympatią lub niechęcią. Zakurzone teczki przenoszą go w przeszłość, a przecinające się linie życiorysów tworzą coraz gęstsza sieć, przestrzeń nie do końca uchwytą, ale niespodziewanie realną.

Andrzej Franaszek jest autorem dwóch monumentalnych biografii – Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta, pracuje teraz nad trzecią – Józefa Czapkiego. Miłosz, Herbert i Czapski to najważniejsze postacie „Gwiazdy Piółun”. A więc produkt uboczny, odprysk z warsztatu? Pomi- jam już, że trudno mówić o odprysku w przypadku tak potężnego (666 stron!) tomu i że obok wspomnianej trójcy ważni są w nim Gombrowicz, Iwaszkiewicz, Wat, Różewicz czy Krynicki. Ten

zbiór esejów jest książką całkiem inną – mnie skojarzył się z dostojnym gatunkiem „rozmów zmarłych”, bowiem właśnie rozmowy, rzeczywiste, domyślne i możliwe, spotkania, przyjaźnie i konflikty wewnątrz tej niezwykłej plejady pisarzy i artystów stanowią jej punkt ciężkości. A cecha druga to nić auto-biograficznej tym razem refleksji, trochę nawet „spowiedź dziecięcia wieku” – pięćdziesięciolatka, któremu świat mistrzów zdaje się bliższy niż współczesność i dzieli się swoim zachwytem, nie unikając czasem nuty patosu, choć i nie bezkrytycznie. Wątek ten najmocniej wybrzmiewa w eseju „Byłem szczęśliwy” – tytuł jest cytatem z Herberta, ale i wyznaniem. Sto stron, więc niemal osobna książka, opowiadająca o wędrówkach do San

Gimignano, Orvieto i Sieny, jakie odbywali Iwaszkiewicz i jego młody przyjaciel Józef Rajnfeld, Miłosz, Herbert, także Różewicz, a po latach, ich śladami, piszący o nich autor wraz ze swoją towarzyszką. Rodzaj palimpsestu, w którym nakładają się i przenikają nie tylko płaszczyzny czasowe, ale i rodzaje wrażliwości. Jak Iwaszkiewicz, Herbert i Miłosz odczytywali „Sąd Ostateczny” Signorellego w kaplicy San Brizio katedry w Orvieto? A jak czytać ich wiersze o Sienie? Bo „Byłem szczęśliwy”, jak zresztą i cała książka, to także szkoła lektury – poezji, ale również tekstu kulturowego, jakim są dzieła sztuki, pejzaż, obyczaj. No i wielka pochwała uważnej i czułej podróży. Przez świat, przez życie. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Ojcowskie napomnienie



DRZEWIA JAK KATEDRY. PORÓWNANIE WCALE nie nowe i na pewno słyszałem je już od ludzi, którzy, tak jak ja, lubią wsiąknąć w uroczystą ciszę lasu i odczuwać własną małość przy dwustuletnim dębie. O przy-

kładaniu twarzy do chropowatej kory i wsłuchiwaniu się, jak trzeszczy pień kiwający się na wietrze, wspominać tu nie będę, bo mnie słusznie wyśmiejecie. Katedralność drzew nie jest mi więc obca, ale tym razem ta zbitka słów uderzyła mnie z niespodziewaną mocą i wyrwała ze zgiełku pewnego festynu spożywczego. Mówił tak do mnie napotkany tam jeden z najlepszych polskich cydrowników z Ignacowa pod Grójcem. Mówił, a jakżeby inaczej, o jabłonkach.

Niezłych, zapadających w pamięć cydrów jest u nas sporo. Ale butelki tego akurat producenta szczególnie sobie upodobałem, bynajmniej nie z powodu sympatii, jaką żywię dla świętego Ignacego, lecz dlatego, że ratują honor mazowieckiej ziemi, której się przecież nie wyprę, stanowiąc jasny punkt na mojej osobistej mapie ważnych smaków. Mapie, rzecz jasna, zmiennej – jedne nazwy gasną, inne nagle się zapalają (ach, nieszczęsny, dopiero w szóstej dekadzie życia dowiedziałem się, co to jest fasola wrzawska!), ale mój ojczysty – choć raczej dostałem go od losu po matce – region to wciąż pustka, jeśli chodzi o wybitne lokalności smakowe, o produkty będące, jak to się powiada w żargonie winiarskim, „ekspresją terroir”. Brzmi to jakże fachowo, a chodzi po prostu o to, że w pewien trudny do całościowego opisu sposób coś po prostu smakuje tak lub siak, bo jest stąd, a nie stamtąd.

Ten wspaniały cydrownik wypuszczał ongiś w niewielkiej liczbie butelki z czarną nalepką, zawierające napój godny, niczym dobry riesling, postawienia na stole przy solidnym obiedzie i poważnego namysłu. Zapytany, czemu to чудо zniknęło z rynku, odpowiedział, iż utracił dostęp do starego sadu, który dostarczał mu owoców właściwych odmian. Mówiąc prościej: drzewa poszły pod topór, bo raz że na starość zbyt mało dawały, dwa, że były zbyt rozrośnięte. Jak katedry właśnie. Pięknie się o nich mówi i wspinałoby się wyobrazić lipcową drzemkę w ich łaskawym cieniu – ale ludzie, którzy przy nich nie odpoczywają, tylko pracują, mają inne na to spojrzenie, i kto nam, miejskim leniwcem o delikatnych dłoniach daje prawo, by ich za to potępiać?

Pan Tomasz z Ignacowa opowiadał mi dalej nie tylko o odnalezieniu jeszcze niewyciętego starego sadu, ale i o podjętych przez siebie na przyszłość nasadzeniach drzew właściwych odmian, które wyrosną jednak tylko do rozmiarów upraw-

nających do porównań z małym kościółkiem. Chodzi wszak o to, by już przecież od tysiącleci poddaną ludzkiej woli i zmutowaną przyrodę rolno-hodowlaną prowadzić po cienkiej linii między wygodą, pragmatyką technologii oraz rachunkiem pieniężnym a równowagą ekosystemów i małą skalą działania, jaka jest najwłaściwsza człowiekowi, istocie wyrastającej ponad grunt na maksimum dwa metry wwyż.

I istocie tyleż metrów mniej więcej sięgającej w boki przy rozpostartych ramionach, co z kolei jest istotnym parametrem, np. gdy zakłada się stawy do hodowli potokowego pstrąga. Stawy będące w rzeczy samej imitacją potoku, gdzie większość prac z drapieżną rybą trzeba prowadzić ręcznie z użyciem narzędzi niewiele zmienionych od czasów neolitu. Jak np. w Ojcowie, skąd małe gospodarstwo rybne dostarcza na stoły południowej Polski wybitne okazy. Nie wiem, jak elegancko po francusku określić wodny odpowiednik *terroir*, które jest słowem związanym z glebą. Tu zaś chodzi o czystość i potoczność cieku pędzącego po skalistym podłożu Doliny Sąpowskiej. Sama jej osobliwa nazwa budzi w moim mózgu ciepłe, niemal miłosne apetyty. A zresztą ten akurat pstrąg stał się niedawno bohaterem ekscytującej wpadki z już coraz rzadszego gatunku idiotyzmów automatycznych tłumaczeń. Otóż krakowski hotel, mający szalone pretensje do luksusu, w anglojęzycznym menu na degustację szampanów rybę określił jako *paternal trout*. Ojcowski w sensie rodzinnych więzów, a nie toponomastyki. Brakowało tylko jeszcze matczynego turbot lub ciociny ostróg.

Cóż, skąpcom żałującym słówkę na tłumacza zawsze słoma wylizie, może nie tyle z butów, co w tym przypadku spod żakardowego obrusa. Ale nam, zjadaczom słów i opojom poezji, takie rzeczy nie przeszkadzają, zwłaszcza w ubogiej smakowo końcówce kwietnia. W oczekiwaniu na pierwsze szparagi i inne oznaki wznowienia cyklu wegetacji na talerzu rozłożymy swój kocyk w cieniu katedralnej jabłoni i na drukowanej płachcie – dajmy na to „Życia Literackiego” – położymy pstrąga, który spojrzysz z ojcowskim napomnieniem, byśmy nie wazyli się go spożyć. ©P



PAWEŁ BRAVO

Na wspomnianym festynie spożywczym dobra krakowska restauracja podawała kawałki ojcowskiego wędzonego pstrąga wraz z kremem z czosnku niedźwiedziego, co okazało się świetną kombinacją wartą zapamiętania (całość zaostrzona łyżeczką ziarnistej musztardy). Oprócz robienia na zapas pesto z czosnku, które jest najprostszą formą utrwalenia tego

specjału, możemy te właśnie dostępne na straganach listki potraktować identycznie jak młody szpinak, biorąc pół na pół do krótkiej obróbki termicznej. Krótkiej na tyle, by liście odrobinę przywiedły, ale zachowały żywą zieleń. Nie trzeba wcale blanszować. Starczy umyć i nie bardzo dokładnie otrząsnąć wodę. Rzucamy bardzo mokre listki czosnku niedźwiedziego na dobrze rozgrzaną oliwę, od razu solimy i na średnim ogniu obracamy kilka razy, najwyżej minutę, aż trochę oklapną. A na to wbijamy jajka, które dalej smażymy do lekkiego ścięcia – pod przykrywką, żeby było szybciej. Takiego słońca na majówkę wam życzę.

SZTUKA BUJANIA

W hamaku zasypiasz z całym światem dokoła. Namiot rozbijasz wtedy, gdy chcesz się od świata odgradzić.

MARK RABIJ

POCZĄTKUJĄCY ZAWSZE PYTAJĄ O TO SAMO: „CZY NOCĄ w lesie jest bezpiecznie?”, „a jeśli nad ranem przyjdzie dzik?”. Albo o wytrzymałość materiału. Hamaki ogrodowe, uplecione ze sznurka lub uszyte z grubej tkaniny, wprost zapraszają do bujania. Ale powierzyć własne kości czemuś, co waży niespełna 160 gramów, uszytemu z tak cienkiej tkaniny, że widać przez nią, jak przez folię?

– Doświadczonych hamakowiczów rozpoznaję po tym, że wchodzi do hamaka jak do wygodnego łóżka – uśmiecha się Rafał Palowski. – I po tym, jak się w nim układają. Jak widzę, że ktoś kładzie się w hamaku jak Drakula do trumny, czyli równolegle do jego podłużnej osi, od razu wiem, że nigdy nie przespał nocy na wisząco. Bo w taki sposób wyspać się nie da.

W kwestii zwisania, bujania tudzież zasypiania pod rozgwieżdżonym niebem Rafał uchodzi w Polsce za pioniera i eksperta. W przyszłym roku stuknie 10 lat, odkąd – jako pierwszy w kraju – zaczął seryjną produkcję lekkich hamaków turystycznych. Nie mniej uznaną ekspertką jest dziś jego żona Gosia, z którą najpierw studiował w Krakowie turystykę, potem latami wędrował po górach i lasach, a teraz prowadzi firmę Lesovik.

– Czasem sobie z Gosią żartujemy, że wskutek własnej niewiedzy wynaleźliśmy na nowo koło – uśmiecha się znowu Rafał.

Bujanie dla początkujących

Garść informacji praktycznych.

Po pierwsze: w hamaku można spać równie komfortowo, jak w namiocie. Najzagorzalsi wyznawcy twierdzą wręcz, że w namiocie nigdy nie będzie tak wygodnie jak w hamaku, gdzie śpi się z dala od natrętnych owadów, szyszek czy wystających z ziemi korzeni.



MACIEJ WALASZCZYK / MATERIAŁY PRASOWE

Po drugie: układamy się „po brazylijsku”, czyli po przekątnej, z głową przy jednej krawędzi hamaka a nogami przy drugiej. Przy innym ułożeniu tkanina prędzej czy później zacznie uciskać ciało niczym zbyt wąski kokon, a wygięty w łuk kręgosłup odmówi posłuszeństwa. W ułożeniu brazylijskim ten sam materiał napina się inaczej, tworząc coś na kształt niemal płaskiego podłoża. Jeśli w łóżku sypiasz na wznak, możesz w tej pozycji chrapać także w hamaku. To samo dotyczy sypiających na boku, ale są i tacy fachowcy, którzy smacznie śpią na brzuchu. Długość hamaka powinna być równa co najmniej 165 proc. wzrostu użytkownika, jeśli więc mierzysz powyżej metra osiemdziesięciu, celuj w modele o długości minimum 300 cm. Im dłuższy, tym wygodniejszy.



Estonia, kwiecień 2019 r.

Po trzecie: hamak to sprzęt całoroczny. Kto wie, czy nie bardziej uniwersalny od namiotu, który latem błyskawicznie zmienia się w pęcherz nagrzanego powietrza, a zimą pokrywa się wewnątrz lodową glazurą. W hamaku przy plus dwudziestu i minus dwudziestu śpi się tymczasem jednako komfortowo. Trzeba tylko zmienić śpiwór.

Wreszcie najważniejsze. Współczesny hamak turystyczny to w istocie zestaw trzech elementów, w którym obok samego wiszącego legowiska nie mniej ważny jest tarp, czyli daszek z wodoszczelnej tkaniny ponad nim, oraz tzw. *underquilt*, podpinka, którą podwiesza się tuż pod hamakiem, żeby nocą zimno nie kąsało od spodu w plecy. Od biedy można je zastąpić karimatą, ale to mało wygodne, bo utrud-

nia zmianę pozycji podczas snu. Dlatego hamakowicze – jak żartuje Rafał – dzielą się na tych, którzy jeszcze żyją w przekonaniu, że da się wytrzymać w nocy bez docieplenia na plecach oraz tych, którzy wiedzą już, że nie warto próbować.

– Tylko że ja jestem ostatnią osobą, która miałaby prawo wypominać komuś nietrafne wyobrażenia na ten temat – ciągnie Rafał. – Kiedy zaczynałem używać hamaka do spania podczas wyjazdów, w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że coś takiego jak hamak turystyczny istnieje w USA już od dziesięcioleci.

Po drugiej stronie Atlantyku ten rodzaj nocowania w terenie zyskał na popularności po wojnie wietnamskiej, kiedy weterani zaczęli w cywilu używać przydziałowego sprzętu. ➔

→ W ciągu zaledwie kilkunastu lat prymitywne wojskowe konstrukcje przeobraziły się w bardzo wygodne hamaki turystyczne, z wszytą moskitierą oraz systemami szybkiego montażu, które nie wymagają znajomości węzłów i można je rozwinąć i zwinąć w kilka minut. Pojawiły się nawet firmy specjalizujące się w produkcji akcesoriów noclegowych dla hamakowiczów.

Hamakowanie to sposób na turystykę zakorzenioną

w przekonaniu, że człowiek nie musi czynić sobie ziemi poddaną.

Współczesnego hamakowania, uważa Palowski, nie warto redukować do noclegu. To raczej sposób na coś, co on sam nazywa „pogłębioną penetracją turystyczną”. W końcu nie wszędzie da się postawić namiot i nie chodzi tylko o względy prawne, bo zakazy biwakowania w Polsce nie różnicują na razie noclegów na ziemi i pół metra nad jej powierzchnią. Hamak wciąż sprawdza

się tam, gdzie namiot okazuje się tylko zbędnym ciężarem: w głębi gęstego lasu, na stromym zboczu, a nawet w terenie podmokłym. Potrzebne są tylko dwa solidne punkty mocujące oddalone od siebie o 5-6 m. W naszej części Europy, wyłaczając najwyższe partie gór, trudno w zasadzie wyobrazić sobie miejsce nie pod hamak.

W sztuce bujania o wiele ważniejsze jest jednak to, że hamakowanie to również sposób na turystykę zakorzenioną w przekonaniu, że człowiek nie musi czynić sobie ziemi poddaną.

– Jako nastolatek interesowałem się militariami i surwiwałem, co przez lata rzutowało na sposób, w jaki chodziłem po górach – wspomina Rafał. – Pokonywaliśmy szlaki. Zdobywaliśmy szczyty i przełęcze, triumfowaliśmy nad własnymi słabościami. Potrzebowałem kilkunastu lat, żeby zrozumieć, że da się inaczej. Dzisiaj jadę do lasu, bo go po prostu lubię, czuję się tam jak u siebie. W grze zwanej turystyką natura przestała być przeciwnikiem. Wolę raczej usiąść i się jej przyglądać, a z hamaka widać i czuć przecież więcej niż z namiotu. Ten ostatni stawiasz, kiedy świat dookoła wydaje się nieprzyjazny i chcesz się od niego odizolować. W hamaku zasypiasz razem z tym, co cię otacza.

Magiczny jest zwłaszcza świt. W nocy las trzeszczy, pohukuje i gada po swojemu na dziesiątki rozmaitych sposobów, ale wystarczy jeden nocleg, żeby się przekonać, że to kołysanka, a nie bojowe okrzyki. Nawet w pochmurną bezksiężycową noc i w pojedynkę jest tu zazwyczaj znacznie bezpieczniej niż w mieście. Sen, zwłaszcza po dłuższej wędrówce, przychodzi szybko i jest bardzo zdrowy. A o poranku wszystko budzi się do życia już z inną melodią. Rzacząc się poranną kawą, można z hamaka obserwować ptaki uganiające się w koronach drzew za śniadaniem czy jelenie bez skrupowania skubiące opodal trawę. Wyjście z namiotu, nawet najbardziej delikatne, zaburzyłoby tę kruchą poranną równowagę.

Hamakowanie okazuje się także idealnie dopasowane do coraz popularniejszej w Polsce formuły *leave no trace*, czyli zasad turystyki, które dążą do zminimalizowania wpływu człowieka na przyrodę. W pierwotnej amerykańskiej wersji to siedem punktów krążących wokół niezabaczenia ze szlaków, biwakowania tylko w wyznaczonych miejscach, zabierania ze sobą śmieci i niezakłócania dobrostanu zwierząt zamieszkujących odwiedzany obszar. Dla najbardziej zagozdzonych wyznawców tej reguły namiot – a nawet rozłożona na ziemi karimata – to już ingerencja w naturę, po której pozostaje na ziemi placek odparzonej trawy lub ściółki. – Tymczasem hamak rozwieszony na szerokich taśmach, zwanych zresztą *treehuggers*, nie zostawia żadnych śladów. Kiedy ruszę w dalszą drogę, łapię się na tym, że po przejściu kilkunastu

– W dzieciństwie byłem mocno wkręcony w harcerstwo – opowiada Rafał. – Na jednym z wyjazdów drużynowy upłócił sobie prosty siatkowy hamak ze sznurków, które się walały po obozie. Zawiesił go w kącie wielkiego wojskowego namiotu. Wydało mi się to strasznie pomysłowe i oczywiście od razu spróbowałem się w nim umościć do snu, ale skończyło się tylko pourywanymi guzikami munduru. Pomimo tej porażki doszedłem do wniosku, że pomysł rokuje i trzeba go tylko udoskonalić, zamieniając te sznurki na jakąś wygodną i wytrzymałą tkaninę. Po powrocie do domu od razu dobrałem się mamie do maszyny do szycia. Połamałem chyba ze trzy igły, zacząłem eksperymentować z kształtem materiału, aż w końcu udało mi się uszyć mój pierwszy działający hamak. Byłem oczywiście przekonany, że potrzebne mu będą także dwie poprzeczki stabilizujące materiał u węzłowia i w nogach, ale pomyślałem, że zaoszczędzę na wadze i wszyję tylko pętelki. Poprzeczki miałem robić sobie w lesie z gałęzi. I oczywiście przez dwa lata używania tego pierwszego modelu nie zamocowałem ich ani razu. Okazały się niepotrzebne, bo metodą prób i błędów doszedłem także do tego, że do snu trzeba układać się po przekątnej.

Po kilku latach nastąpił przełom: – W internecie natrafiłem na opisy hamaków turystycznych amerykańskich firm i niemal zamarłem ze zdumienia. Zrozumiałem, że mając te same potrzeby użytkowe i myśl projektowy działający w zbliżony sposób, można niezależnie od siebie dojść na dwóch krańcach świata do właściwie identycznych wniosków. Jasne, nie dokonałem epokowego odkrycia, ale sama świadomość, że samodzielnie doszedłem do czegoś, nad czym wcześniej pracowało wiele osób, zapewniała mnóstwo satysfakcji.

Bujanie dla wrażliwych

Nie jest jasne, kto pierwszy wpadł na ten pomysł. Historycy turystyki upierają się, że hamaki przybyły do Europy z Ameryki wraz z marynarzami Kolumba, którzy na Karaibach mieli podejrzeć u mieszkających tam Tajnów uplecione z juty legowiska zawieszane nad ziemią, z dala od wilgoci, jadowitych węży i uciążliwego robactwa. Za środkowoamerykańskim pochodzeniem hamaka ma przemawiać również jego nazwa, będąca wedle niektórych wariacją na temat słowa *hamaca* oznaczającego w językach arawackich sieć rybacką.

W gruncie rzeczy pomysł wydaje się jednak tak oczywisty, że mógł mieć wielu ojców w wielu epokach historycznych i na różnych szerokościach geograficznych. O wiele ważniejszy był sam kontekst zastosowania. Przez stulecia hamak funkcjonował głównie jako prostsza i tańsza alternatywa dla łóżka. A to w zasadzie wykluczało jego mobilność.



SCHEPNIY / ADOBE STOCK

kroków mam już problem ze wskazaniem miejsca, w którym spędziłem noc – mówi Palowski. – W instrukcjach rozkładania sprzętu zaznaczamy nawet, by wybierać drzewa o określonej średnicy pnia, które można opasać już taśmami bez obawy, że coś się stanie korze.

Bujanie dla solistów

Lekkość hamaka i jego niewielkie wymiary otwierają jeszcze jeden wymiar turystyki, jakim jest samotna wędrówka. Ta forma noclegowania popularna robi się zwłaszcza wśród tzw. bikepackersów, czyli podróżujących z bagażem zredukowanym jedynie do tego, który można zapakować na rower bez klasycznych bagażników.

– Może nie powinienem się przyznawać – chrząka Rafał – ale pierwszy raz na długą samotną wędrówkę wybrałem się dopiero latem ubiegłego roku. Wcześniej wydawało mi się, że to nie dla mnie, bo za istotę turystyki uważałem dzielenie przeżyć z innymi. W końcu jednak siadłem na rower i pojechałem aż do Estonii, nocując głównie na dziko. I to było dla mnie przełomowe doświadczenie. Chyba podczas żadnej podróży nie dowiedziałem się o sobie tyle, ile w trakcie tamtej.

Inna sprawa, że szwedzkie przepisy *allemansträtten* i ich odpowiedniki w pozostałych krajach regionu wprost zapraszają do wyruszenia takiej przygodzie naprzeciw. Skandynawowie

jako pierwsi zrozumieli, że chowanie się przed światem w szczelnym namiocie cywilizacji przynosi więcej szkód niż korzyści i stworzyli normy, które w celach krajoznawczych pozwalają każdemu na wstęp na niemal każdy teren, także prywatny. *Allemansträtten* pozwala również na krótkie noclegi w dowolnym miejscu, w tym na cudzej posesji, oczywiście z zachowaniem poszanowania dla prywatności gospodarzy. Wędrowcy mają tylko jeden obowiązek: pozostawić miejsce w takim stanie, w jakim je zastali.

W tym samym kierunku zmierzał pilotażowy program Lasów Państwowych, które już kilka lat temu zdały sobie sprawę, że zakaz nocowania na podległych im obszarach kłóci się z oczekiwaniami coraz liczniejszych zwolenników leśnej turystyki. Zamiast iść na konfrontację, leśnicy postanowili sięgnąć do rozmów z drugą stroną. Powstała grupa konsultacyjna, w której znalazł się także Palowski.

Początkowo, jak mówi Rafał, wszystko przemawiało za tym, że Lasy nie dojdą do porozumienia z miłośnikami lasów. Środowiska bushcraftowców i surwiwalowców widziały w leśnikach kogoś, kto w najlepszym razie może im wlepić mandat. Z kolei leśnicy do tego stopnia nie rozumieli, z kim siadają do konsultacji, że wzrost wyrażali obawy, czy pilotaż nie doprowadzi do leśnych bójek i ustawek. W ich wyobrażeniach nocowaniem w lesie mogli być zainteresowani jedynie późni synowie Johna Rambo.

– Na jednym spotkaniu wręczono nam kwestionariusze z pytaniami o powody, dla których chcemy spędzać czas w taki sposób – wspomina Palowski. – Przejrzałem listę kilkunastu odpowiedzi do wyboru i zakresiłem może trzy. Większość kręciła się wokół idei twardej męskiej przygody, zmagania z naturą i własnym strachem. Autorom ankiety nawet nie zaświtało, że do lasu na noc można zabrać także dziecko w celach edukacyjnych albo pojechać odpocząć po odmóżdżającym tygodniu w biurze.

O dziwo, państwowa spółka zdecydowała się jednak uruchomić pilotaż programu. Początkową nazwę „Bushcraft i Surwiwal” zmieniono mu tylko na „Zanocuj w lesie”. A w maju ub. roku – po dużej dawce budujących doświadczeń i obserwacji zachowań turystów – pilotaż stał się stałą ofertą, która pozwala legalnie nocować w wyznaczonych leśnych strefach. Każde nadleśnictwo w kraju zostało zobligowane do wskazania terenów dla tej aktywności.

– Leśnicy mówili, że najbardziej boją się zaproszenia ognia i ton śmieci w każdym wyznaczonym zagajniku – mówi Rafał. – Okazało się, że niepotrzebnie, bo miłośnicy przyrody w Polsce naprawdę o nią dbają. W jednym nadleśnictwie, w którym od dłuższego czasu grasował podpalacz, po uruchomieniu programu „Zanocuj w lesie” pożary ustały. Wystarczyła świadomość, że po zmroku w lesie można spotkać nie tylko sowy, ale też ludzi.

Program wciąż działa i nic nie wskazuje na to, żeby Lasy Państwowe miały zrobić krok wstecz. Miłośnikom wędrówek marzy się oczywiście rozszerzenie pozwolenia na wszystkie lasy w Polsce – a docelowo być może słowiańska wersja *allemansträtten* – ale na razie to nierealne.

– Kiedy będziemy mogli legalnie spać w każdym lesie? – zamyśla się Rafał. – Myślę, że wtedy, kiedy w lasach przestaniemy natykać się na porzucone wersalki.

© P MAREK RABI

STANISŁAW

Mancewicz:

Pod stołem



WIĘKSZOŚĆ Z NAS MA DZIŚ SMUTNE, ALE prawidłowe poczucie, że świat się rozregulował, że jego vibracje uniemożliwiają sensowne opisywanie czy też – marzenie ściętej głowy – definiowanie. Nikt – popatrzymy – nie podejmuje się tak popular-

nych ongiś misji pocieszania. Nikt nie ma zamiaru, bo nikt już chyba nie ma tych kompetencji, by dziś cokolwiek regulować. Wszyscy zaś, jak okiem sięgnąć, wiedzą, jak rozregulować. I to w zasadzie byłoby na tyle myśli szalenie oryginalnych, gdyby nie detal, gdyby nie okoliczność dająca do myślenia.

Pretekstem do dzisiejszego komentarza będzie niedawna publikacja internetowa pod tytułem: „Onet.pl i OKO.press ujawniają fragmenty rozmów sędziów. Piebiak miał prosić o »utłuczenie kaściaka«”. Ten solidnie udokumentowany, długi tekst opisuje obyczaje świata (chyba powinno być – półświatka) polskich prawników, a szczególnie rzecz biorąc, prawników rządzących polskim wymiarem sprawiedliwości, wypromowanych przez władze naszej wyznaniowej republiki. Materiał ten za innych czasów i, być może, w innym kraju, byłby powodem do dymisji rządu, do rozpadu większości parlamentarnej, do ogłoszenia orędzia zasmuczonej głowy państwa, a wszystko to przyniosłoby przedterminowe wybory do parlamentu. Zapewne doszłoby także do zmian w partii rządzącej. Zapewne jej kierownictwo uznane by było przez tzw. doły partyjne za skompromitowane, bo jednak poziom pogwarek funkcjonariuszy państwa, wyznaczonych przez partię właśnie, jest poniżej poziomu pohukiwań mieszkańców zasmrodzonej jaskini z ery kamienia łupanego i nie każdy chciałby być z nim utożsamiany.

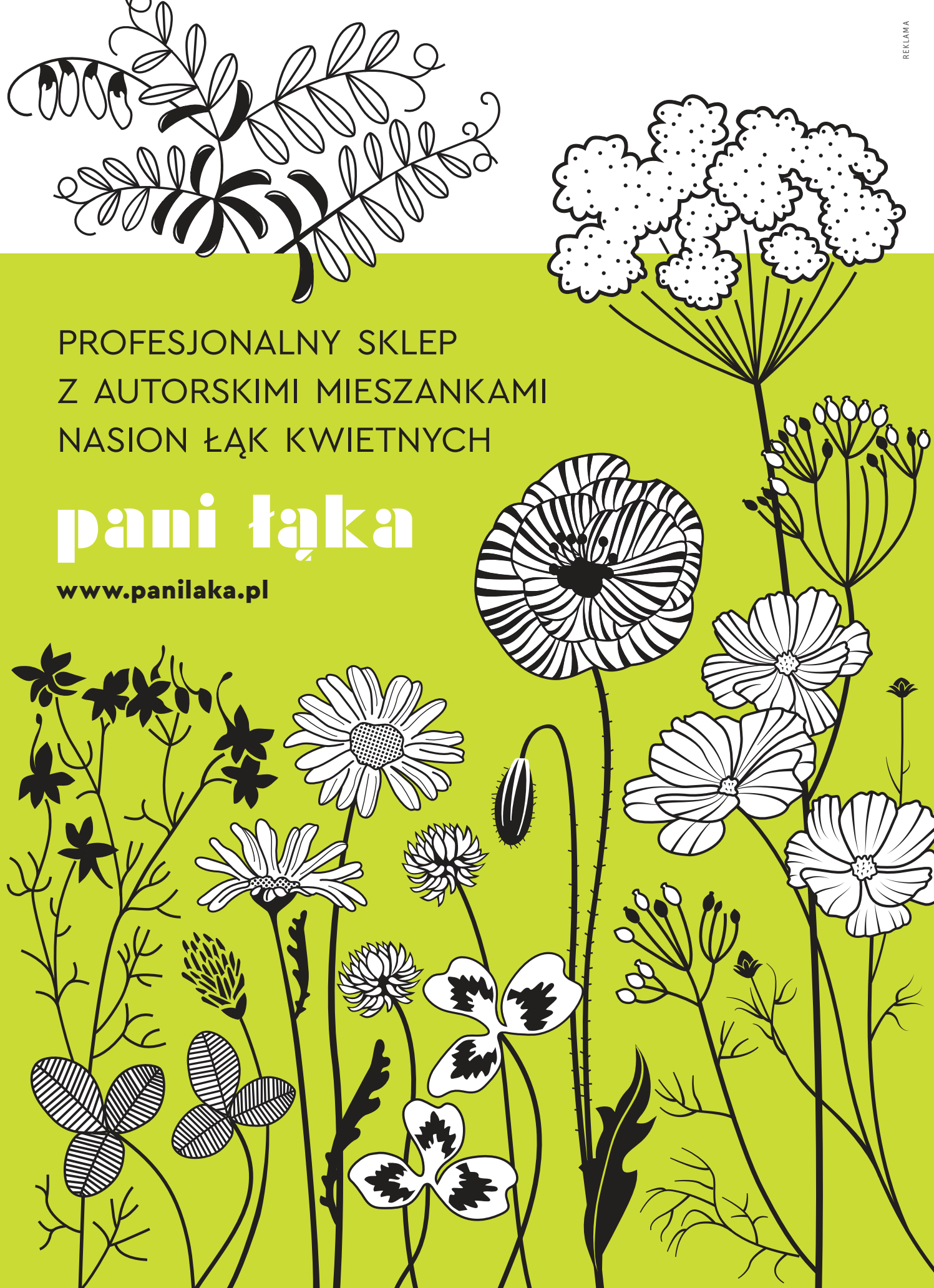
Byłby to – jednym słowem – wstyd w czasach minionych, gdy status zawodu prawniczego był równoznaczny z posia-

daniem choćby małej karteczki w portfelu z zapisanymi rudymentami kultury – za przeproszeniem – osobistej. No więc co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr i tego typu logika czy też łańcuch przyczynowo-skutkowy już w Polsce od dawna nie działa. Jaskiniowcy mają się znakomicie, ponieważ żyją pośród innych jaskiniowców, rozmarzonych w owym tytułowym „tłuczeniu kaściaka”, a marzenie to – trzeba dodać – jest także ich jedyną wyraźnie się rysującą kompetencją. Pytanie, czy jest to kompetencja prawnicza, trzeba zostawić komuś, kto się na tym zna. Na czują jednak – a szary człowiek ma niezbywalne prawo do intuicji na temat prawa – odpowiedź nasza brzmi: tak. Cała kompania prawników wymienionych z nazwiska w owym tekście ma kompetencje prawnika polskiego wyznaczonego przez partię na najwyższe stanowiska do „tłuczenia kaściaka” właśnie, a czynność ta jest zajęciem przez państwo wręcz zalecanym.

Ktoś teraz zapyta o środowisko i jego reakcje. Sami siebie się o te reakcje pytamy. Umknęły nam słowa świętego oburzenia, które są dziś bez żadnej mocy. Każdy dziś się bezkosztowo oburza, w dowolnej sprawie, co zostało sztyderczo opisane przez najtęższe pióra planety. Ale – pytamy – czy środowisko prawników polskich, tych nieczujących się komfortowo w towarzystwie np. p. Piebiaka i jego kumpli, bądź to polski świat (ale nie półświatek) akademicki, który prawników owych, z nazwisk znanych, wyuczył – nie chcemy używać słowa „wykształcił”, do którego mamy nieuzasadniony sentyment – zajął stanowisko mogące dawać nadzieję? Tak mocne, że opisywani absolwenci polskich uniwersytetów znajdą potrzebę zakupu słownika wyrazów obcych, słownika poprawnej polszczyzny, bryka z gramatyki języka polskiego, taniego wydania katechizmu lub kartki z wydrukowanym dekalogiem? Nie. A może, uchodzące za zamożne, centralne i regionalne izby prawnicze wydrukowałyby nieco egzemplarzy savoir-vivre'u dla początkujących? My – jak tu ponuro siedzimy – jesteśmy gotowi przyłożyć rękę do naprawy Rzeczypospolitej, rzecz jasna nie za friko. Możemy natychmiast rozpocząć prace nad podręcznikiem. Jego genialny tytuł przyszedł nam teraz do głowy: „Jak zachować się pod stołem”. Powinien być napisany „na wczoraj”, będzie to książka potrzebna w Polsce przez dziesięciolecia, nie tylko absolwentom wydziałów prawa. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





PROFESJONALNY SKLEP
Z AUTORSKIMI MIESZANKAMI
NASION ŁĄK KWIETNYCH

pani łąka

www.panilaka.pl

19th Millennium DOCS AGAINST GRAVITY FILM FESTIVAL

13 — 22.05.2022

Warszawa
Wrocław
Gdynia
Poznań

Katowice
Łódź
Lublin
Bydgoszcz

24.05 — 5.06

online
mdag.pl



WIECZNA FESTIWAL



KRAJOWA
FUNDACJA
KINEMATYKI
FILMOWEJ

VISA

TVP
DOKUMENT

POLSKI
FESTIWAL
FILMOWY



OKONAKINO

ORGANIZATOR

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW

GDYNIA

POZNAŃ

KATOWICE

ŁÓDŹ

LUBLIN

BYDGOSZCZ

ONLINE

MDAG.PL

24.05 — 5.06

WARSZAWA

WROCŁAW